

# Pamiętnik pani Hanki



TADEUSZ DOŁĘGA-MOSTOWICZ

## *Pamiętnik pani Hanki*

Oddając go w ręce czytelnika pragnę zaznaczyć, że najwyższą zaletą pamiętnika jest zdumiewająca jego szczerość, szczerość, której nie zdołali osiągnąć nawet tak wielcy pamiętnikarze jak — *toute proportion gardée*<sup>1</sup> — Jan Jakub Rousseau<sup>2</sup>. Pani Renowicka wprawdzie nie występuje tu pod prawdziwym nazwiskiem, użyty jednak pseudonim nie zdoła ukryć jej osoby przed domyślnością ludzką. Osoba jej jest zbyt dobrze znana w niektórych sferach i przez nie niewątpliwie zostanie rozpoznana, wzięwszy pod uwagę choćby to, że wypadki i ludzie, o których chodzi, dla nikogo nie są tajemnicami.

Spełniwszy w tych kilku zdaniach obowiązek prezentacji, oddaję głos p. Renowickiej.

---

<sup>1</sup>*toute proportion gardée* (fr.) — zachowując wszelkie proporcje. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>*Rousseau, Jan Jakub* — właśc. Jean-Jacques Rousseau (1712–1778), geneński pisarz i filozof tworzący w jęz. fr., wybitny przedstawiciel oświecenia, encyklopedysta; autor m.in. traktatu *Umowa społeczna* zawierającego demokratyczną wizję państwa; poematu dydaktycznego o wychowywaniu w zgodzie z naturą zatytułowanego *Emil* oraz autobiograficznych *Wyznań* stanowiących jeden z fundamentalnych utworów literatury intymnej. [przypis edytorski]

# MÓJ PAMIĘTNIK

Mój Boże! Któraż z nas kobiet nie jest najgłębiej przekonana, że jej osobiste przeżycia, jej myśli i uczucia są czymś tak oryginalnym i fascynującym, że zasługują na druk. Szczęściem jest móc podzielić się z wszystkimi ludźmi na świecie swoimi tajemnicami, poruszyć ich serca, czuć wokół siebie ciepłą reakcję tych tysięcy dusz podobnie odczuwających jak ja. Do tego dodać trzeba świadomość, że zwierzenia takie mogą być pożyteczne dla wielu, wielu kobiet, które mogą się znaleźć w zbliżonych sytuacjach i, poznawszy już moje doświadczenie, mądrzej i lepiej potrafią z nich wyjść.

To wszystko, co chcę opisać, zaczęło się w pierwszych dniach stycznia. Zaraz po Nowym Roku. Jak dziś pamiętam, był to —

Wtorek

Od rana dręczyły mnie złe przeczucia. Wspomniałam nawet o tym Tuli, gdyśmy się o dwunastej spotkały w „Simie”. Nie zwróciłam nawet na to uwagi, że miała fatalnie dobraną woalkę do kapelusza. Jacek nie odesłał mi samochodu i wszystkie sprawunki musiałam załatwiać taksówką. Gdy wróciłam do domu, było już oczywiście po czwartej. Nie miałam wątpliwości, że Jacek zjadł obiad beze mnie, i po to właśnie weszłam do jego gabinetu, by mu z tego powodu zrobić lekką wymówkę. W ostatnich czasach, mówiąc ściśle od Bożego Narodzenia, stał się mniej uważny i mniej delikatny niż dawniej. Zdaje się, że trapiły go jakieś zmartwienia.

Jacka w gabinecie nie było. Jego bonżurka<sup>3</sup> leżała nietknięta na brzegu tapczanu. Nie był na obiedzie, nie wrócił jeszcze z konferencji. Właśnie konstatowałam to w myśli, gdy mój wzrok zatrzymał się na biurku. Leżała tam nietknięta popołudniowa korespondencja. Machinalnie wzięłam ją do ręki.

Proszę mi wierzyć, że nigdy nie otwieram listów męża, od czasu, gdy mi się rozdarła koperta, i to w tak fatalny sposób, że Jacek to zauważył. Nie powiedział wówczas ani słowa, lecz wstyd mi było bardzo. Mógł mnie przecież posądzić, że go śledzę, że go podejrzewam o zdradę i że w ogóle zdolna jestem do brzydkich postępów.

Tym jednak razem postanowiłam złamać swoje zasady. Błogosławię tę decyzję, gdyż postąpiłam słusznie.

Był to list w długiej, eleganckiej kopercie, zaadresowany dużym, eleganckim pismem. Nosił stempel warszawski. Gdyby nawet koperta nie pachniała dobrymi perfumami, od razu poznałabym, że jest to list kobiecy.

Nigdy nie byłam zazdrosna i brzydzę się tym uczuciem. Rozsądek jednak nakazywał mi poznać niebezpieczeństwo, które mi grozi, a o którym ostrzegła mnie moja niezawodna intuicja. Zachowując wszystkie ostrożności odkleiłam kopertę. List był krótki. Brzmiał, jak następuje:

Mój Drogi!

Przeczytałam uważnie Twoje argumenty. Może i przekonałyby mnie, gdyby nie wchodziły tu w grę uczucia. Przecież dlatego tu przyjechałam, dlatego szukałam Cię, że Cię zapomnieć nie mogę.

Ja również nie chcę skandalu. Nie zależy mi na tym, by zobaczyć Cię za kratkami więziennymi. Ale nie mam też ani zamiaru, ani najmniejszej ochoty wyrzekać się męża.

Być może, nie postąpiłam wówczas ładnie, opuszczając Cię bez pożegnania, ale tak, jak Ci pisałam w pierwszym liście, skłoniły mnie do tego

<sup>3</sup>bonżurka (z fr. *bonjour*: dzień dobry) — daw. poranny ubiór męski, rodzaj luźnej marynarki z miękkiej tkaniny a. eleganckiego krótkiego szlafroka z kołnierzem, mankietami, przewiązywanego w pasie. [przypis edytorski]

okoliczności niezwyklej wagi. Wprawdzie używam teraz swego panieńskiego nazwiska, nie zmienia to jednak faktu, że jestem Twoją żoną i że, mówiąc po prostu, popełniłeś bigamię, żeniąc się z Twoją obecną towarzyszką. To są zbyt poważne kwestie, byśmy je mieli roztrząsać listownie. Toteż proszę Cię, byś mnie odwiedził w hotelu. Będę na Ciebie czekała między godziną 11 a 12 jutro rano.

Zawsze, a przynajmniej znowu

Twoja B.

Przeczytałam ten list niezliczoną ilość razy. Czyż trzeba dodawać, że byłam wstrząśnięta, że byłam nieprzytomna, że byłam zdruzgotana! W trzy lata po ślubie dowiedzieć się, że się zostało haniebnie oszukana, że mój mąż nie jest moim mężem, a ja nie jestem jego żoną, że człowiek, z którym mieszkalam pod jednym dachem, lada chwila może znaleźć się w więzieniu, że tylko od kaprysu jakiejś wstrętnej baby zależeć może mój dom, moja opinia, moja pozycja towarzyska!... To przecie straszne!

Sporo minęło czasu, zanim oprzytomniałam o tyle, że zdołałam zebrać dość uwagi, by starannie zakleić list. Sama nie wiedziałam, co począć. W pierwszej chwili chciałam jechać szukać Jacka i zażądać od niego tłumaczeń, potem przyszło mi do głowy, by natychmiast spakować swoje rzeczy i przenieść się do rodziców, zostawiając resztę na głowie ojca, wreszcie zatelefonowałam do mamy, na szczęście jednak ugryzłam się w język i nie powiedziałam jej ani słowa o moim tragicznym odkryciu.

Ach, jakże samotnie czułam się na świecie! Nie miałam nikogo, dosłownie nikogo, przed kim mogłabym wypłakać się teraz, do kogo mogłabym się zwrócić o radę. Żadna z moich przyjaciółek nie potrafiłaby utrzymać języka za zębami i nazajutrz cała Warszawa trzęsłaby się od plotek. Pozostawał Toto.

Oczywiście mogłabym mu zaufać pod każdym względem. Jest najprawdziwszym dżentelmenem. Ale cóż on mi tu pomóc może? I tyle razy mówił mi, że nie powinniśmy się wzajemnie obciążać naszymi troskami. Zapewne, jest to trochę egoistyczne z jego strony, ale zupełnie słuszne. Nie, nie wspomnę mu ani słowem. Zresztą spaliłabym się ze wstydu. Z moich dawnych dobrych przyjaciół, którzy mogliby mi poradzić, też nikogo nie było w Warszawie. Maryś Walentynowicz malował i polował gdzieś w Kanadzie, Jerzy Zalewski nudził się w Genewie, d'Aumerville miał właśnie urlop, a Dołęga-Mostowicz siedział na wsi.

*Cieszę się, że pani Renowicka zalicza mnie do swych dawnych przyjaciół. Dla uniknięcia jednak wszelkich nieporozumień i sugestii, które mogłyby się nasunąć Czytelnikowi, zaznaczam, że przyjaźń nasza, aczkolwiek istotnie dawna, gdyż datująca się od czasu, gdy p. Hanka zaledwie ukończyła gimnazjum, miała zawsze podkład niejako braterski. W styczniu 1938 roku istotnie bawiłem na wsi i o nieszczęściu, które spadło na dom państwa Renowickich, dowiedziałem się znacznie później. (Przypisek T. D. M.)*

Oczywiście nie poszłam na fajf<sup>4</sup> do Dubieńskich, chociaż przysłali mi nową suknię, w której mi wyjątkowo do twarzy. Trzeba ją będzie tylko skrócić. Niewiele. O jakieś pół palca. Mój Boże! Byłaby to pierwsza w Warszawie suknia paryska w tym karnawale. W piątek na pewno już panie z ambasady francuskiej pokażą się w nowych modelach. Od pewnego czasu prześladowuje mnie pech.

Wreszcie postanowiłam nic nie robić i czekać na powrót Jacka. Nie wiedziałam jeszcze, czy zażadam od niego wyjaśnień. Stokroć wolałabym, by mi ich sam udzielił. Przecież zawsze był ze mną otwarty. W ogóle nigdy nic nie miałam mu do zarzucenia. Pobraliśmy się przecież z miłości i wiem, że do dziś dnia nie przestał mnie kochać.

Wprawdzie mama twierdzi, że Jacek mnie zaniedbuje, ale przecie jego kariera wymaga tych ustawicznych wyjazdów, posiedzeń i misji. Wiem, że zawsze o mnie pamięta, nie pomija żadnej sposobności, by to podkreślić. Dałabym głowę, że nie ma żadnej kochanki, że na pewno mnie nie zdradza. I teraz nagle dowiaduję się, że przede mną miał inną żonę!

<sup>4</sup>fajf (z ang.) — stałe popołudniowe spotkania w prywatnych domach, daw. zwyczajowo odbywające się o piątej (stąd nazwa). [przypis edytorski]

Po długich rozważaniach doszłam do przekonania, że musi tu kryć się jakaś tajemnica lub wręcz mistyfikacja. Jacek — z jego solidnością, z jego opinią, z jego zasadami — i bigamia! To jest nie do pomyślenia! Pod wpływem tych refleksji uspokoiłam się nieco. Autorka owego listu mogła być po prostu jakąś wariatką czy szantażystką. I zresztą kiedy Jacek miałby czas się z nią ożenić? Przecież wuj go zabrał za granicę zaraz po maturze i przez cztery lata studiów w Oksfordzie Jacek ani razu nie był w kraju. Autorka listu nie jest żadną cudzoziemką, gdyż zbyt dobrze pisze po polsku. Więc kiedy?...

Im dłużej nad tym zastanawiałam się, tym byłam pewniejsza, że chodzi tu o pomyłkę lub o mistyfikację. Byłam przekonana, że lada chwila wróci Jacek, otworzy list, roześmieje się, wzruszy ramionami i powie mi: „Patrz, Haneczko, jaką zabawną rzecz otrzymałem!”.

Stało się jednak inaczej.

Jacek wrócił o ósmej. Przywitał się ze mną ze zwykłą serdecznością, przeprosił, że nie był na obiedzie, lecz zdawał się nie zwrócić uwagi na to, że mu zakomunikowałam, iż również jestem bez obiadu. Miał cokolwiek zmęczony wyraz twarzy i smutne oczy. Potem wszedł do gabinetu. Miałam wielką ochotę wejść tam za nim, lecz rozumiałam, że należy czekać go tutaj, w salonie. Wyszedł dopiero po godzinie. Z jego rysów nic nie można było wyczytać. Usiadł przy mnie, a gdy dotknął ręką mojej, zrobił to ze zwykłym spokojem. Udując zupełną swobodę, zapytałam bez nacisku:

— Czy czytałeś już listy?

— Tak — skinął głową. — Nic ważnego. Ludka za tydzień wyjeżdża do Algieru, a ambasador przesyła dla ciebie ukłony.

Serce ścisnęło mi się w piersi. Starając się panować nad sobą, by głos mi nie zdrzął, zauważyłam:

— Zdawało mi się, że otrzymałeś jakąś przykrą wiadomość, która cię zmartwiła...

Spojrzałam mu wprost w oczy, a on uśmiechnął się z tak szczerym zdziwieniem, że aż nie wierzyłam sama sobie. Nie darmo mówią, że Jacek jest urodzonym dyplomatą. Gdyby mnie zdradzał, jestem przekonana, że nigdy bym tego poznać po nim nie umiała. Jak on potrafi się maskować.

— Wprost przeciwnie — odpowiedział. — Raczej mam dobrą. Mianowicie w poselstwie bułgarskim odwołano obiad i będę mógł cały wieczór spędzić z tobą.

Nie był to wieczór miły, chociaż Jacek robił wszystko, by mi sprawić przyjemność. Świadomość, że między nami legła jego straszna tajemnica, nie opuszczała mnie ani na chwilę. Dodawało mi sił tylko to, że czułam nad nim przewagę. On nie mógł się domyślać, że wiem o istnieniu jego pierwszej żony. Miałam w ręku atut, który w każdej chwili mógł spaść na jego głowę jak cios nieodparty. Zdawał się go zupełnie nie spodziewać. Wpatrywałam się weń, usiłując odgadnąć jego myśli.

Teraz dopiero przypominałam sobie szereg szczegółów, na które w ciągu ostatnich dni nie zwracałam uwagi, a które były przecież zastanawiające.

Od pewnego czasu Jacek nie zmienił się, bo to byłoby za mocne słowo, lecz jakby zmatowiał. Jego śmiech stał się cichszy, jego rozmowy telefoniczne z różnymi osobami nabrały specyficznego tonu, jakby rezerwy i ostrożności. Tak. A na Sylwestra, gdy mój ojciec oburzał się na świeżo wykryte nadużycia w jakimś tam urzędzie i mówił wiele nieprzychylnych rzeczy o aresztowanym dyrektorze Liskowskim, Jacek najniespodziewaniej stanął w jego obronie. Było to tym dziwniejsze, że zawsze nie lubił Liskowskiego, a wtedy powiedział:

— Nie można zbyt pochopnie ludzi sądzić. Nie znamy kulis sprawy. Nie znamy motywów, którymi się ten człowiek kierował. Są takie sytuacje w życiu, w których człowiek staje się niewolnikiem okoliczności.

Zawsze odznaczał się wyrozumiałością i dobrocią. Ale to już było zbyt jaskrawe. Czyżby już wówczas, broniąc tamtego, szukał usprawiedliwienia dla siebie?... Gdyśmy wracali do domu, znowu powrócił do tej sprawy i powiedział:

— Nie przyznając racji twemu ojcu, że nie przyjął obrony Liskowskiego. Gdy się jest adwokatem, a w dodatku ma się renomę tak znakomitego obrońcy, nie wolno odmawiać pomocy nieszczęśliwemu. Przecież to natychmiast rozejdzie się w sferach prawniczych i, zastanów się tylko, jaki wpływ musi wywrzeć na sędziów. Każdy sędzia sobie powie: „Jeżeli mecenas Niementowski nie podjął się obrony, oskarżony jest oczywiście winien”.

Był wyraźnie przejęty sprawą Liskowskiego, chociaż nie dotyczyła nas wcale, gdyż nie utrzymywaliśmy z nim żadnych bliższych stosunków.

Przypomniałam sobie teraz i inne objawy jego zmienionego nastroju. Na przykład radio. Nie lubił go słuchać i nastawiał tylko wtedy, gdy zapowiedziana była jakaś enuncjacja Hitlera czy Chamberlaina, czy innego męża stanu. Wyjątki robił dla koncertów najznakomitszych mistrzów. Natomiast w ciągu ostatnich dni, ilekroć zostawaliśmy we dwójkę, jakby dla uniknięcia rozmowy wyszukiwał różne audycje i przysłuchiwał się im z zainteresowaniem.

I jeszcze jedno. W stosunku do mnie może nie stał się czulszy, ale objawy jego uczuć przybrały ton namiętniejszy i gwałtowniejszy. Od dawna jego pocałunki i uściski nie były tak porywcze. To wszystko powinno było już dawniej mnie zastanowić, lecz oczy mi otworzył dopiero ten okropny list.

Czego mogę się spodziewać? Jak mogło się przedstawiać położenie sprawy?

Obiektywnie wiedziałam, że Jacek musiał kiedyś zawrzeć związek małżeński z jakąś kobietą. Sądząc z jej charakteru pisma, z papieru listowego, ze sposobu wysławiania się, ta kobieta jest kimś z towarzystwa.

Zresztą do innych Jacków po prostu nie mógł mieć dostępu. Nie przepadał za towarzystwem girls, baletnic czy aktoreczek. Tedy ożenił się zapewne z ową kobietą w zamiarze spędzenia z nią całego życia. Dalej wiem co?...

Wiem, że go porzuciła i że aż do ostatnich czasów nic nie wiedział o jej losach. Przypuszczalnie uciekła z jakimś gachem, by teraz wrócić i szantażować Jacka.

I czegoż może ona odeń żądać? Jedno z dwojga: albo pieniędzy, albo tego, by do niej powrócił. Jeżeli zdołała go wysledzić, na pewno dowiedziała się również, że moi rodzice są bogaci. Oczywiście, ojciec, dla uniknięcia skandalu, zgodzi się na każdą kwotę. Z listu wszakże wnioskować można raczej, że tej obrzydliwej kobiecie zależy na Jacku. W żadnym razie nie można do tego dopuścić. Byłabym skompromitowana.

Przyglądałam się mu. Im dłużej się przyglądałam, tym bardziej byłam przekonana, że nie oddam go żadnej innej. Po prostu dlatego, że go kocham, że już nie wyobrażałabym sobie życia bez niego. Nigdy nie marzyłam o lepszym mężu. Ten jego takt, to równe usposobienie i ta reprezentacyjność. Gdy się wchodzi z nim do salonu czy do restauracji, nie ma kobiety, która by nań nie zwróciła uwagi, nie ma mężczyzny, który by od razu nie powiedział sobie: *C'est quelqu'un*<sup>5</sup>.

Wszystkie, absolutnie wszystkie zazdrościły mi go. Nawet Buba, która wyszła przeciw za księcia, zamieniłaby się w każdej chwili ze mną. Nie jest ładny, ale ma w sobie coś z Gary Coopera<sup>6</sup>. Ten prawdziwy męski wdzięk.

Buba i inne domyślają się u niego jakichś nadzwyczajnych uzdolnień i możliwości. Oczywiście nie wyprowadzam ich z błędu. Ostatecznie ma już lat trzydzieści dwa. Zresztą, czy się od męża tylko tych rzeczy wymaga? W każdym razie nie zamieniłabym Jacka na żadnego innego. Taki na przykład Toto, chociaż jest potwornie bogaty, mógłby zamęczyć swoją neurastenią, swoimi dziwactwami, no i nieróbstwem. Gdyby mu odebrać pieniądze i tytuł hrabiowski, zostałoby prawie zero. Jest oczywiście bardzo miły, tak, może nawet niezastąpiony jako przyjaciel i towarzysz zabaw, ale mąż przecież to zupełnie co innego.

Za wszelką cenę musiałam zdobyć odeń informacje, lecz ile razy otwierałam usta, by zadać jakieś pytanie, Jacek zawsze uprzedzał mnie albo jakimś karesem<sup>7</sup>, albo zaczynając mówić o czymś obojętnym. Przy kolacji ze względu na ciotkę Magdalenę również o żadnych indagacjach<sup>8</sup> nie mogło być mowy. Jacek pozornie był w zwykłym dobrym humorze, żartował z ciotką Magdaleną, opowiadał najnowsze anegdotki o różnych dygnitarzach i wypytywał ją o plotki towarzyskie. Po kawie powiedział:

<sup>5</sup>*c'est quelqu'un* (fr.) — to jest ktoś. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>*Cooper, Gary* (1901–1961) — właśc. Frank James Cooper; amer. hollywoodzki aktor filmowy, nagrodzony Oscarem za role w filmach *W samo południe* i *Sierżant York* oraz za całokształt twórczości w 1961 r.; gwiazda początków kina dźwiękowego, zyskał uznanie dzięki naturalnej, powściągliwej grze aktorskiej, kontrastowo różniące się od stylu gry ery kina niemego. Jego kreacje przyczyniły się do ukształtowania romantycznego typu kowboja: wysokiego (Cooper mierzył ponad 190 cm wzrostu), o dyskretnej, męskiej urodzie, milkliwego, odzywającego się z rzadka głębokim, niskim głosem, będącego uosobieniem odwagi i męskiego honoru oraz amer. wolności. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>*kares* — pieszczota, czułość. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>*indagacje* (z łac.) — wypytywanie, przepytanie, badanie. [przypis edytorski]

— Mam jeszcze coś do napisania...

Zbyt dobrze go znam, bym nie zrozumiała, co to miało znaczyć. Dlatego też prze-  
rwałam mu, nim zdążył dokończyć:

— Ale zaraz później przyjdiesz mi powiedzieć dobranoc.

Chciał jakoś się wykręcić, ale z jednej strony nie wypadało mu, gdyż od trzech dni nie  
życzył mi dobrej nocy, a z drugiej, powiedziałam to takim tonem i z tym opuszczeniem  
rzęs, które zawsze działały nań nieodparcie.

— O, tak, Haneczko — szepnął z intonacją, mającą świadczyć, że o niczym innym  
nie marzył. Jacy ci mężczyźni są jednak bezbronni. Co prawda mam tylko dwadzieścia  
trzy lata i jeżeliby ktoś powiedział mi, że jestem piękna, nie byłoby to dla mnie nowo-  
ścią. Tej nocy w jego pieszczotach było znowu tyle zaborczości i chciwości. Omal mu nie  
powiedziałam: „Przypominasz mi kogoś, kto pije więcej, niż pragnie, jakby miał się zna-  
leźć na bezwodnej pustyni”. Tak. Niewątpliwie go kocham. Gdy tak leży z zamkniętymi  
oczami, usiłuję wyobrazić sobie tamtą. Czy jest ładna? Czy jest młoda? Czy jest do mnie  
podobna? Zauważyłam, że przygląda się z upodobaniem Lusi Czarnockiej, a Lusia jest  
właśnie w tym samym typie co ja.

Zapytałam go niespodziewanie:

— Powiedz, Jacku, czy kiedyś kochałeś?

Drgnęły mu powieki, lecz uśmiechnął się, nie otwierając ich.

— Kiedyś i teraz, i zawsze.

— Nie wykręcaj się, przecież wiesz, o co mi chodzi. Pytam, czy kochałeś inną.

Milczał długo, wreszcie odpowiedział:

— Raz... Było to dawno... Zdawało mi się, że kocham...

Serce zabiło mi mocniej: wiedziałam, że mówi o niej. Nie uległo wątpliwości: Jacek  
nie podejrzewa, że domyślam się czegoś. Należało kuć żelazo, póki gorące.

— Dlaczego powiedziałeś, że ci się zdawało? — zapytałam lekko.

— Bo nie było to prawdziwe uczucie. Krótkie oszołomienie i tyle.

— A ona?

— Co ona?

— Czy kochała cię?

Wydął wargi i powiedział:

— Chyba... Nie wiem... Raczej nie...

— Byliście kochankami? — zapytałam bez nacisku. Spojrzał na mnie z ukosa.

— Daj spokój, Haneczko — powiedział. — Rozmowa o tym nie sprawia mi przy-  
jemności.

— Dobrze — zgodziłam się. — Chcę wiedzieć tylko, czy się z nią widujesz.

— Skądże? — wzruszył ramionami. — Nie widziałem jej od wielu lat.

Widocznie nie miał zaufania do mojej rezygnacji z rozmowy na ten temat, gdyż spoj-  
rzał na zegarek i orzekł, że najwyższy czas na sen.

Poszedł do siebie, a ja do późnej nocy nie mogłam zasnąć, zastanawiając się nad tym,  
co mam począć i jak postąpić. Najprościej byłoby rozmówić się z nim szczerze, przyjść  
i powiedzieć mu prosto w oczy:

„Popełniłam rzecz brzydką. Otworzyłam list adresowany do ciebie i dowiedziałam się  
z niego, że jesteś bigamistą, że miałeś już żonę i że okłamałeś mnie, podając się za kawalera.  
Mam prawo chyba żądać wyjaśnień”.

Jak zachowałby się wówczas Jacek? Jacek z jego wrażliwością, z jego przesubtelnym  
poczuciem honoru?... Przed wszystkim z właściwą mężczyznom logiką potępiłby mnie  
za to głupie otwarcie listu. A poza tym uczyłby się zdemaskowany, skompromitowany  
i poniżony. Może znienawidziłby mnie za to, że podstępem wdarłam się w jego tajemnicę.  
Może porzuciłby mnie i wrócił do tamtej? Kto wie zresztą, czy po prostu nie palnąłby sobie  
w łeb?

Oczywiście mogłabym przeciwdziałać temu, mogłabym go zapewnić o swoich nie-  
zmienionych dla niego uczuciach i zaofiarować mu pomoc w walce z tą szantażystką. Ale  
w każdym razie cała ta brzydka sprawa ległaby na zawsze między nami jak brudny cień.

Myśl o tym, że znam jego przestępstwo, wyrodziłaby się w nim w końcu w niechęć  
do mnie. Przecież nigdy nie mógłby już zrobić mi żadnej uwagi. Bałby się przy każdym  
słowie, że mu wypomnę jego bigamię.

Nie. Stanowczo nie wolno mi wspomnieć mu bodaj słówkiem, że coś wiem o tym.

Nad ranem dopiero przyszedł mi szczęśliwy pomysł: stryj Albin Niementowski to jedyny człowiek, do którego się można zwrócić o radę.

Środa

Boże, co za straszny dzień! Oczywiście poszedł. Cała moja przebiegłość na nic się nie zdała. Gdy wychodził przed jedenastą, prosiłam go, by odesłał mi auto, gdyż miałam nadzieję, że od szofera dowiem się, w którym był hotelu. Tymczasem Jacek w ogóle auta nie wziął i widziałam przez okno, jak wsiadał do taksówki.

„B” — to może być pierwsza litera tak dobrze nazwiska, jak i imienia. W grę wchodzić mogą, jak sądzę, trzy wielkie hotele: „Europejski”, „Bristol” i „Polonia”<sup>9</sup>. W którym ona mieszka? Żebym chociaż wiedziała, ile ma lat lub jak wygląda.

Stryj Albin nie miał telefonu i musiałam jechać aż na Żoliborz, by się dowiedzieć, że nie ma go w domu. Czekałam na schodach przeszło godzinę i okropnie zmarzłam. Bałam się przy tym okropnie, by mnie kto tu nie zobaczył. Piękną awanturę urządziliby mi rodzice. Zostawiłam stryjowi kartkę z zawiadomieniem, że będę znowu o szóstej.

Jacek przyszedł na obiad wyraźnie zdenerwowany. Widziałam, ile wysiłku kosztowało go udawanie, że ma apetyt. Chciało mi się płakać. Po obiedzie najniespodziewaniej oświadczył:

— Dziś wieczorem wyjeżdżam do Paryża.

Oniemiałam. Mogło to oznaczać coś najgorszego. Musiał dostrzec, że zbladłam, bo szybko dorzucił:

— Jadę tylko na trzy dni.

— Czy musisz? — zapytałam. — Czy musisz właśnie teraz jechać?

Udał zdziwienie.

— Co znaczy „właśnie teraz”?

Trochę się spieszyłam.

— Nic nie znaczy. Pytałam, czy nie możesz odłożyć wyjazdu. Przecież pamiętasz, że mamy kilka pilnych wizyt.

Pałała mnie chęć zapytania, czy jedzie sam. Najniedorzeczniejsze domysły tłukły mi się po głowie. Może postanowił wrócić do niej, może uciekają razem?... Może również być, że Jacek wyjeżdża, by ukryć się przed nią. Dlaczego nie chce być ze mną otwarty?! Czy nie ma do mnie zaufania?! I ta jego mina, ta mina, jakby czekał moich dalszych pytań, jakby z góry na nie miał gotowe odpowiedzi. To zupełnie brzydkie z jego strony.

— Mam wrażenie — odezwał się wreszcie — jakbyś była zaskoczona moją podróżą. Przecież jeżdżę bardzo często.

— Ach, nie. Wcale nie jestem zaskoczona. Czy kazać ci zapakować frak również?

Potrząsnął głową.

— Nie. Dwa ubrania. To wszystko. A poza tym nie chcę zabierać kufra, bo prawdopodobnie wrócę samolotem.

— Za trzy dni?

— Tak. Najdalej za cztery.

Powiedział to takim tonem, że prawie się uspokoiłam. Gdy jednak w godzinę później przygotowałam dla Józefa rzeczy do pakowania, przypadkiem wzięłam do ręki książeczkę czekową Jacka. I znowu moja nieszczęsna intuicja podszeptała mi, by zajrzeć, czy nie podniósł ostatnio większej sumy pieniędzy. W grzbietowym odcinku pod dzisiejszą datą figurowała kwota 52 000 złotych. Omal nie krzyknęłam. Dokładnie pamiętam, że na rachunku było niewiele ponad tę sumę. Więc podniósł wszystko. Dlaczego?... Czy żeby oddać to jej, czy żeby zapewnić sobie na kilka miesięcy możliwość egzystencji gdzieś za granicą? Nigdy nie odprowadzałam Jacka na dworzec, toteż i dzisiaj nie mogłam sobie na to pozwolić bez wzbudzenia jego podejrzeń. A jednak musiałam tam być. Musiałam zobaczyć, czy istotnie wsiada do pociągu paryskiego i czy jest sam, czy nie wyjeżdża z nią. Należało wymyślić jakiś pretekst. W głowie jednak miałam taki chaos, że nic rozsądnego mi na myśl nie przychodziło. Cała nadzieja w stryju Albinie.

---

<sup>9</sup> „Europejski”, „Bristol”, „Polonia” — nazwy najlepszych hoteli przedwojennej Warszawy. [przypis edytorski]



Tym razem, na szczęście, stryja zastałam. Sam otworzył mi drzwi. Był w trochę poplamionym, lecz jeszcze bardzo eleganckim szlafroku. Połyskując monoklem i wspaniałymi zębami, przywitał mnie z taką swobodą, jakbyśmy się wczoraj widzieli, jakby nigdy między nami nic nie zaszło.

— Jakże się miewasz, mała? A co za wspaniałe futro! Świetny krój! No i ten połysk.

(Nic się nie zmienił. On się zawsze zna na wszystkim i wszystko umie dostrzec. Niech mówią o nim, co chcą, a jednak niepodobna mu odmówić tego, że jest czarujący. Mój Boże, któż jest bez wad!)

Stryj usadowił mnie na tapczanie i poczęstował winem. Usiadł oczywiście obok mnie. Stanowczo za blisko. On już inaczej nie umie. Zresztą teraz, kiedy zależało mi na jego pomocy, nie mogę sobie pozwolić na żadne nieprzyjemne dlań odruchy.

— Domyślam się — zaczął uwodząco — że nie tęsknota cię do mnie sprowadza. A szkoda. Jesteś diabelnie ładna. Twoja pocziwa głupia mama musiała się zapatrzeć na madonnę Baldovinettiiego albo po prostu na jakiegoś gondoliera. Oni tam miewają takie smoliste oczy i takie włosy jak z mosiądzu. Istny Baldovinetti<sup>10</sup>! Czy nikt ci jeszcze tego nie powiedział?

— Nie. I nawet nie wiem, czy to jest komplement, bo nigdy tego obrazu nie widziałam.

Lekko dotknął mojej ręki.

— Przyglądasz się mu, mała, co dzień po kilka razy: w lustrze. A już sama osądz, czy to komplement, czy nie.

— Stryj jest naprawdę niebezpiecznym człowiekiem — zaśmiałam się.

— Znajdujesz, że jeszcze?...

Przyjrzałam się mu. Pomimo siwych włosów, zmarszczek koło oczu i koło ust był uosobieniem męskości w pełnym rozkwicie. Gdyby nie to, że nigdy nie miałam pociągu do starszych panów i że się go jednak trochę (między nami mówiąc) boję, kto wie, czy nie potrafiłabym się poważniej nim zająć. Toż dopiero byłby skandal. Wyobrażam sobie minę papy!...

— Nie jeszcze, lecz dopiero teraz — powiedziałam z umiarkowaną zalotnością.

Musiałam go przecież jak najzyczliwiej do siebie usposobić.

Zaśmiał się z niejakim ukontentowaniem i, jaka klasa! Każdy inny dyletant w dziedzinie uwodzenia pozwoliłby sobie w podobnym momencie na jakiś śmielszy gest. On przeciwnie. Wstał i powoli nalewając sobie wino, przez parę chwil był odwrócony do mnie plecami. Co za kokiet!

— Wyobraź sobie — zaczął tonem zwierzeń — że rzeczywiście czuję się diabelnie młody. Zaczyna mnie to niepokoić nawet. Przecież to już pięćdziesiątka, a człowiek zamiast być poważnym i czcigodnym dziaduniem, ma wciąż zielono w głowie.

Zaprzeczyłam żywo:

— O, nie. Stryj nigdy nie miał zielono w głowie. Stryj jest jednym z najrozumniejszych ludzi, jakich znam. I właśnie dlatego do stryja przyszłam.

— A to zabawna historia — uśmiechnął się. — Jesteś chyba pierwszą kobietą na świecie, która przyszła szukać u mnie rozumu. Inne najmniej się tym interesują. Ale widzę z tego, że musiałaś wpaść w jakąś nieprzyjemną historię. Co?...

Usiadł znowu przy mnie i uważnie patrzył mi w oczy.

— No, przyznaj się — mówił. — Ten twój nudny Renowicki przyłapał jakiś list do ciebie od... Tota.

Czułam, że się zarumieniłam z lekka. Skąd on może wiedzieć? By nie dać po sobie poznać, że mnie zaskoczył, wzruszyłam ramionami.

---

<sup>10</sup>Baldovinetti, Alessio (1427–1499) — wł. malarz doby renesansu, związany z Florencją; kształcił się w pracowni Domenica Veneziana, malował freski, obrazy ołtarzowe, portrety, projekty mozaik i witraży; częstym tematem dzieł Baldovinettiiego są sceny z życia Marii, takie jak moment zwiastowania czy narodzenie Jezusa, ukazujące uduchowioną postać Madonny o delikatnym, precyzyjnym rysunku szczegółów. Prace artysty znajdują się obecnie w Bazylice Santa Annuziata i kościele San Miniato al Monte we Florencji (freski), w galerii Uffizi (obraz sztalugowy *Zwiastowanie*) oraz w Luwrze (*Madonna z Dzieciątkiem*, scena adoracji na tle tokańskiego krajobrazu). [przypis edytorski]

— Ach, Toto już od dawna zrezygnował z zabiegów o moje względy. A tu jednak stryj zgadł, że zaczęło się od listu. Dowiedziałam się o Jacku strasznych rzeczy. Jestem wprost w rozpacz...

— O, aż w rozpacz? Zdradza cię?

— Gorzej, stryju, znacznie gorzej: on jest żonaty!

— No, ostatecznie, moja droga — z robioną powagą powiedział, marszcząc brwi — to nie jest dla mnie aż taką nowiną. Wprawdzie nie byliście łaskawi zaprosić mnie na ślub, ale wiem, żeście się pobrali.

— Ach, stryju, tu nie chodzi o żarty! Jacek naprawdę jest żonaty z jakąś kobietą!

Kiwnął głową.

— To już pocieszające, że z kobietą...

— Jak to? — nie zrozumiałam.

— Mogłoby się okazać na przykład, że jest zbrojennym.

— Ach, stryju, to naprawdę sprawa poważna. I jeżeli stryj mi nie pomoże... Ja dosłownie nie wiem, co mam począć! Opowiem wszystko po kolei. Więc Jacek przez roztargnienie zostawił na biurku otwarty list...

Stryj mi przerwał:

— Jeżeli zostawił, to znaczy, że nie przywiązywał doń większej wagi.

— Ależ przeciwnie. Ogromnie mu na nim zależało.

— Skąd wiesz, że zależało?

Nie byłam zadowolona z tej indagacji. W gruncie rzeczy nie należało to do sprawy.

— No, bo wrócił po ten list i był bardzo zaniepokojony — powiedziałam.

— A cóż było w liście?

— Rzecz straszna! Jakaś kobieta pisała do Jacka jako do swego męża.

Powtórzyłam stryjowi treść listu, jak mogłam najdokładniej. Opowiedziałam następnie o dalszym zachowaniu się Jacka. Wysłuchał mnie z wielką uwagą, nie odmówił sobie jednak przyjemności wygłoszenia uwagi.

— No, no, okazuje się tedy, że w naszej rodzinie nie ja jeden jestem ową parszywą owcą.

Nic na to nie odpowiedziałam. Przykro mi było, że tak niedelikatnie dotknął sprawy, o której wolałabym nie wspominać.

*Autorka pamiętnika nie nadmieniła tu, o co jej chodzi. Ponieważ dla znacznej liczby Czytelników rzecz przez to może ulec zaciemnieniu, uważam za swój obowiązek wyjaśnić, że p. Albin Niementowski na osiem lat przed opisanymi przez jego bratanicę zdarzeniami miał dość przykrą sprawę sądową. Chodziło o uwiedzenie nieletniej, panny L. Z., której rodzice byli z tego niezadowoleni. W wyniku rozprawy sądowej p. Albin został skazany na dwa lata więzienia. (Przypisek T. D. M.)*

— I czy jesteś pewna — zapytał stryj — że list ten nie jest zwykłą mistyfikacją?

— Najpewniejsza.

— Hm, a może napisał go sam twój kochany małżonek, by sprawdzić, czy nie zaglądasz do jego korespondencji?

— Ależ stryju! Czyż Jacek zdobyłby się na tyle przebiegłości!

— To prawda. Nie wygląda mi na szczególnie pomysłowego.

— A zresztą list niewątpliwie pisany był kobiecym charakterem pisma. Nie. Na pewno jest autentyczny. Poza tym zachowanie się Jacka utwierdza mnie w przekonaniu, że sprawa jest całkiem poważna.

— I powiadasz, że on dziś wyjeżdża do Paryża?

— Nie wiem. Tak mi powiedział. Czy ja wiem, dokąd wyjeżdża? Przypadkiem udało mi się stwierdzić, że podniósł wszystkie pieniądze z banku.

Stryj Albin gwizdnął przeciągle.

— Wszystkie?... To znaczy ile?

— Coś pięćdziesiąt dwa tysiące.

— Psiakrew. Mają ludzie pieniądze — mimochodem zauważył stryj i dodał: — Nie zostawił ani grosza?

— Owszem, coś kilkaset złotych. Ale to jest nieważne.

— W porównaniu z tamtą kwotą — oczywiście. Powiedźcie mi, moja mała, czyś już mówiła o tym z rodzicami?

— Ależ niech Bóg broni! Stryj może sobie wyobrazić, co ojciec by zrobił!

— Tak, ten stary idiota, ma się rozumieć, narobiłby alarmu. Postąpiłaś, kochanie, bardzo inteligentnie, żeś ani mężowi, ani rodzicom nie pisnęła słówkiem o swoim odkryciu. Rzecz w istocie wymaga największej dyskrecji.

Wzięłam stryja za rękę.

— Drogi stryjasku, stryj mi pomoże. Prawda?...

Zamyślił się i wreszcie skinął głową.

— Nawet z dużą przyjemnością. Ale pod jednym warunkiem.

— Och, stryju — zawołałam uszczęśliwiona — byłam pewna, że stryj mi nie odmówi! Ja przecie literalnie nie mam do kogo udać się o radę, o pomoc!

— Służę ci, ale pod jednym warunkiem — podkreślił.

— Ale stryjasek chyba nie postawi takiego warunku, który... na który...

Zmarszczył brwi, lecz od razu się rozpozgodził i obrzuciwszy mnie ironicznym spojrzeniem (on jednak naprawdę jest świetny!), powiedział:

— Moja mała. Cóż ty sobie wyobrazasz, że ja — ja! — muszę uciekać się do takich sposobów dla zdobywania kobiet?

Zaczerwieniłam się, a on dodał:

— Zdaje się, że przedwcześnie poczęstowałam cię komplementem o twojej inteligencji.

— Bardzo przepraszam, ale doprawdy stryj mnie źle zrozumiał.

— No, no, już dobrze, mniejsza o to. Więc słuchaj uważnie. Chętnie wezmę tę sprawę w swoje ręce. Jednakże tylko w tym wypadku, jeżeli zobowiążesz się do całkowitego podporządkowania się moim wskazówkom. Nie wolno ci nic robić na własną rękę. Absolutnie nic. Wierzę wprawdzie w twój spryt, ale tu robota musi być arcymisterna, tu jeden fałszywy krok może zburzyć wszystko. Rozumiesz?

— Rozumiem — przyznałam bez namysłu.

— I obiecujesz mi, że będziesz ściśle stosowała się do moich dyrektyw?

— Ależ z największą przyjemnością.

— Doskonale tedy<sup>11</sup>. Otóż przede wszystkim chcę ci powiedzieć, co o tym sądzę. Nie myślę, by rzecz była łatwa i prosta. Najprawdopodobniej owa kobieta jest rzeczywiście żoną twego męża. I ma jakieś wyjątkowo ważne powody, dla których go odszukała. To wspomnienie o rzekomo inwitujących<sup>12</sup> ją uczuciach nie wydaje mi się szczere. Żadna kobieta nagle, po kilku latach niewidzenia mężczyzny nie przypomina sobie, że go kocha.

— Właśnie.

— Otóż raczej dopatrywałbym się tu próby szantażu.

— To jest bardzo prawdopodobne.

— Przede wszystkim — ciągnął stryj — trzeba ustalić fakty. Wiemy, że osoba podpisująca się literą B. jest w Warszawie i mieszka w hotelu. Mieszka lub mieszkała, bo i to możliwe, że razem z twoim czarującym małżonkiem dzisiaj wyjeżdża. Najpierw tedy trzeba stwierdzić, czy Jacek jedzie sam, czy z nią. Musisz być na dworcu i sprawdzić to. Oczywiście można byłoby wynająć detektywa...

— I ja zastanawiałam się nad tym — wtrąciłam.

Stryj potrząsnął głową przecząco.

— Nie, to byłoby zbyt ryzykowne. Detektyw mógłby wpaść na ślad istotny, to znaczy dowiedzieć się, że twój mąż jest bigamistą. Gdyby to nastąpiło, trzymałby go w ręku i miałby możliwość nieograniczonego szantażu. Nie. Tu nikomu nie można zaufać. Sprawa jest zbyt poważna. Odprowadź swego małżonka na dworzec i bacznie uważaj, czy nie szuka on wzrokiem owej damy. Jeżeli nawet jedzie z nią razem, myślę, że zachowa wszystkie ostrożności. Prawdopodobnie ulokują się nawet w różnych wagonach.

Zaniepokoiłam się.

— Więc stryj sądzi, że on z nią chce uciec?

<sup>11</sup>tedy (daw.) — zatem, w takim razie. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>inwitować — nawiedzać, nachodzić; odwiedzać, składać wizytę. [przypis edytorski]

— Nic nie sędzę — wzruszył ramionami. — Po prostu przyjmuję to jako jedną z ewentualności.

— To byłoby okropne. I cóż ja wtedy mam zrobić?

— Musisz uciec się do jakiegoś podstępku, by go zatrzymać. Na przykład postaraj się, by nie zdążył wsiąść do pociągu. Rozumiesz, mała?

— Ale w jaki sposób?

— Nie jesteś doświadczona — zaśmiał się. — To bardzo proste. Udaj zemdlenie. Będzie cię musiał wówczas ratować i zostanie. A wtedy będzie czas na powzięcie jakichś nowych decyzji. Ja ze swej strony podejmę próby odszukania tej kobiety. Przejrzę listy osób zamieszkających w kilku większych hotelach. Nie jest to najlepszym sposobem, ale skoro nie ma innego... No, więc dobrze. Wieczorem do ciebie zatelefonuję, by się dowiedzieć, co się stało z Jackiem.

— Ale jaki pretekst wymyślić, by Jacka odprowadzić? Nigdy tego nie robię.

— Więc nie odprowadzaj go, tylko zjaw się na dworcu w parę minut po nim pod pozorem, żeś zapomniała go prosić o załatwienie jakiegoś sprawunku w Paryżu.

Ten stryj Albin ma rzeczywiście fenomenalną głowę. Oczywiście najściślej zastosowałam się do jego wskazówek. Zdążyłam jeszcze na czas do domu przed Jackiem. Neseser i walizka były już spakowane. W chwili kiedy przyszedł, zadzwonił telefon. Podniosłam słuchawkę i usłyszałam nieznanego kobiecy głos. Serce zabiło mi mocniej.

— Czy mogę mówić z panem Renowickim?

Nie wiedziałam dlaczego, ale byłam przekonana, że to ona. Do Jacka telefonuje moc osób, ale tym razem głowę dałabym, że to ona. Zapytałam:

— A kto prosi?

I w tej chwili Jacek najniespodziewaniej w sposób niemal brutalny wyrwał mi słuchawkę mówiąc:

— Pozwól, to do mnie.

Wysłałam do sąsiedniego pokoju, lecz zostawiłam drzwi uchylone i dokładnie słyszałam, co mówił. Niestety, był bardzo ostrożny. Poza słowami „tak” i „nie” nie powiedział nic. Rozmowa zresztą trwała zaledwie jedną czy dwie minuty. Podszedł do mnie z najspokojniejszą w świecie miną i wyjaśnił:

— To dzwoniła sekretarka Laskowskiego.

Oczywiście kłamał. Bezczelnie kłamał. Jakże mi ciężko było nie powiedzieć mu tego w oczy. Musiał jednak i tak zauważyć, że mu nie wierzę. Zapewne dlatego żegnał się ze mną bardzo czule i powiedział, że będzie tęsknił za mną. Ile może być obłudy w mężczyźnie!

Gdy tylko auto ruszyło sprzed domu, ubrałam się natychmiast i wybiegłam do taksówki. Nie wolno mi było stracić ani jednej chwili. Gdy taksówka zatrzymała się przed dworcem, niemal pędem przebiegłam salę, kupiłam bilet peronowy i na szczęście dopędziłam go. Szedł wzdłuż pociągu za tragarzem niosącym walizki. Obserwowałam go uważnie i widziałam, że najwyraźniej kogoś szukał, za kimś się rozglądał. Nagle odwrócił się i dostrzegł mnie.

Musiałam zachować się trochę nieprzytomnie i widocznie zbyt mętnie tłumaczyłam mu, o jakie pończochy mi chodzi, gdyż patrzył na mnie, nie ukrywając zdziwienia. Potem jakby nigdy nic zapisał w notesie te moje nieszczęsne pończochy i nie przestawał się rozglądać. Nie wytrzymałam.

— Czy szukasz kogoś? — zapytałam.

— Tak — skinął głową. — Jedź ze mną pan Melchior Wańkowicz<sup>13</sup> i boję się, by się nie spóźnił. Mamy wspólny przedział slipingu.

I o dziwo, okazało się, że mówił prawdę. Przed samym odejściem pociągu istotnie zjawił się pan Melchior trochę zasapany z pośpiechu, lecz jak zawsze szarmancki. Zasypał mnie komplementami. Z tym wszystkim musiałam mieć głupią minę.

<sup>13</sup> *Wańkowicz, Melchior* (1892–1974) — pisarz, dziennikarz, reportażysta i publicysta polski; w międzywojniu znany jako autor tomów reportaży i wspomnień *W kościołach Meksyku*, *Szczeniące lata*, *Opierzona rewolucja*; do przewrotu majowego w 1926 r. pracował w administracji państwowej (jako kierownik Wydziału Prasowego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, potem naczelnik Wydziału Prasowego i Widowiskowego tamże), potem został współzałożycielem i współwłaścicielem Towarzystwa Wydawniczego „Rój”, które opublikowało m.in. powieść *Kariera Nikodema Dyzmy* Tadeusza Dołęgi-Mostowicza. [przypis edytorski]

Przeszłam przez wszystkie wagony i nie zobaczyłam ani jednej kobiety, która mogłaby wchodzić w rachubę. Nie. Jacek wyjeżdżał bez niej. Wróciłam do domu znacznie uspokojona. Koło dziesiątej zdałam telefonicznie relację stryjowi Albinowi i dowiedziałam się od niego, że już zaczął swoje poszukiwania.

Był to ogromnie denerwujący dzień.

Czwartek

Toto jest kretynem. Wyobraża sobie, że cały świat się koło niego kręci. Moje zdenerwowanie tłumaczy sobie tym, że widziano go wczoraj w „Colombinie” z Muszką Zdrojewską. Ja miałabym być zazdrosna o taką Muszkę! A ten idiota przeprosza mnie i przysięga, że nic go z nią nie łączy. Ależ proszę bardzo. Niech ma sto Muszek i z każdą pięcioraczką kanadyjskie. Powiedziałam mu to. Ja tu przeżywam wielką tragedię, a on z jakimiś Muszkami. Zresztą ona jest zezowata.

Byłam dziś z Totem i z Rysiem Platerem na śniadaniu w „Bristolu” i na kolacji w „Europie”. Toto naturalnie szczęśliwy. On życia nie rozumie bez knajp.

Śmiać mi się chciało, gdyż jestem pewna, że mu się zdawało, że dlatego z nim poszłam, by odciągnąć go od Muszki. Nie znam zarozumialszego człowieka od niego. Rozglądałam się bardzo uważnie. Jeżeli ona mieszka w hotelu, na pewno też jada w restauracji hotelowej. Było rzeczywiście i tu, i tam sporo młodych i niebrzydkich kobiet.

Teraz dopiero zrozumiałam, jak wielkie piętrzą przede mną trudności. Zwątpiłam nawet, czy pomoc stryja coś wskóra, chociaż miałam możliwość stwierdzić, że stryj nie próżnuje. Widziałam go mianowicie w hallu hotelowym. Siedział, udając, że czyta gazetę. Na szczęście nie uklonił mi się. Spodziewam się, że jutro do mnie wstąpi. Daj Boże, by z jakimiś rezultatami.

Piątek

Tęgo mi tylko brakowało. Nie dość mam własnych nieszczęść, jeszcze ta Halszka Kornilowska! I jak można tak głupio wpaść! Przyszła do mnie rozdygotana i podniecona, kiedy jeszcze siedziałam w wannie. Od razu domyśliłam się, że ma jakieś niezwykle zdarzenia romantyczne, i zapytałam:

— Zerwałaś z Pawłem?

— Ach, cóż znowu, moja złota. Przecież wiesz, że go kocham do szaleństwa. No i nigdy, nigdy go nie zdradzałam. Ale wiesz, latem w Krynicy... No, ja sama nie wiem, jak się to stało... Po prostu jakaś chwila słabości... Wiesz, że ty naprawdę jesteś prześlicznie zbudowana. To te masaże. Ja dosłownie nie mam czasu na masaż i Karol wścieka się na mnie, że musi opłacać masażystkę, która co dzień odchodzi nic nie robiąc. Im bardziej się starzeje, tym staje się skąpszy. Ale nie o tym chciałam mówić. Więc w Krynicy poznałam pewnego młodego człowieka. No wiesz, sezonowa przygoda bez znaczenia. Zresztą nie wiedziałam, kto to jest. Wiesz, prezentował się bardzo dobrze. Świetnie ubrany, bardzo męski, typ sportowca. Znakomicie tańczył. Słowem, bez zarzutu. Czyż mogłam przewidzieć, że to jakiś niebieski ptak.

— Niebieski ptak?

— Okropnie!

— Jakiś fordanser<sup>14</sup>?

— Nie, nawet nie to. Ale co mnie to obchodzi. Wiesz, jak kocham Pawła. A ten mnie zmusza do zdrady. Jestem w straszliwym położeniu. Wpadłam w jego szpony. Grozi mi, że wszystko powie mężowi i Pawłowi.

— No, tak. To rzeczywiście nieprzyjemne — zauważyłam. — A czy nie żąda od ciebie pieniędzy?

— Ach, cóż tam pieniądze. Sto razy wolałabym mu zapłacić, ale on zakochał się we mnie do szaleństwa. Ty nie masz pojęcia, jaki on jest drapieżny i bezwzględny. A najgorsze to to, że Paweł zaczyna mnie śledzić. Jestem w okropnym położeniu. Wzruszyłam ramionami.

— Nie rozumiem cię, moja droga. Chociażby coś naopowiadał twemu mężowi czy Pawłowi, to i tak przecież możesz się zaprzeć wszystkiego w żywe oczy.

<sup>14</sup>fordanser — płatny partner do tańca pracujący w lokalach rozrywkowych, restauracjach hoteli w miejscowościach uzdrowiskowych itp. [przypis edytorski]

— Niestety nie — westchnęła Halszka — bo popełniłam straszną nieostrożność. Ma moje listy. Ach, gdyby ich nie miał, gdyby mi się udało wydobyć je jakimś podstępem, byłabym wolna. Ale on mnie właśnie szantażuje tymi listami. Jestem w rozpaczy.

— Współczuję ci serdecznie — powiedziała szczerze, pomyślawszy o tym, że jesteście obie w bardzo zbliżonych sytuacjach. Moja jest oczywiście znacznie gorsza. Ach, gdybym mogła jej to opowiedzieć. Zobaczyłaby dopiero, co to znaczy przeżywać naprawdę dramat. Podczas gdy ubierałam się, Halszka zaczęła mnie prosić:

— Moja kochana, poradź mi, co ja mam zrobić. To jest straszne. Życ w ciągłym niepokoju wśród trzech zakochanych do nieprzytomności mężczyzn. Ja nawet nie wiem, co oni we mnie takiego nadzwyczajnego widzą. Jestem taka jak każda inna. Trochę tej urody...

— Jesteś bardzo ładna — powiedziała, chociaż nie cierpię, by ktoś w tak natarczywy sposób dopominał się o komplementy. Miałam wielką ochotę dodać, że ci trzej panowie widocznie mają szczególniejsze upodobanie do krzywych nóg. Naprawdę. Halszka ma z lekka krzywawe nogi, ale obraziłaby się śmiertelnie, gdyby jej to powiedzieć.

— Jesteś przecież moją przyjaciółką i dlatego znajduję tyle łaski w twoich oczach. Zbrzydłam w ostatnich czasach. Cera mi się psuje. Pani Adolfina stosuje przestarzałe metody kosmetyczne. W końcu przeniosę się do tej twojej. Czy ona jest bardzo droga?

— Dość droga, ale za to ma się pewność, że nie ma w Warszawie lepszej kosmetyczki. A czy nie próbowałaś mu wykraść tych listów?

— To jest beznadziejne. On je trzyma pod kluczem.

— A czy pamiętasz ich treść? Może tam nie ma nic kompromitującego?

— Niestety. Wystarczyłyby Karolowi jako powód do rozwodu. Może i nie rozwiódłby się ze mną, bo jestem przekonana, że nie potrafiłby żyć beze mnie. Ale nie mogę dopuścić, by dostały się do jego rąk.

Spojrzałam na nią ze zdziwieniem. Czyżby naprawdę nie wiedziała o tym, co jest tajemnicą poliszynela, że ten jej cały Karol od lat kocha się w kim innym. Nie wie, czy tak świetnie udaje?

— W dodatku ten łotr mieszka na Poznańskiej, o trzy domy od Pawła. Możesz sobie wyobrazić, że drzę ze strachu, by się nie spotkali...

— To rzeczywiście straszne — przyznałam. — Ja na twoim miejscu chyba bym go zabiła... A czy nie próbowałaś poprosić kogoś, by się z nim rozmówił? Przecież twój brat jest oficerem. To człowiek odważny. Mógłby pójść do tego szantażysty...

— Ach, nie, nie. Nigdy w świecie nie odważyłabym się przyznać Władkowi. Czyż go nie znasz?! On by ze mną zerwał wszystkie stosunki. Jestem przekonana, że nigdy nie zdradził żony. To taki moralista. Daję ci słowo, że wołałabym już przyznać się Pawłowi.

Nagle wpadłam na świetny pomysł.

— Wiesz co, Halszko?! A gdybym ja z nim pomówiła?

— Z Pawłem?

— Nie, z tamtym. Przecież to nie może być łotr bez czci i wiary. Postaram się przemówić mu do sumienia.

— Nie, nie. To nie ma sensu — zaproponowała<sup>15</sup> Halszka. — To jest człowiek wyzuty z jakichkolwiek ludzkich uczuć. A zresztą mówię ci, że tak mnie kocha...

— Może by jednak zaryzykować. Ostatecznie nie połknie mnie. Mam nadzieję, że to nie jest żaden bandyta?

— Ależ nie. Na pozór jest nawet dobrze wychowany.

— A ja jestem przekonana, że mi się uda załatwić to dla ciebie. Wiesz, że umiem argumentować. Czy nie pamiętasz, jak przekonałam Lutę, by nie rozwodziła się z mężem? Dostałam wtedy od niego olbrzymi kosz storczyków. Tak. Nie ma o czym mówić. Pójdę do niego i zobaczysz, że wszystko przeprowadzę jak najlepiej. Zresztą mogę przecież użyć podstępu. Zapewnię go, że ty go również kochasz, lecz że nie możesz dłużej znosić tej męczarni, że nie możesz żyć pod ustawiczną groźbą. Rozumiesz? W ten sposób odzyskasz listy i swobodę.

Halszka zastanawiała się jeszcze, lecz w końcu się zgodziła. Podała mi jego nazwisko, telefon i adres. Okazało się, że nazywa się Robert Tonnor. Halszka przypuszczała, że może

<sup>15</sup>zaproponować — przeciwstawić się, zaprotestować. [przypis edytorski]

być cudzoziemcem, ale nie była tego pewna. Zaklina mnie, bym nie zdradziła się przed nim, broń Boże, że ona jego postępowanie nazywała szantażem.

— Zaciąłby się wówczas i jeszcze by się na mnie zemścił. To straszny człowiek. Na miły Bóg, bądź ostrożna!

Uspokoiliam ją w tym względzie. W gruncie rzeczy byłam bardzo zadowolona z tej misji. Bóg wie, co może mnie jeszcze czekać w moich sprawach, które przecie są znacznie poważniejsze. Przyda mi się pewne doświadczenie w podobnych kwestiach.

Okolo pierwszej miałam jechać do Goussin-Catley<sup>16</sup>, gdzie robią mi dwie balowe sukienki. Musiałam jednak miarę odłożyć, gdyż przyszedł stryj. Zaniedbuję się w najpoważniejszych rzeczach. Jeszcze mi ich na czas nie wykończą z powodu Jacka. Swoją drogą to straszne świństwo z jego strony. Wprost pojąć nie mogę, jak człowiek rozsądny jest w stanie popełnić bigamię. Nie tracę nadziei, że jakoś uda się to załatwić, ale niech on sobie nie myśli, że ja mu to kiedykolwiek przebaczę. Już będzie miał za swoje w każdym razie.

Stryj Albin dokazał cudów. Mianowicie miał całą długą listę wszystkich pań mieszkających w główniejszych hotelach, tych pań, których nazwiska lub imiona zaczynają się na B. Było tego ponad 40 sztuk. Niektóre z nich już obejrzał, korzystając z uprzejmości portierów lub chłopców hotelowych. Żadna z nich jednak nie wywołała podejrzeń.

— A czym stryj kierował się przy ocenianiu, czy nie jest to właśnie obchodząca nas kobieta?

— Brałam pod uwagę szereg szczegółów hipotetycznych. Więc przede wszystkim wiek. Skoro Jacek zaręczył się z tobą plus minus przed pięcioma laty, na pewno już wówczas był przekonany, że dawna żona nie będzie go szukała, że porzuciła go na zawsze. By utwierdzić się w tym przekonaniu, musiał wziąć pod uwagę czas od dwóch do trzech lat. Więc mamy minimum jakieś osiem lat. Zostać jego żoną mogła mając najmniej lat osiemnaście. Osiemnaście plus osiem i mamy cyfrę dwadzieścia sześć, czyli dolną granicę jej wieku. Musimy jednak ustalić i górną. Tu sprawa będzie trudniejsza. Przed ośmiu laty Jacek miał dwadzieścia cztery. Takim młodzieńcom często podobają się kobiety znacznie od nich starsze. Na przykład czterdziestoletnie. Ale mamy tu jedną wskazówkę, którą musimy wziąć pod uwagę. Otóż owa dama wkrótce po ślubie porzuciła Jacka. A sama się o tym przekonasz, gdy będziesz się starzała, że starzejąca się kobieta nie tak znów łatwo i nie tak chętnie porzuca mężczyznę w ogóle, a szczególnie mężczyznę znacznie od siebie młodszego.

— Stryj jest geniuszem — powiedziałam z przekonaniem.

— Nie jesteś pierwszą osobą tego zdania — potwierdził kiwnięciem głowy. — Jesteś drugą. Pierwszą byłam ja sam. Otóż uważaj. Biorąc to wszystko pod uwagę możemy przypuścić, że była to wówczas osoba w pełni rozkwitu i z wszystkimi szansami powodzenia. Nie mogła tedy liczyć więcej niż lat dwadzieścia osiem. Dwadzieścia osiem plus osiem daje nam trzydzieści sześć. Czyli poszukiwana przez nas „pani B.” jest w wieku od dwudziestu sześciu do trzydziestu sześciu lat. Teraz kwestia wyglądu. O ile się orientuję, Jacek ma ustalony gust. Podobają mu się wysokie blondynki o ciemnych oczach. Tu też mamy pewną wskazówkę. Poza tym możemy założyć, że „pani B.” nie jest osobą brzydką i raczej wytworną. Możemy też nadmienić, że nie jest pozbawiona ani taktu, ani dobrych manier.

— Z czego stryj to wnioskuje? — zdziwiłam się.

— No bo gdyby była wulgarną awanturką, nie zwróciłaby się teraz do Jacka, lecz do ciebie. Zrobiłaby ci jakąś scenę, najprawdopodobniej publiczną. Reasumując, mamy do czynienia z młodą, wytworną i dobrze wychowaną wysoką blondynką o ciemnych oczach. I takiej właśnie szukam.

— Stryj jest aniołem!

— Do pewnego stopnia — przyznał. — Widzisz, moja mała, aniołowie, jako duchy niebiańskie i pozbawione ciała, a natomiast obdarzone możliwością przenikania przez ściany, absolutnie nie potrzebują pieniędzy. W swojej pracy detektywnej, jeżeli już mają

<sup>16</sup>Goussin-Catley — jeden z najprzedniejszych domów mody i zakładów krawieckich w przedwojennej Warszawie, obok firm Myszkorowskiego, braci Jabłkowskich czy Hersego. [przypis edytorski]

się nią zajmować, nie muszą dawać napiwków ani przesiadywać w restauracjach hotelowych. Wszystko to kosztuje.

Zerwałam się z miejsca, by przynieść torebkę, lecz stryj zatrzymał mnie ruchem ręki.

— O nie, moja mała. Pomagam ci z dwóch powodów: po pierwsze dlatego, że mnie to bawi, po drugie dlatego, że chcę ci sprawić przyjemność. Żadnych pieniędzy od ciebie nie przyjmę. I nie wspominałbym o nich w ogóle, gdyby nie to, że w ostatnich czasach diabelnie mi karta nie idzie. Wszyscy grubszy partnerzy zamiast przychodzić na grę, wydają gotówkę gdzie indziej. Taki na przykład twój Toto. To człowiek, któremu przegranie kilkuset złotych nie robi żadnej różnicy. A między nami mówiąc gra jak noga. Otóż już od dwóch tygodni nie zajął ani razu do naszego klubiku.

Byłam zdumiona. Wiedziałam, że Toto prawie codziennie bywa w Klubie Myśliwskim. Ale znowu wydało mi się nieprawdopodobieństwem, by wpuszczano tam stryja Albina. Na wszelki wypadek zapytałam:

— Czy stryj myśli o Myśliwskim?

— Ach, cóż znowu — skrzywił się ironicznie. — Klub Myśliwski to jest przeszłość, która już dla mnie nigdy nie wróci. Mówię o takiej szulerni, która nosi szumne miano klubu i gdzie po cichu uprawiamy hazard.

— Mój stryju! Po co stryj tam chodzi?! — powiedziałam z wyrzutem.

— O, tam bywa sporo osób godnych szacunku. Wystarczy ci, jeżeli powiem, że nawet policja zagląda tam co parę dni. Co prawda, nie dla przyjemności zagrania w pokera lub bridża, ale przecież i robienie rewizji w lokalu też jest emocjonującą grą.

W milczeniu opuściłam głowę. Pomyśleć, jak nisko upadł ten świetny pan, który kiedyś uchodził za jednego z najwykwintniejszych bonvivantów, za wymarzoną partię, za dżentelmena pierwszej klasy...

Potwierdziło się to, co mówił ojciec: ten człowiek żyje z szulerki. A w każdym bądź razie jeżeli nawet nie oszukuje przy kartach, utrzymywanie się z nich nikomu nie przynosi chluby. Stryj poprawił monokl i oglądając swoje doskonale utrzymane paznokcie, ciągnął:

— Mogłabyś od niechcienia zapytać Tota, czy ostatnio nie grywa. To przypomniałoby mu klub. Albo na przykład dać mu jakiś banknocik i powiedzieć, żeś to znalazła na ulicy. Jeżelibyś do tego dodała prośbę, by spróbował szczęścia z tym banknotem... Więcej niczego od ciebie bym nie żądał.

Zrozumiałam. Chciał ode mnie, bym stała się jego współniczką i zajęła się zwabieniem Tota do szulerni, by tam go ograno. Było to w gruncie rzeczy obrzydliwe. Od razu straciłam cały sentyment do stryja. Stokroć wołałabym mu sama dać pieniądze i zaproponowałam to nawet z dużym naciskiem. Odmówił jednak stanowczo.

Przyszło mi na myśl, że ostatecznie dla Tota taka przegrana istotnie nic nie znaczyła. A dobrze byłoby, gdyby choć w taki sposób został ukarany za swą zarozumiałość. No i za tę głupią Muszkę. Jednak po dłuższym zastanowieniu doszłam do przekonania, że czułabym do siebie wstręt, gdybym wzięła udział w tej machinacji. Stryjowi powiedziałam oczywiście, że się zgadzam. Miałam już pomysł zaaranżowania tej sprawy w inny sposób.

Zaraz po wyjściu stryja zatelefonowałam do owego Tonnora. Przyznam się, że serce mi mocno biło, gdy czekałam, aż się odezwie. Nigdy nie dzwoniłam do nieznanomych mężczyzn tego typu. W tej chwili postanowiłam sobie, że zachowam wszystkie środki ostrożności. W domu zostawię list z jego adresem i z poleceniem, by mnie tam szukano, jeżeli nie wrócę do określonej godziny, a do torebki wezmę rewolwer Jacka.

W słuchawce odezwał się niski głos męski. Zapytałam, czy mówię z panem Robertem Tonnorem, a gdy potwierdził, powiedziałam:

— Proszę pana, nie podam panu swego nazwiska, bo nie ma ono dla pana żadnego znaczenia i pragnęłabym je zachować w tajemnicy. Ale muszę widzieć się z panem. Mam do pana interes, interes dość ważny, zapewniam pana, by poświęcił pan mu kilka chwil czasu. Czy mógłby mnie pan przyjąć, powiedzmy, jutro w godzinach rannych?

Był widocznie zaskoczony, gdyż odpowiedział:

— A czy ja mam przyjemność panią znać?

— Nie, proszę pana.

— Może z widzenia?...

— Nigdy pana nie widziałam.



— Więc jakiego rodzaju może pani mieć interes do mnie? Bo uprzedzam z góry, że jeżeli to ma być odkurzacz, krawaty czy patentowana maszynka do golenia, to wszystko już posiadam.

Omali nie zaśmiałam się i powiedziałam mu, że to nie ma nic wspólnego z pieniędzmi. Wówczas on zamyślił się i oświadczył, że jutro nie dysponuje czasem. Natomiast może mnie przyjąć dzisiaj o ósmej.

Nie miałam wyboru, ponieważ zaś chciałam sprawę tej biednej Halszki załatwić jak najprędzej — zgodziłam się.

Ubrałam się w czarną suknię i nie wzięłam żadnej biżuterii (po takim człowieku wszystkiego przecież można się spodziewać). Włożyłam tylko obrączkę i mały sznur pereł. Perły ostatnio wchodzi znów w modę. Napisałam list, znalazłam w szufladzie rewolwer Jacka, przeżegnałam się i wyszłam.

Bóg wie, co mnie może spotkać.

Sobota

Opowiem wszystko po porządku. Gdy wczoraj wchodziłam na schody jego domu, kolana trzęsły się pode mną. Na drzwiach nie było żadnej tabliczki. Przeżegnałam się i nacisnęłam guzik dzwonka. Aż przeraziłam się, gdyż drzwi niemal natychmiast się otworzyły. Przedemną stał wysoki, barczysty brunet o szarych przenikliwych oczach. Miał na sobie granatowe ubranie i czarny krawat. (Czyżby był w żałobie?) Wyglądał zupełnie przyzwoicie. Nawet przystojny.

Zmierzył mnie uważnym spojrzeniem i powiedział:

— Proszę. Czekalem na panią.

Głos miał niski i raczej przyjemny. I pomyśleć, że takiego człowieka można spotkać na ulicy czy w kawiarni, wcale nie wiedząc, że jest to niebezpieczny szantażysta.

— Nie zajmę panu więcej niż pięć minut czasu — powiedziałam, chcąc przejść dalej. Nie mogłam przecież zdejmować futra. On jednak z jakąś bezczelną stanowczością po prostu wziął mnie za kołnierz, mówiąc:

— Pani będzie łaskawa jednak zdjąć futro, bo u mnie jest gorąco i później się pani zaziębi.

Czyż miałam się z nim szamotać? Straszny człowiek. Mieszkanko było nieduże, ale zupełnie przyzwoicie urządzone. Wskazał mi fotel i usiadłszy naprzeciw, zapytał:

— Czym mogę pani służyć?

— Jestem przyjaciółką Halszki Kornilowskiej — zaczęłam niezbyt pewnie.

Z lekka podniósł brwi, mówiąc:

— Bardzo mi miło...

— Nie chcę, by pan mnie źle zrozumiał. Przyszłam do pana, by mu wyjaśnić pewne rzeczy.

— Wyjaśnić? Jakie rzeczy?

— To jest doprawdy bardzo intymne. Ale może pan być przekonany, że umiem zachować tajemnicę. Otóż, chociaż panu się wydaje, że Halszka stroni od pana, chcę go upewnić, że jest wprost przeciwnie. Ona wciąż pana kocha.

Postarałam się w te swoje słowa włożyć jak najwięcej głębokiego przekonania. On jednak zrobił jakąś dziwną minę i powiedział:

— Być może, proszę pani. Ale to nie jest dla mnie znów tak wielką rewelacją.

Pomyślałam, że swoją drogą nie brakuje mu bezczelności. Dlatego tylko, że jest taki przystojny i że ma ten chłodny wyraz oczu, sądzi, że kobiety muszą się w nim kochać, i uważa to za rzecz zwyczajną. Z przyjemnością rzuciłabym mu wprost w twarz, że Halszka go nienawidzi. Należało jednak dyplomatyzować.

— Tym lepiej, że pan o tym wie — zauważyłam. — Ja co do tego nie mam najmniejszej wątpliwości. Jestem jej bliską przyjaciółką. Ale widzi pan, są pewne szczegóły, które zatruwają waszą miłość. Przyzna pan, że groźba ustawicznego niebezpieczeństwa bynajmniej nie sprzyja szczęściu.

— O jakim niebezpieczeństwie pani mówi? — zapytał prawie ironicznie. — Nie należę do ludzi zbyt strachliwych.

— Ach, to nie o pana chodzi. Chodzi o Halszkę. Pan ma... pan jest w posiadaniu jej listów. Ja wiem, że przedstawiają dla pana cenną pamiątkę z okresu, gdy się rodziło

wasze uczucie. Któż tego nie rozumie?... Ja sama niechętnie bym się takich listów wyzbyła. Niechętnie bym się ich wyzbyła nawet wówczas, gdyby już samo uczucie zgasło. Przecież to tak miło jest mieć utrwalony na papierze dowód czyjegoś oddania, czyjeś serdeczne wyznania miłosne. Ale widzi pan, Halszka jest mężatką, jak to panu wiadomo. Otóż świadomość, że listy te w jakiś sposób mogą dostać się do rąk jej męża, napelnia ją przygnębieniem. Nie, niech pan mi nie przerywa. Wiem oczywiście, że pan tego by nigdy nie zrobił, ale przecież, mój Boże, ktoś może je panu wykraść. Może je pan zgubić. Może pana spotkać jakiś nieszczęśliwy wypadek. Trzeba się z tym liczyć. Wtedy listy dostaną się do rąk ludziom obcym i to może zrujnować życie kobiety, która pana kocha.

Uśmiechnął się i zapalając papierosa, wygodniej rozsiadł się w fotelu. Widziałam, że całe moje przemówienie nie wywarło na nim najmniejszego wrażenia. Czyżby miał tak kamienne serce?... Z zupełną swobodą zapytał:

— Jeżeli dobrze panią zrozumiałem, chodzi pani o to, bym zwrócił Halszce jej listy.

— Tak. I błagam pana, niech mi pan nie odmawia. Rozumiem to, że nie posiadam żadnego tytułu, by apelować do szczególniejszej uprzejmości ze strony pana — (tu zrobiłam doń najczulszą minę, na jaką było mnie stać — byłby z drewna, gdyby tego nie odczuł) — ale niech pan spełni moją prośbę.

Spojrzał na mnie spod w półprzymkniętych powiek i uśmiechnął się:

— Wprost przeciwnie. Uważam, że ma pani aż nadto wiele tytułów do szczególniejszych względów. Nie rozumiem tylko, dlaczego Halszka zwraca się o to przez panią. Nie robię jej bynajmniej z tego powodu zarzutów. Jest mi bardzo miło, że mogłam panią poznać. Ale dlaczego nie zwróciła się bezpośrednio do mnie?

— Ach, czyż pan nie wie, jaka ona jest wrażliwa. Może nawet trochę histeryczka — dodałam po namyśle.

— O, czyż trochę?

— No, tak. Ale pan musi zrozumieć, że w takich warunkach trudno jest o spokój nerwów.

— Na miły Bóg, w jakich warunkach?! — zmarszczył brwi jakby ze zniecierpliwieniem.

— No, wtedy, gdy w każdej chwili grozi nieszczęście.

— To jest zupełnie zabawne — powiedział. — Może pani zawiadomić swoją przyjaciółkę, że zwróć jej listy.

Nie wierzyłam własnym uszom, lecz już w następnej chwili przyszło mi na myśl, że to podstęp: obiecuje mi, że odda, a gdy tylko Halszka zwróci się doń o to, na pewno ją wyśmieje.

— Nie, proszę pana — odezwałam się z naciskiem. — Moja przyjaciółka prosiła mnie, bym ja te listy odebrała. Nic nie odpowiedział. Wstał, podszedł do biurka, przez chwilę szukał między wieloma papierami. Gdy odwrócił się, trzymał w ręku gruby plik listów.

— Służę pani — powiedział.

Byłam wręcz oszołomiona. Poza tym nie mogłam zrozumieć, dlaczego tych listów jest aż tyle. Pan Tonnor z ironicznym uśmiechem dodał:

— A poza tym chciałbym panią prosić, by pani skłoniła swoją przyjaciółkę do zaprzestania pisywania tych listów. Mam na ogół dużo zajęć i na ten rodzaj literatury brak mi czasu.

— Jak to?

— Więc niech pani przejrzy to. Nie brak tam niczego aż do opisów przyrody włącznie. Pani Halszka niepotrzebnie trudziła panią. Dlaczego to zrobiła, zupełnie nie rozumiem.

Wzięłam do ręki listy. Niewątpliwie był to charakter pisma Halszki. Czułam się tak, jakbym popełniła największy idiotyzm. Wprost nie umiałam znaleźć słów. Gdy tak stałam zażenowana, ten pan najniespodziewaniej w świecie, zanim mogłam się cofnąć, ujął rękami moją głowę i pocałował mnie w same usta.

— Jak pan śmiał?! — zawołałam i spojrzałam nań groźnie.

To bezczelny typ. Nie tylko się nie zmieszał, lecz powiedział z uśmiechem:

— Bardzo przepraszam panią. To było z mojej strony swego rodzaju nadużycie. Lecz muszę skonstatować, że nie mogę wzbudzić w sobie z tego powodu uczucia skruchy. Zresztą to wina pani.

Byłam najszczerzej oburzona.

— Pan jest... Pan jest... To niesłychane! Moja wina!...

— Tak — mówił najspokojniej w świecie. — Nie tylko wina, ale i prowokacja. Niechże pani sama osądzi. Pod jakimś błahym pretekstem przychodzi pani do młodego mężczyzny i w dodatku jest pani śliczna. Takich rzeczy bezkarnie się nie robi.

Wprost oniemiałam, a on mówił dalej:

— Byłoby wprost nieuprzejmie z mojej strony, gdybym udawał, że nie zrozumiałem pani intencji. I jeżeli za coś Halszce jestem wdzięczny, to za to, że właśnie panią do mnie skierowała.

Wprost nie posiadałam się z oburzenia. W pierwszej chwili chciałam natychmiast wyjść, lecz nie mogłam go przecież zostawić z przeświadczeniem, że jego podejrzenia są uzasadnione. Ja, ja! Miałabym się uciekać do takich sposobów, by poznać jeszcze jednego mężczyznę!

*Autorka pamiętnika, jak sądzę, myli się tu w ocenie swoich pobudek. Świadomym motorem jej działania, tym, co skłoniło ją do odwiedzenia p. Tonnora, oczywiście była chęć ratowania przyjaciółki. W jej podświadomości jednak na pewno istniało pragnienie poznania człowieka, a ściślej biorąc, mężczyzny z typu tzw. niebezpiecznych mężczyzn czy niebieskich ptaków. Nie robię p. Renowickiej bynajmniej z tego zarzutu i proszę ją, by niniejszego komentarza nie uważała za brak wiary w jej słowa. (Przypisek T. D. M.)*

Gdy spostrzegłam, że moje zapewnienia nie zdołały go przekonać, postanowiłam dokładnie powtórzyć mu moją rozmowę z Halszką. Wysłuchał mnie z dużym zainteresowaniem i, zdaje się, w końcu uwierzył. Śmiał się przy tym bardzo i upewniał mnie, że bynajmniej nie jest jakimś tajemniczym a podstępny poławiaczem serc, że Halszki bynajmniej nie kocha i że pojąć nie może motywów tej całej intrygi.

Przeprosił też mnie za swoje posądzenia, a przeproszał tak miło, że stopniowo przestałam się nań gniewać. Dowiedziałam się od niego kilku rzeczy, przy pomocy których dał mi do zrozumienia, że to raczej Halszka go napastuje. (Swoją drogą z tej Halszki ohydny kłamczuch. Przypuszczam, że opowiedziała mi o tej sprawie tylko dlatego, by mi zaimponować. A może po prostu Paweł zrobił jej scenę zazdrości. Nie pojmuję, jak można interesować się takim Pawłem. Ale dla niej i on jest za dobry).

Później mówił o sobie. Okazało się, że nie jest żadnym hochsztaplerem<sup>17</sup>, lecz przedstawicielem kilku firm zagranicznych, że ma swoje biuro, że często wyjeżdża do Francji, Anglii i Niemiec, że ma własny samochód. Ta wariatka na pewno wiedziała o tym wszystkim i pojąć nie umiem, dlaczego zmyśliła o nim tyle głupstw. Okazał się przy tym bardzo dowcipnym i miłym causeurem<sup>18</sup>. Jedną tylko prawdę powiedziała o nim Halszka: ten człowiek jest naprawdę bezwzględny. Na przykład rozmawiając ze mną, kilka razy brał moją rękę i trzymał w swoich. Wprost niepodobieństwem było uwolnić się. Trzymał i nie puszczał. Zdawał się zupełnie nie zauważać tego, że usiłuję wyswobodzić rękę. Gawędziło się tak miło, że ani się spostrzegłam, gdy wybiła dziesiąta. Na szczęście on na to zwrócił uwagę, bo wstał i powiedział, że właśnie o dziesiątej ma jakąś sprawę do załatwienia. Podając mi futro, zapytał:

— Kiedy znowu panią zobaczę?

Oczywiście odpowiedziałam, że nigdy i że ma bardzo ładne mieszkanie. Wtedy on powiedział:

— Najczęściej koło szóstej jestem w domu. Będę czekał na pani telefon.

— Żegnam pana — skinęłam mu głową i wyszłam.

Na schodach minęła mnie wcale ładna pani. Nie zwróciłabym na nią uwagi, gdyby nie to, że była świetnie ubrana. Żakiet trois quarts z szynszyli i bardzo zgrabny czarny kapelusik z jaskrawoczerwonym piórem. Miała rude włosy (oczywiście farbowane) i swoją drobną sylwetką w ogóle przypominała Clarę Bow<sup>19</sup>.

<sup>17</sup>hochsztapler (z niem.) — oszust i aferzysta na wielką skalę. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>causeur a. kozer — osoba umiejąca interesująco i dowcipnie rozmawiać; gawędziarz. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>Bow, Clara (1905–1965) — właśc. Clara Gordon Bow; amer. aktorka, ikona kina niemego, symbol seksu kinematografii lat 20. XX w.; charakterystycznymi cechami jej urody były: burza krótkich, kręconych włosów, drobna postura i delikatne rysy twarzy. [przypis edytorski]

Nie omyliłam się: szła do niego. On musi być strasznym kobieciarzem. Najgorsze z tego wszystkiego to to, że zapomniałam zabrać listy Halszki.

Trudno, będę musiała jeszcze raz być u niego. Gotów Bóg wie co o mnie pomyśleć, ale nie mam na to sposobu.

Dziś w południe poszliśmy z Totem na pokaz nowych modeli futer. Jeden zwłaszcza płaszcz z nurków szalenie mi się podobał. Nawet zapytałam o cenę. Horrendalna: trzydzieści dwa tysiące. Wątpię, czy uda mi się ojca na to naciągnąć. Toto byłby szczęśliwy, gdyby mógł mi te nurki kupić, ale nie mogę od niego przyjmować takich prezentów.

Bardzo sprytnie załatwiłam z nim sprawę stryja Albina. Dochodzę do przekonania, że rzeczywiście nie brak mi inteligencji. Mianowicie dałam mu pięćset złotych i poprosiłam, by na mój rachunek zagrał w pokera, bo śniło mi się, że dużo dla mnie wygra. Poczciwy Toto nie domyślił się żadnego podstępu i zgodził się z entuzjazmem. Obiecał tegoż wieczora pójść do szulerni. Myślę, że stryjowi pięćset złotych wystarczy. Dzwonił koło trzeciej i zakomunikował mi, że żadnych konkretnych nowin nie ma. Zmartwiło mnie to szczerze. Pojutrze wraca Jacek i do tego czasu chciałabym już coś wiedzieć. Jakoś orientować się w sytuacji. Do Halszki nawet nie zatelefonowałam, tak jestem na nią oburzona. Zresztą wiedziałam, że spotkamy się wieczorem na obiedzie u państwa Gawrońskich. Ogromnie jestem ciekawa, jak są ze sobą Topniewscy po tej awanturze z wyjazdem Loli na wieś do Frania Radziwiłła. Żorz porządnie się wówczas ośmieszył i wszyscy mówili o rozwodzie.

Zastanawiałam się, co mam powiedzieć Halszce. Czy dać jej do zrozumienia, że teraz orientuję się świetnie w tym, że mnie okłamała? Na jej miejscu spaliłabym się ze wstydu. Jak ona mi w oczy spojrzy! Z drugiej strony nie mogę jej powiedzieć prawdy, bo to zepsułoby nasze stosunki, a wcale nie chcę z nią zrywać. W gruncie rzeczy lubię ją i wiem, że jest dla mnie życzliwa.

Na obiedzie było ponad dwadzieścia osób. Jedzenie dali jak zwykle wyśmienite i doskonałe wina. Siedziałam *vis à vis* Żorza. Robił wrażenie przygnębionego. Za to Lola z wielkim ożywieniem flirtowała z panem domu. Zauważyłam, że Halszka spoza słodkich uśmiechów zerknęła ku mnie wyraźnie zaniepokojona. Nędzna hipokrytka! I w dodatku ma nowy pierścionek z szafirem. Od kogo mogła to dostać?

Gdy tylko wstaliśmy od stołu i znalazłyśmy się przez chwilę na osobności, powiedziała szeptem:

— Nic mi nie mówisz. Umieram z ciekawości. Nie byłeś u niego?

Badawczo patrzyła mi w oczy, a ja zrobiłam dość obojętną minę.

— Owszem, byłam.

— I co? Mówże prędzej!

— Obiecał mi zwrócić twoje listy.

— I myślisz, że dotrzyma?

— Sądzę, że tak. Nie podzielałam tylko twego zdania co do gatunku tego pana. Nie wydaje mi się niebieskim ptakiem. Jest zupełnie kulturalny i zachowuje się jak dżentelmen.

W oczach Halszki błysnęło zaniepokojenie.

— Długość u niego była<sup>20</sup>?

— Kilka minut.

To ją jakby uspokoiło.

— O, moja droga. Dlatego nie podzielasz mego zdania. Gdybyś go poznała tak jak ja...

Wzruszyłam ramionami.

— O, zapewniam cię, że na tym mi nie zależy. Jest rzeczywiście przystojny, ale sama wiesz najlepiej, że jestem wierna Jackowi.

Powiedziałam to umyślnie z naciskiem, by ją podrażnić. Ostatecznie to, że pokazywałam się od dłuższego czasu w towarzystwie Tota, nie może być dowodem mojej niewierności. Toto głośno opowiada wszystkim, że się we mnie kocha, nie pomija żadnej okazji,

---

<sup>20</sup> *długość u niego była* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: długo u niej nie była. [przypis edytorski]

by powtórzyć to samemu Jackowi. Kiedyś namówiłam go, by prosił Halszkę o wstawienie u mnie. Powtórzył mi całą rozmowę. Zapewniał ją, że umrze z rozpacz, jeżeli nie zdobędzie moich względów. Halszka z początku nie chciała wierzyć, a później była wściekła. I do dziś dnia nie napomknęła mi o tej rozmowie ani słowem. Do dziś dnia dręczy ją również ciekawość, czy mnie z Totem coś łączy, czy nie. Dobrze jej tak.

— A w jaki sposób zwróci te listy?

— Bądź o nie spokojna — powiedziałam. — Sposób tu nie odgrywa roli. Mogę posłać do niego Józefa lub zwykłego posłańca.

Zrobiłam pauzę i dodałam:

— Ewentualnie wstąpię doń sama. Halszka uśmiechnęła się zjadliwie.

— Och, widzę, że twoja misja nie sprawiła ci przykrości...

— Wiesz dobrze, że dla ciebie gotowam<sup>21</sup> na największe. Ten pan wydawał się bardzo zmartwiony, ale ty jesteś pewno szczęśliwa, że go już nigdy nie zobaczysz?

— Dlaczego mam go nigdy nie zobaczyć? — zdziwiła się Halszka.

Ach, jakaż ona jest nieopanowana i naiwna. Gdybym nawet nie wiedziała tego, co usłyszałam od Tonnora, tymi kilku słowami rozwiałaby wszelkie moje wątpliwości.

— Jak to dlaczego? — powiedziałam. — Przecież to jasne. Zwróciwszy listy, nie będzie mógł zmuszać cię dłużej, byś doń przychodziła.

— Ach, oczywiście — połapała się Halszka. — Oczywiście. W każdym razie jestem ci bezgranicznie wdzięczna, Haneczko.

Rozmawialiśmy jeszcze chwilę o rzeczach obojętnych (*à propos*: pierścionek dostała od swojej babki). Potem wszyscy zasiedli do bridża. Nie przepadam już za tą grą tak jak dawniej i po trzech robrach oświadczyłam, że jestem zmęczona. Wyszliśmy razem z Wackiem Gebethnerem i odwiózł mnie do domu.

Ponieważ kazałam służbie jak najskrupulatniej zapisywać wszystkie telefony, przede wszystkim spojrzalam na kartkę: było kilka nieważnych, lecz między nimi słowa: *Dzwonili z hotelu „Bristol”*.

Pomimo późnej godziny musiałam obudzić Józefa. Dowiedziałam się od niego, że z „Bristolu” dzwonił portier i zapytywał, kiedy wraca pan Renowicki.

Nareszcie jakiś wyraźny ślad! Więc ona mieszka w „Bristolu”. Oczywiście portier z jej polecenia telefonował. No, teraz stryj Albin będzie miał znacznie ułatwione poszukiwania. Od razu zapowiedziałam, że jutro nie będę w domu ani na obiedzie, ani na kolacji. Muszę być w „Bristolu”.

Przyszło mi na myśl, że Jacek mógł wyjechać za granicę w związku z tą sprawą. Wkrótce musi się to wyjaśnić.

Niedziela

A to ładna historia! Rozbawiło mnie to bardzo, a jednocześnie zmartwiło. Czyż mogłam przewidzieć coś podobnego. Jeszcze przed dziesiątą zadzwonił Toto i zaproponował, byśmy pojechali na spacer do Jabłonny. Zgodziłam się chętnie. Mrozu prawie nie było, a pogoda cudna. Jego olbrzymi mercedes nosi jak kołyska.

Gdy usiadłam obok niego, wydobyl z kieszeni plik banknotów i podał mi z triumfującą miną.

— Co to jest? — zdziwiłam się.

— Wygrana — odpowiedział. — Miałas dobre przeczucie. Karta mi szła, jak umarlemu kadzidło. Obębniłem wszystkich. Nawet tego twego marnotrawnego stryjaszka. Odtąd nie siądę do gry bez wzięcia od ciebie jakiejś kwoty na szczęście.

— Toto! Serio wygrałeś? — nie wierzyłam własnym oczom.

— Słowo ci daję — zaśmiał się. — Przeszło trzy tysiące.

Nie chciałam przyjąć. Tłumaczyłam mu, że nie mam do tych pieniędzy żadnego prawa, bo to on wygrał. Wreszcie chciałam, by się ze mną podzielił, lecz zrobił obrażoną minę i oburzył się:

— Grałem twoimi pieniędzmi, grałem dla ciebie i na twoje szczęście. Wygrana należy do ciebie. Jeżeli tego nie weźmiesz, wyrzucę przez okno.

Cóż miałam począć. Ostatecznie taka kwota piechotą nie chodzi. Kupię dla Tota jakiś drobiazg i wszystko będzie w porządku. Ale co zrobić ze stryjem Albinem? Przecie on

<sup>21</sup>gotowam — forma skrócona od: gotowa jestem. [przypis edytorski]

rzeczywiście, chcąc śledzić tę kobietę, musi mieć ekstra wydatki. Nie mówiąc już o napiwkach, samo przesiadywanie w restauracjach sporo kosztuje.

Po namyśle zapytałam Tota:

— Czy ten pan Albin Niementowski dużo przegrał? — (Na życzenie ojca wszyscy w rodzinie, ilekroć nie mogli uniknąć wzmianki o stryju, musieli go koniecznie nazywać „tym panem Niementowskim” dla podkreślenia, że nic nas z nim nie łączy).

— Nie wiem, nie uważałem, sądzę, że niewiele, jakieś kilkaset złotych. On się nigdy nie hazarduje, a gra znakomicie. I wiesz co? Teraz już nie wierzę tym plotkom, które o nim krążą. Gdyby był szulerem, nie przegrałby przecie. Ludzie zbyt łatwo oczerniają tych wszystkich, którym się kiedyś noga powinęła.

Bardzo mi się podoba u Tota ta jego wyrozumiałość. Tym bardziej teraz byłam mu za nią wdzięczna, bo nie ukrywam tego, że lubię stryja. Niestety, wiedziałam aż nazbyt dobrze, że Toto myli się. Mama mi mówiła, że kiedyś nawet przyłapano stryja w jakimś kasynie czy klubie. Podczas rozdawania kart od niechcenia kładł przed sobą złotą papierosnicę, a ta była tak wypolerowana, że widział w niej jak w lustrze wszystkie karty. Wynikł wtedy skandal i stryja omal drugi raz nie wsadzono do więzienia. Skończyło się na tym, że musiał zwrócić wszystkie wygrane pieniądze i że zabroniono mu wstępu do kasyna. Było to co prawda gdzieś za granicą, ale trudno ludzić się, że w kraju robi coś innego. Nie mogę sobie wytłumaczyć, dlaczego wczoraj przegrał.

*Pani Renowicka myli się sądząc, że szulerom nieodmiennie muszą sprzyjać karty. Dość często się zdarza, że z różnych względów nie udają się im różne machinacje. Errare humanum est<sup>22</sup>. (Przypisek T. D. M.)*

Po spacerze musiałam wobec tego wrócić do domu i zrezygnować z kawiarni, na którą namawiał mnie Toto. Przewidywałam, że stryj Albin zatelefonuje, i nie omyliłam się. Poprosiłam go od razu, by natychmiast przyszedł.

Zjawił się po kwadransie i miał bardzo kwaśną minę.

— Na pewno już mówił ci twój cicisbej<sup>23</sup> — odezwał się, witając się ze mną — na pewno ci mówił, że wczoraj zgrałem się do nitki?

— Owszem, wspominał, że nie szła stryjowi karta.

— Prześladowuje mnie ostatnio pech. Przyznam ci się, że jestem prawie bez grosza.

Postanowiłam zmusić go, by przyjął ode mnie pieniądze. Oczywiście nie mogłam mu się przyznać, że jego przegrana znajduje się w mojej torebce, ale zaproponowałam mu pożyczkę.

— Przecie pożyczkę stryj może przyjąć bez złamania swoich zasad. Nie zrobi mi ona najmniejszej różnicy.

— Nie, nie — upierał się — od kobiety pieniędzy nie przyjmuję. Zresztą można pożyczyc tylko wtedy, gdy się ma pewność, że się będzie miało z czego oddać.

— Ach, stryju — perswadowałam. — Skądże ten pesymizm! Zwykle przecie stryj wygrywa. A dla mnie ta rzecz wcale nie jest pilna. Może mi stryj oddać za rok, za dwa, kiedy stryj będzie miał. Przez ten upór nasze śledztwo się opóźni. A poza tym, czy to ładnie ze strony stryja: ja nie zawahałam się ani chwili, gdy prosiłam stryja o pomoc, a ode mnie stryj nie chce przyjąć takiej drobnej usługi jak pożyczka.

Wreszcie dał się przekonać. Wręczyłam mu tysiąc złotych, a on wypisał mi najnormalniejsze pokwitowanie, chociaż usiłowałam odwieść go od tego. I ci mężczyźni ośmielają się pokpiwać z kobiecej logiki! Uważa za hańbę pożyczanie od kobiet, ale uwieść którą lub oszukać ją w grze, to dla niego rzecz nienastręczająca żadnych obiekcji etycznych. Dziwne stworzenia.

Teraz dopiero poinformowałam stryja o swoim odkryciu, o tym, że ona mieszka w „Bristolu”. Ku memu zmartwieniu nie uważał tego za pewnik.

— Wcale nie wiadomo — pokręcił głową. — Przecie portier mógł równie dobrze dzwonić z polecenia kogoś ze znajomych Jacka. Wielu waszych znajomych zatrzymuje się w tym hotelu. Mógł to być ktoś z dyplomacji albo jacyś krewni ze wsi.

— Ale mogła być również i ona.

<sup>22</sup>*errare humanum est* (łac.) — błędzenie jest rzeczą ludzką. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>*cicisbej* (wł. *cicisbeo, cavaliere servente*) — przyjaciel domu adorujący panią domu. [przypis edytorski]

— Zapewne. Toteż nie ominę, ma się rozumieć, tego śladu, jak nie pomijam żadnego. Wprost stąd jadę, by wypytać portiera. Musisz mi jednak podać dokładną godzinę tego telefonu. Portierzy zmieniają się, mają swoje dyżury. Ich pomocnicy również.

— Zaraz zapytam Józefa — powiedziałam i omal nie nacisnęłam dzwonka. Na szczęście w porę przypomniałam sobie, że nikt ze służby nie powinien wiedzieć o wizytach stryja u mnie. Natychmiast doszłoby do ojca i miałabym okropną awanturę.

Poprosiłam stryja, by czekał, i poszłam wypytać Józefa. Niestety, nie pamiętał dokładnie, wiedział tylko, że było to koło dziesiątej.

Podczas gdy byłam w kredensie, stało się jednak to, co powinnam była przewidzieć: do salonu wpakowała się ciotka Magdalena. Zajrzała, powiedziała „przepraszam” i wyszła, ale na pewno zdążyła przyjrzeć się stryjowi. Wprawdzie nie zna go i nigdy go przedtem nie widziała, ale jest taką plotkarką, że nie omieszka zrobić z tego wielkiej historii. Żałuję teraz, że zgodziłam się, gdy Jacek mię prosił, by sprowadzić tę jego ciotunię ze wsi. Ostatecznie gospodarstwem i tak zajmuje się mało, a tyle przez nią różnych kwasów w domu.

Gdy tylko wyprawiłam stryja, już czekała na mnie w gabinecie. Trzeba było szybko wymyślić jakieś kłamstwo...

— Któż to był ten przystojny pan? — zapytała ciotka Magdalena.

— Ach, to nic ważnego — odpowiedziałam tonem jak najbardziej obojętnym. — Przyszedł w sprawie tego placu na Żoliborzu. Powiedziałam mu, że męża nie ma w Warszawie i że ja się w interesach nie orientuję.

Ciotka spojrzała na mnie podejrzliwie.

— Nie wyglądał na pośrednika. Raczej na kogoś z arystokracji.

Wzruszyłam ramionami.

— Moja ciotciu. Dziś wiele osób z towarzystwa zarobkuje w dziwny sposób. A jeżeli się przyzwoicie wygląda, to prawdopodobnie łatwiej jest zarobkować.

Chcąc zaś obrzydzić ciotce ten temat, dodałam:

— Szkoda, że mi ciocia nie powiedziała, że ten człowiek tak ciocię bardzo zainteresował. Byłabym go cioci przedstawiła.

— Trzymają się ciebie niewczesne żarty — mruknęła ciotka Magdalena i wyszła.

Ponieważ umówiłam się z Totem na trzecią, postanowiłam zrobić mu porządną kawal i zatelefonowałam do Muszki Zdrojewskiej. Na szczęście zastałam ją w domu. Byłyśmy dla siebie tak słodkie jak dwa kawałki cukru. (Zawsze mówiłam, że ona jest obłudna). Zaprosiłam ją na obiad do „Bristolu”, nie wspominając wcale o Toci i mówiąc, że będzie Dominik Mirski i może ktoś z jego przyjaciół. Oczywiście nie mogła mi odmówić. W pół godziny później zjechałam po nią samochodem. Wprost nacieszyć się nie mogłam jej wyglądem: miała fatalnie zrobione brwi i wprost niemożliwy kapelusz. Niechże Toto przyjrzy się nam jednocześnie. Więcej niczego nie pragnę.

Mirski i Toto czekali na nas w hallu, przy czym nastrój od razu stał się kwaśny. Mirski jest pedantem i irytował się z powodu naszego rzekomo półgodzinnego spóźnienia. Toto był zaskoczony zjawieniem się wraz ze mną Muszki. Robił takie miny, jak indyk przelykający galki. Na nic innego nie zasłużył.

Na sali był niemożliwy tłok. Gdyby nie zarezerwowany stolik Tota, musielibyśmy odejść z kwitkiem. Znajomych mnóstwo. Zwłaszcza ze wsi. W takim tłoku niepodobna było wypatrzeć osoby, dla której tu przyszłam. Zająłam się wobec tego Muszką, obsypując ją zachwykami tak przesadnymi, że trzeba być tak naiwną jak ona, by wszystko wziąć za dobrą monetę. Co parę zdań odwoływałam się do opinii Tota i on skręcał się niby korkociąg, a musiał przecież potwierdzać moje komplementy. Była to naprawdę świetna zabawa. Przerwała mi ją Danką, która najniespodziewaniej zjawiła się w „Bristolu”, i to w towarzystwie narzeczonego i jego siostry. Okazało się, że do tej „jaskini hulaków, próżniaków i marnotrawców”, gdzie nigdy nie postalaby ani jedna z czterech nóg tej zakochanej pary, przyszli na skutek klęski żywiołowej. Mianowicie Danką była zaproszona na obiad do matki Stanisława, lecz ich kucharka dostała nagle okropnego zapalenia okostnej. W tych warunkach nie chciała słyszeć o przyrządzaniu obiadu i matka Stanisława wysłała swoją trójkę do „Bristolu”.

Moje stosunki z Danką nigdy nie należały do najserdeczniejszych. Stanowczo nie mogłybyśmy uchodzić za wzór dla innych siostr. Nawet gdy byłyśmy obie małymi dziewczynkami, obie z jednakową niechęcią protestowałyśmy przeciw noszeniu jednakowych

sukienek. Chociaż dzieli nas różnica tylko dwóch lat (Danka jest młodsza, ale wszyscy twierdzą, że wygląda starzej ode mnie), zarówno temperamentami, jak i usposobieniem różnimy się od siebie diametralnie. Ona nigdy nie lubiła tańca, zabaw, podróży. Do teatru chodzi tylko na *Dziady*, na Wyspiańskiego, uważa za arcydzieło *Przepióreczkę* Żeromskiego i za szczególniejszą perłę w tym arcydziele Juliusza Osterwę. (Nie chcę być źle zrozumiana. Osobiście przepadam za panem Juliuszem, czego zresztą nigdy przed nim nie ukrywałam, ale na *Przepióreczce* byłam raz i nudziłam się potwornie). Danka wreszcie nie rozumie życia innego niż jakieś zebrania, wiece, stowarzyszenia, zjednoczenia i podobne okropieństwa. Wciąż dążyłaby ku... Wciąż pracowałaby nad rozwojem... Wciąż ujmowałaby w ramy organizacyjne...

Nie robię jej bynajmniej z tego zarzutu. Ostatecznie każdemu wolno robić to, co mu sprawia przyjemność. Po prostu nie pasujemy do siebie. Nie sądzę, by po założeniu ogniska domowego zapraszali mnie zbyt często do siebie. Ale wyobrażam sobie, jaką machiną tortur będzie ten ich dom dla mnie. Bo z tym Stasiem dobrali się w korcu maku. Moim zdaniem już sama jego aparycja jest irytująca. Wysoki, chudy, nordyk, o tak zwanej „płowej czuprynie” i wyniosłym czole. On nigdy nie mówi. Zawsze albo gromi, albo potępia, albo podnosi, albo się domaga, albo wskazuje. Robi takie wrażenie, jakby w każdej chwili był gotów wejść z podniesioną głową na stos i bez mrugnięcia powieką dać się spalić wraz z bagażem swoich przekonań. Przyznam się, że nic mu nie mam do zarzucenia. Jest bardzo przyzwoitym człowiekiem, podobno świetnie prowadzi swoją fabrykę i robi dużo dobrego ludziom. Co do jego kindersztuby<sup>24</sup>, też nie można mieć zastrzeżeń. To, że pochodzi z rodziny mieszczańskiej, dla mnie osobiście nie odgrywa żadnej roli. Tak samo jak nie imponują mi moje arystokratyczne pokrewieństwa przez mamę. Mówiąc krótko, Stanisław nie jest dla mnie atrakcyjny. A już taki Toto czuje się w jego obecności wręcz poskromiony.

Ponieważ nie mogli znaleźć wolnego stolika, musieliśmy ich zaprosić do swego. Jedyłą pociechą była Lula, zwana przez złośliwych „świętą Leonią” (imię naprawdę przygnębiające!). Znałam ją stosunkowo mało. Stanisław rzadko się z nią pokazywał. W każdym razie była bez wątpienia najmilszą z wszystkich starych panien, jakie udało mi się spotkać. Ogólnie wiadano, że w młodości przeżyła dramat, bo jej narzeczony zginął na froncie w 1920 roku i od tego czasu ani na dzień jeden nie zdjęła po nim żaloby. Co za anachronizm! Zupełnie historia żywcem wyjęta z czasów powstania styczniowego.

Lula swoim wyglądem przypominała postać kobiecą z *Polonii* Grottgera<sup>25</sup>. W obcowaniu jednak była ujmująca. Co za skarby subtelności muszą się kryć w tej kobiecie! Nigdy nie widziałam jej twarzy bez uśmiechu. Nigdy w jej oczach nie dostrzegłam złośliwości, nieżyczliwości lub chociażby krytyki. W rozmowie była uprzejma, tolerancyjna i dowcipna, tym cokolwiek staroświeckim rodzajem dowcipu, zanadto finezyjnym, okrągłym i bezosobistym. Pomimo opinii „świętej Leonii” nie unikała żadnych tematów, a przynajmniej nie gorszyła się nimi. Chociaż musiała już przekroczyć czterdziestkę, wprost biła od niej świeżość.

Nad rozmową od razu zdominował Stanisław, opowiadając o ostatnich zdarzeniach politycznych.

<sup>24</sup>kindersztuba — wychowanie, dobre maniery, obycie towarzyskie; umiejętność zachowania się wpajana w procesie wychowania od dziecka (stąd nazwa). [przypis edytorski]

<sup>25</sup>„Polonia” Grottgera — cykl dziewięciu czarno-białych rysunków autorstwa polskiego malarza i ilustratora okresu romantyzmu, Artura Grottgera (1837–1867), przedstawiających sceny z powstania styczniowego w Królestwie Polskim z 1863 r. (drugą część cyklu stanowi *Litwania*, zbiór prac powstałych w l. 1864–1866, poświęconych powstaniu na Litwie). Cykl *Polonia* składa się z dziewięciu prac: *Obraz symboliczny Polski*, *Branża*, *Kucie kos*, *Bitwa*, *Schronisko*, *Obrona dworu*, *Po odejściu wroga*, *Żałobne wieści*, *Na pobojowisku*. Wzmianka o postaci kobiecej z *Polonii* Grottgera może odnosić się do typu kobiecego występującego w kilku pracach cyklu (postać błąda, w żałobnej czerni, z załamanyimi rękoma) lub do otwierającego cykl rysunku z karty tytułowej, przedstawiający alegorię zniewolonej Polski. Jest to siedząca wśród ruin żałobna postać kobieca spowita w ciemną, zakrywającą ją całkowicie, wraz z twarzą szatę z kapturem; za jej plecami na murze wypisane jest ręcznie słowo „Polonia”, najwymowniejszą teść niesie ze sobą widok jej skrzyconych dramatycznie dłoni tkwiących w dybach (przy tym *Polonii* towarzyszą trzy nadzy młodzieńcy: jeden w czapce frygijskiej, stanowiącej symbol wolności i rewolucji, oswobodzający ją właśnie z kajdan oraz dwaj siedzący u jej stóp i spoglądający w dal, w przyszłość). [przypis edytorski]

Słowo, Idealista

Wierność



O ile polityka zagraniczna interesuje mnie przez wzgląd na Jacka, który często ze mną mówi o różnych zdarzeniach dyplomatycznych, o tyle na wewnętrznej się nie znam, Stanisław zaś po uszy w niej siedzi.

Korzystając z tego, że rozmowa przybrała charakter ogólny, zapytałam Dankę, co sły-chać w domu. Nie byłam u rodziców już prawie od tygodnia i poza kilku telefonami do mamy nie komunikowałam się z nimi. Danką oświadczyła mi (Danka nigdy nie mówi, lecz zawsze oświadcza), że ojciec czuł się urażony wyjazdem Jacka bez pożegnania. Po-za tym żadnych nowin. Ojciec prowadzi teraz jakiś olbrzymi proces o rewindykację dóbr skonfiskowanych w 63 roku i jest tym całkowicie zaabsorbowany. W przyszłym tygodniu wybiera się na wieś, gdzie ma być wielkie polowanie na wilki.

— Jeżeli chcesz ojca zobaczyć, musisz wpaść jutro do domu. Stanowczo bywasz w do-mu zbyt rzadko.

W jej spojrzeniu była nagana. Wiem dobrze, czego nie dopowiedziała. Chciała mi dać do zrozumienia, że bywam tylko wtedy, gdy skłania mnie do tego własny interes. Byłoby stratą czasu tłumaczyć jej, że jest inaczej. Że nie tęsknię za domem, bo po pierwsze, mam własny, a po drugie, nudzę się u nich. Bardzo szanuję ojca i bardzo kocham mamę. Zapewne, mama nie odznacza się błyskotliwym umysłem, ale to jeszcze nie powód, by, jak stryj Albin, uważać ją za zupełnie głupią.

Inna rzecz, że sprawy ją zajmujące mogą mnie nie interesować. Czasami też wpada w roztargnienie, z którego później rodzą się anegdotki o niej. Ludzie skorzy są do wy-śmiewania innych, ilekroć nadarzy się im ku temu sposobność. Nawet o ojcu przecież opowiadano, że odpowiadając na toast podczas swego jubileuszowego bankietu zaczął od słów: „Wysoki Sądzie”, a trudno wyobrazić sobie poważniejszego człowieka niż on. Czło-wieka nie tylko zupełnie pozbawionego śmiesznościami, ale wprost przytłaczającego swoim dostojeństwem.

Można to cenić, można szanować, ale wytrzymać z tym jest naprawdę trochę trudno. Atmosfery domowej miałam dość do zamażpójścia. I poza wszystkim innym w razie ka-tastrofального rozwiązania sprawy Jacka dreszczem mnie przejmuje myśl, że musiałabym wrócić do rodziców.

Dziś już chyba nie potrafiłabym żyć w tych warunkach.

Ani w Warszawie, ani w Hołdowie. W Hołdowie o tyle jeszcze jest lepiej, że ma się do czynienia albo z mamą, albo z ojcem. Bo albo mama wyjeżdża do Vichy, albo ojciec do Karlsbadu. Za to przyjeżdżają dość mili sąsiedzi. Są zawsze jakieś bridże, polowania i przynajmniej trochę swobody. Na Wiejskiej zaś wszystko się celebrytuje. Taka Danką wyrosła w tej atmosferze i czuje się w niej znakomicie. Dlaczego ja jestem inna? Nieraz się nad tym zastanawiałam.

Nie mam specjalnego pędu do zabaw i rozrywek. Raczej chodzi mi o ludzi. O inny typ ludzi. Zdaję sobie sprawę, że ci moi, obiektywnie rzecz biorąc, są może mniej wartościowi. Może ze społecznego i kulturalnego stanowiska wnoszą w życie mniej, ale są swobodniejsi, są weselsi i bez koturnów.

Ubiegłej wiosny poznałam na Riwierze tego znakomitego Edwarda Heriot<sup>26</sup>. Prze-cież to jest też człowiek bardzo poważny, kilka razy był premierem, przewodniczącym parlamentu, a nawet po kadencji prezydenta Lebrun<sup>27</sup> ma zająć jego miejsce. A jednak w towarzystwie nie mówi o rzeczach nudnych i potrafi być bardzo zabawny. Dlaczego u nas tacy panowie uważają za swój widocznie święty obowiązek obnosić się ze swoją powagą i przytłaczać nią wszystkich. Wyzbywają się jej tylko wtedy, gdy są sam na sam z kobietą, którą emablują. Mój Boże, jacyż bywają wtedy śmieszni. Przez sam kontrast. „Szaleję za panią”, „Całe życie mógłbym całować takie nóżki”. Dobrze jeszcze, jeżeli nie mówią „Słoneczko ty moje” albo „Zjadłbym cię z kosteczkami”. Gdy za chwilę ktoś wej-dzie do pokoju, taki pan chrząka i już jego twarz jest zakuta w marmurze.

<sup>26</sup> Heriot, Édouard (1872–1957) — fr. polityk partii radykalnej, premier Francji (1924–1925, 1926, 1932), mer Lyonu 1905–1957, z wyjątkiem lat 1942–45, gdy został karnie usunięty z urzędu przez Philippe’a Pétaina za niesubordynację wobec rządu Vichy. [przypis edytorski]

<sup>27</sup> Lebrun, Albert (1871–1950) — fr. polityk lewicowy, prezydent Francji w l. 1932–1940; jego następcą został Philippe Pétain, tworząc podporządkowany hitlerowskiej Rzeszy rząd Vichy (zaś na emigracji w Londynie za następcę Lebruna można uznać skonfliktowanego z Pétainem Charlesa de Gaulle’a, przywódcę Wolnej Francji). [przypis edytorski]

Dom, Córka

Pozycja społeczna, Polak,  
Obyczaje

Pękałam nieraz ze śmiechu, wyobrażając sobie ojca w takiej sytuacji. Nie wiem, czy ma teraz jakąś przyjaciółkę, ale nie chce mi się wierzyć, by przez całe życie był wierny mamie. Nie chce mi się wierzyć dlatego właśnie, że mama tak często i z takim zachwytem o tym mówi. Ta jego siwa bródka i rogowe okulary, i te ruchy profesjonalne. Jakby to wszystko wyglądało w przytulnym mieszkanku jakiejś Dziubutki! Może zresztą ma rację mama, że on jej nie zdradza. Nie znaczy to, by nie chciał, lecz człowiek przecież może być uniesiony prądem własnych przekonań w kierunku przeciwnym od własnych upodobań.

Swoją drogą wstąpię jutro do rodziców. Przy sposobności zajrzę do biblioteki i znajdę tam ten paragraf. Ciekawa jestem, jaka kara grozi za bigamię.

Sala zaczęła się przersedzać. Zobaczyłam teraz stryja Albina. Siedział z jakimś młodym człowiekiem o niezbyt zajmującej powierzchowności przy stoliku koło okna i coś pisał na kartce. Byłam przekonana, że to jest coś w związku z naszą sprawą.

Istotnie, gdyśmy wychodzili z hallu, boy wręczył mi złożoną kartkę. Zrobił to tak zręcznie, że na szczęście nikt nie zauważył. Udając, że szukam czegoś w torebce, przeczytałam ją. Zaledwie zdołałam ukryć wrazenie. Stryj Albin pisał:

Mam wiadomości. Osobą, która poleciła portierowi telefonować do Twojego domu, była miss Elisabeth Normann, Angielka, niewładająca żadnym innym językiem poza ojczystym. Przybyła do Warszawy dnia 22 grudnia ub. r. Turystka. Jedź do domu i czekaj na mój telefon.

Byłam rozczarowana. Albo portier informując stryja omylił się, albo zaszło tu jakieś nieporozumienie. Kobieta, która pisała do Jacka, znała doskonale język polski. To jedno. Secundo, podpisała się literą B., podczas gdy jej inicjały składają się z liter E. i N.

Oczywiście poprosiłam, by natychmiast mnie odwieźli do domu, chociaż początkowo zgodziłam się na zaproszenie Stanisława, by na kawę pojechać do jego matki. Przyjęłam to zaproszenie tylko dlatego, że Stanisław czuł się zobowiązany do rewanżu, ponieważ w „Bristolu” wszystko zapłacił Toto. Praktyczniej było zgodzić się na czarną kawę, niż narażać się na to, że przy swoim pedantyzmie Stanisław zaprosi nas kiedyś na obiad. W domu nie czekałam długo na telefon stryja. Powiedział mi wszystko dokładnie. Otóż nie ulegało żadnej wątpliwości, że o to, czy Jacek przyjechał, pytała owa panna Normann. Portier przypominał to sobie z całą dokładnością. Natomiast zdaniem stryja było rzeczą bardzo możliwą, że panna Normann nie ma nic wspólnego z interesującą nas kobietą. Mogła po prostu znać Jacka za granicą lub nawet spotkać go w Warszawie w jednej ambasad.

W każdym razie nie należało porzucać tego śladu i stryja obiecał, że najdalej w ciągu dwudziestu czterech godzin będzie wiedział z pewnością, kim jest panna Normann i jak wygląda.

Powiedziałam stryjowi:

— Przeczucie mi mówi, że jeżeli to nie ona, to w każdym razie w jakiś sposób jest z nią związana. Niech stryja, na miły Bóg, dobrze to sprawdzi. Bo ostatecznie taka szantażystka może udawać, że nie umie po polsku. Niech stryja wierzy w moje przeczucia.

Zaśmiał się.

— W każdym razie wezmę je pod uwagę, moja mała. To, co wiem o niej dotychczas, nie zdaje się jednak twoich przeczuciu potwierdzać. Zrobię wszystko...

Nasza rozmowa została nagle przerwana. Włączyła się stacja międzymiastowa i zapowiedziała Paryż.

Więc jednak pojechał do Paryża!

Po kilku „halo”, „halo” — usłyszałam Jacka. Zapytał najpierw, jak się czuję, później powiedział, że tęskni za mną i że przez cały czas był bardzo zajęty, zapowiedział, że ważne sprawy zatrzymają go jeszcze na dni kilka w Paryżu. Dotychczas jego telefon nie różnił się niczym od zwykłych. Ale zaraz później zapytał:

— Cóż tam u ciebie, Haneczko, nic nowego nie zaszło?

— Nic. A cóż by mogło zająć?

Zawahał się przez ułamek sekundy i odpowiedział:

— No, to w porządku. Bądź zdrowa, pamiętaj o mnie i nie myśl o mnie źle w żadnym wypadku.

To już było aż nazbyt wyraźne.

— Dlaczego miałabym o tobie myśleć źle?... I w jakim wypadku?...

Zmieszał się trochę. Jego głos zabrzmiał niepewnie:

— No może sędzisz, że ja tu sobie bawię się i dlatego odkładam powrót.

— Wcale tak nie sędzę — odpowiedziałam, skandując słowa.

To musiało go zastanowić, ale odezwał się swobodnie:

— Jesteś najcudowniejszą żoną na świecie. I wierz mi, pracuję jak koń od rana do wieczora. Do widzenia, kochana. I ukłony od wszystkich znajomych. Pa, pa.

— Do widzenia, Jacku. Dziękuję ci.

Położyłam słuchawkę i nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Więc jednak nie uciekł ode mnie! Więc jednak mnie kocha! Kto wie, może ta zwłoka w powrocie znajduje się w związku z tym jego skandalicznym małżeństwem?... W każdym razie rozmowa ta bardzo mnie uspokoiła. Zresztą opóźnienie przyjazdu Jacka było mi na rękę. Nie ze względu, broń Boże, na Tota, lecz na tę panią. Czy rzeczywiście intuicja mnie zawiedzie? Czy owa miss Elisabeth Normann jest jego pierwszą żoną?...

Sprawa różnicy jej inicjałów z podpisaną pod listem literą B. nie wydała mi się nagle czymś sprzecznym. Litera B. mogła powstać ze skrótu, ze zdrobnienia jej imienia: Bessy, Betsey, Beth, Bes lub Betty. Anglicy bardzo często w ten sposób zdrabiają swoje Elżbiety. Jak wygląda — to najważniejsze. Starsza jest ode mnie na pewno, ale czy jest dość ładna, by ze mną rywalizować? Należało bowiem brać pod uwagę, że istotne dla sprawy było nie tylko to, czy ona da się zlikwidować przez wpłacenie jej jakiejś większej sumy pieniędzy, lecz i to, czy Jacek nie zechce do niej wrócić. Z telefonu mogłam wywnioskować, że nie ma takiego zamiaru. Kto wie jednak, czy ta okropna kobieta nie potrafi wpłynąć na zmianę jego postanowień? Tak czy owak, myli się, jeżeli sądzi, że łatwo zrezygnuję ze swoich praw! W ostatecznej konieczności nie zawaham się nawet przed skandalem. Nawet przed wciągnięciem w to ojca.

Mój dobry nastrój zepsuła refleksja: gdy ona przed laty opuściła Jacka, Jacek musiał się w niej kochać lub przynajmniej działała nań tak silnie, że została w jego pamięci jako coś zdobytego i utraconego, a zatem tym bardziej pożądanego. Trudno przewidzieć, czy obecnie nie odżyje w nim to uczucie?

W rozmyślaniach tych przeszkadzała mi ciotka Magdalena, która usłyszawszy telefon międzynarodowy przyszła, by mnie zanudzić swymi pytaniami: A co Jacek robi? A co mówił? A kiedy wróci? Nie mogłam się jej pozbyć, a już było piętnaście po szóstej. O szóstej przecież miałam dzwonić do pana Tonnora. Wreszcie znalazłam sposób na wystraszenie jej. Przypomniałam sobie, że okropnie boi się objawów choroby morskiej i powiedziałam:

— Wie ciocia, że dziś na obiad musiałam zjeść coś niedobrego. Odczuwam takie mdłości...

Zrobiłam przy tym minę, ilustrującą moje zapewnienie aż nadto dobitnie. Przybladła z lekka i natychmiast wstała. Nie patrząc na mnie zawołała:

— Moja droga, więc zażyj czym prędzej jakieś lekarstwo! I może się połóż. Albo wyjdź na świeże powietrze... Wybacz, ale mam coś do załatwienia.

Gdy już była przy drzwiach, udałam czkawkę. Nie mogłam sobie odmówić tej przyjemności. Ciotka przyspieszyła kroku jak koń podcięty batem. Przy końcu jadalni już prawie kłusowała.

*Nie skreślając tego ustępu z pamiętnika p. Renowickiej, pragnę jednak wyraźnie zaznaczyć, że nie pochwalam bynajmniej takiego właśnie ustosunkowania się autorki do ciotki własnego męża. W ogóle straszenie ciotek przy pomocy symulowania nieprzyjemnych objawów fizjologicznych jest metodą od dawna zarzuconą i w większości wypadków, jak to nieraz miałem możliwość sprawdzić, nieskuteczną. Ciotka, jako taka, z natury swojej raczej skłonna jest do udzielenia pomocy osobom sobie bliskim w razie jakichkolwiek zaburzeń w ich organizmie niż do ucieczki. Czyni to — powiedziałabym — z dość znaczną nawet lubością. (Przypisek T. D. M.)*

Białam się, że go już nie zastanę. Jednak był w domu i od razu poznał mnie po głosie. Powiedział:

— Oczekiwałem pani telefonu.

— Niech pan nie sądzi — zaakcentowałam — że dzwoniłabym do pana, gdybym nie zapomniała u pana listów Halszki. Chodzi mi o nie i wyłącznie o nie.

— Oooo — odezwał się swoim przyjemnym barytonem. — Nigdy nie ośmieliłbym się przypuścić, że zechce pani o mnie pamiętać z jakichkolwiek innych powodów.

W jego tonie wyczuwała się pewność siebie i postanowiłam go skarcić.

— Ta skromność dobrze świadczy o pańskim poczuciu rzeczywistości. Ale to do rzeczy nie należy. Mam właśnie odrobinę czasu. Nie chciałabym posyłać nikogo ze służby, gdyż na niczyjej dyskrecji nie można polegać. Wolalabym to załatwić sama.

— I ja jestem tego samego zdania, proszę pani.

— Czy mogłabym do pana wstąpić teraz? To znaczy za jakieś pół godziny.

— Uprzejmie panią proszę.

Ubrałam się w tę moją śliczną granatową z nikłym białym deseniem sukienkę. Wprawdzie miałam ją już na sobie kilkanaście razy, ale to w danym wypadku nie odgrywało roli, gdyż on jej nie widział. Do tego o trzy tony jaśniejszy kapelusz, stylizowany według kepi zuawów, i popielice. Popielice mnie odmładzają. W brajtszwancach, w których byłam u niego za pierwszym razem, wyglądałam wprawdzie znacznie szczuplej, ale i poważniej. Uperfumowałam się „Voyage de nocés”. Mają dość ostry i drażniący zapach.

Znowu sam otworzył mi drzwi. Przywitał mnie jak dobry znajomy. Ci uwodziciele zawodowi umieją jednak obchodzić się z kobietami. W jego oczach widziałam, że zauważył każdy szczegół mego stroju i że wszystko mu się podobało. Od razu poczułam się pewniej. W pokoju, w którym byłam, tym razem panował nieład. Na tapczanie, na stolikach, na fotelach leżało wiele płyt gramofonowych.

— Przepraszam panią za nieporządek. Właśnie przed godziną otrzymałem nowe płyty z Londynu. I przegrywam je sobie. Zaraz to uprzątnę. Niektóre — znakomite. Lubi pani gramofon?

Nie miałam powodu zaprzeczyć.

— To dobrze, że mamy jednakowe upodobania. Niech pani posłucha tego.

Puścił rzeczywiście ładną płytę, której jeszcze nie znałam.

— To są ostatnie rzeczy — wyjaśniał, zbierając pozostałe i układając je na półkach przy gramofonie. — Są ludzie, którzy uważają, że do śpiewu najlepszym językiem jest włoski. Osobiście nie podzielam tego zdania. Każda melodia, każdy rodzaj faktury muzycznej wymaga innego języka. Niech pani sobie na przykład wyobrazi polskie kujawiaki śpiewane po niemiecku albo hiszpańskie bolera po angielsku. Prawda?... Czy to pani własność ten piękny mercedes, w którym panią dziś rano widziałem na modlińskiej szosie?

— Widział mnie pan?

— W przelocie. Obok pani siedział dżentelmen, któremu jednak nie zdążyłem się przyjrzeć. Żałuję bardzo. Poznałbym pani gust. Niestety, miałem zbyt wielką szybkość... I tak omal przez panią nie wpadłem na furmankę.

Zrobiłam obojętną minę.

— Jeżeli pan przygląda się wszystkim kobietom w mijanych samochodach, kiedyś spotka to pana na pewno.

— Widzę, że uważa mnie pani za donżuana?

— Za donżuana?... O, proszę pana. To już byłaby bardzo wysoka ranga w tej kategorii. Powiedzmy, za uwodziciela.

— Myli się pani. W ciągu mego niezbyt krótkiego życia poznałem wielu mężczyzn. Lecz nie widziałem jeszcze ani jednego uwodziciela. Byłbym dumny, gdybym mógł siebie uważać za wyjątek. Niechże mnie pani przynajmniej nauczysz, co trzeba robić, ty w tej kategorii zyskać chociaż tę najniższą rangę.

Pochylił się lekko do mnie i z uśmiechem w oczach przyglądał mi się w jakiś dziwny sposób. Przywołałam siebie do porządku i skierowałam rozmowę na bezpieczniejszy teren.

— Nie mam zdolności pedagogicznych. I zapewniam pana, że nie w tym celu zabieram panu czas. Przysłałam tu, by odebrać listy mojej przyjaciółki.

— Ach, prawda. Listy.

Wstał bez pośpiechu i wyszedł do sąsiedniego pokoju. Wrócił jednak nie z listami, lecz z butelką i z dwoma dużymi kieliszkami.

— Co do listów — zaczął — sprawa się nieco skomplikowała. Czy pozwoli pani filiżankę kawy?... Nie czekając na moją odpowiedź, nacisnął dzwonek.

— Bardzo dziękuję panu, ale ja się śpieszę.

— Brałem to pod uwagę i dlatego kawa już jest gotowa. Więc widzi pani, miałem najlepszą wolę oddać pani te listy. Niestety, zaszła okoliczność, która pokrzyżowała moje plany. Czy pani mówi po francusku?

Połąpałam się od razu, dlaczego zadał to pytanie. Gdzieś w głębi otworzyły się drzwi i po chwili weszła pokojówka z tacą. Byłam zaskoczona jej wyglądem. Stanowczo to jest nieprzyzwoitość, by kawaler trzymał u siebie taką pokojówkę. Zapewne nie była klasyczną pięknoscią (dziewczyny tego typu bardzo wczesnie brzydną), ale teraz wyglądała niesłychanie dodatnio. Drobna brunetka o zadartym nosku i ślicznej karnacji. Zachowywała się jak urodzona i wytrawna kokietka, chociaż nie mogła jeszcze mieć lat dwudziestu. Co gorsza, każdy jej ruch sprawiał wrażenie zupełnie naturalnego. Powinna być wydana jakaś ustawa zabraniająca kawalerom korzystania z kobiecej usługi, a zwłaszcza ze służących poniżej lat czterdziestu albo, jeszcze lepiej, pięćdziesięciu. Muszę o tym pomówić z ojcem i z senatorem Darnowskim. Najwięcej zrobić by tu mógł Stanisław, ale on jest takim idealistą, że w samym fakcie nie widziałby nic zdroźnego.

Ta mała małpka tak była pewna siebie, że nawet do mnie uśmiechała się, uważając mnie widocznie za niegroźną. Pan Tonnor zdawał się nie zwracać wcale na nią uwagi i mówił dalej po francusku:

— Bardzo polecam pani ten płyn. To jest naprawdę stary i dobry koniak, o jaki dziś już trudno nie tylko w Warszawie, lecz i w samym Paryżu. Dostałem go przypadkowo od jednego z przyjaciół.

Więc wracając do listów pani przyjaciółki, zdarzyło się coś nieprzewidzianego. Mianowicie ona sama dziś rano zechciała mnie odwiedzić i zażądała, bym jej te listy oddał. Nie może pani sobie wyobrazić, z jaką przykrością musiałem się zastosować do jej życzenia. Oczywiście nie ze względu na listy — dodał znacząco.

To, co powiedział, wprawiło mnie w takie zmieszanie, że nawet nie zauważyłam, kiedy wyszła ta rozpuszczona pokojówka. Nie wątpiłam, że mówi prawdę. Po Halszce wszystkiego można się spodziewać. Dlaczego mnie nie uprzedziła? Przecież naraziła mnie na okropnie fałszywą i przykrą sytuację. Ten pan gotów pomyśleć, że wiedziałam o odebraniu listów i przyszłam mimo to. Trzeba to było koniecznie jakoś wyjaśnić. Gdy zdołałam się skupić, powiedziałam:

— Ach, tak. Bardzo pana wobec tego przepraszam. Nic o tym nie wiedziałam. Halszka zresztą nie miała czasu mi o tym powiedzieć, bo dziś wcale nie byłam w domu. Jadłam obiad w „Bristolu”, a przedtem, jak pan wie, byłam na długim spacerze. Doprawdy nic o tym nie wiedziałam i bardzo pana przepraszam.

Sięgnęłam po rękawiczki i torebkę, lecz on zatrzymał mnie stanowczo.

— Niechże pani zaczeka. Wiem, że stało się to bez pani wiedzy. Mam nawet na to dość zabawny dowód.

— Ma pan dowód? — zapytałam uszczęśliwiona.

— Ależ naturalnie, Halszka zrobiła mi straszną awanturę. Ponieważ mam łagodne usposobienie i boję się awantur, omal nie wyskoczyłem oknem ze strachu. I niech pani sobie wyobrazi, że awantura była o panią.

— Jak to o mnie?!

— O, tak. Musiałem wysłuchać najbardziej gorzkich wyrzutów z powodu mojej niedyskrecji. Bo tak określiła Halszka moją gotowość zwrócenia jej listów w czyjeś obce ręce.

Mimo woli zacerwieniłam się.

— Nic nie rozumiem. Gotowa jestem panu przysiąc, że Halszka prosiła mnie, bym te listy od pana odebrała. Zapewniała mnie, że nie ma innego sposobu wydobywania ich od pana. Czy pan może mi uwierzyć?

Zaśmiał się swobodnie.

— Ależ wierzę pani, śliczna pani Hanko.

Znał moje imię! Może i nazwisko. Może ta idiotka wszystko wygadała! W ładnym jestem położeniu. Byłam tak wściekła na nią, że gotowa byłam z kolei o niej opowiedzieć wszystko. Niech pan Tonnor wie, że ona go uważała za szantażystę, że opowiadała o nim jako o okropnym typie spod ciemnej gwiazdy. Tylko swojej opanowanej naturze zawdzięczam to, że powstrzymałam się w ostatniej chwili.

— Skąd pan zna moje imię? — zapytałam.

— Pani przyjaciółka w ferworze wymieniła je. Ale niech się pani uspokoi. Nic więcej nie powiedziała.

Tu spojrział mi ciepło w oczy.

— Czy może pan mi dać na to słowo?

— Mogę pani dać dziesięć.

— Chcę panu wierzyć... — odetchnęłam. — Więc pan teraz rozumie, jak mi jest przykro. Zaofiarowałam się Halszce z pomocą, gdyż tego pragnęła. Tymczasem widzę, że się kochacie i że ja zupełnie niepotrzebnie wtrąciłam się w wasze sprawy.

Wstał i z bardzo poważnym wyrazem twarzy ujął moją rękę.

— Niech mi pani wierzy, że ten traf był jednym z najszczęśliwszych trafów w moim życiu. I jeżeli do Halszki zachowam nie miłość, której nigdy nie odczuwałem, lecz sympatię, to tylko dlatego, że mimo woli umożliwiła mi poznanie pani.

Patrzył mi prosto w oczy i mówił dalej:

— Nic nie wiem o pani. Zamieniłem z panią niewiele słów, ale i to wystarczyło, by się przekonać, że poznanie pani będzie ważkim przeżyciem dla mnie. Nie wiem, czy pani zechce podtrzymać naszą znajomość. Nie wiem, czy, zwłaszcza po tej groteskowej historii, nie będę w oczach pani uchodził za ośmieszonego. Nie wiem, czy jeszcze kiedyś panią zobaczę. Ale chociażby od tej chwili między nami wyrósł mur nie do przebycia i tak na długie, długie lata pozostanie pani w mojej pamięci.

Jego skupiony wyraz twarzy, oczy o poważnym i smutnym wyrazie, gorące dłonie i ten niski głos, nabrzmiały wewnętrzną treścią, potwierdzały, że mówi prawdę, że jest szczerzy, że rzeczywiście wrażenie, które na nim wywarłam, nie jest ani tuzinkowe, ani przemijające.

Wydał mi się nagle znacznie bliższy niż wielu innych ludzi, których znałam od lat. Mój Boże, jakie to dziwne! Przecie to jasne, że szłam do niego jako do obcego, raczej wrogiego człowieka, i nagle tych kilka zdań przezeń wypowiedzianych przeobraziło go tak bardzo.

Ach, teraz bardziej niż kiedykolwiek zrozumiałam, że wszystko, co mi Halszka o nim opowiadała, było kłamstwem. Ona musi być nim bardzo zajęta. W jego postępowaniu jest tyle godności i subtelności. A nic kabotynizmu<sup>28</sup>.

— Wcale nie zamierzam zrywać z panem znajomości — odpowiedziałam. — Znajomość tę uważam za zupełnie miłą.

Bez słowa podniósł moją rękę do ust i lekko, bardzo lekko dotknął jej wargami. Jeszcze przez chwilę mi się przyglądał jakby w zadumie, później uśmiechnął się i podał mi filiżankę kawy, przysuwając jednocześnie kieliszek z koniakiem.

— Halszka wprowadziła mnie w błąd — zaczęłam, lecz przerwał mi od razu.

— Nie mówmy już o niej. Dla mnie należy ona do przeszłości, a przeszłość nie powraca nigdy.

Wyciągnął ku mnie swój kieliszek i dodał:

— Wypijmy teraz na przyszłość... By była chociaż w drobnej części tak piękna, jak jej sobie życzę.

— Sobie? Pan jest egoistą.

— Nie w danym wypadku — zaprzeczył. — Cały sekret ukrywa się w tym, że w tym wypadku myślę o przyszłości dwojga.

Zaśmiał się tak szczerze i ładnie, że i ja nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Wtedy przysunął się do mnie i lekko, bardzo lekko, niby kładąc rękę na poręczu mego fotela, objął mnie. Nie mogłam oderwać wzroku od jego oczu.

*W tym miejscu uważam za stosowne przerwać opis p. Renowickiej, jako nieistotny dla całości pamiętnika. Zarówno mnie, jak i czytelnikowi wyda się rzeczą zupełnie normalną, że podczas tej dwugodzinnej wizyty p. Hanki u p. Roberta Tonnora zawiązały się między nimi tak zwane „nici przyjaźni”. Jestem przekonany jednocześnie, że nie zaszło tam wówczas nic, co by godzić mogło w dobre imię p. Renowickiej, jak również w nieskazitelną opinię dżentelmena, na jaką, jej własnym zdaniem, w pełni zasługiwał p. Robert Tonnor. Groźna i niepewna sytuacja, w której znajdowała się autorka pamiętnika wobec odkrycia pierwszego*

<sup>28</sup>kabotynizm (z fr.) — zachowanie obliczone na efekt; pozerstwo. [przypis edytorski]

*małżeństwa swego męża, czyni dla nas zrozumiałą jej głód prawdziwej przyjaźni i oparcia się o mocne męskie ramię.*

*Niejeden zapewne uczyniłby p. Hance zarzut, że zbyt lekko traktuje tragedię własnego domu rodzinnego, że zbyt rozprasza swoje zainteresowania na sprawy niemające bezpośredniego związku z nadciągającą burzą. Moim zdaniem niesusznie. P. Hanka miała zaledwie lat dwadzieścia trzy, naturę bogatą i chciwą nowych wrażeń. Powolne śledztwo, prowadzone przez jej stryjka, nie mogło wypełnić całkowicie czasu osobie tak żywej, tak impulsywnej i tak aktywnej. Jeżeli później się okaże, że w wyborze środków zaspokojenia swej aktywności popełnia jakieś błędy, nie zmienia to w niczym faktu, że błędy te na jej miejscu byłyby udziałem setek kobiet do niej podobnych.*

*Nie rzucając tedy kamieniami potępień, ograniczmy się do stwierdzenia, że owej niedzieli między p. Hanką Renowicką a p. Robertem Tonnorem zawarta została przyjaźń. Dowodem tego może być, że musieli uspaniałym koniakiem p. Tonnora wypić bruderszaft, gdyż od tego dnia p. Renowicka w swym pamiętniku nazywa go po prostu Robertem. (Przypisek T. D. M.)*

Powróciłam do domu oszołomiona tym wszystkim. Za dużo przy tym wypłam koniak. Jaki dziwny jest świat! Człowiek nigdy nie wie, co go czeka, co go spotkać może. Oby życie witało mnie zawsze takimi niespodziewankami. Robert jest cudowny!

Miałam jeszcze dwie godziny czasu i czym prędzej wzięłam swój kajet, by zanotować wszystko. By jak najmniej uronić z tego dnia. Kończę. Dzwoni telefon. Na pewno Toto z „Bristolu”. Że też zawsze muszę się wszędzie spóźniać.

Wtorek

Przez wczorajszy dzień nie miałam chwili czasu, by pióro wziąć do ręki. Teraz jest noc. Dokoła panuje zupełna cisza. Różowe światło lampy pada na papier, miękkim obiciem wybity buduar wydaje mi się jakąś cichą i bezpieczną przystanią, gdzie mi nic nie grozi. Zegar cichym cykaniem odlicza sekundy. Nareszcie mogę się skupić. Spojrzeć w zdarzenia ubiegłych godzin i we własną duszę.

Więc nareszcie ją zobaczyłam!

Tak. Bo teraz nie ma najmniejszej wątpliwości już, że to jest ona. Nazywa się Elisabeth Normann. W paszporcie figuruje jako obywatelka belgijska, lat dwudziestu sześciu. Wygląda jednak co najmniej na dwadzieścia osiem, a dałabym głowę, że ma trzydzieści. Trudno zaprzeczyć temu, że jest ładna. Co do jej wieku stryj Albin nie omylił się. Natomiast jego przewidywania co do jej wyglądu zostały skompromitowane. Nie jest blondynką, lecz rudawą szatynką. Nie ma oczu niebieskich, lecz zielone. Nie jest mojego wzrostu, lecz znacznie niższa i drobniejsza. Oto mamy dowód stałości męskiego gustu. Bóg wie, w jakich jeszcze kobietach durzyć się mógł Jacek. Teraz już w nic nie wierzę. Mogły być tam brunetki i rude, może nawet Chinki czy Murzynki. Po męczyźnie wszystkiego można się spodziewać.

W pierwszej chwili, gdy ją zobaczyłam, zdawało mi się, że jest tą, którą widziałam na schodach Roberta podczas pierwszej u niego bytności. Okazało się to jednak złudzeniem. Po pierwsze tamta była całkiem ruda, po drugie nieco wyższa, a po trzecie sam Robert, gdy go za pytałam, czy zna miss Elisabeth Normann, powiedział, że nigdy o takiej nawet nie słyszał. Był nawet szczerze zdziwiony, skąd wytrzasnęłam to nazwisko. Mam doń wiele zaufania i z prawdziwą ulgą opowiedziałabym mu wszystko. Jestem pewna, że tak dzielny człowiek jak on znalazłby wyjście z sytuacji. Potrafiłby coś doradzić, w jakiś sposób mi pomóc. Niestety, najsolennie obiecałam stryjowi nie zdradzić się przed nikim ani słówkiem. Zresztą skoro stryj uważa, że należy milczeć — musi mieć rację. Trzeba polegać na jego doświadczeniu.

Podziwiałam to jego doświadczenie. Dzięki niemu odkryliśmy to, cośmy zdołali odkryć. Ale opowiem wszystko po porządku.

Więc w niedzielę wieczorem, przechodząc z Totem i z jego kuzynem Łoboniewskim przez hall „Bristolu”, zobaczyłam stryja pogrążonego w lekturze jakiejś gazety. Był w smokingu. Notabene jest to jedyny człowiek, który w smokingu nie przypomina kelnera.

W trakcie kolacji poproszono mnie do telefonu. Oczywiście nie był to telefon, lecz stryj. Nie tracąc na próżno czasu, pokazał mi strzępek papieru listowego.

— Czy poznajesz to pismo? — zapytał.

Poznałam natychmiast. Było to jej pismo. Poznałabym je w piekle. Okazało się, że stryj dał gruby napiwek pokojówce sprzątającej numer p. Normann, by dostarczyła chociażby kawałek papieru z pismem Angielki. Na skrawku widniały słowa:... *nd I now in Wars...*

Prawdopodobnie był to urywek zdania: I jestem teraz w Warszawie. Zresztą papier był ten sam.

— A teraz — powiedział stryj — czy chcesz ją zobaczyć?

— Gdzie ona jest? — zaniepokoiłam się.

— Siedzi na sali. Mały stolik za drugim filarem. Jest sama, ubrana w ciemnozieloną suknię i w pelerynkę ze srebrnych lisów.

— Czy ładna? — zapytałam.

Stryj błysnął monoklem i powiedział:

— *First class.*

Zrobiło mi się przykro i pomyślałam, że stryj przesadza. On jednak dodał:

— Opamiętaj się, mała, i nie rób tylko do niej żadnych min. W ogóle postaraj się na nią jak najmniej zwracać uwagi. Możesz popsuć wszystko. Chodzi o to, by się nie spostrzegła, że się jej przyglądasz. Pomyśl: wystarczy jej zapytać kelnera o twoje nazwisko. Znają cię tu zbyt dobrze.

Najsolenniej obiecałam stryjowi powściągliwość. I najwyższej trzy lub może cztery razy podczas całej kolacji spojrzałam w jej stronę. Nie mogłam tego robić częściej, gdyż siedziałam do niej prawie tyłem. Natomiast Łoboniewski najwyraźniej do niej robił oko. Niedługo zresztą, gdyż natychmiast po zjedzeniu kolacji wyszła. Cóż mogę o niej powiedzieć? Jest dobrze zbudowana i zgrabna. Chodzi w ładny sposób. Ubrana jest pierwszorzędnie, chociaż model jej sukni raczej przypomina Wiedeń niż Paryż.

Toto przez całą kolację zanudzał mnie wypytywaniem, co mi jest i czy nie jestem chora. Ach, ci mężczyźni. Im nawet do głowy nie przyjdzie, że w duszy kobiecej mogą się przewalać całe światy przeżyć. Gdyby czytali Nałkowską, zrozumieliby, co się w nas dzieje. Nie mówię już o Tociu, który oprócz „Jeźdźca i Hodowcy” nie bierze do rąk drukowanego słowa. Ale że taki Jacek ziewa przy *Bogumile i Barbarze*, to jest doprawdy skandal. Powiadają o kobietach, że są zagadkami. Nie mogą nas zrozumieć, a gdy mają możliwość poznania nas przez literaturę kobiecą, wolą grać w bridża. Ciekawa jestem, co Robert o tym sądzi. Muszę kiedyś z nim na ten temat pomówić.

Nawet po powrocie do domu dzwoniłam do niego, lecz nikt nie odpowiadał. Co prawda była już godzina druga. Mógł spać i mieć wyłączony telefon. To nawet dobrze, że to robi. Te kobiety go na pewno zamęczają, telefonując o Bóg wie jakich godzinach.

Ponieważ od rana ciotka Magdalena dostała raży sprzątań; ze stryjem musiałam się umówić w cukierence na rogu. Mogę się tam z nim widywać bezpiecznie, gdyż nikt z towarzystwa do takich cukierenek nie zagląda. Stryj był zadowolony z siebie. Okazało się, że w nocy szła mu dobrze karta, a poza tym zebrał dalsze informacje o tej kobiecie.

Widział jej paszport na własne oczy. Wiedział, że bardzo rzadko wychodzi z hotelu, że nie wysyła, przez służbę przynajmniej, żadnych listów i że przybyła z Wiednia. (To i ja sama wiedziałam po tej jej sukni. Mój wzrok nigdy mnie nie zawodzi).

— I cóż zrobimy dalej? — zapytałam stryja.

— Nie będzie to rzeczą łatwą — zaczął — ale teraz należy pójść w dwóch kierunkach. Przede wszystkim trzeba zwrócić się do jakiejś belgijskiej wywiadowni czy też do biura detektywów, by dostarczono nam szczegółowych informacji o tej pani. Zaraz wytłumaczę ci, mała, dlaczego jest to ważne. Otóż miss Elisabeth Normann nie wydaje mi się osobą tuzinkową, zwyczajną, taką, jakich tysiące możemy spotkać.

— Dlaczego? — powiedziałam. — Czy dlatego, że ma na rudo zrobione włosy?

Uśmiechnął się i potrzęsął głową.



— Nie, kochanie. Nie dlatego. Zastanów się: czy normalna dziewczyna wkrótce po ślubie bez słowa wyjaśnienia porzuca swego męża? Czy normalna dziewczyna przez szereg lat nie daje o sobie znać, by później wrócić, odnaleźć męża wtedy, gdy on już szczęśliwie zawarł ponowne związki małżeńskie, i domagać się od niego, by odbudował pierwsze swe ognisko domowe? Nie, kochanie. Tak się nie zachowują zwykle panny. A czym się różnią zwykle od niezwykłych? Otóż tym, że niezwykle mają również niezwykle życie.

— Aha — domyśliłam się. — Stryj sądzi, że przez biuro detektywów dowiemy się o tej kobiecie rzeczy, które by ją kompromitowały.

— Tak — potwierdził. — A jeżeli nie kompromitowały, to w każdym razie, które by nam umożliwiły zaszachowanie jej ze swej strony. Musimy wziąć pod uwagę fakt, że nie wiemy, w jakim stadium pertraktacji znajduje się z nią Jacek i jak się do niej ustosunkowuje. O ile jednak mogłem sobie wyrobić o nim sąd, raczej skłonny jestem przypuszczać, że nic pozytywnego w tym kierunku nie zrobił. Zapewne ogranicza się do perswazji, które na nią mają tyle wpływu, ile groch na ścianę.

— I ja myślę tak samo.

— Właśnie. W tych warunkach oczywiście jego pozycja jest prawie beznadziejna. Natomiast jeżeli będziesz mu mogła dać do ręki jakieś środki walki, kto wie, czy rzecz nie przybierze zupełnie innego zabarwienia. To jedno. Drugi kierunek naszych poczynań jest nie mniej trudny. Mianowicie będę starał się osobiście poznać tę panią.

— Stryj?

— Tak, ja.

— Ale w jakim celu? By się z nią rozmówić?

— Ach, bynajmniej. By ją poznać. Każdy człowiek ma jakieś słabe strony. A zwłaszcza kobieta. Każdy człowiek może się z czymś wygadać, a zwłaszcza kobieta. Każdy człowiek ulega nastrojom, a zwłaszcza kobieta. Otóż wyzyskać to wszystko będzie moim zadaniem. Ponieważ zaś miss Elisabeth Normann nie robi wrażenia ani osoby brzydkiej, ani odpychającej, przypuszczam, że podejmując się tego zadania, nie narażam się na rzecz przykrą.

— No, dobrze. A w jaki sposób stryj ją pozna?

— Od razu powiedziałem ci, że to nie będzie rzeczą łatwą. Z zebranych dotychczas przeze mnie wiadomości wynika, że dama ta nie widuje się z nikim, nie telefonuje prawie wcale. Oczywiście są to informacje służby hotelowej. Oczywiście poza hotelem może mieć znajomych, z którymi się spotyka. Dla poznania jej będę się tedy musiał uciec do jakiegoś triku, do jakiejś sztuczki.

— Ma już stryj pomysł?

— Na razie mam ich za dużo i póki nie wpadnę na właściwy, nic w tym kierunku nie przedsięwzięm w obawie przed zepsuciem całej sprawy.

Następnie stryj wydobył z kieszeni kartkę, gdzie miał już zanotowanych kilka adresów biur wywiadowczych w Brukseli. Po krótkiej naradzie wybraliśmy jeden z nich, wzbudzający największe zaufanie. Stryj sam miał zająć się korespondencją z tym biurem.

Żegnając się jeszcze ostrzegłam go:

— Trzeba pamiętać, że ta kobieta na pewno zna moje panięńskie nazwisko. A w każdym razie nietrudno będzie jej się tego dowiedzieć. Otóż stryj nie może jej się przedstawić jako Niementowski, bo wówczas z miejsca nabrałaby podejrzeń.

Uspokoił mnie z ironicznym uśmiechem.

— Nie bój się. Gdybym wszystkim kobietom przedstawiał się swoim nazwiskiem, od dawna musiałbym założyć harem.

„Jaka szkoda — pomyślałam sobie — że nie znałam go wtedy, gdy był młody. Przed ośmiu laty był dla mnie uosobieniem pożeracza serc. Wszystkie moje koleżanki, które go znały, były tego samego zdania. Pisywały doń listy, usiłowały zdobyć jego fotografię i wystawiały pod jego willą. Niestety, dla biednej Lilki skończyło się to tak smutno. Ciekawa jestem, czy jej mąż wie o tym. Słyszałam, że się bardzo kochają. Muszę do niej kiedyś napisać”.

Po powrocie do domu zastałam bombę. Ledwie otworzyłam drzwi wejściowe, gdy do przedpokoju wbiegła ciotka Magdalena i piorunując mnie spojrzeniem powiedziała szeptem:

— Dobrze, żeś przyszła. Czeka tu ktoś na ciebie.

W pierwszej chwili przeraziłam się. Chociaż Robert jest taki opanowany i taki rozsądny, mogło mu nagle strzelić do głowy, by tu wstąpić. Wprawdzie nie powiedziałam mu swego nazwiska, ale zna mój numer telefonu. Przez biuro numerów nietrudno się dowiedzieć, do kogo należy. Prosiłam, by tego nie robił, i obiecał mi, a w jego obietnicę bezwzględnie wierzę. Lecz rozumiem również, że są takie chwile, w których mężczyzna nie może zapanować nad swoimi porywami. (Jest to nawet ładne). Mimo woli zaczerwieniłam się, lecz następne słowa ciotki rozwiały moje obawy. Ciotka mierząc mnie druzgoczącym spojrzeniem dodała:

— Przyszedł znowu pośrednik w sprawie placu.

Zdumiałam się. W żadnym wypadku nie mógł to być stryj. Zostawiłam go przecież w cukierni.

— Dziwnie się zmienił — syknęła ciotka. — Teraz wcale nie przypomina swojego poprzedniego wyglądu. A może jest to jakiś oszust-prestidigitator, który charakteryzuje się do każdej wizyty?

To powiedziawszy sapnęła i wyszła do jadalni, z lekka trzasnąwszy za sobą drzwiami.

Weszłam do salonu. Przy lustrze na brzeżku krzesła siedział mały, tłusty jegomość, o czerwonych policzkach i kartofelkowatym nosie. Gdy zerwał się na równe nogi, wcale nie przybyło mu wzrostu. Omal nie roześmiałam się na myśl, że stryj Albin mógłby się tak charakteryzować. Mały, owalny człowieczek, idealnie łysy, miałby wielkie szanse występując w panopticum<sup>29</sup> jako człowiek-jajko.

Długo i obszernie zaczął mi wyjaśniać sprawę placu na Żoliborzu, cen rynkowych i kandydatów na kupno. Mówił szybko z tym nieznośnym ugrzecznieniem, które cechuje ludzi źle wychowanych. Myślę, że jest to ich broń przeciw wyrzuceniu za drzwi. Człowiek narażony na obcowanie z takim typem zniewolony jest do uprzejmości pomimo odczuwanego wstrętu.

Nie słuchałam zresztą tego, co mówił. Łamałam sobie głowę, jak wykręcić się przed ciotką. Wreszcie w tyradę pośrednika zdołałam wdrzeć się kilkoma słowami, wyjaśniając, że absolutnie nic nie wiem o placu i że ta sprawa obchodzi tylko mego męża.

Gdy wyniósł się, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej zjawiała się ciotka, triumfująca i karząca samym wyrazem swojej twarzy.

— Nie wyobrażam sobie — zaczęła — co może skłonić takiego pośrednika do aż tak jaskrawych metamorfoz. Raz jest wytwornym, interesującym dżentelmenem, drugi raz pospolitym osobnikiem, o mało atrakcyjnym wyglądzie. Raz nieomylnie zastaje ciebie w domu, innym znowu razem zawodzi go intuicja i zjawia się wówczas, gdy ciebie nie ma.

— Moja ciociu. To był po prostu inny pośrednik. Jeżeli ciocia sądzi, że w Warszawie jest tylko jeden pośrednik od handlu nieruchomościami, ciocia bardzo się myli.

Zamaszyście potrzęsnęła głową. Obawiałam się, że jej wszystkie szpilki z włosów wylecą.

— Moja kochana — powiedziała — byłoby wszystko to wytłumaczalne, gdybym nie wiedziała, że Jacek powierzył tę sprawę jednemu, dokładnie jednemu pośrednikowi. Nie trzem ani pięciu, lecz właśnie jednemu, temu, który stąd wyszedł przed chwilą.

Byłam przygotowana na ten argument.

— I ja wiem o tym. Ale wiem również, że pośrednicy uciekają się do pomocy swoich kolegów po fachu, jeżeli chodzi o szybkie znalezienie kupca. Poprzedni mówił mi właśnie, że jednemu z jego przyjaciół powierzono sprzedaż naszego placu i że on znalazł chętnego nabywcę. Zresztą, jeżeli ciocię tak interesują ludzie tej profesji, żałuję, że mi ciocia o tym wcześniej nie powiedziała. Właśnie zbliża się karnawał i z przyjemnością specjalnie dla cioci urządzą Bal Pośredników. Spodziewam się, że ciocia nie będzie się nudziła.

Wyszła obrażona i do wieczora nie odezwała się do mnie ani słowem. Może nareszcie wybiłam jej z głowy te niedorzeczne podejrzenia.

Dziś tylko na chwilę mogłam wpaść do Roberta. Po pierwsze, on jest bardzo zajęty w związku z jakimś bilansem czy czymś takim, po drugie, musiałam być u rodziców. Ojciec jutro wyjeżdża na polowanie.

Robert jest czarujący. I taki delikatny. Napomknęłam, zupełnie od niechcenia, że nie podoba mi się jego pokojówka, a natychmiast zgodził się ją odprawić. Oczywiście

<sup>29</sup>panopticum — gabinet osobliwości a. wystawa figur woskowych. [przypis edytorski]

zaprotestowałam. Wcale mi na tym nie zależy. Wystarczy mi to, że przekonałam się, jak mało przywiązuje wagi do jej obecności w swoim domu. Jest zresztą rzeczą zrozumiałą, że człowiek o pewnych wymaganiach estetycznych woli mieć służbę nierazącą swoim wyglądem. Jacek przecie również dba o to. I Józefa, chociaż jest bardzo niezgrabny, trzyma dla jego reprezentacyjnej aparycji.

U rodziców zastałam generała Długosza, kolegę ojca z lat szkolnych. Jest to najmilszy jego kolega. Rozpieszczał nas obie od dziecka. Zwłaszcza przepada za Danką. Jest to jeszcze dla mnie jeden dowód, że w swojej naturze nie mam zazdrości. Nie lubiłabym go za to, że wyraźnie woli moją siostrę.

Mama przyjęła mnie całą stertą historii i historyjek, które mnie nic nie obchodzą. Dowiedziałam się, o czym mówiono na fajfie u kanoniczki Walewskiej, o czym u państwa Zdziechowskich i to jeszcze, że lekarze stwierdzili u wujka Kazia raka wątroby. Matka zdawała się być tym bardzo przejęta, chociaż wujek Kazio mieszka stale w Szkocji i nie widziała go od dobrych czterdziestu lat.

Swoją drogą dziwi mnie u starszych ten nadmiar zainteresowań rodzinnych, to co stryj Albin z abominacją<sup>30</sup> nazywa „familienbadem”. Zarówno ojciec, jak i mama pisują moc listów do najdalszych krewnych, każą mi nazywać wujkami panów, których nigdy w życiu nie widziałam, cmokać w rękę jakiejś ciotki, dziesiąta woda po kisielu, zajmować się małżeństwami i chrzciniami w paru setkach domów, rozsianych po całej Polsce i Europie. Ojciec nazywa to więzią rodzinną, stryj nazywał uwięzią, a mama bez zająknięcia umiała powiedzieć:

— To przecież wcale nie jest człowiek obcy, lecz wujeczno-cioteczny brat mojej rodzonej siostry ciotecznej.

I z tego tytułu musiałam z jakimś bubkiem być na ty i wysłuchiwać, jakie premie dostał za swoje cielęta, hodowane gdzieś na Podolu.

Ojciec krótko wypytał, jak się czuję, zrobił dość łagodną aluzję do wyjazdu Jacka bez pożegnalnej wizyty i zaraz zabrał generała, by mu przez godzinę pokazywać dwa nowe obrazy, które właśnie nabył. Ach, te obrazy! Cały ogromny dom napelniony jest od sufitu do podłogi obrazami. Ojciec uchodzi za mecenasa sztuki i nic nie mam przeciwko temu. Sama lubię ładne widoczki czy główki. Ale nie można mieszkać w galerii obrazów.

Pamiętam, co to była za awantura, gdyśmy z Jackiem urządzali sobie mieszkanie. Ojciec wielkodusznie ofiarował kilka podobno wspaniałych płócien. Jak zapewniała mama, przeżył niemal tragedię, wyrzekając się ich dla ukochanej córki i zięcia. Do tego stopnia był do nich przywiązany i tak je cenił, że kilka tygodni zwlekał z decyzją. Jakież było oburzenie ojca, gdy się przekonał, że powiesiliśmy je w przyszłym dzieciennym pokoju i u ciotki Magdaleny. Nie chciał słuchać żadnych wyjaśnień, że zrobiliśmy to tylko na razie. Nie mógł zrozumieć, że w naszym nowoczesnym mieszkaniu po prostu nie pasowałyby ani do salonu, ani do buduaru, ani do gabinetu. Przez prawie pół roku był na nas obrażony, a wiem od Danki, że zdobył się na jedno tylko słowo potępienia: „Barbarzyństwo!...”.

W ogóle głównym zarzutem wysuwanych przezeń przeciw Jackowi było niedocenianie przez Jacka znaczenia literatury, muzyki i plastyki. Ojciec nie bierze tego pod uwagę, że Jacek ma moc innych zainteresowań.

Jacek świetnie zna historię, uprawia prawie wszystkie sporty, śmiało może uchodzić za jednego z najlepszych automobilistów-dżentelmenów w Europie, a poza tym mało kto zna się tak na polityce międzynarodowej jak on. Nie jest zresztą już tak zupełnie obojętny na sprawy sztuki. Nie można jednak przesadzać. Jeżeli chodzi o ojca, zawsze dziwiłam się, kiedy miał czas zajmować się tym wszystkim. Przecież brał zawsze bardzo czynny udział w życiu społecznym, jego zajęcia zawodowe i olbrzymia praktyka pochłaniały mu w każdym dniu wiele godzin. Nie opuszczał przy tym żadnej lepszej premiery w teatrze, na niektóre koncerty specjalnie jeździł za granicę, umiał na pamięć kilometry wierszy polskich i obcych. Dziwni są ci starsi ludzie.

Pod jednym względem dom rodziców jest niezastąpiony. Myślę o spokoju, który w nim panuje. Wpływa na to nie tylko uregulowany tryb życia ojca i mamy, Danki i nawet służby, lecz i coś nieokreślonego, co otacza mnie, ilekroć tam przyjdę, atmos-

<sup>30</sup>abominacja (z łac.) — obrzydzenie, wstręt, odraza. [przypis edytorski]

ferą bezpieczeństwa, świadomością, że nic tu nie może stać się nagłego, zaskakującego, wytrącającego z równowagi.

Wprawdzie nie twierdzę, że mogłabym zawsze przewidzieć, co powiedzą mieszkańcy tego domu lub ich goście. Wiem jednak z całą pewnością, że nie powiedzą nigdy nic wywołującego gwałtowny sprzeciw ani nic drażniącego. Jeżeli mam dużo taktu (Toto zapewnia mnie, że jestem najtaktowniejszą kobietą na świecie), sądzę, że zawdzięczam to tej temperaturze duchowej, jaka panowała zawsze w domu rodziców.

Zdaniem stryja mama jest głupia. Być może, że nie odznacza się szczególniejszą inteligencją. Ale w normalnym życiu towarzyskim można się nie obawiać z jej strony szczególniejszych błędów. Zresztą, mój Boże, jeżeli taki mądry człowiek jak ojciec mógł z nią wytrzymać przez tyle lat i nadal ją kocha, a w każdym razie szanuje i jest do niej przywiązany, nie mogę się zgodzić ze stryjem. Albo muszę przyjąć, że wśród zalet kobiecych zalety umysłowe nie grają poważnej roli.

Próbowałam na temat mamy mówić z Danką, lecz ta dogmatyczka zawsze uchylała się od dyskusji. Niewątpliwie jest znacznie inteligentniejsza od mamy. Przysięgłabym, że musi dostrzegać — jak to nazwać — że mama jest ograniczona pod wieloma względami. Konsekwentnie jednak udaje, że tego nie widzi. Całkiem serio zwraca się do niej o radę w przeróżnych kwestiach. Robi to nawet z namaszczeniem. Asystowałam nieraz przy tych ceremoniach i śmiać mi się chciało obserwując, jak Danką podsuwa matce kolejno własne sugestie, a później z największą powagą dziękuje jej za radę, której przecież wcale nie otrzymała.

Jeżeli o mnie chodzi, od najwcześniejszych lat nie widziałam (widocznie podświadomie) w mamie żadnego autorytetu. Kocham ją oczywiście i kochałam zawsze. Ale instynkt kierował mnie zawsze w chwilach krytycznych do gabinetu ojca lub w sprawach drobniejszej wagi do bony czy nauczycielki. Miałam przy tym ten spryt, że bynajmniej nie ukrywałam przed mamą swoich przeżyć, lecz mówiłam z nią o nich jako o rzeczach ciekawych, jednakowo nas obchodzących, niewymagających wszakże ani pomocy, ani wskazówek. Dzięki temu między mną i mamą wytworzyła się zwyczajna przyjaźń, w której żadna ze stron nie miała przewagi, przynajmniej póty, póki nie zaczęłam myśleć samodzielnie i nie nauczyłam się na świat patrzeć krytycznie, już nie przez okna mieszkania rodziców, lecz własnymi oczami. Od czasu mego zamążpójścia stosunek ten znacznie się rozluźnił z tej prostej przyczyny, że miałam już Jacka, do którego inteligencji nigdy nie straciłam ufności, a który nader żywo interesuje się wszystkimi moimi sprawami.

Ojciec wybierał się do Hołdowa na dziki. Miało być duże polowanie, w czternaście strzelb, i mama zdecydowała się jechać również z tego względu, że niektórzy panowie przyjeżdżali z żonami. Próbowała wprawdzie jeszcze teraz namówić mnie, bym ją zastąpiła w Hołdowie, lecz czy mogłam bodaj na kilka godzin wyjechać z Warszawy w tym okresie, gdy lada moment w sprawie Jacka nadejść miały nowe wyjaśnienia.

Stosunkowo wcześniej wróciłam do domu. Okazało się, że stryj nie telefonował, za to Halszka aż pięć razy. Mniejsza o to. Nie mam jej nic do powiedzenia, a nie spodziewam się, by ona mogła mi zakomunikować coś, co by mnie obchodziło. To jest zła i fałszywa kobieta. Bardzo dobrze, że los ją za to tak ukarał. Niech się trzyma swego idiotycznego Pawła, który też na pewno ma już jej powyżej uszu.

Kończę pisanie, lecz jeszcze pewno długo nie zasnę.

Środa

Znowu miałam pecha. Okazuje się, że nie można zbyt daleko posunąć się w ostrożności. Ciotka Magdalena, która nigdy przed obiadem nie wychodzi z domu, tym razem poczuła przyływ łakomstwa i musiała wejść do cukierni po ciastka. Oczywiście siedziałam tam ze stryjem Albinem. Myślałam, że się babsko przewróci z wrażenia.

I właściwie mówiąc nie wiem, po co chciałam się ze stryjem widzieć, skoro mi przez telefon powiedział, że nic nowego nie wskórał. Mam pecha, po prostu pecha. Teraz już ciotka Magdalena nie da sobie oczu zamydlić żadnymi pośrednikami. Udawała wprawdzie, że nas nie widzi, ale mego oka nie uszło, że zachwiała się w posadach. Kupiła sześć ciastek. Trzy tortowe i trzy z kremem. To jest obrzydliwe napychać się z rana słodyczami, zwłaszcza wówczas, gdy się wie dobrze, że grozi cukrzyca.

Rodzina, Matka, Córka,  
Obyczaje, Fałsz, Grzeczność

Matka, Córka, Miłość,  
Przyjaźń

W ciągu dnia nie zamieniła ze mną ani słowa poza zdawkowymi frazesami domowymi. Ona swego Jacka uważa za półboga i jeżeli coś mnie cieszy na myśl o grożącym skandalu, to perspektywa ruiny świątyń, które ona wznosi kochanemu siostrzeńcowi. Chyba otrulaby się weronalem. Nie na niej zresztą jednej upadek Jacka zrobiłby takie wrażenie. Wyobrażam sobie, ile osób, uważających go za zwierciadło cnót i zalet, musiałyby chować dudy w miech i załamywać ręce nad jego przewrotnością. Byłby to niezły rewanz za te bezsensowne gadaniny o tym, że nie dorosłam do Jacka i że wart on jest lepszej żony.

Ciekawe, jaka żona byłaby lepsza! Która miałaby tyle taktu, tyle walorów reprezentacyjnych, która potrafiłaby stworzyć mu tak miły i tak powszechnie ceniony dom, prawdziwe ognisko rodzinne! Ludzie są podli.

A już chciałabym zobaczyć taką, co w obecnej mojej sytuacji zdobyłaby się na maksimum umiaru i dyskrecji. Inna poleciałaby już dawno albo do rodziców ze skargami, albo do owej rudej wydry, by zrobić jej piekielną awanturę. No, ręczę, że każda bez wyjątku co najmniej jemu urządziłaby nieludzką scenę.

I tu mówią, że ja do niego nie dorosłam. Że wart jest lepszej. I to musi mówić moja najlepsza przyjaciółka, ta wstrętna Halszka.

Dowiedziałam się o tym od Muszki Zdrojewskiej. Były razem z Zygmuntem Karskim w Cafe-Clubie. Muszka na pewno nie kłamie. W tym wszystkim, co mówiła, nieprawdą było tylko to, że rozmawiały o mnie przy Karskim. Zygmunt nie dałby na mnie złego słowa powiedzieć. W ogóle pod tym względem mężczyźni stokroć wyżej stoją niż kobiety. Taki na przykład Robert, który przez Halszkę miał moc przykrości, nigdy o niej źle się nie wyraża. Jest aż nazbyt pobłażliwy. Dziś niestety nie mogłam się z nim zobaczyć. Stale jest zajęty.

Zdaje mi się, że w tych męskich zajęciach musi być sporo przesady. Każdy z nich swoją pracę uważa za jakąś świętość. Każdemu z nich się zdaje, że gdy nam powie: „Mam mnóstwo roboty” lub też: „Mam ważne posiedzenie”, to już tym samym odpadają wszelkie możliwości innego spędzenia czasu. Oczywiście nie zawsze są to z ich strony wykręty. Nawet skłonna jestem im wierzyć. Ale po prostu przeceniają swoją pracę. Świat się nie zawali, jeżeli który z nich spóźni się na konferencję czy nie pójdzie do biura.

W ubiegłym roku raz jeden tylko miałam poważne zajście z Jackiem. Wybieraliśmy się na bal do Leskich. Szalenie mi zależało na tym, by być tam przed jedenastą. Tymczasem Jacek mi dzwoni, że zebranie jakiegoś związku czy stowarzyszenia przeciąga się, że jakieś wybory zarządu, że coś tam jeszcze i podobne głupstwa. Nie chciał mnie zrozumieć, że muszę być przed jedenastą, bo pani Kawińska sprawiła sobie toaletę bardzo podobną do mojej i nie mogłam, no, wprost nie mogłam zjawić się po niej. W tych subtelnościach mężczyźni są jak ślepi w lesie.

Zresztą to może i dobrze, że Robert nie miał dziś czasu. Dzięki temu zostałam w domu, a właśnie o siódmej zatelefonował Jacek z Paryża. Szalenie się śpieszył, powiedział tylko, że jeszcze nie może ustalić daty swego powrotu i że przyjdzie adiutant pułkownika Korczyńskiego, by zabrać żółtą olakowaną kopertę, która leży w środkowej szufladzie biurka. Przypomniałam Jackowi, by mi przywiózł większy flakon „Voyage de nocess”. Podejrzewam, że te, które można dostać w Warszawie, są znacznie słabsze.

Oczywiście natychmiast po rozmowie odszukałam w biurku ową kopertę. Byłam niezmiernie ciekawa, co zawiera. Niestety, olbrzymia pieczęć lakowa zupełnie uniemożliwiła jej otwarcie. Nie sądzę jednak, by wewnątrz było coś, co mogłoby mnie zainteresować. Raczej sądzę, że były tam jakieś papiery urzędowe i to zapewne takie, do których Jacek przywiązuje duże znaczenie. Na kopercie napisane było czerwonym ołówkiem: *L.K.Z.—425*. Że też oni zawsze mają swoje tajemnice.

Koło ósmej zjawił się zapowiedziany adiutant, przystojny młody oficer. Zaproponowałam mu filiżankę kawy, lecz odmówił. Był bardzo grzeczny i dostrzegłam, że mu się podobałam. Lecz pomimo to oświadczył, że się bardzo śpieszy i że przyszedł po zalakowaną kopertę, o której musiał mi mąż telefonować z Paryża. Nie zatrzymywałam go, tym bardziej że robił wrażenie zdenerwowanego. Podziękował mi uprzejmie i wyszedł.

Gdy się drzwi za nim zamknęły, obejrzałam jego kartę wizytową: porucznik Jerzy Sochnowski. Zupełnie *correct* młody człowiek. Można go będzie śmiało zaprosić na nasze

fajfy. Jeżeli to z tych Sochnowskich z Podola, może być nawet dalekim krewnym Jacka. Trzeba będzie mamę o to wypytać.

Nie wiem, czemu jestem dzisiaj taka zmęczona. Nie chciało mi się nawet pójść z Totem na kolację. Zostałam w domu. Zupełnie nie miałam apetytu. Zjadłam tylko trzy szparagi i wypilałam szklankę herbaty z odrobiną czerwonego wina. Ciotka Magdalena przyglądała mi się przy stole podejrzliwie, dopatrując się prawdopodobnie w moim braku apetytu objawów zakazanej miłości do rzekomego pośrednika. Niech ją Bóg ma w swojej opiece. W istocie sprawa jest znacznie poważniejsza: przybyło mi w ostatnim miesiącu kilo i czterdzieści deka.

Czwartek

Rzucam w pośpiechu te kilka słów. Wczesnym rankiem przysła depeza z Hołdowa. Ojciec niebezpiecznie chory. Mam zabrać profesora Wolframa i doktora Jarka i natychmiast jechać do Hołdowa. Na szczęście obaj mogą pozwolić sobie na wyjazd. Jestem pełna niepokoju o zdrowie i życie ojca. To rozpacz, że nie mogę zawiadomić stryja Albina o swoim wyjeździe. Tymczasem mogą tu przecież zająć bardzo ważne rzeczy. Samochód stoi przed bramą.

Wtorek

Co się działo, co się działo!

Muszę panować nad swoimi myślami, gdyż inaczej nie potrafiłabym systematycznie i jasno opowiedzieć wszystkiego. Postrzelenie ojca, awantura, operacja, ta żółta koperta, ta ruda szantażystka, stryj Albin, Jacek, porucznik Sochnowski, śledztwo — wszystko to kręci mi się w głowie jak w kołowrocie. Na dodatek jeszcze ta zwariowana ciotka Magdalena. Biedny Robert! Pewno myśli, że o nim zapomniałam. Miałam szaloną pokusę wysłać z Hołdowa doń list, lecz powstrzymałam się w ostatniej chwili. Przypomniało mi się stare mądre przysłowie, że nic tak nie plami kobiety jak atrament. List zawsze może trafić w czyjeś niepowołane ręce, jak ostatnio miałam tego dowód.

Tego by jeszcze tylko brakowało, by Robert znalazł się na tapecie!

Ale od początku!

Więc przede wszystkim rana ojca nie okazała się wcale tak niebezpieczna, jak z początku myślano.

Ten Portugalczyk (nazwiska jego nigdy nie zapamiętam) na pewno nie miał zamiaru ojcu zrobić żadnej krzywdy. Sam był w rozpacz i uparł się, by pokryć wszystkie koszty kuracji. Ma się rozumieć, ojciec na to nie mógł się zgodzić. Wobec tego Portugalczyk ofiarował bardzo poważną kwotę na jakiś dobroczynny cel. Oni tam w Portugalii nie mają polowań, toteż gdy zobaczył dziką, strzelał za nim na wszystkie strony jak wariat. W rezultacie kula przebiła ojcu na szczęście tylko mięśnie nad biodrem. Jednak sześć dni siedzieć musiałam w Hołdowie. O wyjeździe nie mogło być mowy. Mama ze strachu zupełnie straciła przytomność. A tu prawie dwadzieścia osób! I jeszcze te historie.

Że ja sama nie dostałam pomieszenia zmysłów, to dziwne. Jeszcze nie mogę przyjść do siebie. Tym bardziej że poza stanem zdrowia ojca wszystko zdaje się pogarszać.

Nazajutrz po swoim przyjeździe do Hołdowa otrzymałam od stryja depezę. Donosił mi w nader oględnych i dla osób niewtajemniczonych zagmatwanych słowach, że nadeszła z Brukseli niepomyślna wiadomość. O tej babie tam nikt nic nie wie oprócz tego, że zatrzymywała się kilkakrotnie w różnych hotelach.

Ustalono niezbitcie, że nie jest mieszkanką żadnego z większych miast belgijskich. Biuro przypuszcza, że nie jest to osoba godna zaufania. Nie zaprzestało dalszych poszukiwań wprawdzie, ale stryj wyraźnie dawał do zrozumienia, że nie spodziewa się żadnych istotnych informacji.

Nie było to dla mnie pocieszające. Gdybyśmy o tej damulce wiedzieli coś konkretnego, zupełnie inaczej można by było z nią mówić. Cała nadzieja w stryju.

Na dobitkę spadła na mnie nowa historia. Mianowicie w sobotę rano do Hołdowa przyjechało dwu panów. Gdy wyszłam do nich i ze zdziwieniem stwierdziłam, że ich nie znam, przedstawili się. Okazało się, że starszy z nich był pułkownikiem Korczyńskim, a młodszy ni mniej, ni więcej tylko jego adiutantem, porucznikiem Sochnowskim. Po-

nieważ nie chciałam w to uwierzyć, gdyż ten nowy Sochnowski wcale nie był podobny do poprzedniego, pokazali mi swoje dokumenty. I teraz dopiero wszystko wyszło na jaw.

Mężczyli mnie przeszło trzy godziny. Musiałam dokładnie opowiedzieć, jak to było z wizytą owego pierwszego (fałszywego) adiutanta, ściśle podać godzinę jego wizyty i rysopis. Sprawa musiała być poważna, gdyż pułkownik słowo w słowo zapisywał moje zeznania, porucznik zaś starannie pozamykał drzwi, by nas nikt nie mógł słyszeć. Okazało się, że w żółtej kopercie były podobno niezmiernie ważne dokumenty. Na zdobyciu ich miało bardzo zależeć jakiemś państwu ościennemu.

Notabene ze wstydem muszę się przyznać, że nie mam pojęcia, które państwo trzeba nazywać ościennym. Ciągłe w rozmowach mężczyzn pada to słowo, a ja krępię się zapytać. Przecież nie wypada mnie, jako żonie Jacka, tego nie wiedzieć. Domyślam się jednak, że pod słowami „państwo ościenne” należy rozumieć Rosję.

Zwłaszcza w tym wypadku nabrałam co do tego pewności. Pułkownik bardzo się interesował, czy ów rzekomy porucznik Sochnowski nie miał akcentu rosyjskiego. Zgodnie z prawdą odpowiedziałam, że mówił najczystszą polszczyzną. Obaj panowie robili mi wyrzuty, że postąpiłam lekkomyślnie, wydając kopertę bez sprawdzenia dokumentów człowieka, który się zgłosił.

To było oburzające. I dałam im to do zrozumienia. Więc jak to? Najpierw mąż mi telefonuje z Paryża, że zjawi się porucznik taki i taki, adiutant takiego i takiego pułkownika po taki i taki przedmiot. Potem zjawia się pan w mundurze, nawet z jakimiś orderami, w dodatku przystojny i doskonale ułożony, przedstawia się i żąda tego przedmiotu. Jakże miałam postąpić? Przecież to zabawne, bym miała domagać się jakichś papierów lub legitymować. Nie jestem policjantem. Na myśl mi nie mogło przyjść, by miało w tym tkwić jakieś oszustwo. Bo i skąd wiedziałby ktoś obcy, że Jacek do mnie telefonował i jakie wydał polecenie?

Pułkownik bardzo się śmiał z tych moich dowodów i wyjaśnił, że w hotelu, z którego telefonował Jacek w Paryżu, już znaleziono wczoraj linię podsłuchową, dzięki której szpiedzy wiedzieli o poleceniu i natychmiast swoim warszawskim agentom kazali zdobyć kopertę.

To okropne. Ścierpła mi skóra na myśl, że i moje rozmowy z Totem czy Robertem też mogą być przez kogoś podsłuchane. Natychmiast po powrocie do Warszawy wynajmę takiego elektrotechnika od telefonów, by rozkręcił nasz aparat i sprawdził, czy tam nie ma jakiejś linii. To jest bardzo możliwe. Jacek wprawdzie nigdy przez telefon o sprawach politycznych z nikim nie rozmawia, ale szpiedzy mogą myśleć inaczej.

To jest ohydne, ta instytucja szpiegów. Po prostu pojąć nie mogę, co oni sobie upatrzyli do Polski. Czemu inne państwa nasyłają nam wciąż tych szpiegów? Dlaczego są wszystkiego, co się u nas dzieje, tak ciekawe? Dlaczego my nie zajmujemy się ich sprawami i nie wysyłamy nikogo, by ich podpatrywał, a oni nam spokoju nie dają. Rozumiałabym jeszcze, gdyby ci szpiedzy załatwiali swoje sprawy z mężczyznami. Ale to bardzo nie po dżentelmeńsku wplątywać nagle kobiety z towarzystwa w swoje brudne afery.

Pułkownik zapowiedział mi, że będę jeszcze wezwana, by rozpoznać wśród wielu fotografii tego fałszywego porucznika. Tęgo jeszcze brakuje, bym traciła czas na różne głupstwa.

Zapytałam, w jaki sposób wyszło na jaw, że oddałam tę kopertę. Pułkownik mi wyjaśnił, że już u mnie w domu przeprowadzono dochodzenie. Badano ciotkę Magdalенę i służbę. Na zakończenie zaczął dopytywać się, kim jest ten starszy przystojny pan, który podawał się za pośrednika sprzedaży placów.

Tu już opanowała mnie wściekłość. Z trudem pohamowałam się, by nie wybuchnąć. Ta głupia ciotka znowu nawarzyła mi piwa. Gotowi jeszcze posądzić stryja Albina, że jest pomocnikiem szpiegów. To niesłychane, co ta baba wyprawia! Tak czy owak skończy się sprawa Jacka, ale po jej skończeniu postawię mu warunek: albo odeśle ciotkę na wieś, albo ja z nim zrywam. (Oczywiście o prawdziwym zerwaniu nie myślałam ani na chwilę, ale mogę go przecież nastraszyć).

Powiedziałam tym panom, że był to prawdziwy pośrednik i że widziałam go wszystkie dwa razy w życiu. Wtedy zaczęli dopytywać się, czy nie rozmawiał ze mną o Jacku i o jego podróży. Zapewniłam, że nie, ale wydaje mi się, że nie bardzo ich przekonałam

i że będą się starali odszukać stryja Albina. By ich trochę ułagodzić, zaprosiłam ich na obiad, lecz wymówili się pilnymi sprawami i wyjechali.

Długo nie mogłam przyjść do siebie, a wieczorem przyszła depesza z Warszawy od — Jacka.

Okazało się, że w związku z tą głupią kopertą wezwano go i przyleciał aeroplanem na kilka godzin i że zaraz wieczorem musi wracać do Paryża. Był widocznie tak zaabsorbowany sprawą szpiegów, że zapomniał nawet zapytać w depeszy o zdrowie ojca. Widziałam, jaką to przykrość ojcu sprawiło.

Byłam w fatalnym położeniu, bo o wyjeździe z Hołdowa nie mogło być mowy, a tymczasem Jacek na pewno znajdzie dość wolnego czasu, by się zobaczyć z tą swoją wydrą. Bóg jeden wie, co mogą sobie uradzić.

Natychmiast po otrzymaniu depeszy wysłałam po niego samochód i napisałam, że stan ojca jest fatalny i że koniecznie musi przyjechać bodaj na pół godziny. Przed wieczorem jednak szofer wrócił z niczym, a raczej z kartką od Jacka, że absolutnie wyrwać się z Warszawy nie może.

Te wszystkie historie tak wytrąciły mnie z równowagi, że na noc musiałam wziąć brom, chociaż wiem, jak bardzo mi szkodzi na cerę. W dodatku pod prawym uchem zrobił mi się pryszcz. A ta roztrzepana Waleria rozlała lakier do paznokci i moje ręce wyglądają fatalnie. Jeszcze nigdy nie przeżywałam tak złej passy. Wszystko przeciwko mnie się sprzysięgło.

Na szczęście dziś rano przyjechała Danka i mogłam natychmiast wrócić do Warszawy. Z ciotką przywitałam się w sposób aż nader wymowny. Zdawkowy uśmiech i sztywne podanie ręki. By jeszcze dobitniej zaakcentować, że ja tu jestem panią, kazałam pootwierać wszystkie okna w jadalni, w salonie, w szafrowym i w kredensie. To zupełnie uniemożliwiło tej jędzy cyrkulowanie po domu. Inna rzecz, że zrobiło się okropnie zimno. Na szczęście musiałam zaraz wyjść, by zobaczyć się ze stryjem.

Tak jak i przewidywałam, nie zastałam go w domu. Nie mając innego wyboru, usiadłam przy oknie w małej obrzydliwej mleczarence naprzeciw jego domu i czekałam, popijając herbatę. Oprócz mnie i pochrzakującej za ladą właścicielki był tylko jakiś bardzo znużony jegomość o nieciekawym wyglądzie. Nie zwróciłabym nań w ogóle uwagi, gdyby nie to, że jego sposób jedzenia i zachowania się drażnił w najwyższym stopniu. Najpierw pochłonął olbrzymi talerz jajeczniczy, a później ohydnie dłuwał w zębach, drugą ręką zasłaniając jamę ustną. Przy tym bezmyślnie gapił się w okno z taką miną, jakby zaraz miał się rozpląkać. Nie rozumiem, po co tacy ludzie egzystują na świecie.

Była już czwarta, gdy zobaczyłam stryja. Zajechał taksówką i zniknął w bramie. Natychmiast uregulowałam rachunek i wyszłam. Stryja dopędziłam, gdy otwierał drzwi.

Powitał mnie jak zawsze komplementami. Był w świetnym nastroju i to już nieco mnie uspokoiło.

— Czy ma stryjaszek coś nowego? — zapytałam pełna nadziei.

Poprawił monokl i zrobił do mnie oko.

— A jeżeli dobry stryjaszek ma dużo, bardzo dużo nowin, to co za to dostanie?

— Uściskam stryjaszka, zwłaszcza w tym wypadku, jeżeli nowiny będą tak dobre, jak on sam.

— Wyśmienite, ale honorarium inkasuję z góry.

To powiedziawszy objął mnie i pocałował w usta. Chociaż było to całkiem niespodziewane, wcale nie mogę powiedzieć, by było przykre. Ci starsi panowie mają jednak swoją klasę w stosunku do kobiet i umieją pozwolić sobie nawet na bardzo śmiałe gesty w sposób jakiś naturalny i ujmujący.

— Czy wiesz, skąd wracam? — zapytał przysuwając mi fotel.

— Skądże mogę wiedzieć.

— Otóż byłem na uroczym spacerze, na przeuroczym spacerze z pewną czarującą damą. Rzadko która dziewczyna ma tyle wdzięku. A w dodatku inteligencja! Nieprzeciętna, nic nie przesadzę, gdy powiem, że nieprzeciętna. Jak na Angielkę zwłaszcza. Bo ze smutkiem muszę ci wyznać, że dotychczasowe doświadczenia nie wyrobiły we mnie zbyt wygórowanego mniemania o inteligencji Angielek.

Serce zaczęło mi mocno walić w piersi:

— Stryju — szepnęłam — stryj ją poznał?



Zrobił zdziwioną minę.

— Tę panią, z którą byłem na przechadzce?... Ależ oczywiście, moja mała. Czy wyobrażasz sobie, że damy, których towarzystwa szukam, mogą należeć do kategorii kobiet spacerujących z nieznanymi panami?

— Niechże stryj mnie nie męczy — jęknęłam żałośnie. — Czy ta pani to ona?

— Nie wiem, kogo masz na myśli, ale nie potrzebuję z tego robić żadnej tajemnicy. Angielka owa nosi dzwiczne imię Elisabeth i używa nazwiska Normann.

— Ach, mój Boże! I jakże stryj ją poznał? Jaka ona jest? Co mówiła? Czy nie wspomniała o Jacku?

— Zaczekaj, mała — uśmiechnął się. — Najpierw ustalmy chronologię i hierarchię twoich pytań. Więc przede wszystkim jesteśmy z nią jeszcze (mam nadzieję, że wolno mi użyć pocieszającego słówka „jeszcze”), jesteśmy z nią jeszcze na stopie bardzo oficjalnej. Jak się pani podoba Warszawa?... Czy pani dużo podróżuje? I tak dalej w tym guście. Toteż na jakieś wspomnienie o Jacku co najmniej za wcześnie. Chociaż nastęrczała się do tego wspomniała i całkiem niespodziewana okazja. Czy ty wiesz, że Jacek jest w Warszawie?

— Jak to jest? — zaniepokoiłam się poważnie.

— Najzwyczajniej w świecie. Widziałem go przedwczoraj na własne oczy, gdy wsiadał w „Bristolu” do windy i następnie, gdy z tejże windy wysiadał wraz z miss Elisabeth Normann.

— Więc widział się z nią!

— Sądzę, że dość dokładnie, i mam prawo przypuszczać, że nie odmawia sobie tej przyjemności w dalszym ciągu.

— Myli się stryj — odpowiedziałam trochę zirytowana. — Jacek bawił w Warszawie dosłownie kilka godzin. Wezwano go z Paryża w sprawie jakichś dokumentów i musiał tegoż wieczora wracać. Z całą pewnością wiem, że wyjechał.

— Mniejsza o to — zgodził się stryj Albin. — W każdym razie widział się z nią.

Z wielkim trudem zdobyłam się na pytanie:

— A czy... czy długo był u niej?...

Stryj niedelikatnie zaśmiał się.

— Ach, o to ci chodzi! No, jakby ci to określić? Zabawił w jej pokoju coś około godziny. Znając go lepiej ode mnie, łatwiej wysnujesz z tego jakieś wnioski.

Spojrzałam nań prawie ze złością. Cieszył się, najwyraźniej cieszył się moim niepokojem. Widocznie wyobrażał sobie, że jestem zazdrosna. Wcale nie jestem, ale to przecie nie należy do przyjemności, gdy mąż na całą godzinę zamyka się w numerze hotelowym z jakąś rudą przybłądą!

— Znowu się stryj myli! — powiedziałam chłodno. — Wiem doskonale, że Jacka z nią nie może już nic łączyć...

— W najmniejszym stopniu nie zamierzam podważać twojej wiary w obyczaje małżonka — wtrącił z powagą zakrawającą na szyderstwo.

— Bo nic jej nie zdoła podważyć — zaakcentowałam, lecz na wszelki wypadek, ostrożnie, by stryj tego nie dostrzegł, trzy razy stuknęłam palcem w drzewo.

— Tym lepiej — skinął głową. — Zresztą i ja w danym przynajmniej wypadku nie żywiłem żadnych podejrzeń. Jacek wychodząc z nią był blady, zły i widocznie z trudem panował nad sobą. Robiło to takie wrażenie, jakby mieli wcale nie zanadto przyjemną rozmowę.

— Tylko nie rozumiem, dlaczego — zauważyłam — odbywali tę rozmowę w numerze, a nie w hallu czy w restauracji.

— To mnie wcale nie dziwi — wzruszył ramionami stryj. — Domyślmy się, co było tematem ich rozmowy, a takie tematy, przyznasz, nie lubią narażać się na podsłuchiwanie, chociażby ze strony służby czy przygodnych sąsiadów. Jeżeli o mnie chodzi, bynajmniej nie zmartwiłem się ich spotkaniem.

— Dlaczego?

— Dlatego, moja mała, że przy nadarzającej się sposobności zapytam ją o Jacka.

— Powie stryj, że go zna?

— Ależ uchowaj Boże! Powiem, że widziałem ją w towarzystwie młodego dżentelmena, którego czasami spotykam. I postaram się z niej wydobyć, co o nim sądzi. W ten

sposób nawiązać będzie można rozmowę na interesujący temat. Ponieważ zaś dam uroczej Betty do zrozumienia, że moja ciekawość ma podłoże zazdrości, w niedyskretnych pytaniach będę się mógł posunąć dość daleko.

Omówiliśmy te sprawy jak najszczegółowiej. Gdy już wychodziłam, stryj mnie trzymał.

— Aha, moja mała. Pozwól, że ci zwrócę z podziękowaniem pożyczkę. Oto tysiąc złotych.

Wcale tego się nie spodziewałam i próbowałam oponować.

— Ależ, stryju, mnie wcale nie są potrzebne teraz pieniądze. To wcale nie jest rzecz pilna...

— Nie, nie — upierał się. — Najpilniejsza. Gdyby nie to, że na receptynie nadawczym trzeba podać nazwisko wysyłającego, przekazałbym ci te pieniądze pocztą do Hołdowa.

— Musiało się stryjowi ostatnio powodzić — zauważyłam chowając banknoty do torebki.

— Tak, kochanie. Widocznie tylko twoja obecność w Warszawie przynosi szczęście w grze Totowi. Obębniłem go na wcale okrągłą sumkę. Jego i jego przyjaciół. To są nader poczciwi ludzie.

Teraz dopiero przypomniałam sobie Tota. Aż sama się zdziwiłam, że mogłam o nim na tak długo zapomnieć. W istocie należało nad tym głębiej się zastanowić. Właściwie mówiąc Toto jest nudny. O czym z nim można rozmawiać?... Interesuje się sprawami, które mnie w gruncie rzeczy nic nie obchodzą. Zabawny bywa tylko wtedy, gdy udaję obojętną, zamyśloną czy zajęętą kimś innym. Wtedy umie się zdobyć na żywsze odruchy. Jeden ma walor niezaprzeczony: gest. Przed rokiem, gdyśmy z Jackiem byli w Taorminie i napisałam do Tota, że tęsknię za Bloomsem (wówczas żył jeszcze mój kochany Blooms), Toto w przeciągu jednego dnia wziął paszport, wizy i przywiózł mi samolotem Bloomsa. On, który tak nie lubi psa nawet w samochodzie! Wieć go z Warszawy aż na Sycylię. I nie zapomniał o rurkach z kremem. Tak, on stanowczo ma swoje zalety. Ale nie potrzebuję ukrywać tego przed sobą, że już mi się trochę znudził. Wówczas w Taorminie zaimponował nawet Jackowi, który ostatecznie przyzwyczajony jest do objawów adoracji dla mnie ze strony wielu mężczyzn. Pamiętam, że powiedział mi wówczas:

— Myślałem, że on ci tylko nadskakuje, ale zdaje mi się teraz, że to musi być jakieś poważniejsze uczucie. Nie posądzałem go o zdolność do przeżywania uczuć poważniejszych.

Odpowiedziałam mu krótko:

— Ja go i nadal nie posądzam.

To uspokoiło Jacka. Z powagą pocałował mnie w rękę, mówiąc:

— Zawsze wierzyłem w twój instynkt i w twój dobry gust.

Ponieważ Toto wieczorem wyjechał z powrotem do Warszawy, więcej już o tym nie mówiliśmy. To był gest. Co prawda z Bloomsem w drodze powrotnej miałam moc kłopotu. Zginął nam w Neapolu i Jacek musiał go przez cały dzień szukać. W rezultacie spóźniliśmy się na pociąg. W Wenecji skoczył biedaczek do wody za jakąś mewą, a ponieważ zbliżał się właśnie *vaporetto*<sup>31</sup> i bałam się, że go przejedzie, Jacek i jeden pan z tamtejszego konsulatu wskoczyli do kanału na jego ratunek.

To było bardzo rycerskie z ich strony. Przykro mi było tylko, że na brzegu zebrał się tłum głupio roześmianych ludzi. Co prawda obaj wyglądali rzeczywiście dość śmiesznie w ociekających wodą ubraniach. Wszystko się skończyło pomyślnie i cała podróż łącznie z kłopotami, narobionymi przez Bloomsa, zostawiłaby mi najmiłsze wspomnienia, gdyby nie zły humor Jacka. Nic mi wprawdzie nie powiedział, ale domyślałam się, że znowu zaczęła go trapić zazdrość o Tota. Z tego powodu nawet dla Bloomsa nabrał niechęci, a gdy Toto spotkał nas na dworcu w Warszawie, przywitał się z nim z taką oziębłą uprzejmością, że Toto był nawet trochę wystraszony.

Układałam sobie, że wcale go nie zawiadomię o swoim przyjeździe z Hołdowa. Niestety, spotkała mnie przykra niespodzianka: gdy zadzwoniłam do Roberta, telefon odebrała pokojówka i poinformowała mnie, że pan od dwóch dni jest poza Warszawą. Zdaje się, że

<sup>31</sup>*vaporetto* — tramwaj wodny w Wenecji (początkowo z napędem parowym, stąd nazwa). [przypis edytorski]

we Lwowie, ale ona na pewno nie wie. Nie wiedziała również, kiedy wróci. Ponieważ wieczór miałam wolny, poszliśmy z Totem na kolację. A później z większym towarzystwem do niego na kieliszek szampana.

Już późną nocą zjawił się Władek Brzeski i przyprowadził ze sobą dwie tancerki, które kiedyś występowały w „Adrii”, młode i ładne Węgierki, bardzo zabawne. Zademonstrowały nam kilka tańców, takich oczywiście, których nie można pokazywać w lokalach publicznych. Było to porządnie nieprzyzwoite, ale bardzo interesujące. Tula upiła się nieludsko. Uparła się, że ze starszą z tych dziewcząt zatańczy to samo. Oczywiście wyszedł z tego koszmar. Panowie pękali ze śmiechu.

Przyznam się, że miałam wielką ochotę również zaryzykować, ale miałam tremę, a poza tym po nieudanej próbie Tuli towarzystwo już było zbyt rozbawione. Rozmawiałam dużo z tymi Węgierkami. Swoją drogą ich rodzaj życia jest niesłychanie barwny i urozmaicony. Znają już cały świat bez mała. Tańczyły w Tokio i w Bombaju, w Melbourne i w Ottawie, w Limie i Bóg wie gdzie. Poznają tylu interesujących mężczyzn, wciąż nowych. Dla jednej z nich zastrzelił się pewien farmer na Filipinach. Młodszą porwał w Szanghaju jakiś koreański milioner, który się w niej zakochał. Obie są mniej więcej w moim wieku, a tyle już zdążyły przeżyć. W dodatku pochodzą z bardzo przyzwoitej rodziny węgierskiej. Mówiły mi nazwisko, ale już nie pamiętam. Ich ojciec był nawet ministrem. Co prawda Toto wyśmiewał mnie, że w to wierzę, ale dlaczego nie mam wierzyć. Są doskonale ułożone i bardzo rasowe.

Na drogę kabaretu pchnęło je bankructwo i ruina materialna. Miały wówczas jedna szesnaście, a druga osiemnaście lat. Pomyślałam wówczas, jak potoczyłoby się moje życie, gdyby na przykład moi rodzice umarli i stracili majątek. Naturalnie zaopiekowałaby się mną rodzina, ale mogłoby się zdarzyć, że stałoby się inaczej. Może musiałabym sama zarabiać na chleb. Wówczas oczywiście tysiąc razy wołałabym tańczyć, niż siedzieć w jakimś nudnym biurze i przepisywać papiery czy na przykład zostać nauczycielką. Od jak drobnych okoliczności zależy cała przyszłość człowieka!

Za dużo piłam kawy tego wieczora i niełatwo mi będzie zasnąć. Na dworze jeszcze zupełnie ciemno, chociaż to już szósta rano. Zostawiłam w jadalni kartkę, by w żadnym wypadku nie budzono mnie przed pierwszą, ale obawiam się, że ta jęzda będzie umyślnie trzaskała drzwiami. Stanowczo muszę zażądać od Jacka, by wymyślił jakiś pretekst i babę wyprawił na wieś.

Już wolę sama zajmować się gospodarstwem, chociaż okropnie to mnie męczy. Ciotka z tego tytułu, że wyda parę dyspozycji służbie i zadzwoni do kilku sklepów, uważa, że jest przepracowana. To nie jest żadna praca. Jadwiga sama potrafiłaby załatwić wszystko. Ostatecznie można wziąć jakąś gospodynię. Za kilkadziesiąt złotych będę miała to samo bez perspektywy plotek i ciągłego wtrącania się do mego prywatnego życia. Trzeba się będzie nad tym zastanowić.

### Środa

Robert jeszcze nie wrócił. Tacy są mężczyźni. Uważa, że może wyjechać nawet nie zawiadamiając mnie, dokąd i na jak długo. Co prawda nie było mnie w Warszawie, a obiecał, że nie będzie się dowiadywał o mój adres. Może nawet telefonował, lecz usłyszawszy obcy głos odłożył słuchawkę. Sama go o to prosiłam. Ale gdyby chciał, mógłby przecież wymyślić jakiś sposób. I później od nas żądają wierności!

Zrobiłam dzisiaj ciotce kawał. Zaprosiłam te Węgierki, Tota i Leszka Chomińskiego. Ponieważ ciotka nie zna angielskiego ani niemieckiego, a rozmawialiśmy w tych dwóch językach, czuła się fatalnie. Już przedtem umówiłam się z Leszkiem i z Totem, że przedstawimy te dziewczyny jako panie z dyplomacji, z najwyższego *high life'u* budapeszteńskiego.

Uwierzyła! Stroiła takie miny, jak na dworskim przyjęciu w Buckingham. Robiliśmy poważne miny, ale w duszy pękaliśmy ze śmiechu. Początkowo miałam zamiar poprosić Węgierki, by na zakończenie tego etykietalnego przyjęcia zademonstrowały nam swój wczorajszy taniec. To by była bomba. Ciotkę trafiłaby apopleksja! Korciło mnie nieludsko, ale Leszek za nic nie chciał się zgodzić i może miał słuszość.

Wezwano mnie na jutro do pułkownika Korczyńskiego. Znowu mnie będą męczyć. Miałam też w związku z tym nową przykrość. Spotkałam Władka Morskiego, który przy-

Kobieta "upadła"

jechał na urlop z Rzymu. Nie przypuszczając, że to coś tak ważnego, opowiedziałam mu o swoich przykrościach w związku z tą obrzydliwą żółtą kopertą, która mi zatruwa życie. Ten głupi gaduła musiał oczywiście wygadać się z tym w ministerstwie czy gdzieś indziej, gdyż już w dwie godziny później zjawił się u mnie porucznik Sochnowski (ten prawdziwy) i zaczął mi robić wyrzuty, że mówię z ludźmi o tej sprawie. Powiedział, że to jest niesłychanie ważne, by cała afera została w tajemnicy, ze względu na jakieś tam ich kombinacje. Był prawie nieuprzejmy. Toteż odpowiedziałam mu chłodno:

— Nic mnie to nie obchodzi. I nie rozumiem, dlaczego panowie wplątali mnie w tę przykrą aferę.

— Przyznaję pani, że jest przykra, i w imieniu pana pułkownika najusilniej proszę, by nikogo o niej pani nie informowała.

Zabawne. Ja kogoś informuję. Rzecz zasługuje na wzruszenie ramion i tyle. Znacznie gorsze jest to, że nieobecność Roberta zmusza mnie do częstszego widywania się z Totem, Mój Boże! Żeby już prędzej wrócił Jacek.

A Roberta tak ukarzę, że w ogóle się do niego nie odezwę. Gdy przyjedzie i do mnie zadzwoni, co najmniej trzy dni poczeka na spotkanie.

Od stryja znowu żadnych wiadomości. Byłoby rzeczą komiczną, gdyby ta ruda Angielka ucieła sobie z nim romans. To jest bardzo prawdopodobne. Nawet chciałabym tego przez wzgląd na Jacka. Niech naocznie przekona się, co to za kobieta. Przyjechała niby do niego, a korzysta z pierwszej sposobności, by uwodzić, i to kogo, stryja jego żony. Oczywiście nie byłoby to najważniejsze, ale jeżeli dałoby się jakoś zaaranżować, przyłapanie ich na gorącym uczynku nie zaszkodziłoby na pewno. Tylko wątpię, czy stryj Albin na to się zgodzi. Mężczyźni lubią dużo mówić o swojej ofiarności, gdy jednak mają okazję dać jej dowód, zasłaniają się jakimiś nieistotnymi pretekstami. Pełne mają usta wówczas takich słów, jak honor, dane słowo, godność osobista i tak dalej.

Spotkałam na Krakowskim Halszkę. Szła z Pawłem i z mężem. Początkowo chciałam udać, że jej nie widzę, ale spostrzegłam, że ma nową wspaniałą torebkę ze skóry jakiegoś węża. Nie widziałam jeszcze takiej i musiałam ją zapytać, gdzie to dostała.

Gdyby była sama, oczywiście nie powiedziałaby mi prawdy. Ona jest taka zazdrośna o swoje rzeczy, i to wszystko dlatego, że ja jej nie mówię, skąd sprowadzam swoje pantofle. Wolno mi przecież mieć chociaż coś oryginalnego. Trudno chodzić w rzeczach obnoszonych przez wszystkie panie. Teraz jednakże, ponieważ przy panach nie mogła mnie okłamać, musiała powiedzieć, że kupiła ją u „Madame Josette”.

Dziwię się, jak mogłam się z nią przyjaźnić.

Czwartek

Ponieważ, gdy wracałam od Lolów, droga wypadła mi przez Poznańską, wstąpiłam do Roberta. Nie spodziewałam się wprawdzie go zastać, ale wstąpiłam tak sobie. I okazało się, że bardzo dobrze zrobiłam. Ładnych rzeczy dowie się ode mnie o tej swojej pupilce. Niech tylko wróci!

Już na schodach słychać było gramofon. Na otworzenie drzwi czekałam dobre pięć minut. Wreszcie raczyła usłyszeć dzwonek. Od razu poznałam, co się święci. Miała wypieki i włosy nie w porządku. Chociaż zagroziła mi tak drogę, bym nie mogła wejść, kazałam się jej usunąć i właśnie weszłam.

Dałabym głowę, że ktoś uciekł z pokoju w głąb mieszkania. Niestety — nie mogłam przecież rewidować wszystkich ubikacji<sup>32</sup>. Na stole stały dwie filiżanki niedopitej kawy i owoce. Korzystając z tego, że pana nie ma w domu, ona tu przyjmuje swoich amantów, którzy później okradną go lub zamordują. Przecież ciągle się o tym czyta w gazetach. Powiedziałam jej:

— Cóż to, panienska ma gości?

Bezczelnie spojrzała mi w oczy i skłamała:

— Żadnych gości nie mam, proszę pani.

— Czy pan Tonnor pozwala paniencie używać gramofonu?

— Nigdy mi nie zabrania, proszę pani.

Nie mogłam już dłużej patrzeć na jej wyzywającą minę i przysięgłam sobie, że na głowie stanę, a przeprowadzę u Roberta wyrzucenie jej za drzwi. Powinien sobie wziąć

<sup>32</sup>ubikacja (daw.) — pomieszczenie (o dowolnym przeznaczeniu), miejsce. [przypis edytorski]

lokaja. Co to jest, by młody mężczyzna nie miał lokaja. To nawet jest w złym guście. A jeżeli już służącą, to niech weźmie jakąś starszą, poważną kobietę.

Najgorsze było to, że przed tą gęsią nie mogłam wytłumaczyć się, po co przyszłam.

To jednak jest zastanawiające, jak ważną jest rzeczą pretekst.

Nie wiem, czy ktokolwiek się nad tym kiedy zastanawiał. A szkoda. Warto by o tym napisać całą rozprawę. Dla człowieka pierwotnego pretekst jest rzeczą zbyteczną. Swoje działania przeprowadza on brutalnie, nie szukając żadnych uzasadnień prawdziwych czy pozornych. My, ludzie kulturalni, w tysiącnych wypadkach musimy się uciekać do pretekstu. Np. w czasach przedwojennych upuszczano się chusteczkę, by interesujący nas mężczyzna ją podniósł. Dziś ten sposób jest już oczywiście nie do użycia i za każdym razem trzeba wymyślać coś nowego. Nie należy to do rzeczy łatwych.

Czasami kwestia zbliżenia się z kimś uzależnia się od takiego drobiazgu jak to, czy dany pan znajdzie pretekst, by kobietę wziąć za rękę. Chodzi tylko o ten pierwszy krok. Dalej rzecz rozwija się inercjonalnie. Będę musiała pomówić o tym ze stryjem. Robert też jest bardzo inteligentny, ale mam wrażenie, że dla niego kwestia pretekstu raczej nie istnieje. Ma typ mężczyzny na wskroś nowoczesnego. A kto wie, czy nowoczesność nie polega właśnie na pierwotności. Tak przynajmniej twierdzi ojciec. Ci starsi panowie miewają czasami rację.

Nawet stryj Albin nie zachwyca się nowoczesnością. Kiedyś mi powiedział:

— Najpiękniejszą rzeczą w miłości jest gra wstępna. Zdobywanie względów kobiety, opanowywanie jej wyobraźni, misterna gra na jej nerwach, budzenie w niej pierwszych drgnień zmysłów. Jeżeli nie jestem wirtuozem w tej grze, w każdym razie zasługuję na miano co najmniej dość utalentowanego dyletanta. I cóż z tego mam dzisiaj?... Kobieta nowoczesna nie daje mi możliwości, nie daje mi czasu na rozwinięcie całego wachlarza mojej wiedzy, wprawy i umiejętności. Kobieta nowoczesna rzuca się na miłość jak zgłodniałe zwierzę na jadło. Cały precyzyjny mechanizm tak zwanego uwodzenia zostaje na boku, niepotrzebny, wycofany z obiegu, nawet trochę śmieszny. Zrozumiałbym jeszcze, dlaczego wyrzec się go mogą mężczyźni. Ale kobiety powinny cenić ten rzekomy anachronizm nad wszystko. Tak czy owak, tą czy inną drogą pójdzie dalsza feminizacja świata, jedno pozostanie niezaprzeczoną cechą typowo kobiecą: pragnienie, by ją zdobywano.

Niewątpliwie stryj ma dużo słuszności. Nie bierze jednak pod uwagę tempa dzisiejszego życia. Dzisiaj po prostu nie ma się czasu na te wszystkie gierki. Ojciec starał się o mamę przez trzy lata.

Okropne i śmieszne słowo: starał się. Zawsze, gdy słyszę to słowo, wydaje mi się, że widzę psa przywiązanego łańcuchem, który, zziębnięty i z wywieszonym językiem, stara się naciągnąć łańcuch tak, by dosięgnąć do kości leżącej daleko. Stara się. To skojarzenie przychodzi mi mimo woli, ilekroć słyszę, że ta lub ta panna ma jakiegoś starającego się. Wyobrażam go wówczas sobie na łańcuchu i z wywieszonym językiem.

To też anachronizm. Dziś nikt o nikogo się nie stara. Po prostu ludzie pobierają się lub nie. Albo się kochają, albo żenią się z rozsądku. Jacek również nie starał się o mnie. Poznał mnie, stwierdził, że odpowiadam mu sferą, stanem majątkowym, wiekiem, urodą, inteligencją, no i wtedy mógł się już we mnie zakochać. A gdy się zakochał, po prostu powiedział mi o tym. Byłby śmieszny, gdyby postępował inaczej lub inaczej rozumował.

Wszystko razem trwało dwa tygodnie. Czasami zdarza się wprawdzie, że dany epuzer<sup>33</sup> nie podoba się pannie. Wtedy oczywiście stara się, ale nie o nią. Stara się przekonać ją, że jest lepszy, miłszy i wierniejszy, niż się jej na pozór zdawało. Tak zwane zabieganie o względy kobiety nie przynosi zaszczytu jej, a poniża mężczyznę.

Poza tym na te faramuski brak czasu. Przynajmniej w życiu miejskim. Dawniej wszyscy ludzie z towarzystwa mieszkali na wsi. Miasto było tylko terenem ich spotkań. Owe karnawały, wyścigi, corsa<sup>34</sup> i inne przeżytki. Dziś ludzie poznają się na dansingu lub w kawiarni, ewentualnie na fajfie u znajomych. Młody człowiek nie musi wcale prezentować się mieszkańcom rodziny panny, bo i tak rodzina wszystko wie o nim z plotek. Dziwię

Flirt, Kobieta, Mężczyzna,  
Obyczaje, Polowanie

Kobieta, Mężczyzna, Pies,  
Małżeństwo

Małżeństwo, Kobieta,  
Mężczyzna

<sup>33</sup>epuzer (daw., z fr. *épouser*: poślubić) — kandydat na małżonka. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>corso (wł.) — aleja, bulwar; szeroka, reprezentacyjna ulica, służąca spacerom i konnym przejażdżkom, spotkaniom towarzyskim, autoprezentacji itp. W XVIII i XIX w. corso (a. Korso) pełniło ważną funkcję w życiu społecznym miast. [przypis edytorski]

się tylko, że za dawnych czasów, kiedy podobno plotkarstwo było jeszcze większe, nie kontentowano się tymi wiadomościami.

Jestem dzisiaj bardzo filozoficznie usposobiona. Potwierdza się to, co mówi ojciec, że przez oderwanie się od spraw bieżących człowiek otwiera sobie drogę do tych pokładów własnych myśli, o których istnieniu tak łatwo zapomina się w gwarze intensywnego życia. Lubię czasami zagłębiać się w takie dociekanie. Wtedy widzę, jak bardzo góruję umysłem nad wieloma takimi pustymi kobietami, jak Halszka czy Muszka. Jestem przekonana, że żadna z nich nie jest zdolna do abstrakcyjnego myślenia. Nie piszę tego bynajmniej w jakimś celu. Nie jest moim zamiarem sugerowanie czytelnikowi, że jestem czymś nadzwyczajnym. Przeciwnie. Upewniam wszystkich, że nie jestem zarozumiała. Moje walory duchowe i ten poziom intelektualny zawdzięczam po prostu własnej naturze.

Nie ma w tym mojej żadnej zasługi. Od dziecka miałam usposobienie raczej kontemplacyjne. Zawsze czytałam dużo. Znam wszystkie powieści Wandy Miłaszewskiej<sup>35</sup> i wszystkie wiersze Kazimierza Wierzyńskiego<sup>36</sup>. Te zresztą przeczytałam na złość ojcu. Pojąć nie umiem, dlaczego mu się nie podobają. Wiersze, jak wiersze. Ale sam autor jest przecież czarujący.

Ma tyle wdzięku i jest bardzo przystojny. Skoro już mowa o poezji, to znacznie przewyższa urodą wszystkich poetów, jakich znam.

Nigdy nie zapomnę jego precyzyjnego wiersza o jesieni:

Przyszła ciszą miłosierna ksieni:  
Siódma jesień — najzłotsza, najśłodsza  
Z wszystkich złotych i słodkich jesieni.  
Moja jedna — jedyna — kochana.  
Przyszła ciszą — drogą długich cieni,  
Naszych cieni od dawnych jesieni,  
I wszeptła się w nas, zadumana...

Nawet Toto, który jest zupełnie impregnowany przeciw wszelkiemu pięknu, zachwycał się tym wierszem.

*Aczkolwiek w zupełności podzielam zachwyt autorki pamiętnika dla wyżej cytowanego wiersza, chciałbym dodać tu małe sprostowanie. Mianowicie jest to wiersz, a raczej początek wiersza pod tytułem Siódma jesień Juliana Tuwima. Pani Renowicka popełniła błąd przypisując go komu innemu. (Przypisek T. D. M.)*

<sup>35</sup>Miłaszewska, Wanda (1894–1944) — pisarka polska, żona Stanisława Miłaszewskiego, tłumacza, dramaturga i dziennikarza, redaktorka działu teatralnego tygodnika dla kobiet „Bluszcz” (1921–1928). Była autorką jedenastu powieści (*Cmentarz i sad* 1924, *Zatrzymany zegar* 1926, *Stare kąty* 1929, *Młyn w Bożej Woli* 1930, *Czarna Hańcza* 1931, *Święty więz* 1937 i in.), w których udawało się jej skupić całą uwagę na opisach przyrody, urokach życia na tzw. Kresach czy uczuciowych niuansach, całkowicie unikając głębszego kontekstu społeczno-politycznego właściwego dla opisywanych miejsc i czasów. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>Wierzyński, Kazimierz (1894–1969) — poeta, prozaik i eseista polski; pochodził z Drohobycza, podczas I wojny światowej walczył w Legionie Wschodnim gen. Hallera i dostał się do niewoli ros.; znalazłszy się w Warszawie, zaczął współpracować z pismem młodzieży akademickiej „Pro Arte et Studio”, dołączył do grupy poetów urządzających w l. 1918–1919 wieczory w kawiarni Pod Picadorem i wraz z Julianem Tuwimem, Antonim Słonimskim, Janem Lechoniem i Jarosławem Iwaszkiewiczem był współtwórcą grupy poetyckiej Skamander; debiutował tomikiem *Wiosna i wino* (1919). Radosny, lekki ton właściwy dla pierwszej fazy dwudziestolecia międzywojennego, obecny jeszcze w zbiorze *Wróble na dachu* (1921) i w wierszach dotyczących sportu (*Laur olimpijski* 1927, złoty medal Amsterdam 1928), porzucił wkrótce, jak wielu innych, na rzecz katastrofizmu (np. w tomach *Rozmowa z puszcza* 1929, *Pieśni fanatyczne* 1929, *Gorzki urodzaj* 1933). Sam najwyższej cenil zbiór utrzymanych w tonie romantycznym poematów *Wolność tragiczna* (1936), których tematem jest postać marszałka Piłsudskiego oraz poczucie groźby wiszącej nad niedawno odzyskaną wolnością Polski. [przypis edytorski]

Czytam mnóstwo poezji. Nawet gdy gdzieś wyjeżdżam, zawsze zabieram ze sobą *Toi et moi*<sup>37</sup>Geraldiego<sup>38</sup>.

Mój Boże! Już dziewiąta, a ja się jeszcze nie przebrałam. O dziesiątej miałam się spotkać z Totem. Znowu będzie robił kwaśne miny.

Powinien w ogóle Bogu dziękować za to, że się chcę z nim widywać.

Czwartek

Nareszcie przyjechał Jacek. Musiał w Paryżu bardzo dużo pracować albo lumpować, bo zmizerniał i stał się bardziej nerwowy. Przyjechał bardzo wcześnie, kiedy jeszcze spałam. Dowiedziałam się od Józefa, że zaraz po wzięciu kąpieli mówił z kimś przez telefon prawie godzinę. Nietrudno było mi się domyślić, że mówił z nią.

Pierwsze śniadanie jedliśmy razem w buduarze. Jacek powiedział:

— Nie chcę cię martwić, ale zdaje się, że będę musiał podać się do dymisji.

Oniemiałam. Jacek, który tak kocha swoją pracę, który jest na drodze do najświetniejszej kariery, któremu wszyscy przepowiadają wspaniałą przyszłość, miałby wyrzekać się swego stanowiska. Od razu domyśliłam się, że to przez tę kobietę. Widocznie zagroziła mu denuncjacją i on nie znalazł innego sposobu uniknięcia skandalu. Jeżeli ta baba spełni swoje pogroźki, skandal będzie i tak. Tęgo się nie da uniknąć, ale Jacek już nie jako osobistość oficjalna, lecz jako człowiek prywatny, przynajmniej nie skompromituje swego urzędu.

— Czy możesz mi powiedzieć szczerze — zapytałam — tak zupełnie szczerze, co cię skłania do dymisji?

Nadałam swemu głosowi barwę najserdeczniejszej przyjaźni i myślałam, że wreszcie ten skryty człowiek pomówi ze mną otwarcie. On jednak znowu uciekł się do wykrętów. Powiedział:

— To przecież jasne. Z mojej winy nader ważne dokumenty państwowe dostały się do rąk szpiegów.

Spojrzałam nań niemal z pogardą.

— Jak to? Więc chcesz we mnie wmówić, że grozi ci dymisja za tę jakąś głupią kopertę?!

— Po pierwsze, koperta wcale nie była głupia. Po drugie, nie miałem prawa jej trzymać w domu, a w każdym razie było moim obowiązkiem nie zapomnieć o niej przed wyjazdem do Paryża i oddać ją pułkownikowi Korczyńskiemu. Wprawdzie dokumenty pisane były szyfrem, jednak jest bardzo prawdopodobne, że ci, którzy je zdobyli, zdołają znaleźć klucz. Ponieważ zaś zdobyli w tak prosty i łatwy sposób, w oczach moich zwierzchników będę uchodził, a może już uchodzę za człowieka naiwnego i lekkomyślnego, któremu nie można powierzać tajemnic państwowych, bo ich nie potrafi ustrzec. Jeżeli bowiem...

Przerwałam mu:

— Mój drogi! Przede wszystkim ty tu nie ponosisz żadnej winy. Przecież to ja wydałam kopertę. I tylko idiota jakiś może obarczać cię odpowiedzialnością za to, co zrobiłam ja. Po drugie, jeżeli ty nazywasz to łatwym sposobem, to ciekawa jestem, jaki sposób nazwałbyś trudnym. Jeżeli zjawia się u mnie w domu oficer w mundurze, przedstawia się biletem wizytowym i mówi, że jest adiutantem pułkownika Korczyńskiego, a wszystko się to dzieje zaraz po twoim telefonie paryskim, to ja nie wiem, czy najprzebieglejszy człowiek na moim miejscu zawahałby się przez chwilę w wydaniu mu tych papierów. Nie, mój drogi. Rozumiem, że może istnieją jakieś inne powody, których nie chcesz wyjawiać, a które skłaniają cię do zrezygnowania z kariery dyplomatycznej, ale nie wmawiaj we mnie, że za takie głupstwo, popełnione w dodatku nie przez ciebie, lecz przeze mnie, mieliby cię usuwać. Wielka rzecz dokumenty. Wystarczy napisać inne i wszystko będzie w porządku. Już nie wiem, jakie byłyby tajne, to i tak zawsze można coś wymyślić. O, na przykład ogłosić w prasie, że to były dokumenty już nieaktualne. A zresztą, dlaczego się

<sup>37</sup>*toi et moi* (fr.) — ty i ja. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>*Géraldy, Paul* (1885–1983) — właśc. Paul Le Fèvre; fr. poeta i dramaturg; sławę przyniósł mu tom sentymentalnych liryków miłosnych *Toi et moi* wyd. w 1913 r.; pisał także psychologiczne sztuki teatralne. [przypis edytorski]

tym przejmujesz? Ja zawiniłam, niech mnie pociągają do odpowiedzialności. I już bądź spokojny. Ja im wszystko wytłumaczę i przemówię im do rozsądku.

Jacek bardzo posmutniał. Nie mógł przecież zaprzeczyć, że moje argumenty są nieodparte. Mruknął tylko:

— Nie znasz się, kochanie, na tych rzeczach.

To paradne. Takie rzeczy nie wymagają żadnego znanstwa. Wystarczy zwykła logika. A jeżeli się ma przy tym odrobinę sprytu, odróżnienie pretekstu od istotnych powodów nie nastęrcza już żadnej trudności. Pomimo wszystko postanowiłam nie godzić się na dymisję Jacka. Nie ze względów finansowych. Ostatecznie jesteśmy dość zamożni na to, by nie liczyć się z takimi drobiazgami jak jego uposażenie służbowe. Ale po prostu byłoby nonsensem wyrzekanie się stanowiska i świetnych perspektyw wówczas, gdy z tą całą Elisabeth Normann być może uda się załatwić sprawę po cichu. Jacek ma za mało hartu woli i uporu w charakterze.

— Słyszeć nie chcę o twojej dymisji. I to sobie zapamiętaj, że uważałabym taką rezygnację za nielojalność w stosunku do mnie. Bo i co byś robił, czym zająłbyś się, kim byłbyś po wyjściu z ministerstwa?... Nigdy się na to nie zgodzę. Poza tym uważam twoje zamiary za przedwczesne.

— Jak to przedwczesne? — zdziwił się.

— No, na razie ci nic przecież nie grozi — nadmieniłam wymijająco.

Zmarszczył brwi i powiedział sucho:

— Grozi mi to, że mogą mi sami udzielić dymisji.

— Mogą, ale nie wiadomo, czy udzielią. W każdym bądź razie nie widzę już w tym tak wielkiej różnicy, czy ty sam poprosisz o zwolnienie, czy oni cię zwolnią. A przez zbyt ni pośpiech możesz całkiem niepotrzebnie stracić stanowisko. Przyrzeknij mi zaraz, że w każdym razie nie przedsięweźmiesz nic w tym kierunku bez narady ze mną.

Wzruszył ramionami.

— To ci mogę obiecać.

O nic więcej mi nie chodziło. Ułożyłam sobie już cały plan działania. Pomówię dziś z kilkoma paniami, które mają bardzo dużo w ministerstwie do powiedzenia. Po pierwsze dowiem się, jakie tam panują nastroje co do Jacka, czy rzeczywiście mówi się coś o tej nieszczęsnej kopercie, a po wtóre zmobilizuję sojuszników na wypadek, gdyby istotnie pękła bomba z tą wstrętną Angielką. Nie ulega wątpliwości, że Jacek ceni mnie i kocha. Jednak i on pojęcia nie ma, jaką ma żonę. I ta kretyńska opowiada później, że nie dorosłam do Jacka! Jeżeli teraz uratuję mu stanowisko i uwolnię go od tej szantażystki, będzie mnie i tylko mnie wszystko zawdzięczał.

Jaka szkoda, że nie mogę się nikomu zwierzyć. Trzeba być bardzo ostrożną.

Przed południem musiałam być w biurze u pułkownika Korczyńskiego. Przyjął mnie nad wyraz serdecznie. Wcale nie był tak ponury jak w Holdowie. Postanowiłam zacząć od niego i wytłumaczyć mu, że winę za dostanie się koperty w ręce szpiegów ponoszę wyłącznie ja. Był tak uprzejmy, że się z tym nie zgodził.

Powiedział mi nawet, że to jest tylko przykry zbieg okoliczności. Oto był jeszcze jeden dowód nieudanej przebiegłości Jacka z wysuwaniem koperty jako pretekstu do dymisji.

Pułkownik poczęstował mnie herbatą i niesłuchanie miło gawędził ze mną o różnych rzeczach towarzyskich. Pytał, u kogo bywam, czy dobrze się bawię. Okazuje się, że zna moc osób z naszego świata i że podziela moje poglądy co do ich atrakcyjności. Wspomniał nawet mimochodem o stryju Albinie, ale widocznie musiał być również poinformowany o jego przykrych przeszłości, gdyż moje milczenie uszanował i nie napomknął już o stryju więcej.

W trakcie rozmowy do gabinetu wszedł wysoki, przystojny pan, którego pułkownik przedstawił jako swego przyjaciela. Nazwiska nie dosłyszałam, ale wyglądał bardzo nobliwie. Również prosił o filiżankę herbaty. Przesiedzieliśmy tak z pół godziny na miłej pogawędce. Otóż tak jest z mężczyznami. Jacek usiłował mnie nastraszyć, że w biurze u pułkownika czekają mnie same nieprzyjemności. Że też oni zawsze muszą przesadzać. Na samej sobie przekonałam się, że te urzędowe sprawy wcale nie są ani trudne, ani męczące. W ich ustach słowo „konferencja” nabiera jakiegoś niebotycznego patosu, a ja właśnie miałam konferencję i teraz wiem, że nie różni się ona niczym od zwykłej salonowej rozmowy.



Przyjaciel pułkownika wyszedł, przy pożegnaniu zapewniwszy mnie, że będzie szczęśliwy, jeżeli mnie kiedyś spotka. Miły i kulturalny człowiek.

Gdy znowu zostaliśmy sami, pułkownik powiedział:

— Ach, na śmierć zapomniałem o tym, że miałem panią prosić o przejrzanie tych fotografii. Mam tu sporo fotografii moich dawniejszych i obecnych współpracowników...

— Jak to? Więc nie chodzi o szpiegów? — zawołałam zdumiona.

— Wcale nie, proszę pani — zaśmiał się pułkownik. — Początkowo myśleliśmy, że istotnie to sprawa szpiegowska, przyszliśmy jednak do przekonania, że ponieważ dokumenty te w istocie rzeczy dotyczyły pewnych spraw personalnych... rozumie pani?... Kwestie awansu, przesunięć, nominacji...

— Oczywiście rozumiem — skinęłam głową.

— Więc nie mogło to wszystko obchodzić szpiegów. Tu raczej mamy do czynienia z czyjąś zbyt daleko posuniętą ciekawością. Prawdopodobnie któryś z zawiedzionych w swoich nadziejach panów zrobił kawał i przebrał się w mundur oficerski, by udawać porucznika Sochnowskiego. Sprawa przez to nie przestała być przykra ani ważna. Zdaje pani sobie sprawę z tego, że podobnych wybryków tolerować nie mogę i muszę wyśledzić winowajcę. Dostanie za to porządną reprimendę, a może i parę tygodni aresztu.

Uspokoili mnie to zupełnie. Więc z takiego drobiazgu Jacek robił wielkie rzeczy.

Powiedziałam pułkownikowi:

— A niech pan sobie wyobrazi, że mój mąż tak wziął sobie do serca tę sprawę i tak ją wyolbrzymił, że chciał nawet z tego powodu podać się do dymisji. Niech pan oczywiście będzie łaskaw nie mówić mu, że wspomniałam o tym.

Pułkownik jakby spoważniał, lecz tylko na mgnienie oka, i zaraz uśmiechnął się:

— Niech Bóg broni. Gdyby to była nawet najpoważniejsza sprawa, wina pana Renowickiego nie jest tego gatunku, by mogła pociągnąć za sobą dymisję. Może pani powtórzyć mężowi, że słyszała pani ode mnie, że widziałem się z jego zwierzchnikami, którzy są tego samego co i ja zdania.

— Od początku byłam o tym przekonana, panie pułkowniku. Mój mąż jest przesadnie skrupulatny na punkcie odpowiedzialności nawet w tych wypadkach, gdy cała odpowiedzialność spada na mnie.

— Na niepomysłny zbieg okoliczności — powtórzył pułkownik z ukłonem. — Pan Renowicki przecież mając tak inteligentną i tak wyrobioną żonę, której pozazdrościć by mu mógł niejeden dyplomata, nie miał powodu do liczenia się z ewentualnością aż tak przebiegłych podstępów ze strony niepowołanych osób. Ale właśnie *à propos* osób niepowołanych mam do pani serdeczną prośbę. Wspominano mi, że pani rozmawiała o sprawie owej koperty z jednym z kolegów męża. Widzi pani, gdyby się wiadomości o tym rozeszły po mieście, sprawiłoby to mi ogromną przykrość. Dotknęłoby mnie osobiście. Powiedziano by, że w moim biurze wśród moich podwładnych są ludzie zdolni do tak nieodpowiednich i po prostu brzydkich psikusów... Może jestem przewrażliwiony na punkcie mego biura, ale proszę panią, bardzo proszę, jako o grzeczność w stosunku do mojej osoby, by pani zechciała nikomu, ale to absolutnie nikomu o tym nie mówić więcej.

Oświadczyłam mu natychmiast, że w ogóle nie jestem plotkarką, że sprawy personalne jego biura nic mnie nie obchodzą, że jego uważam za czarującego pana, któremu niczego nie umiałabym odmówić. Przynęłam też zapomnieć o całej tej historii. To ukontentowało go zupełnie. Pocałował mnie trzy razy w rękę, oświadczył, że liczy na mnie jak na Zawiszę, i powiedział:

— Teraz pokażę pani galerię moich podwładnych.

Wyjął z szuflady biurka moc fotografii najprzeróżniejszego formatu. Od małych amatorskich zdjęć aż do dużych gabinetowych. Przejrzałam je wszystkie bardzo uważnie, niektóre po kilka razy, lecz nie znalazłam wśród nich fałszywego porucznika Sochnowskiego. Natomiast ubawiła mnie szczerze jedna fotografia. Przedstawiała ona jakiegoś listonosza czy gajowego (nigdy nie mogłam nauczyć się rozróżniać tych mundurów, Danką umie je wszystkie na wrywkę), młodego człowieka z wąsikami *à la*<sup>39</sup> Adolf Menjou<sup>40</sup> i hisz-

<sup>39</sup>*à la* (fr.) — niby, w stylu, na modłę. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>*Menjou, Adolphe Jean* (1890–1963) — amer. aktor filmu niemego i dźwiękowego, współpracował z gwiazdami kina: Polą Negri, Marleną Dietrich, Charliem Chaplinem; w 1931 r. był nominowany do Oskara za rolę

pańską bródką. Był ogromnie podobny, ale to ogromnie do Roberta. Gdyby nie zarost, nie ten mundur i nie okulary, wyglądałby jak jego bliźniak. Mimo woli przytrzymałam tę fotografię trochę za długo w ręku i to zwróciło uwagę pułkownika.

— Czy pani zna tego człowieka? — zapytał.

Lekko się przestraszyłam i najkategoryczniej zaprzeczyłam:

— Ale skądże, proszę pana?! Skądże ja mogę znać jakiegoś listonosza?

— Może on pani kogoś przypomina? Kogoś ze znajomych?

Zaśmiałam się już zupełnie swobodnie.

— Upewniam pana, że nikogo. Staram się dobierać znajomych jak najmniej podobnych do listonoszów.

Śmieliśmy się oboje, a chociaż nie znalazłam owego fałszywego porucznika, pułkownik widocznie wcale się tym nie zmartwił. Ja w głębi duszy byłam nawet z tego zadowolona. Nie chciałabym się przyczynić do jakichś przykrości, na które bym naraziła owego fałszywego czy niefałszywego porucznika, gdybym go rozpoznała między fotografiami.

Chociaż przez niego miałam początkowo sporo kłopotów, nie zwykłam długo chować żalu do nikogo. Mściwość nie leży w moim charakterze. Jeżeli ten miły chłopak zdoła wykręcić się od kary — będę naprawdę rada.

Teraz, kiedy spadła mi z głowy cała ta historia, będę mogła całkowicie poświęcić się sprawie bigamii Jacka.

Za każdym razem, gdy wymawiam to wstrętne słowo, przeraża mnie ono. Myślę wówczas, że Jacek był człowiekiem podłym, żeniąc się ze mną. I nawet nie uprzedzając mnie o tym, że już był żonaty, że podłość swą posuwa bardzo daleko, nie chcąc mi się teraz zwierzyć i zostawiając mnie w całkowitej niepewności, w ciągłym lęku przed czymś, co może obuchem spaść na mnie i zniweczyć, jeżeli nie całe moje życie, to w każdym razie moją pozycję towarzyską, moje dobre imię itd.

Wróciłam do domu bardzo rozgoryczona i bardzo źle usposobiona do Jacka. Podczas gdy ja załatwiam jego sprawy, gdy narażam się na jakieś wizyty w wojskowych biurach, gdy odbywam konferencję i dbam o jego karierę, on uważa mnie za istotę obcą, której nie chce wyznać prawdy, z którą nie chce mówić o kwestiach, od których zawisa nasza przyszłość. To nie jest lojalne. To nawet nie jest uczciwe. Doprawdy niewiele brakowało, bym tego wszystkiego nie powiedziała mu prosto w oczy. Doświadczenie jednak nauczyło mnie panowania nad najsilniejszymi impulsami.

Spokojnie i rzeczowo opowiedziałam mu o swojej bytności u pułkownika. Wyraźnie ucieszył się, gdy powtórzyłam, co pułkownik mówił o jego dymisji. Nie uszło mojej uwagi, że ta radość była sztuczna. Musiał już do końca grać komedię. Ciekawa jestem, jaki nowy pretekst wymyśli, by odsunąć się od życia publicznego?... Niby od niechcenia zapytałam go, dlaczego podniósł pieniądze z banku. Ach, jaki on jest opanowany! Ani mrugnął. Widocznie był przygotowany na to pytanie.

— Prosił mnie Stanisław — powiedział spokojnie — bym mu pożyczył. Miał jakieś niespodziewane trudności finansowe w związku z inwestycjami w swojej fabryce.

Od razu wydało mi się to nieprawdopodobne. Narzeczony Danki zawsze ma moc pieniędzy. Wiem nawet, że do spółki z moim ojcem finansowali niedawno jakiś wynalazek. Zresztą nie będzie nic łatwiejszego — myślałam sobie — jak sprawdzić to u samego Stanisława. Jacek jednak okazał się przebiegły ode mnie, bo zaraz dodał:

— Bądź łaskawa, kochanie, nie mówić o tym nikomu, gdyż Stanisław bardzo mnie prosił, by o tej pożyczce nikt się nie dowiedział. Chodzi mu zwłaszcza o twego ojca.

Nie mogłam się powstrzymać od rzucenia luźnej uwagi:

— To bardzo dowcipnie pomyślane.

— Mianowicie co? — udał zdziwienie.

— No, cała ta historia Stanisława. Ale mniejsza o to.

Wziął mnie za rękę.

— Posłuchaj, Hanko — zapytał z uśmiechem — a może sądzisz, że ja te pieniądze przehułałem w Paryżu?

Wzruszyłam ramionami.

---

w filmie *Strona tytułowa* (The Front Page); nosił charakterystyczny zarost: wąsy wystrzyżone w kształt trójkąta od nosa ku kącikom ust. [przypis edytorski]

— Nie mam prawa wtrącać się do twoich pieniędzy. Gdybyś je nawet przehulał, o co cię zresztą nie posądzam, miałbyś ku temu wszelkie prawa. Wiesz dobrze, że pieniądze mnie nie interesują. Było mi tylko trochę przykro, że nie uważałeś za stosowne powiedzieć mi o tym ani słowa. W ogóle ostatnio zrobiłeś się tajemniczy. Ty właściwie wcale ze mną nie rozmawiasz. Nie mogę pozbyć się wrażenia, że coś cię gnębi i że ukrywasz to przede mną.

Jacek bardzo spoważniał i milczał przez dłuższą chwilę. A potem zaczął mówić:

— Moja Haneczko, nie chcę przed tobą ukrywać niczego, co by w jakimkolwiek stopniu mogło dotyczyć nas obojga. I jeżeli widziałaś symptom mojej rzekomej skrytości w tym, że nie wspomniałem ci o pieniądzach pożyczonych Stanisławowi, to zaraz ci to wyjaśnię. Owe pięćdziesiąt tysięcy podniosłem i dałem Stanisławowi w dniu swego wyjazdu do Paryża. W dniu tym dosłownie nie miałem chwili wolnej i zajęty byłem tysiącnymi sprawami. Sama o tym wiesz dobrze. Jeżeli zaś chodzi o to, że coś mnie gnębi...

Tu zrobił pauzę i dodał, nie patrząc mi w oczy:

— Muszę ci przyznać, że intuicja cię nie zawiodła. Istotnie mam pewne przykrości. Nawet dość poważne przykrości. Nie dotyczą one ani naszego życia, ani mojego stanowiska, ani w ogóle terażniejszości.

Umilkł znowu, a ja zatrzymałam oddech.

— Widzisz, kochanie — mówił — kiedyś, kiedy byłem jeszcze młody i niedoświadczony, popełniłem pewną lekkomyślność. Miałem wszelkie podstawy do mniemania, że następstwa tej lekkomyślności zostały już dawno całkowicie unieszkodliwione. Obecnie, najnie spodziewaniej w świecie, zjawily się pewne echa mego nieopatrzego czynu i echa te sprawiają mi niejakie trudności. Wołałem o tym wszystkim zamilczeć przed tobą. Więcej. Uważam to milczenie za konieczne z bardzo wielu względów.

Potrząsnęłam głową.

— Nie uznaję żadnych względów, które między mężem i żoną wznoszą mur tajemnic. Mąż powinien uważać żonę za najwierniejszego swego przyjaciela, jeżeli ją oczywiście kocha.

Jacek ukląkł przy mnie i patrząc mi w oczy zapytał:

— Czy możesz wątpić, że cię kocham? Że kocham cię najmocniej i najgłębiej?

Był po prostu cudowny z tymi wilgotnymi oczami i z tym lekkim drżeniem w głosie. W jednej chwili zrozumiałam, że muszę mu wierzyć, że nie tylko on mnie kocha, lecz i ja go jedyne go i ponad wszystkich kocham najgoręcej. Byłam już skłonna zrezygnować z wszystkich podejrzeń, wyrzec się wszystkich pytań i dociekań, lecz jakiś duch przekory kazał mi powiedzieć:

— Wiem, że mnie kochasz, tylko nie wiem, dlaczego nie chcesz mi dać na to żadnych dowodów.

— Hanko! — zawołał. — A jakichże jeszcze dowodów ode mnie żądasz?

— Nie żądam niczego. Ale wolno mi oczekiwać od ciebie otwartości.

Wziął moje ręce i ściskając je mówił:

— Musisz mi wierzyć, gdy cię zapewniam, że zanadto ciebie szanuję, bym miał teraz, zanim nie zdołam tej sprawy załatwić, zabrudzać twoją wyobraźnię i twoje czyste myśli tymi wstrętnymi rzeczami.

— Aż wstrętnymi?...

— Tak. Gdy już wszystko przeminie, a mam prawo tego się spodziewać, zupełnie inaczej będę ci mógł to przedstawić i ty to zupełnie inaczej przyjmiesz.

Mówił jeszcze długo i tak przekonywująco, powoływał się na swoją uczciwość w stosunku do mnie, której rzeczywiście nie mogłam zaprzeczyć, że w końcu musiałam uwierzyć w jego dobre intencje.

Pomimo to ani przez chwilę nie zastanawiałam się nad tym, czy pozostawić sprawę Jackowi, rezygnując z dochodzeń na własną rękę. Po dzisiejszej mojej bytności u pułkownika Korczyńskiego jeszcze bardziej utwierdziłam się w przekonaniu, że wszystko potrafię lepiej załatwić niż Jacek. Niepokoi mnie brak telefonu od stryja Albina. Ta ruda wydra gotowa mu jeszcze tak zawrócić w głowie, że zapomni o tym, w jakim celu ją poznał. Wprawdzie jest patentowanym kobieciarzem, ale najsprytniejszy mężczyzna w tych sprawach wobec każdej ładnej kobiety staje się bezbronnym jagnięciem. Trzeba

tylko umieć z nimi postępować. A już ta Angielka na pewno nie z jednego pieca chleba jadła.

Jednego pojąć nie mogę, dlaczego porzuciła Jacka wkrótce po ślubie? Przecież on jest naprawdę czarujący i dla każdej kobiety byłby doskonałą partią.

Wieczorem mieliśmy kilkanaście osób na obiedzie. Wszystko udało się doskonale. Toto, ten przysięgły smakosz, powiedział, że takiego combra sarniego nie jadł jak żyje. Krem z kasztanami też był znakomity. Tylko na maderze<sup>41</sup> nikt się nie poznał, chociaż była bez porównania lepsza niż na ostatnim obiedzie u ministra. Nie warto było wycyganiać jej od mamy.

Nareszcie rozeszli się około dwunastej i mogę teraz spokojnie spisać wrażenia ubiegłego dnia. W sypialni u Jacka siedzi ciotka Magdalena i zanudza go jakimiś opowiadaniem. Już mniej mam żalu do niej, gdyż przyjęcie naprawdę się udało. Jak bardzo się cieszę, że Jacek jest już w Warszawie. Powiedziałam Totowi, że będę mogła znacznie rzadziej się z nim spotykać. Zmartwił się szalenie. I to bardzo dobrze. Niech mu się nie zdaje, że wszystko w życiu przychodzi tak łatwo.

Co będzie jutro? Każdy dzień teraz przynosi mi coś nowego i frapującego. Niewiele kobiet może się pochwalić życiem tak bogatym jak moje. Myślałam o tym, że może kiedyś napiszę powieść o sobie. Gdy dziś wieczorem powiedziałam to Witkowi Gombrowiczowi<sup>42</sup>, bardzo mnie do tego zachęcał. Jak to on określił?... Aha! Że spowiedź Rénana zblednie przy mojej powieści. (Nie jestem pewna, czy Rénana<sup>43</sup>, czy Rousseau<sup>44</sup>, a może Rimbauda<sup>45</sup>. W każdym razie jakiegoś francuskiego pisarza na R). Bardzo to ładnie powiedział. Muszę koniecznie przeczytać jakąś jego książkę, chociaż Muszka czytała i twierdzi, że nic z tego zrozumieć nie może. Zawsze byłam zdania, że nie jest inteligentna. Jak można nie zrozumieć książki. Ja rozumiem wszystko, nawet te astronomiczne rzeczy Jeansa.

Muszę jutro koniecznie kazać sobie zwięzić karakuły i zmniejszyć kłosz u dołu.

Nareszcie ciotka poszła do siebie. Prawdę mówiąc, stęskniłam się za Jackiem.

Piątek

Przyjechał Robert. Miałam prawdziwie miłą niespodziankę, gdy w słuchawce zamiast głosu tej jego rozwyrzonej pokojówki usłyszałam jego ciepły baryton. To mi poprawiło humor na cały dzień, bo obudziłam się w fatalnym nastroju. Każda na moim miejscu byłaby wściekła. Czy tak powinien postępować mąż po tak długiej swojej nieobecności? Już kiedy weszłam wczoraj do jego sypialni, nie raczył zauważyć, że mam nowy, prześliczny szlafroczek. Trzy razy mi go przerabiano, zanim wykończono. Prawdziwe чудо: biały, matowy jedwab, bardzo gruby, skrojony na wzór franciszkańskiego habitu. Z kapiszo-

<sup>41</sup>madera — rodzaj mocnego wina portugalskiego z atlantyckiej wyspy Madera; wino znane w Europie od XVIII w., wytrawne lub słodkie, dojrzewające w wysokich temperaturach, wzmacniane do uzyskania 17–22% alkoholu. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>Gombrowicz, Witold (1904–1969) — powieściopisarz, nowelista i dramaturg polski, z wykształcenia prawnik; debiutował zbiorem opowiadań *Pamiętnik z okresu dojrzewania* (1933), pisywał felietony literackie i recenzje w „Kurierze Porannym” i in. czasopiśmie, obracał się w warszawskich kręgach młodych pisarzy i intelektualistów w warszawskich kawiarniach Zodiak i Ziemiańska. Wydana pod koniec 1937 r. powieść *Ferdydurke* utwierdziła jego pozycję jako pisarza; przed wybuchem II wojny światowej opublikował jeszcze w czasopiśmie „Skamander” opowiadania: *Na kuchennych schodach* (1937) oraz *Szczur*, tragicznej *Iwona, księżniczka Burgunda* (1938), a także (pod pseudonimem) powieść *Opetani* (1939). W przededniu wojny wyjechał do Argentyny; pozostał na emigracji do końca życia. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>Rénan, Ernest (1823–1892) — fr. pisarz, historyk, filolog, orientalista, filozof, historyk religii; najslawniejszą jego książką był *Żywot Jezusa* (1863, wyd. pol. 1904), stanowiący pierwszą część *Historii początków chrześcijaństwa* (1863–1883), wśród odbiorców sensacją i ożywienie spowodowało sceptyczne, demitologizujące i całkowicie świeckie podejście do poruszanego tematu. Rénan wydał również wspomnienia (*Souvenirs d'enfance et de jeunesse* 1883), wątpliwe jednak, aby do nich odnosiła się wzmianka bohaterki *Pamiętnika pani Hanki*. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>Rousseau, Jean-Jacques (1712–1778) — genewski pisarz i filozof tworzący w jęz. fr., przedstawiciel oświecenia, encyklopedysta; autor m.in. traktatu *Umowa społeczna* zawierającego demokratyczną wizję państwa; poematu dydaktycznego o wychowywaniu w zgodzie z naturą zatytułowanego *Emil* oraz autobiograficznych *Wyznań* stanowiących jeden z fundamentalnych utworów literatury intymnej. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>Rimbaud, Arthur (1854–1891) — fr. poeta operujący mrocznym, wizyjnym symbolizmem oscylującym w kierunku surrealizmu, rozrywający dotychczasowe formy wyrazu, filozoficznie zbliżający się do egzystencjalizmu; zaliczany do grona poetów przeklętych (*poètes maudits*), twórców-buntowników, partner poety Paula Verlaine, autor cyklów poetyckich *Sezon w piekle*, *Iluminacji* (poematy napisane wierszem wolnym) oraz poematu narracyjnego *Statek pijany*. [przypis edytorski]

nem i z niesłuchanie szerokimi rękawami. Fałduje się nadzwyczajnie i daje niesłuchanie efektowną oprawę dla głowy. Gdybym mogła w nim pokazać się Robertowi, oszalałby z zachwytu. Trzeba być absolutnie pozbawionym zmysłu estetycznego, by tego nie dostrzec.

A Jacek w odpowiedzi na mój pocałunek zapytał:

— Czy nie masz mi nic do powiedzenia?

Ton jego był lodowaty, a w spojrzeniu miał jakby naganę.

— O co ci chodzi? — zapytałam.

Już w tej chwili coś mnie tknęło, że ciotka musiała na mnie naplotkować. W zachowaniu się Jacka podczas całego dnia było tyle serdeczności i nagle taki ton!

— Chodzi mi o to — powiedział — że wolę nie dowiadywać się od osób trzecich o tym, że moja żona podczas nieobecności męża przyjmuje kogoś, kogo ja nie znam, widuje się z jakimś panem w jakichś knajpkach itd. Nie chcę, byś mnie źle zrozumiała. O nic cię nie podejrzewam. Uważam jednak, że jeśli masz jakieś flirty, zwykła przyzwoitość nakazuje ci poinformować mnie o tym.

Byłam tak oburzona, że z trudem powstrzymałam się od powiedzenia:

„Jakim prawem ty, ty, który jesteś bigamistą, dajesz mi tutaj jakieś nauki moralne?!”

Ale opanowałam się i zapytałam:

— Czy chciałbyś, żebym wierzyła również wszystkim plotkom, jakie ktoś może wymyślić o tobie?

Jacek poczerwieniał. (Może on oprócz tej rudej wydry ma jeszcze coś na sumieniu?) Zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

— Tu nie chodzi o plotki, lecz o rzeczy konkretne.

— Wiem, wiem. To ta twoja kochana ciotunia. Ubrdała sobie, że pośrednik od sprzedaży placów jest moim kochankiem. To jest nie do uwierzenia, ile wstrętnych rzeczy siedzi w głowie takich starych, zjełczałych panien! Naturalnie! Teraz już jestem zdemaskowana, mam kochanka pośrednika, drugiego kominiarza i trzeciego zamiatacza ulic. Nie wspomniała ci ciotka czasami o szwadronie kawalerii?!

— Uspokój się, kochanie — powiedział Jacek. — Wcale nie mówiła, że masz kochanka. Niesłusznie ją posądzasz o tak niedorzeczne podejrzania. W ogóle jak możesz używać takich przykrych słów? Po prostu twierdziła, że dwa razy widziała ciebie z jakimś panem, którego określiła jako bardzo przystojnego, *gentleman-like*, który absolutnie nie wyglądał na pośrednika.

— Nie wiem, czy ciotka posiada jakieś specjalne przepisy na wygląd pośredników — wzruszyłam ramionami. — Ja w każdym razie na to nie mam żadnego wpływu.

— Jednak ciotka Magdalena twierdzi, że później był i prawdziwy pośrednik...

— Twoja ciotka jest kretynką. W głowie jej się nie może pomieścić fakt, że w Warszawie może istnieć dwóch pośredników od handlu placami.

— Tak. Ale ja powierzyłem sprzedaż naszego placu temu grubemu Łaskotowi.

— Mój drogi. Jesteś prawie tak nudny jak twoja ciotka. Więc czy nie możesz wyobrazić sobie, że ten twój Łaskot, czy jak się on tam nazywa, z kolei powierzył sprawę jakiemuś innemu Drapaczowi?

— Drapaczowi?

— Ach, wszystko mi jedno, jak się ci pośrednicy nazywają. Chyba nie zamierzasz mnie zmuszać do prowadzenia ksiąg heraldycznych pośredników warszawskich!

Jacek zreflektował się i powiedział:

— Masz rację, kochanie. Jeżeli w ogóle wziąłem pod uwagę to, co mi opowiedziała ciotka, to tylko dlatego, żeś mi wcale nie wspominała o tym, że widziałaś się z jakimkolwiek pośrednikiem. Nie rozumiem tylko, dlaczego spotykałaś się z nim w jakiejś knajpce?...

— Właśnie w knajpce! Cudowne prawdopodobieństwo! Oczywiście ciotka Magdalena chodzi po knajpkach. Jesteś zupełnie nieprzytomny, jeżeli możesz w to uwierzyć. Najzwyczajniej w świecie wychodziłam z domu po ciastka i spotkałam tego pośrednika w bramie. Towarzyszył mi do cukierni na rogu i to wszystko. Jeżeli zaś nie wystarczają ci moje wyjaśnienia i będziesz się dalej upierał przy tym temacie, wiedz jedno: jeżeli jeszcze raz usłyszę słowo „pośrednik” — pakuję swoje rzeczy i wyjeżdżam do Holdowa.

Byłam wściekła, wprost wściekła!

— I jeszcze jedno — dodałam. — Mam dość ciotki Magdaleny. O jedną z nas jest tu za dużo. Nie życzę sobie mieć tej pani w domu. Albo ona się wyprowadzi, albo ja. Wiedz o tym, że nie zmienię swego postanowienia.

To powiedziawszy, wyszłam do swego pokoju i demonstracyjnie przekręciłam klucz w zamku. Stał z pięć minut pod drzwiami, przepraszając mnie i błagając, bym się nie gniewała. Nie odpowiedziałam ani słowa. Ma się rozumieć przez pół nocy nie zamknęłam oczu. Z rana nie przywitałam się z ciotką. Nalewała kawę w jadalni i przeszłam obok niej jak obok sprzętu. Widziałam, że się przeraziła. Ja tę idiotkę nauczę jeszcze rozumu! Jackowi na dzień dobry powiedziałam tonem właścicielki pensjonatu, która zwraca się do nowego gościa:

— Co pozwolisz na śniadanie?

Był skruszony i smutny, ale nie zdołał mnie wzruszyć. Byłam ciekawa, czy przestał wierzyć w idiotyzmy ciotki, ale niestety, wytelefonowano go do ministerstwa. Wtedy właśnie zadzwoniłam do Roberta.

I to poprawiło mi nastrój. Ciekawa byłam, jak mnie powita. Umówiliśmy się na piątą.

Miałam jeszcze jedną przyjemność. Mianowicie przypomniałam sobie, że dziś właśnie mamy proszone śniadanie u Halszki. Wiedziałam, jak bardzo jej zależy na mnie. Umyślnie urządziła to śniadanie, bym mogła poznać tego prezesa Hucula, który widział mnie kiedyś nad morzem i teraz specjalnie z Katowic przyjedzie, by mnie poznać. Jej mężowi bardzo zależy na Hucule, ze względu na jakieś interesy. Oczywiście obiecałam, że będę, i dopiero przed samą drugą zadzwoniłam, że okropnie mnie boli głowa i nie przyjdę. Wyobrażam sobie, jak ten Hucul będzie wściekły. Dobrze jej tak.

Z zachowaniem wszystkich ostrożności (Jacek zdaje się poważnie mnie podejrzewa) pojechałam na Żoliborz. Stryja nie zastałam. Co się z nim dzieje?!... Coraz bardziej się niepokoję. Wróciłam do domu skwaszona i wpadłam w ramiona Danki. Wszyscy już wrócili z Holdowa. Ojciec, dzięki Bogu, ma się lepiej. Za kilka dni będzie już mógł chodzić. Portugalczyk przysłał (dziwny rodzaj ekspiacji) cztery skóry pum, upolowanych rzekomo przez niego gdzieś w Południowej Ameryce. Właśnie ojciec chce mi je dać. Naturalnie. Ja mam u siebie urządzać skład wszystkich niepotrzebnych rzeczy. Chyba te skóry położę w pokoju ciotki Magdaleny, by jej do reszty życie obrzydzić.

Punktualnie o piątą byłam już na Poznańskiej. Stanowczo Robert jest najbardziej czarującym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek znałam. Ciekawa byłam, jak usprawiedliwi swój wyjazd, lecz on jest wierny swemu stylowi. W ogóle nie wspomniał o tym ani słowem. Tylko powiedział:

— Nareszcie!

Jak wiele treści może zawierać jedno słowo. To jest zdumiewające. Był tak ujmujący, że nawet postanowiłam nie wspomnieć mu o tej pokojówce. Niech tam. Ma w oczach jakieś złote ogniki. Na pewno jest marzycielem, tylko ukrywa to przed ludźmi. Jaki on jest romantyczny. Cudownie spędziliśmy te dwie godziny. Jeżeli miałabym mu coś do zarzucenia, to jego przesadne zamiłowanie do muzyki. Ciągle każe mi podziwiać jakieś nowe płyty z Bachem, Beethovenem itd. Powiedział mi:

— Warto wyjeżdżać, gdy się wie, że ktoś czeka na nasz powrót.

On ma takie cudowne powiedzenia. Nie ma w nim nic banalnego. Toto przy nim przypomina manekina z *papier mache*. Niewątpliwie jeżeli chodzi o maniery i o możliwości finansowe, bez porównania przewyższa Roberta. Ale nie ma w sobie treści. W tym człowieku zawsze się czuje głębię. Nie ma w nim nic powierzchownego. Przy nim idzie się w nieznaną. To daje dreszczyk jakiegoś nieokreślonego niebezpieczeństwa i jednocześnie ufności. Każda kobieta mnie zrozumie. Nigdy nie wiem, o czym on myśli. Nigdy nie wiem, co powie, jak się zachowa.

Napisałam, że jest marzycielem, ale to wcale nie znaczy, że jest sentymentalny. Raczej przeciwnie. Tym właśnie różni się od Jacka. Uczuciowość Jacka ma w sobie wiele miękkości, co też nie jest pozbawione uroku. Obaj jednak są podobni do siebie pod wieloma względami. Sądzę, że Robert również mógłby być dobrym dyplomatą. Wyczuwam jednak w nim, chociaż tego niczym nie objawia, zdolność do czynów gwałtownych, może nawet okrutnych. Dziwne, że taki człowiek zajmuje się rzeczą tak prozaiczną jak handel. Nie chciałabym go widzieć targującego się czy rozmawiającego o sprawach jakichś dostaw towarów itp. To zepsułoby mi pejzaż jego duszy.

I on umie słuchać. Jak żywo reagują jego oczy i rysy, gdy mu opowiadam o sobie. Opowiedziałam mu o wypadku ojca i całą historię z tą kopertą. Komu jak komu, ale jemu przecież mogłam śmiało o tym powiedzieć. Jestem przekonana, że jeżeli istnieje dyskretny mężczyzna, to on jest nim właśnie. Bardzo się przejął moimi przeżyciami i śmiał się szczerze, gdy powtórzyłam mu moją ostatnią rozmowę z pułkownikiem Korczyńskim.

— No i pokazał ci w końcu te fotografie? — zapytał.

Teraz przypomniałam sobie owego listonosza (czy gajowego) i powiedziałam:

— Ależ oczywiście. I wyobraź sobie, jaka zabawna historia: wśród tych fotografii była jedna niesłychanie podobna do ciebie.

— Do mnie? — zdziwił się.

— Tak. Bardzo cię przepraszam, ale myślałabym, że to jesteś ty, gdyby nie ubiór. Jakiś uniform — nie gniewaj się — listonosza czy czegoś w tym rodzaju. Tylko się nie obrażaj. Kiedyś w Paryżu u Wortha widziałam modelkę, która była do złudzenia podobna do mnie. Czy ty nosiłeś kiedyś zarost?

Niecierpliwie wzruszył ramionami.

— Nigdy. Dlaczego o to pytasz?

— Bo ten jegomość na fotografii miał wąsy i hiszpańską bródkę.

— A to pięknie wyglądał — zaśmiał się Robert. — I cóż dalej z tą fotografią?...

— Jak to co? — zapytałam.

— No, czy powiedziałaś temu pułkownikowi, że znasz kogoś podobnego?

To mnie ubawiło.

— Ach, ty naiwny chłopcze! Oczywiście nic nie powiedziałam.

Zapytał mnie jeszcze, o której godzinie byłam u pułkownika. Nie miałam pojęcia, dlaczego go to interesuje. Potem zaraz spojrzął na zegarek, przeprosił mnie na chwilę i wyszedł z kuchni. Wrócił jakby trochę zdenerwowany i powiedział, że niestety, nie może mnie dłużej zatrzymać, bo spodziewa się wizyty jednego interesanta, o którym na śmierć zapomniał. Był jakby trochę zważony. Może niepotrzebnie mu powiedziałam o tym podobieństwie. Nikomu nie sprawia przyjemności podobieństwo osób nie z towarzystwa. Postarałam się zatrzeć to wrażenie i zdaje się, że to mi się udało. Pożegnał mnie bardzo czule i prosił, bym jutro zadzwoniła.

Wracałam do domu w świetnym nastroju. Zabawne, jak się czasem pamięta niektóre twarze. Wychodząc od Roberta spotkałam na ulicy tego jegomościa, który obzerał się jajecznicą w mleczarence na Żoliborzu. Sądzę, że dlatego zapamiętałam tak dobrze jego rysy, że jest to chyba najbardziej bezmyślna twarz, jaką w życiu widziałam.

W domu przekonałam się, że Jacek naprawdę wziął do serca to, co mu powiedziałam. Już w przedpokoju Józef mi zakomunikował, że ciotka Magdalena jutro rano wyjeżdża na wieś. Nareszcie pozbędę się z domu tej obrzydliwej kobiety. Prędko wzięłam kąpiel i pojechałam do fryzjera. Dziś mamy bal w ambasadzie francuskiej.

Niedziela

To straszne! Do tej chwili nie mogę się otrząsnąć z wrażenia. Jakie szczęście, że Jacek o niczym nie wie! Do śmierci nie zapomnę pułkownikowi tej jego delikatności. Jest naprawdę dla mnie bardzo dobry. Nie wyobrażam sobie, o co Jacek mógłby mnie posądzić, gdyby się dowiedział. W kostnicy omal nie zemdlalam.

Dowiedziałam się o wszystkim wczoraj rano. Gdy zadzwoniłam do Roberta po wyjściu Jacka, usłyszałam jakiś zupełnie obcy głos. Odłożyłam słuchawkę, co było rzeczą zupełnie zrozumiałą. Kiedy jednak po paru minutach wzięłam ją ponownie do ręki, przekonałam się, że tam się nie rozłączono. Ponieważ miałam pilną sprawę do Toli Woszczewskiej, zaczęłam się irytować, tym bardziej że wcale nie zależało mi na tym, by mój aparat był połączony z aparatem Roberta. Trwało to prawie pół godziny, zanim mogłam uzyskać połączenie z Tolą. A w pięć minut później zjawili się jacyś dwaj panowie. Tu rozgardiasz, ciotka wyjeżdża, a oni mi pokazują jakieś legitymacje i zaczynają wypytywać, czy to ja telefonowałam pod numer pana Roberta Tonnora. Oczywiście zaprzeczyłam kategorycznie. Byłam przerażona. Oświadczyli mi wówczas, że wszyscy domownicy muszą być natychmiast przesłuchani, bo ktoś z mego aparatu telefonował do pana Tonnora. Nie miałam wobec tego innego wyjścia i przyznałam się, że to ja. Ostatecznie telefon jest

rzeczą zwykłą. Telefonuje się tak samo do różnych osób, z którymi nas nic nie łączy, poza znajomością czy doraźnym interesem.

Wtedy poprosili mnie, bym ubrała się i pojechała z nimi. Gdy powiedziałam, że nie mam czasu, starszy z nich uśmiechnął się i najspokojniej w świecie powiedział:

— W takim razie będę musiał panią aresztować.

Zmartwiałam. Mnie aresztować?!

— Pan oszalał?! Jestem żoną radcy Jacka Renowickiego.

— Choćby pani była żoną samego ministra, nic by to nie pomogło. Daję pani pięć minut czasu na ubranie się.

Chciałam zadzwonić do Jacka, by mnie ratował, lecz nie pozwolili. Gdyby nie to, że miałam świeżo zrobione oczy, rozplakałabym się.

— Za co... za co mnie panowie aresztują? Co ja złego zrobiłam?!...

— Wcale pani nie aresztujemy. Musi pani tylko złożyć zeznania. I proszę się śpieszyć.

Cóż miałam począć? Pojechałam z nimi na wpół przytomna ze strachu. Uspokoiliam się nieco dopiero wtedy, gdy skonstatowałam, że przywieźli mnie do biura pułkownika Korczyńskiego. Tu już wiedziałam, że nic mi złego nie zrobią. Pułkownika jednak nie było. Wprowadzono mnie do innego gabinetu i tam przyjął mnie ten jego przyjaciel, którego niedawno poznałam. Był teraz w mundurze majora. Przywitał mnie bardzo chłodno. Wprost nie ten sam człowiek. Zapytał surowo:

— Od jak dawna pani zna Alfreda Vallo?

Zrobiłam wielkie oczy.

— Vallo? Wcale nie znam takiego człowieka.

— Więc wszystko jedno. Od jak dawna pani zna Tonnora?

Na wszelki wypadek powiedziałam:

— Też go nie znam... To jest znam go bardzo mało.

Major zmarszczył brwi.

— Uprzedzam panią, że musi pani mówić bezwzględnie prawdę. Człowiek, o którego panią pytam, jest wysoce niebezpiecznym szpiegiem. Nic mnie nie obchodzi sprawa pani intymnych stosunków. Obowiązana jest pani natomiast z całą ścisłością odpowiadać na pytania, które pani zadam. Więc od jak dawna pani go zna?

— Mój Boże! Poznałam go na początku tego miesiąca.

— Gdzie?

Nie mogłam mu przecież opowiadać całej historii z Halszką, więc powiedziałam:

— Już teraz sobie nie przypominam... Zdaje się, że w jakiejś restauracji czy kawiarni. Poznałam wówczas kilka osób, a między innymi pana Tonnora.

— Kto panią z nim poznał?

Z jakąż przyjemnością wpakowałabym w to wszystko Halszkę. Niech i ona miałaby takie przyjemności jak ja. Bo to przecież wszystko z jej winy. Kto mógłby pomyśleć, że Robert jest szpiegiem? Straszni ludzie. Jak oni umieją się maskować.

— Zupełnie nie mogę sobie przypomnieć — zapewniłam majora. — Musiał to zrobić ktoś przygodny.

— Czy Tonnor znał również pani męża?

— Ach, broń Boże!

— Jak często pani go widywała?

— Prawie wcale. Czy ja wiem? Może dwa razy w życiu...

Major przyglądał mi się z wyraźnym niedowierzaniem.

— Proszę pani. Musi mi pani mówić bezwzględnie prawdę. Jeżeli się okaże, że pani naprawdę nic nie wiedziała o tym, kim istotnie jest Tonnor, o pani zeznaniach nikt się nie dowie. Jak często pani bywała u niego?

— Nnno... kilka razy...

— Czy on również bywał u pani?

— Ależ uchowaj Boże!

— Czy pan Tonnor rozmawiał z panią o zajęciach pani męża? Czy w ogóle wiedział, jakie stanowisko zajmuje pan Renowicki w ministerstwie?

— Wcale się tym nie interesował.

— Czy pani przypomina to sobie z całą pewnością?



— Z absolutną pewnością — potwierdziłam. — Nigdy nie rozmawialiśmy o polityce czy o czymś takim, co może być ważne dla szpiegów. Mnie te rzeczy również nie zajmują. Oczywiście nie miałam pojęcia o tym, że on był szpiegiem. Robił wrażenie bardzo przyzwoitego i porządnego człowieka. I teraz mi trudno uwierzyć, że był szpiegiem. Wiedziałam, że ma przedsiębiorstwo eksportowe czy też importowe, które się mieści na Elektoralej.

Major skinął głową.

— To przedsiębiorstwo stworzone zostało dla zamaskowania jego właściwej roli. Kiedy ostatnio pani widziała Tonnora?

— Zdaje się, wczoraj.

— O której godzinie?

— Wieczorem, między piątą a siódmą.

Major nacisnął guzik dzwonka i na progu zjawił się, ku memu zdziwieniu, ten wstrętny jegomość, którego widziałam w mleczarence na Żoliborzu. Nie powiedział ani słowa, tylko przyjrzał mi się i kiwnął głową. Major ruchem ręki kazał mu odejść i spojrzał na mnie już jakoś łagodniej.

— Widzę, że pani mówi mi prawdę. Niechże pani dalej trzyma się tej metody. Zapewniam panią, że my wiemy bardzo dużo. I jeżeli pani poda nam coś nieprawdziwego, z łatwością to wykryjemy.

Byłam tak wystraszona, że ani mi do głowy nie przychodziło uciekać się do jakichś wykrętów. Drżałam tylko na myśl, że oni mogą powiedzieć o wszystkim Jackowi. To są bardzo niebezpieczni ludzie. Major zaczął mnie wypytywać, o czym ostatnio rozmawiałam z Tonnorem. Najbardziej interesowało majora, czy nie wspominał o zamiarze wyjazdu, czy nie wymieniał jakiegoś państwa albo miasta, czy nie obiecywał napisać do mnie.

Powiedziałam, że wcale nie zamierzał wyjeżdżać i że na pewno jest w Warszawie, bo dopiero co wrócił z jakiejś podróży handlowej. Major zamyślił się i po dłuższej chwili odezwał się do mnie bardzo surowo:

— Ten człowiek uciekł. Musi jednak przebywać jeszcze w Polsce. Wszystkie punkty graniczne są ściśle pilnowane. I nie ulega wątpliwości, że wcześniej czy później zostanie ujęty. Spodziewam się jednak, że będzie się starał jakoś skomunikować z panią, jeżeli stosunek, który państwa łączył, zawierał jakieś głębsze elementy uczuciowe...

— Ależ panie majorze... — przerwałam. — Mnie nic z nim nie łączyło. Daję panu na to słowo honoru.

Z jego miny wywnioskowałam, że mi nie uwierzył, ale zrobił niecierpliwy ruch ręką.

— To mnie mało obchodzi, proszę pani. Zależy mi natomiast na tym, by pani natychmiast dała mi znać, gdyby Tonnor przysłał pani depeszę lub list. Czy pani zna jego charakter pisma?

— Nie.

Major położył przede mną kilka arkusików papieru. Każdy był zapisany innym piśmem.

— Oto są próbki. Jeżeli pani otrzyma list pisany jednym z tych charakterów, musi pani natychmiast, nie otwierając koperty, przynieść mi list tutaj do biura. Jeżeli Tonnor zatelefonuje do pani, musi pani postarać się o to, by się od niego dowiedzieć, gdzie się znajduje. W żadnym zaś razie niech pani nie odkłada słuchawki na widełki. Rozumie pani? Da to nam możliwość sprawdzenia, z jakim aparatem pani była połączona. Przypuszczam, że mam prawo ufać pani i wierzyć, że zastosuje się pani ściśle do tych instrukcji. W przeciwnym razie musiałbym zarządzić kontrolę pani korespondencji i telefonu, co oczywiście nie należy do rzeczy przyjemnych.

Zapewniłam go, że może zupełnie na mnie polegać. Wtedy mnie zapytał, czy widywałam kogoś u Tonnora. Powiedziałam mu, że absolutnie nikogo, z wyjątkiem pokojówki.

— Czy zdołałaby ją pani rozpoznać?

— Oczywiście.

Gdy zaczął nakładać płaszcz, domyśliłam się, że mamy jechać do więzienia. Okazało się jednak znacznie gorzej. Samochód zatrzymał się przed kostnicą. Boże, jakież to straszne wrażenie! Przeprowadzono mnie przez ponurą salę, w której leżało wiele zwłok poprzykrywanych białymi prześcieradłami. W powietrzu panował nieznośny zaduch. Byłam bliska omdlenia. Jeszcze nigdy czegoś równie okropnego nie widziałam.

Gdy odsłonięto jej twarz, poznałam ją od razu. Była bardzo sina i miała otwarte powieki.

— Tak, to ona — powiedziałam. — Czy... czy ją zabili?

Major potrząsnął przecząco głową. A gdyśmy wyszli z kostnicy, wyjaśnił:

— Otruła się sama w chwili, gdy ją aresztowano na dworcu.

— Otruła się? Dlaczego? Czy ona była też szpiegiem?

— Tak. Jej współnik zdążył zbiec tylko dzięki charakterystyce. Ona wolała śmierć niż więzienie.

Byłam zupełnie roztrzęsiona. Wróciłam do domu i położyłam się do łóżka. Mój Boże, jakie okropne rzeczy dzieją się na świecie. Jakie to wszystko ohydne i podłe. Nie lubiłam jej, ale przecież była młoda i śliczna. Ci zbrodniarze wciągają w bagno swoich głupich spraw kobiety. To jest nieludzkie. Gdybym była prezydentem państwa, zabroniłabym kategorycznie wpuszczać do Polski szpiegów. W dodatku jeszcze mnie w to wszystko wplątano. Do śmierci tego nie przebaczę Halszce. Mrowie mi przechodzi po skórze, gdy sobie uprzytomnię, co za potworny skandal mógłby wyniknąć, gdyby ujawniono moje zeznania. Dla Jacka byłby to prawdziwy cios. A ojciec!... Lepiej nawet o tym nie myśleć!

Drzę teraz na myśl, że Tonnor może do mnie zadzwonić. Mój Boże, nie życzę mu źle, ale już wolałabym, by go wcześniej złapali.

Najpraktyczniej byłoby wyjechać. Chociażby do Hołdowa. Ale przecież nie mogę. Podczas mojej nieobecności Bóg wie, co by się mogło zdarzyć między Jackiem a tą kobietą. Muszę wszystkiego sama dopilnować. Jutro rano trzeba będzie pojechać do stryja Albina. Pojąć nie mogę, dlaczego nie daje o sobie znaku życia.

A teraz spać, spać za wszelką cenę.

Jacek jednak nie kłamał. Naprawdę pożyczył te pieniądze Stanisławowi. Przekonałam się dziś o tym na własne oczy. Jacek przy mnie otworzył kopertę przyniesioną przez urzędnika z fabryki. W kopercie były weksle na pięćdziesiąt tysięcy.

Z tego powodu powiedziałam stryjowi:

— Wątpię, czy ta kobieta była szantażystką. Gdyby żądała od Jacka pieniędzy, on na wszelki wypadek chciałby je zachować i nie pożyczałby ich nikomu. To mnie niepokoi coraz bardziej.

— Dlaczego cię niepokoi? — zdziwił się stryj.

— No, bo jeżeli nie zależy jej na pieniądzach, to prawdopodobnie zależy na nim samym.

Stryj zamyślił się i pokręcił głową.

— Dotychczas nie udało mi się zorientować w jej zamiarach. Widziałem ją pięć czy sześć razy, lecz jeszcze jesteśmy na bardzo oficjalnej stopie. Nie miałem jeszcze możliwości gruntowniejszej rozmowy. Gdy jej nadmieniałem, że znam z widzenia tego młodego człowieka, z którym wysiadała z windy, pozostawiła moją uwagę bez odpowiedzi. To jest kobieta bardzo wyrobiona towarzysko. Świetnie umie mówić o niczym.

Byłam trochę rozczarowana.

— Spodziewałam się więcej po talentach stryja.

— I ja się więcej spodziewałem — uśmiechnął się. — A wierzaj mi, że to bardzo interesująca kobieta i bynajmniej nie żałuję, że ją poznałem.

— Ale niepodobna przecież, by z czymś się nie wygadała. Przecież musiała coś niecoś o sobie mówić?

— Tak — przyznał stryj. — Ale wątpię, czy te informacje na coś się nam przydadzą. Powiedziała mi, że jej ojciec był żonaty z Belgijką i gdzieś pod Antwerpią miał zakłady przemysłowe. Po śmierci rodziców zlikwidowała wszystko i najpierw kształciła się w Akademii Sztuk Pięknych w Paryżu, gdyż chciała zostać malarką, później podróżowała, bardzo dużo podróżowała. Z jej opowiadań wnioskować można, że zna prawie cały świat. Chociaż warunki materialne dawały jej niezależność, była nawet przez pewien czas dziennikarką i wysyłała korespondencje do pism amerykańskich z różnych krajów. Najwięcej czasu spędza na Riwierze Francuskiej. Zatrzymuje się jednak zawsze i wszędzie w hotelach.

— No, to jednak powiedziała stryjowi dość dużo.

— Pozornie dużo. Ale z tego wszystkiego niewiele da się dla nas wyciągnąć. Oczywiście najskrupulatniej przesłałem wszystkie te informacje do biura detektywów w Brukseli. Wątpię jednak, by im na coś się przydały.

— Więc cóż pocniemy?

— Musimy uzbroić się w cierpliwość. Trzeba liczyć na przypadek.

— Czy stryj próbował po prostu ją upoić?

Zaśmiał się.

— Niestety, wszystkie próby tu na nic się nie zdadzą. Miss Elisabeth Normann twierdzi, że jej organizm ma idiosynkrazję do alkoholu. Kiedyś, kiedy była jeszcze małą dziewczynką, wypła kieliszek szampana i dostała takiego zatrucia, że omal nie umarła.

— Czy to może być prawdą?

Stryj Albin wzruszył ramionami.

— Być może, ale to i tak nie ma żadnego znaczenia dla sprawy. Co zaś do twego spostrzeżenia, że nie zależy jej na pieniądzach, wydaje mi się ono zupełnie słuszne, gdyż ta kobieta jest na pewno bogata. Ma wspaniałą biżuterię, wartości kilkuset tysięcy, bardzo drogie futra i najlepsze toalety. Znam się na tym trochę. Musi rozporządzać dużym majątkiem. Poza tym jest najnormalniejsza w świecie. Ma żywą wyobraźnię, wszechstronne zainteresowania, zna się na muzyce, na malarstwie, na architekturze, na urbanistyce. Lubi poznawać nowych ludzi.

— Czy stryj przedstawił jej kogoś?

— O, tak. Kilku panów.

Przeraziłam się.

— Jakże stryj mógł sobie pozwolić na taką nieostrożność?! Przecież oni w rozmowie z nią mogą wymienić, na pewno wymienią nieraz nazwisko stryja. Wówczas ona od razu się połapie, że to nieprzypadkowo pan, którego poznała, nosi to samo nazwisko, co moje panieńskie.

— O to możesz się nie martwić — uspokoił mnie stryj. — Dla tej kobiety, która nie włada żadnym językiem słowiańskim wszystkie nasze nazwiska są nie tylko nie do zapamiętania, ale nawet nie do wymówienia. Przekonałam się o tym niejednokrotnie.

— Ale jednak to ona pisała do Jacka i pisała najczystszą polszczyzną.

Stryj kiwnął głową.

— To jest jeszcze dla mnie niewytłumaczalną zagadką. Jestem przekonany, że pisała albo ona, albo jakaś osoba znająca język polski. Jeżeli ona sama — to skłonny jestem raczej przypuszczać, że przepisała to z cudzego rękopisu, niewolniczo naśladowując litery i nie rozumiejąc treści. Jedno jest pewne: ona nie zna polskiego języka. Robiłem na ten temat setki eksperymentów. Na przykład udając w restauracji, że źle zrozumiałem jej zamiary, wydawałem kelnerowi inne dyspozycje. Na przykład niespodziewanie wtrącałem jakieś polskie słowo albo w rozmowie prowadzonej przy niej rzucałem jakieś zdanie o niej. Muszę wierzyć swemu doświadczeniu. Ani razu w jej wzroku czy rysach, w jej zachowaniu się czy w wyrazie twarzy nie było najmniejszej, ale to najmniejszej reakcji. Ona nie może znać języka polskiego. To jest dla mnie aksjomatem.

Zamyśliłam się i potrząsnęłam głową.

— A jednak pozostaje dla mnie niewytłumaczalne w takim razie, dlaczego pisała do Jacka po polsku?... Jeżeli musiała sobie zadać tyle trudu, by niewolniczo naśladować czyjeś pismo, dlaczego w liście nie użyła najwyczejniej w świecie języka francuskiego czy angielskiego, które zna?... Przecież musiała wiedzieć, że Jacek zna je również?... Nie, stryju, cała ta sprawa wydaje mi się bardziej tajemnicza i bardziej skomplikowana, niż stryj ją widzi. W ogóle na świecie dzieją się rzeczy bardzo skomplikowane i niespodziewane...

Miałam wielką ochotę opowiedzieć stryjowi o moich przeżyciach w związku z tym nieszczęsnym Tonnorem. Musiałam jednak milczeć.

Stryj przyznał mi rację, że wygląda to bardzo podejrzanie. Widziałam, że się nawet mocno zafrasował<sup>46</sup>. Poderwało to mocno moją wiarę w niego.

Wróciłam do domu mocno przygnębiona. Na dobitek dowiedziałam się od Jacka, że będzie ogromnie teraz zajęty. Do Polski przyjeżdża marszałek Goering. Ma zabawić

<sup>46</sup>zafrasować się — zmartwić się. [przypis edytorski]

w Warszawie parę dni, a później udaje się na polowanie do Białowieży. Będziemy na raucie w ministerstwie i na przyjęciu w ambasadzie niemieckiej.

Ciekawa jestem, czy Goering mnie pozna. Gdy w zeszłym roku poznałam go w Berlinie, bardzo długo ze mną rozmawiał i był nad wyraz ujmujący. Do ambasady muszę się gładko uczesać. Oni tam lubią, by kobiety wyglądały jak najskromniej. Jacek, zdaje się, będzie musiał pojechać do Białowieży.

Wyczuwam z półsłówek Jacka, że ta wizyta Goeringa jest ogromnie ważna. Chodzi podobno o Austrię, byśmy nie przeszkadzali jej połączyć się z Niemcami. Wtedy i Niemcy nie będą nam przeszkadzały w posunięciach nad Bałtykiem. Osobiście nie rozumiem, po co mielibyśmy im przeszkadzać. Nigdy nie odczuwałam do wiedeńczyków żadnej niechęci. Przemili, weseli ludzie. Nigdzie tak się nie bawię jak w Wiedniu.

Natomiast usiłowałam Jackowi wytłumaczyć, że pojąć nie mogę, dlaczego u nas ludzie przywiązują tak wielką wagę do tego Bałtyku. Rozumiem, że handel morski, że Gdynia, że z punktu widzenia ekonomicznego to przedstawia wielką wartość. Ale jeżeli chodzi o społeczeństwo, to nie odnosi ono z tego prawie żadnych korzyści. Rzadko zdarza się taki rok, by nad polskim morzem można było wysiedzieć dwa miesiące. Woda nieludzko zimna, często pada deszcz, o komforcie poza Juratą nie ma co marzyć, a znowuż w Juracie straszliwe towarzystwo. Sama plutokracja najgorszego gatunku.

W umiejętny sposób starałam się przekonać Jacka, by korzystając z obecności Goeringa podsunął mu myśl, by w zamian za nasze *désintéressement* co do Anschlusu raczej dali nam dostęp do Morza Czarnego. Gdzieś między Rumunią a Rosją pewno jest takie miejsce, gdzie możemy ten dostęp znaleźć. Jacek wprawdzie udawał, że pokpiwa z moich sugestii, ale mam wrażenie, że zaimponowałam mu tym pomysłem. Nie poprzestanę zresztą na Jacku. Dziś na fajfie u pani Sobańskiej pomówię o tym.

Tyle spraw, a jeszcze muszę troszczyć się o przyszłość Państwa.

Wtorek

Jeżus Maria, co ja teraz pocznę?! Jak mam postąpić? Wiem, że jeżeli zrobię tak, jak nakazuje mi sumienie — popełnię zbrodnię. Jeżeli tak, jak nakazuje mi obowiązek — popełnię podłość, i to podłość w stosunku do człowieka, który nie tylko mi nigdy nic złego nie zrobił, lecz który kocha mnie tak prawdziwie i tak głęboko.

Z rana przyszła paczka z poczty. Zdziwiłam się bardzo z dwóch powodów. Po pierwsze, paczka była żywnościowa, a po drugie, nadana została z Kowla przez jakąś zupełnie mi nieznaną Zofię Patrycz. To mnie tak zaintrygowało, że postanowiłam otworzyć ją sama. Moje zdumienie jeszcze bardziej wzrosło, gdy wewnątrz znalazłam dwie oskubane kury. Już chciałam zawołać Józefa, by to zabrał do kuchni, gdy między tymi obrzydliwościami dostrzegłam kopertę. Serce zabiło mi mocno. W tej chwili już wiedziałam, że to Robert. I nie omyliłam się.

Przez długą chwilę wahałam się, co mam z nią zrobić (z tą kopertą). Nie było na niej adresu. Obejrzałam jeszcze raz opakowanie paczki. Stanowczo adresował ją ktoś inny. Jakaś kobieta o niewprawnym charakterze pisma. W dodatku ohydny anilinowy ołówkiem.

Na dobitkę kury pachniały surowym mięsem czy też po prostu nie były już świeże. Zrobiło mi się mdło. Zostawiłam je w jadalni i zamknęłam się w buduarze.

Stanowczo miałam prawo otworzyć kopertę. Tu ani major, ani pułkownik nie mogą żywić do mnie żadnych pretensji. Skądże mam przypuszczać, że to od Roberta. Jaki mężczyzna wysyłałby damie z towarzystwa zdechłe kury?

Rozerwałam kopertę i wypadł z niej kluczyk. Mały, precyzyjny kluczyk. Oprócz tego wewnątrz była jakaś legitymacja i list. Ponieważ nie wiem jeszcze, jak postąpię i co z tym wszystkim zrobię, a list ten jest jednym z najpiękniejszych, jakie kiedykolwiek w życiu otrzymałam, przepisuję go poniżej:

Hanko!

To jest straszne, gdy mężczyzna, gdy silny mężczyzna musi wyciągać rękę o pomoc do kobiety, którą pragnąłby otoczyć pancierzem bezpieczeństwa, osłonić przed wszystkim, co zranić by mogło jej subtelną wrażliwość, zakłócić jej spokój, wnieść dysonans w pogodę jej dni. Rozpacz mnie ogarnia, że

Polska, Polityka, Morze

muszę to zrobić, i nic na świecie nie usprawiedliwia mnie, nawet to, że Cię tak bardzo, że Cię tak do szaleństwa kocham. Raczej może to być uważane za jeszcze jeden kamień, który spada na moją biedną głowę i na moje zdruzgotane życie. Muszę tak postąpić. Wysłuchaj mnie teraz. Niespodziewanie zważyło się na mnie nieszczęście. Nieszczęście, którego rozmiarów ja sam jeszcze ogarnąć nie mogę. Musiałem nagle, dla ratowania własnego życia, uciekać z Warszawy. Nie zdążyłem zabrać nawet podręcznej walizki. Nawet pieniędzy. Dzięki przypadkowo spotkanym ludziom nie umarłem jeszcze z głodu. Co się ze mną stanie jutro czy za godzinę — przewidzieć nie mogę. A tu jeszcze ta miłość, która przepala mi serce, ta ogromna i beznadziejna tęsknota za Tobą. Ta miłość, którą muszę narazić na tak brutalną próbę. Wiem, że mi nie odmówisz. Lecz wiem jednocześnie, że wystawiam Ciebie, jedyna, która jesteś moim największym skarbem, na możliwe przykrości. Dlatego błagam Cię, zachowaj jak najdalej posuniętą ostrożność. Niech nikt nie wie, zaklinam Cię, o tym liście ani słowa.

Prośba moja jest taka: w Banku Północno-Wschodnim mam sejf. Przesyłam Ci kluczyk od niego. Załączam również legitymację z hasłem. Pójdź tam i wyjm<sup>47</sup> całą zawartość. Są to dwie paczki. W jednej znajdują się papiery inżynierskie z planami pewnej fabryki, którą zamierzałem budować, w drugiej pieniądze. Zabierz to do siebie i ukryj starannie. W drodze do banku i w samym banku staraj się nie zwracać na siebie uwagi. Odzyskanie tych paczek przedstawia dla mnie niesłychaną wartość, może wartość mego życia.

Jeżeli posłyszysz o mnie coś złego, możesz wierzyć wszystkiemu. Możesz mnie potępić i wykląć ze swojej pamięci. Jestem na wszystko gotów. Może jestem nawet tego wart, chociaż znam Cię i wiem, że nikogo nie osądzisz nie wysłuchawszy go przedtem, nie poznawszy tego splotu tragedii, który pchnąć go mógł w innym kierunku, niż pragnęłoby jego serce. Wiele klęsk przeżyłem w życiu, największą jednak przeżywam teraz, gdy zawisła nade mną groza utraty Ciebie, właśnie w tym momencie, gdy zamierzałem usunąć wszystko to, co nas dzielić mogło. Kocham Cię, i jeżeli dowiesz się o mojej śmierci, wiedz o jednym: jeżeli umrę, umrę z Twoim imieniem na ustach. — Robert.

Trzęsły mi się ręce, gdy kończyłam czytanie tego listu. Więc jednak nie zawiodłam się na tym człowieku. Wiedziałam, co w nim cenię. To jest prawdziwy mężczyzna. Pomyśleć tylko, że wówczas, gdy mu się dobrze powodziło, ani razu nie powiedział mi, że mnie kocha. A mógł przecież wtedy liczyć na bardzo wiele. I z listu tego wynika, że wiązał ze mną duże nadzieje. Może spodziewał się, że dla niego się rozwiędę. Odważył się wyznać mi miłość wtedy dopiero, gdy już wszelkie nadzieje zostały przekreślone. To jest człowiek z charakterem.

Czułam, że powinnam bez namysłu zrobić wszystko, o co mnie prosi. Tego żądał mój instynkt kobiecy. Jeden Bóg wie, jakie okropieństwa mogły go pchnąć na złą drogę. Jeden Bóg wie, ile dobra mogę mu wyświadczyć, ułatwiając mu powrót do uczciwego życia.

Czy wolno mi nawet zastanawiać się nad tym?...

Z drugiej jednak strony strach mnie przejmuje na myśl, że miałabym w domu te jego papiery i pieniądze. Ktoś ze służby czy Jacek mogą to znaleźć. I dlaczego żąda, bym je zabrała do siebie? Przecież bezpieczniejsze są w banku.

A poza tym ten major. Tyle groźby było w jego spojrzeniu, gdy wymagał ode mnie, bym natychmiast zawiadomiła go, jeżeli tylko Robert da o sobie znać. Widocznie nie są to bagatelne sprawy, skoro tamta biedna dziewczyna popełniła samobójstwo. Zdaje mi się, że wciąż widzę przed sobą jej zsiniałą twarz. To okropne, że ludzie się zajmują tymi wszystkimi ohydnyymi sprawami. I dlaczego ja, właśnie ja muszę być w nie wmieszana?! Jak postąpić?...

Stryjowi Albinowi nie mogę się z tym zwierzyć. Zresztą straciłam wiarę w jego rozum od chwili, gdy nie umiał rozwiązać zagadki owego listu.

<sup>47</sup>wyjm — dziś popr.: wyjmij. [przypis edytorski]

Jeżeli o mnie chodzi, jestem przekonana, najmocniej przekonana, że ta sprytna kobieta wodzi go za nos, jak sama chce i umie świetnie się maskować. Może w ogóle nie jest żadną cudzoziemką. Mężczyźni wobec sprytniej kobiety tracą cały swój krytycyzm i dają się wyprowadzić w pole, jak małe dzieci. Zdaje mi się, że polega to na tym, że motywy i pobudki naszego postępowania komentują według własnej logiki. A to jest najzawodniejszy sposób.

Nie mogę się oderwać myślami od Roberta, który gdzieś na dalekiej prowincji musi kupować nieżywe kury, by móc mi dać znać o swojej tragedii, by móc mi wyznaczyć swoje uczucia, by móc prosić mnie o ratunek.

Robercie! Jeżeli kiedyś — ktoś może wiedzieć — jeżeli kiedyś będziesz czytał te słowa, pamiętaj, że całym sercem byłam przy tobie. Nie wiem jeszcze, jak postąpię. Sama nie umiem zdobyć się na decyzję. Ale czuję, że gdyby mi nie zabrakło hartu i siły, spełniłabym twoje żądania.

Mój Boże, już pierwsza, a o dwunastej mam miarę. Z tego wszystkiego jeszcze mi nie wykończą sukni na bal w ambasadzie.

Wtorek, wieczorem

Nareszcie kamień spadł mi z serca. Pozostała po nim głęboka rana. Bo nigdy siebie nie rozgrzeszę za to, co zrobiłam. Pociesza mnie tylko to, że część winy spada na Romka Żerańskiego. Że też mogłam o jego istnieniu zapomnieć i tylko dzięki przypadkowi los pozwolił mi skorzystać z jego rady i pomocy.

A właściwie tylko on jest najdyskretniejszym mężczyzną w Warszawie. W dodatku zawsze wierzyłam w jego trzeźwy sąd i w jego rozum. Już nie mówiąc o tym, że Romek wolałby się zastrzelić, niż sprawić mi najmniejszą krzywdę. Wzrusza mnie jego wierność. Dotychczas się nie ożenił, chociaż już minęły trzy lata, odkąd zostałam żoną Jacka. W ciągu tych trzech lat widziałam go zaledwie dwa razy, i to z daleka. Usunął się zupełnie z tego towarzystwa, gdzie mógł spotykać Jacka.

Nie dziwię mu się zresztą. Jacek najniewinniej w świecie wyzwał go wtedy na pojedynek i zranił w rękę. Żaden z nich nie miał wówczas jeszcze mojego słowa i zarówno jeden, jak i drugi mógł na równych prawach zabiegać o moje względy. Rozeszli się niepojednani. Dwaj najbliżsi przyjaciele stali się najzawziętymi wrogami.

Bóg mi go teraz zesłał. (Bo i to ważne, że Romek nie widując ludzi z naszego kółka, przed nikim nie wygada się). Wychodziłam właśnie od miary, gdy natknęłam się na niego. Niemal krzyknęłam z radości. On z lekka przybladł (jak to ładnie z jego strony), a ponieważ spotkaliśmy się *bec-à-bec*<sup>48</sup>, nie wypadło mu się wykręcić samym ukłonem. Zresztą już wyciągnęłam do niego rękę. Powiedziałam mu, że zmęźniał i wyprzystojniał. Była to zresztą prawda. Dawniej miał nieco za wąskie ramiona, był trochę za szczupły i w jego sposobie bycia odczuwało się jakby naiwność. Teraz szybko opanował wzruszenie i od razu zgodził się, że mnie odprowadzi. Umyślnie szłam bardzo wolno, by mieć czas na opowiedzenie mu wszystkiego.

Więc powiedziałam mu, że asystował mi pewien pan, który w końcu został zdemaskowany jako szpieg. Ponieważ widywano go w moim towarzystwie, władze wojskowe przypuszczały, że chociaż uciekł z Warszawy, będzie się starał ze mną skomunikować. Zobowiązano mnie, bym natychmiast dała znać, gdyby to miało nastąpić. Potem powtórzyłam Romkowi jak najdokładniej treść listu Roberta i zapytałam, jak mam postąpić. (Oczywiście o kurach mu nie wspominałam, bo to nieistotne, a odbiera całej sprawie aureolę romantyzmu).

Wysłuchawszy mnie z uwagą, Romek oświadczył:

— Jak możesz nawet zastanawiać się nad tym! Gdybyś nawet chciała spełnić prośbę tego szpiega, nie mogłabyś tego przeprowadzić, a sama wplątałabyś się w porządną kabałę.

— Dlaczego?

— To bardzo proste. Po jego ucieczce oczywiście ustawiono kogoś, kto pilnuje jego skrytki w banku. Byliby bardzo naiwni, gdyby tego nie zrobili. Każdy, kto by usiłował skrytkę otworzyć, zostałby natychmiast aresztowany.

Wzdrygnęłam się.

<sup>48</sup>*bec-à-bec* (fr.) — twarzą w twarz. [prypis edytorski]

— To straszne!  
— Ja sędzę. Tym bardziej że wówczas uważano by cię, i słusznie, za współniczkę szpiega.

Spojrzałam nań z niedowierzaniem.

— Chyba żartujesz? Przy stanowisku mego męża?...

— Nawet gdyby mąż twój był ministrem, nie uchroniłoby cię to od więzienia i od skazującego wyroku.

— Więc co mam zrobić?

— Jak najprędzej oddaj ten list, tak jak tego od ciebie żądano.

— Ale to może być równoznaczne z wydaniem tego człowieka na śmierć!

— Tym lepiej. Jest szpiegiem i musi być unieszkodliwiony.

— Rozumiesz zbyt po męsku — odezwałam się po chwili. — Sprawa wcale nie jest taka prosta. Nie bierzesz pod uwagę, że stosując się do twojej rady, wydam człowieka, który nikogo poza mną jedną nie ma na świecie. Człowieka, który mi zaufał. Inaczej byś traktował tę sprawę, gdybyś to ty był na jego miejscu.

Romek uśmiechnął się.

— Nie mógłbym być na jego miejscu z dwóch przyczyn. Po pierwsze, nie wyobrażam sobie takiej sytuacji, w której chciałbym ciebie narazić na jakieś niebezpieczeństwo, a po drugie, nie jestem szpiegiem. Natomiast ty przede wszystkim musisz liczyć się z tym, że jesteś Polką, żoną polskiego dyplomaty. Jakże możesz zastanawiać się nad tym, czy współdziałać z kimś, kto jest wrogiem państwa?!

Nie mogłam odmówić mu słuszności. Zresztą najprawdopodobniej sama postąpiłabym tak, jak mi radził. Ale przecież to nie może zmienić faktu, że mam prawo cierpieć z tego powodu.

Romek doprawdy byłby interesującym chłopcem, zupełnie interesującym, gdyby nie ta jego powaga, gdyby nie ta dziwna mania dopatrywania się w zwykłych życiowych i przeciętnych sprawach jakichś wielkich przeznaczeń. Jestem przekonana, że gdybym go pocałowała, gdy mnie żegnał w bramie (a mówiąc nawiasem, miałam na to ochotę), uważałby, że jest to równoznaczne z postanowieniem rozwodu, i natychmiast pojechałby do krawca, by zamówić sobie ślubny frak. Romek nie uznaje żadnych połowiczności. Jestem przekonana, że nie rozumie, co to jest flirt, a romans mógłby pojąć tylko jako czysty związek dusz, i to koniecznie na Capri. Naturalnie związek dozwolony. I żeby być pochowanymi we wspólnym grobie. Pomyśleć: ile ten chłopak traci przyjemności, jakie na pewno nie ominęłyby go, gdyby nie ta jego mordercza serio postawa wobec życia.

Szkoda.

Zabrałam wszystko. Tak mi major kazał przez telefon. Kury, opakowanie i list. Gdy tylko zjawiłam się w biurze w pokoju majora, zaraz przyszedł tam pułkownik Korczyński i jeszcze jakichś dwóch panów po cywilnemu. To straszna rzecz, co oni wyprawiają. Oglądali wszystko przez lupy, nie wyłączając kur. Badali papier, sznurki, klej, atrament. Coś tam zabierali do prześwietlenia, nieszczęsne kury pokrajali scyzorykiem, jakby się spodziewali, że i w nich może się coś znaleźć. Na zakończenie major zatarł ręce i powiedział:

— Wszystko doskonale się składa. Proszę, niech pani weźmie ten kluczyk.

Przestraszyłam się.

— A po co mi ten kluczyk?

— Właśnie zaraz pani to wszystko wyjaśnię. Dziś już jest za późno, ale jutro rano pójdzie pani do banku. Otworzy pani kasetkę. Jest to ostatnia kasetka z prawej strony w trzecim rzędzie od dołu. Wyjmie pani jej zawartość, schowa do torebki i będzie pani pieszko wracała do domu.

— Ależ proszę pana — oburzyłam się. — Dlaczego ja to mam robić?!

— Zaraz i to pani wytłumaczę. Otóż Tonnor, a raczej Vallo, ma jeszcze nadzieję, że nie zdołaliśmy wytropić jego sejfu. Jeżeli jeszcze jest w Warszawie, nie chciał wszakże narażać się na aresztowanie. Postanowił posłużyć się panią. Mógłby wprawdzie użyć do tego kogoś ze swoich współników, ale mając do wyboru ryzyko przyłapania tegoż współnika i pani, wolał wybrać panią.

— Nie rozumiem pana majora... — spojrzałam nań ironicznie. — Po pierwsze, mogę pana zapewnić, że żaden kochający mężczyzna, mając jakiś wybór, nie narażałby kobiety,

którą, platonicznie wprawdzie, ale tak bardzo kocha. Po drugie, w jakiż sposób może być w Warszawie, skoro paczka przyszła z Kowla.

— Mniejsza o to — powiedział major.

Właśnie mężczyźni są tacy. Gdy ich się przyłapie na jakimś nonsense, wówczas mówią „mniejsza o to”.

— Ale dlaczego ja się mam tym zajmować?

— Dlatego, proszę pani, by nie spłoszyć ptaszka. Przed bankiem, czy też wewnątrz, na pewno czatuje któryś z jego wspólników. Jest on oczywiście poinformowany przez Tonnora, że pani ma opróżnić skrytkę. Przecież Tonnor po to jedynie obarczył panią swoją prośbą, by mógł bezpiecznie odebrać od pani swoje rzeczy później. To później może być dwojaki: albo zgłosi się ktoś do pani do domu po te rzeczy, albo nie tracąc czasu, wtedy, gdy będzie pani szła z banku do domu. Wątpię, by miał to być sam Tonnor. Nawet w charakteryzacji nie odważyłby się zjawić teraz na ulicach Warszawy. I to jednak nie jest wykluczone. Otóż jeżeli na ulicy podejdziesz do pani ktoś i będzie chciał, by pani mu oddała paczkę dla Tonnora, niech pani mu ją odda.

— Oddać?

— Naturalnie. Za panią będą szli nasi agenci, niech się pani niczego nie obawia. Trzeba jednak być przygotowaną na wszystkie ewentualności. Najsprytniej z ich strony byłoby zaaranżowanie zwykłej kradzieży ulicznej. Niespodziewanie podbiegłby do pani ktoś, wyrwał torebkę i zaczął uciekać. Oczywiście złapalibyśmy go zaraz, ale wówczas nie mielibyśmy przeciwko niemu dowodów, że należy do szajki szpiegowskiej. Rozumie pani, mógłby udawać zwykłego złodziejaszka. Toteż niech pani idąc do banku w ogóle nie bierze z sobą torebki. Spodziewam się że ma pani jakąś kieszeń w futrze?

— Owszem, mam w karakułach.

— Doskonale. To są nieduże paczki. Z łatwością je pani zmieści w kieszeni. Oto jest wszystko, o co panią proszę. Gdy pani wróci do domu z paczkami, będę tam na panią oczekiwał i będę służył dalszymi instrukcjami.

Tego już było dla mnie za dużo. Nie tylko miałam zdradzić Roberta, wydając jego list, ale jeszcze współdziałać w całej okropnej machinacji!

— Nie, panie majorze — powiedziałam stanowczo. — Do takich funkcji może pan używać, kogo się panu podoba, ale nie mnie. Nie jestem przyzwyczajona do podobnych rzeczy. Pan major zdaje się nie liczyć z tym, kim jestem.

Nie spieszył się wcale.

— Liczę się z tym, że jest pani jedyną osobą, która, bez wzbudzenia podejrzeń u szpiegów, może przyczynić się do ich ujęcia.

— Tak, ale ja się na to nie zgadzam. To nie jest moim obowiązkiem. I tak już zrobiłam wiele rzeczy nie fair. Niech pan użyje do tego policjantów, żandarmów czy kogo pan chce. Ja odmawiam kategorycznie.

Major zmierzył mnie nieprzyjemnym spojrzeniem.

— A jednak bardzo panią proszę, by pani nie odmówiła nam swej pomocy. Zajmie to pani najwyżej pół godziny czasu.

— Nie o czas mi chodzi — oburzyłam się — lecz o to, że chce pan ze mnie zrobić wywiadownicę policyjnego.

— Ach, po co pani używa tak przesadnych określeń. Po prostu sędzę, że pani jako dobra obywatelka państwa polskiego nie może odmówić mu pomocy.

— Niestety, odmawiam — powiedziałam stanowczo.

Major rozłożył ręce.

— Ha, trudno — westchnął — widocznie nie umiem zbyt przekonywająco argumentować. Cóż?... Nie zostaje mi nic innego, jak zwrócić się z tym do męża pani. Może on zdoła panią namówić...

Przeraziłam się naprawdę.

— Przecież obiecali mi panowie, że mąż w żadnym wypadku o niczym się nie dowie. Nie mam przed nim nic do ukrywania, ale, pan rozumie, nie chcę go narażać na przykrości. Nie chcę, by bodaj przez chwilę potraktował tę rzecz w złym świetle...

— Rozumiem panią — przerwał mi. — Lecz skoro stawia mnie pani w sytuacji bez wyjścia, będę musiał uciec się do tego środka. Niech pani będzie przekonana, że mówię



to bynajmniej nie w celu wywarcia presji, lecz dlatego, że wierzę, iż mąż pani przyzna mi rację i skłoni panią do spełnienia mej prośby.

Przygryzłam wargi. Cóż mogłam mu odpowiedzieć? Musiałam się zgodzić. Przejmuję mnie wstrętem myśl o tym, co jutro mnie czeka. Drogi Boże! Żeby go wreszcie złapali czy żeby zdołał uciec. Niech się to już skończy!

Zastałam kartkę od stryja Albina. Zawierała tylko dwa słowa: *Nic nowego*.

Jedno wiem, że tak dłużej żyć nie potrafię.

Środa

Wszystko odbyło się według szczegółowo ułożonego planu. O godzinie jedenastej poszłam do banku. W sali sejfów i w przedsiönku było ze dwadzieścia osób. Błada z emocji, otworzyłam skrytkę. Trzęsły mi się ręce. Wewnątrz istotnie były dwie nieduże paczki. Schowałam je do kieszeni.

Co to za obrzydliwa rzecz być śledzoną. Wprawdzie nie wiedziałam, kto z tych ludzi mnie śledzi, ale wprost czuвам na plecach świdrujące spojrzenia. Chociaż zapewnili mnie, że nic mi nie grozi, opanował mnie strach. Przypomniały mi się nagle wszystkie filmy gangsterskie i szpiegowskie. Lada chwila skądś z boku czy z tyłu rozlegną się strzały rewolwerowe...

Nic podobnego jednak się nie stało. Wyszłam na ulicę, przeszłam na drugą stronę. Obejrzałam się. Za mną byli zwyczajni przechodnie, nie różniący się od tych, których widywałam codziennie. Pomimo to wciąż przyspieszałam kroku.

Gdy znalazłam się wreszcie w domu, uginały się pode mną kolana. Czekał tu już na mnie major w cywilnym ubraniu. Jakie to szczęście, że nie było Jacka. W jaki sposób wyklamałabym się przed nim z obecności majora?! Wziął z moich rąk paczki, przyjrzał się im dokładnie i powiedział:

— Muszę je zabrać ze sobą. Za parę godzin otrzyma je pani z powrotem.

— Ależ po co mi one? Nie chcę tego! — zawołałam przerażona.

— Muszą być u pani. Tonnor albo sam po nie się zgłosi, albo przyśle kogoś. Pani funkcje ograniczą się tu do wydania tych paczek. Jeżeli to będzie dzień, natychmiast po wyjściu tego człowieka odsłoni pani firankę na tym oknie w taki sposób.

Tu mi pokazał, jak mam ją odsłonić.

— Jeżeli zaś — mówił — będzie już ciemno, zapali pani i zgasi trzy razy światło. Moi ludzie będą już wiedzieli, co to znaczy.

Wiedziałam dobrze, że wszelkie prośby i wykręty na nic by się nie zdały. Musiałam się zgodzić. Ogarnęło mnie tylko oburzenie na myśl, że z tej racji będę musiała stale siedzieć w domu. Przecież nie mogłam dopuścić do tego, by Robert lub jego wysłannik zjawił się tu podczas mojej nieobecności i trafił — co jest bardzo możliwe — na Jacka.

Powiedziałam to majorowi, lecz ten mnie uspokoił.

— Co do tego nie ma żadnych obaw. Upewniam panią, że ten, który się zgłosi, będzie doskonale poinformowany o tym, czy pani jest w domu i nawet, czy jest sama. Takich rzeczy na ślepo oni nie robią.

Siedzieliśmy właśnie z Jackiem przy obiedzie, usiłując oboje udawać swobodnych i wesołych, gdy w przedpokoju rozległ się dzwonek. Zerwałam się jak oparzona. Ja chyba dostanę szału od tych dzwonek. Wciąż pędzę, by sama otwierać drzwi. Jacek patrzy na mnie z coraz większą podejrzliwością. Niech sobie myśli, co chce.

Tym razem była to jakaś dziewczyna, która mnie za pytała:

— Czy to pani Renowicka?

Gdy powiedziałam, że tak, skinęła głową i wręczyła mi niewielki pakuneczek.

— Przysłała to pani pan major.

Wprost z przedpokoju przeszłam do łazienki i ukryłam paczkę za wanną. Tam na pewno nigdy nikt nie zagłąda.

— Co ci jest, kochanie? — zapytał Jacek, gdy wróciłam do stołu. Byłam bliska płaczu. Cóż mu mogłam odpowiedzieć?

— Każdy ma swoje zmartwienia... — szepnęłam.

Nie wypytywał więcej. On jest taki subtelny. Przyjął aluzję i uznał za stosowne nie domagać się ode mnie wyjaśnień, skoro sam o swoim zmartwieniu nie chce ich udzielać. Niemal z radością dowiedziałam się, że przez całe popołudnie będzie zajęty. Wieczorem

mamy bal. Później przyjdę zmęczona i na pewno zasną. Przeciętą kobietą na moim miejscu dostałaby już pomieszania zmysłów.

Czwartek

Nie byłam na balu. Dostałam tak silnej migreny, że nie pomogły żadne proszki. Dziś mam oczy podkrążone i wyglądam staro. Jak zwykle po proszkach źle spałam. W tym zmęczeniu jest jednak i dobra strona. Mianowicie wszystkie zdarzenia, wszystkie grożące niebezpieczeństwa, cały świat zewnętrzny, wszystko to wydaje mi się mniej ważne, znacznie obojętniejsze. Postanowiłam cały dzień spędzić w domu, w szlafroku. Na piątą zaprosiłam kilka osób i Tota. Siedzieli do siódmej. Wydali mi się nudni, a ich rozmowy były tak pełne banałów i codzienności, że po ich wyjściu odczułam prawdziwą ulgę.

Właściwie mówiąc nie wiem, co mnie trzyma przy Tociu. To dziwne, że jeszcze utrzymuję z nim stosunki. Chyba robię to dlatego, by ta gęś, Muszka Zdrojevska, nie wyobrażała sobie, że Toto porzucił mnie dla niej. Naprawdę byłoby to dla mnie zupełnie obojętne.

Jacek wrócił na kolację. Był jakiś weselszy i dał mi do zrozumienia, że jego sprawy osobiste mogą przybrać pomyślniejszy obrót. Dla mnie był wyjątkowo czuły. On jest naprawdę jedynym człowiekiem, którego mogę kochać. Nawet mu to powiedziałam. Był tym tak wzruszony, jak wtedy gdy zgodziłam się zostać jego żoną.

Piątek

Jacek wyjechał do Białowieży. Nasza pożegnalna noc była cudowna. I jakby dla podkreślenia tej nocy, dzień, który po niej przyszedł, jest przepiękny. Z rana spadł świeży śnieg. Wszystko dokoła wybielił. Nad białym światem lazuruwa kopuła nieba bez najmniejszej chmurki. Słońce świeci tak intensywnie, że wprost oślepia.

Obudziłam się radosna i jakby pewna, że coś niezwykle miłego mnie spotka.

Nie omyliłam się: ledwie zdążyłam zjeść śniadanie (smakowało mi bardzo), gdy zadzwonił stryj Albin. Aż krzyknęłam ze zdziwienia, gdy usłyszałam nowinę: biuro detektywów w Brukseli znalazło ślad miss Elisabeth Normann. Oni są wręcz genialni. Zdołali stwierdzić, że przed trzema laty mieszkała w Biarritz, w willi „Flora” z panem Folkstonem i sama podpisywała się jako Mrs. Folkston. Spędzili tam cały sezon i uchodzili za kochające się małżeństwo. O dowody i o świadków nie będzie trudno.

To już było w każdym bądź razie coś. Okazało się, że ta pani wcale ładnie się prowadzi. Najpierw ucieka od męża, a później szaleje z jakimś obcym człowiekiem, udając jego żonę.

Umówiłam się ze stryjem w cukierence, by się naradzić. Nie miałam już powodu unikać cukierenki. Nie groziło niebezpieczeństwo ciotki Magdaleny. Stryj był też w doskonałym humorze. Wiadomość z Brukseli otrzymał przed samym wieczorem i już ją zdołał sprawdzić. Mianowicie zaprosił tę wydrę na kolację i podczas kolacji skierował rozmowę na Biarritz. Ponieważ bywał tam nieraz i znał całe baskijskie wybrzeże doskonale, udało się mu między innymi napomknąć, że kiedyś przeżył tam interesującą przygodę. Z pewnością bardzo uroczy Hiszpanką, która mieszkała w willi „Flora”.

— Opowiadałem jej o tym — mówił stryj — w takim rozczulającym przypływie wspomnień, że się dała złapać na haczyk. Powiedziała mi: „»Flora«?... To zabawne. Niech pan sobie wyobrazi, że i ja kiedyś wynajmowałam tę willę. Jest ślicznie położona”.

To już stryjowi w zupełności wystarczyło. Uradziliśmy natychmiast depeszować do Brukseli, by trzymano się tego śladu i postarano się dowiedzieć jak najwięcej o owym panu Folkstonie.

Jednocześnie stryjowi przyszedł do głowy wcale niezły pomysł, by skomunikować się z wujem Jacka, który wówczas był ambasadorem i pod którego opieką Jacek przebywał za granicą. Od niego na pewno można się będzie czegoś dowiedzieć.

Tak się zapaliłam do tej myśli, że od razu z cukierni zadzwoniłam do Tota z zapytaniem, czy nie wie, gdzie obecnie przebywa pan Włodzimierz Dowgird. Toto nie wiedział, lecz oświadczył mi, że w Klubie Myśliwskim wiedzą na pewno i za pół godziny będzie mógł mi służyć informacją.

Odkąd wuj Dowgird dostał jakiegoś szczególnie złośliwego reumatyzmu, zrezygnował ze służby dyplomatycznej i albo przebywa gdzieś na południu, albo u siebie na wsi pod Łęczycą. Wuj Dowgirda znałam bardzo mało. Dwa czy trzy razy był u moich rodziców

podczas mego narzeczeństwa, później na naszym ślubie i wreszcie przed rokiem spotkałam go w Heluanie<sup>49</sup>. Podobno właśnie Egipt najlepiej wpływa na jego reumatyzm.

Pomimo tego, że bardzo niewiele się znamy, lubi mnie naprawdę. A i ja dla niego żywiłam zawsze sympatię. Ujmuje już samą swoją powierzchownością. Mniej przypomina dyplomatę. Przynajmniej nie ma typu międzynarodowego, lecz wybitnie polski. Podobny jest bardzo do pana Edwarda Platera z Osuchowa<sup>50</sup> i do Wojciecha Kossaka<sup>51</sup>.

Z niecierpliwością czekałam na telefon Tota i szalenie się ucieszyłam, gdy mi oświadczył, że wuj Dowgird i jest w Kocińcach pod Łęczycą.

— Ach, to świetnie — zawołałam, a ponieważ u mnie decyzje przychodzą niesłuchanie szybko, powiedziałam: — Wiesz, mam szaloną ochotę odwiedzić go. Czy nie pojechałbyś ze mną?

Totowi takiej propozycji nie trzeba było dwa razy powtarzać. On nigdy nie umie długo usiedzieć na miejscu. W godzinę później zjechał po mnie swoim wozem. Byłam już gotowa. Zajrzałam tylko w pośpiechu za wannę. Paczka była na swoim miejscu. Uspokojona zamknęłam łazienkę na klucz, a klucz schowałam między stare ilustracje leżące w hallu.

Toto przyglądał się temu ze zdziwieniem.

— Cóż to za dziwne manipulacje? — zapytał.

Zbyłam go śmiechem. Wszelkie podejrzliwości Tota należy zbywać śmiechem. On przy jednej myśli nie może wytrwać dłużej niż parę minut. Chyba że chodzi o konie, o polowanie lub o samochody. Gdy siadałam do wozu, rozglądałam się uważnie, czy nie dostrzegę owych agentów, wpatrzonych w moje okna, lecz nie udało mi się zauważyć nikogo. Pewno znudziło się im już to i zrezygnowali z dalszego śledztwa.

Dopiero kiedy się wyjedzie za miasto w taki mroźny, śnieżny dzień, widzi się, jak wiele tracimy między murami kamienic. Boże, jakże tu pięknie!

Toto opowiadał mi o jakiejś, według niego, niezwykle ważnej transakcji, którą w ostatnich dniach przeprowadził. Sprzedał ze swojej stadniny dwadzieścia klaczy arabskich do Ameryki. Nie chodziło mu w danym wypadku o dobrą cenę, którą za konie otrzymał, lecz o sam fakt, że hodowca amerykański jego stadninę uznaje za najlepszą w Europie. Słucham tego jednym uchem, myśląc jednocześnie o pięknie przyrody i o tym, dlaczego właściwie nie piszę wierszy.

Od dziecka byłam niezwykle wrażliwa na piękno kwiatów, wschodów i zachodów słońca, zaśnieżonych pól i wszystkich tych rzeczy. Już w trzeciej klasie próbowałam pisać wiersze. Mamusia mówiła, że były bardzo dobre. Miałam ich coś trzy zeszyty. Niestety, gdzieś się zapodziały. A w tym rozgwarze, w jakim żyję, tak rzadko zdarza mi się godzina wolnego czasu, by móc usiąść i ułożyć wiersz.

Jeżeli lato spędzać będę w Hołdowie, zabiorę się do tego koniecznie.

W Kocińcach jeszcze nigdy nie byłam, chociaż właściwie powinna bym się nimi zainteresować, gdyż kiedyś, po najdłuższym życiu wuja Dowgirda, dostaną się nam w spadku.

Do Kociniec wjeżdżało się przez długą aleję, a później przez gęsty park. Sam pałac nie sprawiał przyjemnego wrażenia. Był to jednopiętrowy ciężki budynek, przypominający jakiś pruski dworzec kolejowy. Gdyśmy się zatrzymali przed drzwiami, a na trąbienie zdawał się nikt nie reagować, myśleliśmy nawet przez chwilę, żeśmy zabłądzili i trafiliśmy gdzie indziej. Ale właśnie od tyłu nadbiegł lokaj i wyjaśnił, że wejście główne w zimie jest zamknięte, gdyż dołu się nie opala. Wobec tego podjechaliśmy do bocznego wejścia.

<sup>49</sup>Heluan a. Hulwan — miasto położone na wsch. brzegu Nilu, naprzeciwko ruin Memfis, w muhafazie (prowincji) Kair, ok. 20 km na pld. od centrum stolicy Egiptu, obecnie włączone do przedmieść Kairu. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>Edward Broel-Plater (1871–1958) — z rodu hr. Platerów, z którego wywodziła się m.in. Emilia Plater; otrzymał majątek wraz z przyległymi terenami wsi Osuchów (województwo mazowieckie, powiat żyrardowski, gmina Mszczonów) jako posag swej żony Joanny z Tyszkiewiczów (1877–1928); po jej śmierci Osuchów stał się formalnie własnością ich najstarszej córki, Izabeli Platerówny, aż do konfiskaty w zw. z reformą rolną w 1944 r. Z urody Edward Plater reprezentował typ postawnego, dość szczupłego mężczyzny z okazałym siwym wąsem. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>Kossak, Wojciech (1856–1942) — malarz specjalizujący się w obrazach historycznych i batalistycznych, syn malarza Juliusza Kossaka; z urody: zażywny pan z sumiastym wąsem u dołu nieco podkreślonym. [przypis edytorski]

Po dość szerokich schodach weszliśmy na górę. Wuj Dowgird powitał nas u wejścia w dość oryginalnym stroju: na głowie miał futrzaną czapkę, na ramiona zarzuconą bebiesz na białych barankach, a na nogach kraciaste niemieckie bambosze z futerkiem. Jak ten człowiek się zmienił! Pamiętałam go zawsze jako wytwornego, szczupłego pana z monoklem w oku, z tym monoklem, który tak świetnie pasował do długiej szczupłej twarzy o suchych, ostrych liniach. Przytył, policzki mu z lekka zwisały, na nosie miał grube szkła. Od dawna nieprzystrzygane wąsy przedstawiały się jak duża siwa szczotka.

Toto, tytułując wuja w każdym zdaniu, przypominał „szanownemu panu ambasadorowi”, że kiedyś miał go zaszczyt poznać. Jak śmieszni są ci mężczyźni w swoim rangowaniu świata. Dla Tota, który przecież od nikogo nie jest zależny, wuj Dowgird wciąż był osobistością ważną i jego obecność tak Tota absorbowała, że zdawał się zapominać o mnie. Istotnie wuj Dowgird odgrywał kiedyś dużą rolę w życiu politycznym i towarzyskim. Do dziś dnia w ważniejszych momentach podobno uciekają się do jego rady. Ale dla mnie jest jasne, że wuj Dowgird po prostu jest tylko starszym panem o milej aparycji i o dość oryginalnym sposobie bycia.

Nie wiadomo skąd wysypało się jeszcze pięć czy sześć osób. Jakies dalekie kuzynki, emerytowany generał, jakiś młody człowiek, który kordialnie przywitał Tota. Przeszliśmy do dużej biblioteki, cokolwiek zapuszczonej, lecz bardzo ładnej. Hamburski empire<sup>52</sup> w najlepszym guście. Fotele wyściełane florencką skórą i stół nakryty grubym zielonym sukniem.

Stryj zdawał się uszczęśliwiony naszym przyjazdem. Dreptał w swoich bamboszach, długo dysponował lokajowi, co ma być na śniadanie, odwołując się do rady generała i Tota. Nie przestał być smakoszem. Toto, zachwycając się sztychami rozwieszonymi na ścianach, już skręcał na rozmowę o koniach, gdy dałam mu do zrozumienia, że mam z wujem do omówienia ważne sprawy.

Gdyśmy przeszli do gabinetu, wuj uważnie wpatrzył się we mnie swymi małymi, nieco wyblakłymi oczyma i zapytał:

— Cóż tam, moja kochana? Jak sprawuje się mój siostrzeniec? Domyślam się, że musiał coś spsościć.

— Ależ bynajmniej — zaprzeczyłam. — Jacek jest nieodrodnym siostrzeńcem swego wuja. Czyż mógłby popełnić coś złego lub nietaktownego?

Wuj skłonił się szarmancko i z uśmiechem powiedział:

— Jesteś, moja kochana, zawsze dla mnie zbyt dobra, ale w tym wypadku skłonny jestem przewidywać najgorsze rzeczy. Jeżeli zdecydowałaś się na taką martyrologię, jak odwiedzenie mnie, starego nudziarza, musiało zająć coś ekstraordynaryjnego<sup>53</sup>.

Musiałam sprawę potraktować bardzo dyskretnie. Oczywiście nie mogłam otwarcie wujowi powiedzieć, o co mi chodziło, a chciałam go wy badać.

— Sprawa zupełnie zwykła — powiedziałam. — Wuj wie, jaka jestem zazdrosna.

— Nie uwierzę, by Jacek dawał ci powody do zazdrości! — zawołał z udawanym oburzeniem.

— Ach, nie, wujaszku. Ale ja jestem nawet zazdrosna o jego przeszłość.

— Powinno mu to pochlebiać.

— Byłby może zadowolony, gdyby o tym wiedział, ale wierzę, że nasza rozmowa zostanie między nami.

Wuj skinął głową.

— Pod siedmioma pieczęciami tajemnicy.

— Więc, wujaszku, chodzi mi o zamierchłą przeszłość. Czy wujaszek nie przypomina sobie kobiety imieniem Elisabeth Normann?

— Elisabeth Normann?

Zmarszczył brwi i zamyślił się.

— Tyle nazwisk się słyszy... Elisabeth Normami?... W jakim wieku jest ta dama?...

<sup>52</sup>empire — także: styl cesarstwa; odmiana późnego klasycyzmu związana z rządami Napoleona I we Francji i okresem jego triumfów w Europie; styl powstał w l. 1800–1815, wykorzystywał wzory i motywy sztuki staroż. Grecji, Rzymu i Egiptu, np. sfinksy, gryfy, kariatydy, a także motyw labędzia (ulubionego ptaka cesarzowej Józefiny), inicjał Napoleona w wieńcu laurowym, motyw pszczoły, gwiazdy, orłów cesarskich. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>ekstraordynaryjny — nadzwyczajny. [przypis edytorski]

— Obecnie ma mniej niż trzydziestkę.

— A jak wygląda?

Opisałam ją jak najdokładniej, uwzględniając oczywiście to, że wówczas musiała wyglądać znacznie młodziej. Wuj potrząsnął głową.

— Żałuję bardzo, lecz nie przypominam sobie.

— Jednak wuj musiał ją znać. W swoim czasie Jacek był nią bardzo zainteresowany... Podniósł brwi.

— Och... Zdaje się, że coś sobie przypominam... Bardzo przystojna panna... Było to młodziutkie i zupełnie urocze... Tak, tak. Jacek ją wprowadził na przyjęcie do ambasady... No, naturalnie. Nazywała się Betty, Betty Normann. Szatynka o zielonych oczach. Jej ojciec, bardzo *comme il faut*<sup>54</sup> starszy pan, był właścicielem przedsiębiorstwa żeglugowego czy czegoś takiego. Przyjmowani byli w najlepszych domach. Naturalnie. Pamiętam, Betty Normann. Podobno nawet skuzynowana z lady Northelife... Wtedy Jacek zdawał się nią być bardzo zajęty...

Z uśmiechem wziął mnie za rękę i dodał:

— Ale chyba o to nie możesz mieć do niego pretensji?... To było tak dawno...

— Któż mówi o pretensjach? Najzwyczajniej w świecie chciałabym się o niej czegoś dowiedzieć.

Wuj zamyslił się.

— Owszem, pamiętam, Betty Normann. Pieknie ładna dziewczyna. I taka przytulna. Zdaje się, że była poważnie zainteresowana Jackiem. Aha, naturalnie. Uczyla się nawet polskiego, co nie jest takie zwykłe, jeżeli chodzi o cudzoziemki. Była bardzo zdolna. Później jakoś znikła z horyzontu. Było to zresztą zrozumiałe. Jacek wyjechał na kilka miesięcy do Ameryki, a ona wracała do Belgii, do rodziców. Tak, bywała bardzo często w ambasadzie. Miła, bezpośrednia natura. Zachwycali się nią wszyscy. Miała nawet tę niezwykłą cechę, że interesowały ją sprawy polityczne. Ale to dawne czasy... Czy spotkałaś ją ostatnio?...

„No więc oczywiście ona pisała ten list — skonstatowałam w myśli. — Oczywiście stryj Albin dał się wyprowadzić w pole”. Cała sprawa zaczynała być dla mnie jasna. Skoro nie było jej wówczas, gdy Jacek wyjechał do Ameryki, oczywiście nie pojechała do żadnych rodziców do Belgii, lecz właśnie z nim. Teraz rozumiem, dlaczego Jacek zawsze pomija milczeniem swój pobyt w Stanach Zjednoczonych. Sądziłam nawet przez dłuższy czas, że nigdy tam nie był. Dopiero kiedyś w poselstwie szwajcarskim, gdy spotkał jednego pana, którego poznał w Chicago, dowiedziałam się, że Amerykę zna dość dobrze.

Swoją drogą stryj Albin miał świetny pomysł, by porozumieć się z wujem Dowgirdem.

Tło sytuacji zaczęło mi się zarysowywać wyraźniej. Według wszelkiego prawdopodobieństwa Jacek po cichu wziął z nią ślub, a wyjazd do Ameryki był właśnie podróżą poślubną. Jedno wciąż pozostaje dla mnie rzeczą zupełnie niezrozumiałą: dlaczego ta kobieta porzuciła go?...

Jest to taka sama zagadka jak i jej przyjazd do Polski teraz, po tylu latach. Nie łudzi się chyba, że Jacek zgodzi się do niej wrócić bodaj pod groźbą denuncjacji. I jak należy rozumieć to, co mi Jacek powiedział, że jego sprawy układają się lepiej?... Czyżby miało to oznaczać, że zdołał z nią osiągnąć jakieś porozumienie?... W każdym razie nie sprawia ona wrażenia kobiety ustępliwej. Wygląda raczej na upartą, może nawet zawziętą. Kobiety tego typu umieją nie cofać się przed niczym.

Wuj Dowgird nie umiał mi udzielić więcej informacji. I te jednak, które uzyskałam, były nader ważne. Ciekawa jestem, jaką minę zrobi stryj Albin, gdy mu zakomunikuję, że ta jego Angielka umie po polsku.

Sniadanie dano znakomite i było dość przyjemnie.

Gdyśmy o zmierzchu wracali do Warszawy, tuż przed samym Łowiczem Toto zawadził błotnikiem o jakąś furmankę. Bardzo się wystraszyłam, ale na szczęście nikomu nic się nie stało. To jest skandal, że na naszych drogach wciąż jeszcze pełno jest furmanek! I czego ci chłopcy wciąż jeżdżą? Pojąć nie mogę, co za interesy mogą mieć chłopcy. Tyle się mówi o motoryzacji, a tym się nikt nie zajmie.

Wieś, Chłop

<sup>54</sup>*comme il faut* (fr.) — właściwy; taki jak należy, w dobrym tonie. [przypis edytorski]

Po powrocie do domu miałam sporo kłopotu z kluczem od łazienki. W żaden sposób nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie go schowałam. Wraz ze służbą przewróciłam dom do góry nogami i dopiero wtedy, gdy posłałam po ślusarza, Józef znalazł klucz między gazetami.

Na szczęście paczka leżała na swoim miejscu nietknięta. Już trochę się uspokoiłam. Myślę, że Robert wcale się po nią nie zgłosi.

Dzisiaj idę z mamą do opery. Będzie też Stanisław i Danka. Już mogę sobie wyobrazić, jak się wynudzę!

Sobota

Stryj Albin był bardzo zaskoczony wiadomościami. Nie odmówiłam sobie przyjemności zrobienia paru złośliwych uwag o jego sprycie. Przyjął je z pokorą i powiedział:

— W takim razie jest to piekielnie przebiegła kobieta. Wierz mi, mała, że nie należę do ludzi naiwnych ani prostodusznych. Jeżeli zdołała wprowadzić mnie w błąd, dowodzi to, że jest kuta na cztery nogi i ma jakiś bardzo ważny powód, by kryć się ze znajomością polskiego języka.

— Ale jaki?...

— Pojęcia nie mam. Przecież nie ukrywa tego, że włada kilkoma innymi językami. Zna oprócz angielskiego francuski, niemiecki i włoski. Dlaczego jej tak bardzo zależy na ukryciu tego jednego języka?... Może po prostu chce mieć tę przewagę nade mną, by rozumieć, co mówię, może przed służbą udaje po to, by wiedzieć, co o niej sądzą.

Zaniepokoiłam się.

— A może stryj wygadał się z czymś przed nią?

— O, bądź spokojna. Na to jestem zbyt ostrożny. Więc powiadasz, że pan Dowgird jest o niej dobrego zdania?

— Nic złego w każdym razie o niej nie powiedział.

— Ha, na jego opinii możemy polegać. Kiedyś uchodził za jednego z najlepszych dyplomatów.

Uśmiechnęłam się ironicznie.

— Tak jak stryj uchodzi za jednego z najlepszych znawców kobiet.

— Moja mała — powiedział — twoje szyderstwo trafia w próżnię. Każdy znawca kobiet wie właściwie o kobietach tylko jedno: że kryją w sobie dowolną ilość niespodzianek. W tym zresztą leży wasz największy urok. Ale mówmy poważnie. Nie wiem, czy nie należałoby z lekka odłożyć karty. Czy nie należałoby powiedzieć jej przynajmniej tego, że maskarada z ukrywaniem znajomości języka polskiego jej się nie udała.

— A po co jej to mówić?

— Chociażby po to, by móc z kolei zapytać, dlaczego to robiła.

— Sądzę, że lepiej poczekać. A przede wszystkim trzeba wysłać zaraz do Brukseli te wiadomości, które zebrałam u wuja Dowgirda. To im ogromnie ułatwi dalsze poszukiwania.

— Oczywiście — przyznał stryj. — Zaraz do nich napiszę. W każdym razie wiemy już sporo o tej damie. Widzę, że się niecierpliwisz, ale niepotrzebnie. Pośpiech tu nie jest wskazany.

Potrząsnęłam głową.

— Jestem przeciwnego zdania.

— Mylisz się, moja mała. Gdyby Jackowi z jej strony miało grozić jakieś poważne niebezpieczeństwo, gdyby się jej śpieszyło, od dawna zrobiłaby użytek z tej broni, którą ma w swym ręku. Widocznie jednak nie zależy jej aż tak bardzo na skompromitowaniu Jacka. Prawdopodobnie prowadzi z nim pertraktacje.

— Ale o co?

Stryj wzruszył ramionami.

— Tego nie wiem. Skoro nie o pieniądze, przypuszczać wolno, że chodzi jej o odzyskanie Jacka. Bo o cóż więcej mogłoby chodzić? W każdym bądź razie jest zastanawiające, że go nie nagli. Że zgodziła się na jego wyjazd do Paryża, a teraz do Białowieży. Wspomniała mi nawet, że zamierza wkrótce spędzić kilka dni w Krynicy, gdyż rzekomo interesuje się nią od czasu, gdy byli tam następczyni tronu holenderskiego i księżę Bernard. Zapytałam ją przedwczoraj, jak długo zamierza zabawić w Polsce. Powiedziała mi, że się nad

tym nie zastanawiała. Wynika stąd, że w każdym razie o szybkim wyjeździe nie myśli. Mamy czas i możemy czekać bez zbytejnej obawy.

— Ale na co czekać?

— Przede wszystkim na wiadomości z Brukseli. Jestem przekonany, że wkrótce zdolamy się dowiedzieć czegoś interesującego, czegoś, czym będziemy mogli skutecznie miss Normann zaszachować.

Pożegnałam się ze stryjem zniechęcona. Czekać i czekać... Abstrahując już od tego, że czekanie nie leży w moim usposobieniu, chcę nareszcie coś wiedzieć. Przychodzą na mnie takie chwile, kiedy mam ochotę wprost pójść do tej kobiety i w cztery oczy sprawę postawić jasno. Mam przecież do tego pełne prawo.

Powiedzieć jej:

„Czego pani chce od mego męża? Dlaczego go pani szantażuje?! I jeżeli istotnie łączyły was kiedyś jakieś uczucia, nie zdoła mi pani wmówić, że jeszcze je zachowała”.

Ciekawa jestem, co mogłaby mi na to odpowiedzieć.

Pod każdym względem mam nad nią przewagę. Jedyne z prawnego punktu widzenia ona ma pierwszeństwo.

Po południu przyjechał Jacek. Opowiadał mi dużo o polowaniu i o swoich rozmowach z Niemcami. Oczywiście nie wspomniał im o Morzu Czarnym. Z tego powodu nawet trochę pokłóciliśmy się. Jacek usiłował wmówić we mnie, że kobiety nie powinny interesować się polityką, gdyż na niej się nie znają. Śmieszny argument! Taka ciotka Magdalena czy mama nie znają się na pewno. Ale weźmy chociażby Dankę.

Kobiety nie znają się na polityce! Zupełnie pognębiłam Jacka mówiąc:

— A któż był większym politykiem niż Katarzyna Wielka, niż Elżbieta angielska, niż królowa Wiktoria. Gdy rządziły, ich kraje doszły do największego rozkwitu i potęgi. Ta tylko różnica, że miały korony na głowie. Gdybym ja była królową polską, a ty na przykład moim ministrem czy nawet księciem małżonkiem, bez sprzeciwu musiałbyś stosować się do moich dyrektyw. I upewniam cię, że rezultaty byłyby znacznie lepsze niż za rządów męskich.

Jacek na to oświadczył:

— Właśnie za rządów męskich kobiety zanadto wtrącają się do polityki i dlatego często popełniane bywają błędy. Za czasów Katarzyny rządzili jej faworyci, za czasów Elżbiety również mężczyźni, których co prawda umiała dobrać, a z Wiktoria księżę Albert robił, co chciał.

— I cóż z tego wynika? — zapytałam.

— Wynika to — sztucznie uśmiechnął się z udawaną galanterią — że powinnyście nam królować, ale nie rządzić nami.

Wzruszyłam ramionami.

— Przykro mi, że nie znasz historii. Wszystkie te trzy monarchinie właśnie rządziły, a tylko na ich plus w polityce zapisać należy to, że umiały sobie dobrać faworytów. Gdybym ja była królową, wybrałabym sobie...

*Tu niestety, muszę przerwać tok opowiadania p. Hanki Renowickiej. Autorka mianowicie wyliczyła w tym miejscu kilka nazwisk, należących do osobistości powszechnie znanych. Wprawdzie nie wątpię, że każdy z tych panów byłby uszczęśliwiony tytułem faworyta tak czarującej monarchinii, nawet w tym wypadku, gdyby monarchinią nie była, ale większość z nich to ludzie żonaci.*

*Czytelnik z łatwością zrozumie, że publikując pamiętnik p. Hanki nie mogę narażać tych szanownych i miłych ludzi na domowe przykrości. Żony niejako z reguły nie lubią, by ich mężowie bywali faworytami, chociażby in spe<sup>55</sup>.*

<sup>55</sup>*in spe* (łac.) — dosł. w nadziei; przyszły, spodziewany, mający zadatki na. [przypis edytorski]

*Drugim motywem, który mi kazał skreślić podane przez p. Hankę nazwiska, było to, że nie chciałbym polskiemu ogółowi sugerować potrzeby tych zmian w życiu publicznym, które byłyby prostą konsekwencją opinii p. Hanki.*

*Zmiany te objęłyby tak szeroki zakres, doprowadziłyby do tak ryzykownych przesunięć na różnych wysokich stanowiskach, że groziłoby to poważnym zamieszaniem.*

*Dość powiedzieć, że sprawy kultury i sztuki dostałyby się pod kierownictwo pewnego, świetnego zresztą, rotmistrza jednego z najlepszych pułków kawalerii, sprawy narodowościowe objąłby pewien młody hrabia, władający biegle wieloma językami, obrona kraju byłaby powierzona znanemu lekkoatlecie, a główne kierownictwo państwa spoczęłoby w rękach jednego z najlepszych aktorów warszawskich, który tak świetnie grał rolę Juliusza Cezara. Nie chcę jednak w najmniejszym stopniu kwestionować słuszności poglądów p. Hanki i proszę ją, by mi wybaczyła to małe skreślenie w jej pamiętniku. (Przypisek T. D. M.)*

— Bądź spokojny — dodałam — pod moimi rządami nie byłoby na przykład bezrobocia. Wy, mężczyźni, uważacie za rzeczy trudne takie problemy, które same nasuwają własne rozwiązania. Cóż łatwiejszego jak zlikwidować bezrobocie? Wystarczy ogłosić, że każdy, kto nie chce pracować, pójdzie do więzienia. Albo na przykład te spory z Ukraińcami. Już nie bój się: jakbym ja z nimi pomówiła, to na pewno zdołałabym ich przekonać, żeby siedzieli spokojnie. A już nie mówię o dyplomacji. Ręczę ci, że gdyby na miejscu Brianda<sup>56</sup> na przykład Danielle Darrieux<sup>57</sup> organizowała Stany Zjednoczone Europy, już dawno mielibyśmy takie stany, a wszystkie wojny zostałyby skasowane.

Jak zwykle nie przyznał mi słuszności i wykręcił się jakimiś żarcikami. Z nim nie można poważnie pomówić. Gwałtem chce utrzymać się przy przeświadczeniu o własnej wyższości w dziedzinie polityki. Ostatecznie mogę mu zostawić to złudzenie. Widocznie jest mu potrzebne do szczęścia.

Zresztą, jeżeli mam być szczerą, nie miałabym dość cierpliwości, by zajmować się codziennie i stale polityką. Już nie mówiąc o tym, że trudno by mi było znaleźć na nią dość czasu. Kilka razy przysłuchiwałam się dyskusjom w Sejmie. To jest potwornie nudne. Wychodzą na trybunę różni panowie i godzinami mówią o rzeczach absolutnie nieinteresujących.

Dobrze jednak, że przypomniała mi się Danielle Darrieux. Nie byłam jeszcze na jej ostatnim filmie, a wiem od Muszki, że Toto był dwa razy. Jest naprawdę prześliczna, ale jednak ma nos nieładny. Po takim wariacie jak Toto wszystkiego można się spodziewać. Potrafi pojechać dla niej choćby do Hollywood. I tak by to mu nic nie pomogło, bo przeczytałam w „Kinie”, że jest zamężna i w mężu zakochana. A pieniądze Tota jej nie zaimponują. Sama zarabia miliony.

Nieraz już przychodziło mi na myśl, że i ja mogłabym grać w filmach. Jeżeli chodzi o urodę, to na pewno nie ustępuję żadnej z naszych gwiazd i mogę równać się z wieloma zagranicznymi. Przy moim wzroście 160 cm i wadze 53 kg nie wyglądałabym mniej zgrabnie od najlepszych. Jestem również fotogeniczna. Ma się rozumieć, nie pragnę wcale zostać aktorką, ale zagrać raz, na przykład pod pseudonimem, bardzo bym chciała. Sądzę,

<sup>56</sup>Briand, Aristide (1862–1932) — premier Francji (1909–1911 r., 1913, 1915–1917, 1921) oraz minister spraw zagranicznych (1925–1932); jego nazwisko łączy się przede wszystkim z podpisaniem w 1925 r. układu w Locarno z Niemcami, Włochami i Belgią (za wkład w negocjacje otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla w 1926 r.), zaproponowaniem i realizacją traktatu przeciwwojennego (zw. także: paktem paryskim a. paktem Brianda-Kellogga, 1928) oraz z przestawioną w 1930 r. propozycją integracji państw europejskich: Francji, Wielkiej Brytanii i Niemiec jako państw-założycieli oraz pozostałych państw Europy (z wyłączeniem Turcji i Rosji), w ramach Unii Federacyjnej czy też Stanów Zjednoczonych Europy, połączonych unią celną, wspólnym rynkiem, systemem bezpieczeństwa oraz niektórymi instytucjami. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>Darrieux, Danielle Yvonne Marie Antoinette (1917–2017) — fr. aktorka filmowa i teatralna; karierę w Hollywood rozpoczęła w wieku 18 lat, zagrała w ponad stu amer. i fr. filmach. [przypis edytorski]



że i Jacek nic nie miałby przeciwko temu. Przecież kiedyś grała księżna Sapieżyna i inne panie z najlepszego towarzystwa. Na pensji nieraz brałam udział w przedstawieniach amatorskich i nasz polonista (a on się znał na tym) twierdził, że niewątpliwie mam talent.

Idea ta tak mnie opanowała, że natychmiast postanowiłam zatelefonować do Tota, by wśród swoich stosunków wyszukał kogoś, kto mógłby mnie wprowadzić do filmu. Na nieszczęście Tota nie zastałam w domu.

Pojechaliśmy z Jackiem na godzinkę do kawiarni „Europejskiej”, gdzie spotkaliśmy sporo znajomych. Wszystkich namówiłam na kino, a później poszliśmy do „Bristolu” na kolację.

Już wchodząc na salę zobaczyłam ją: siedziała ze stryjem Albinem, z mecenasem Nieprzyckim i z takim jednym panem od wyścigów. Z uwagą przyglądałam się z ukosa Jackowi. Udawał, że nie patrzy w tamtą stronę, lecz przybliżył z lekka i czuł się skrępowany. Nietrudno było domyślić się, dlaczego.

Już to, że zobaczył ją niespodziewanie, musiało go wytrącić z równowagi. Na dobitkę przerazić go musiało jej towarzystwo: stryj Albin. Wprawdzie Jacek sam nie utrzymywał z nim stosunków i wiedział, że nikt z rodziny ze stryjem się nie komunikuje, jednak musiało go to przestraszyć. Skombinowałam to sobie od razu.

Prawdę mówiąc troszeczkę spodziewałam się, że ją tu zastaniemy i ciekawa byłam reakcji obojga. Otóż miss Normann zachowywała się zupełnie swobodnie. Gdy kilka razy spojrzała w naszym kierunku, zrobiła to z pozorną obojętnością i można było odnieść wrażenie, że wcale Jacka nie zna. Raz jednak ich oczy spotkały się. Skupiłam całą uwagę, by nic nie stracić z tej chwili. W spojrzeniu Jacka był jakby gniew, jej oczy prześliznęły się po nim bez żadnego wyrazu.

To musi być niebezpieczna kobieta.

Umyślnie zaczęłam przymilać się do Jacka. Robiłam to bardzo demonstracyjnie, zmuszając go tym jednocześnie do wzajemnych czułości. Usiłował wprawdzie jakoś mnie zmoderować<sup>58</sup>, lecz nie ustąpiłam. Wreszcie powiedziałam mu, że chcę zatańczyć. Gdy ociągał się przez moment, z obawy, by nie wymyślił jakiego wykrętu, wstałam i wyciągnęłam doń rękę.

Widziałam, że był zły, bo uśmiechał się nienaturalnie. Toteż gdy znaleźliśmy się wśród tańczących par, odezwałam się doń półgłosem:

— Nie rozumiem, co się z tobą stało?

— Ze mną? — zapytał, żeby zyskać na czasie.

— Dawniej tak lubieś taniec.

— Dlaczego dawniej? — udał oburzenie. — Zawsze przepadam za tańcem z tobą.

— Dlaczego w takim razie masz minę taką, jakby cię prowadzono na szafot?

— Co ty wygadujesz?! — zaśmiał się nieszczerze.

— Trzymasz mnie sztywno, wyglądasz tak, jakbyś przez grzeczność poprosił mnie do tańca.

Jacek skrzywił się.

— Masz do mnie jakieś dziwne pretensje. Jestem trochę zmęczony. To wszystko.

Właśnie mijaliśmy stolik tej kobiety. Pieszczotliwym ruchem palców pogładziłam jego dłoń. Ona wprawdzie tego nie dostrzegła, lecz Jacek poczerwieniał i widziałam, jak mu się zacisnęły szczęki. On się musi bać tej kobiety.

Powiedziałam perfidnie:

— Zachowujesz się tak, jakbyś chciał zademonstrować, że nudzą cię i męczą moje czułości.

Jacek z lekka zmarszczył brwi i zmuszając się do przyjemnego wyrazu twarzy bąknął:

— Sama wiesz, że to nieprawda.

— Być może — nalegałam. — Ale ty chcesz, by wszyscy tu na sali pomyśleli, że to prawda.

— Zapewniam cię, Haneczko, że to urojenia.

— A ja cię zapewniam, że już nigdy z tobą nie zatańczę.

<sup>58</sup>zmoderować — tu: powściągnąć, ukrócić, zdyscyplinować, złagodzić; por. fr. *modérer*). [przypis edytorski]

— Doprawdy cię nie rozumiem. Masz do mnie pretensje o to, co wcale nie istnieje. A poza tym mogłabyś się zdobyć na tyle wyrozumiałości, by uznać, że każdemu wolno czasami nie mieć usposobienia do tańca.

— Owszem, uznaję to. Ale w takim razie dlaczego prosiłeś mnie do tańca?

Jacek przygryzł wargi.

— Wybacz, ale to ty chciałaś.

— Więc cóż z tego?... Mogłeś przecież powiedzieć, że nie masz ochoty, że ci już zbrzydłam do reszty, że... Czy ja wiem... Że wstydzisz się ze mną tańczyć, że...

Przerwał mi cokolwiek za mocnym ściśnięciem mojej ręki. Był bardzo zły. Nie wiem dlaczego, ale opanowało mnie takie rozdrażnienie, że nie mogłam powstrzymać przykrych słów:

— Jeżeli chcesz, bym krzyknęła z bólu, ściśnij mi rękę mocniej.

— Słuchaj, Haneczko — odezwał się stłumionym głosem — co ci zawiniłem?... Przyznaję, że nie chciałem tańczyć, i gdybyś nie wstała, prosiłbym, byś wybrała innego tancerza. Ponieważ jednak już wstałaś, nie wypadało mi zrobić nic innego, jak wstać również.

— Tak — przyznałam. — Być może. Ale czy nie uważasz, że wypada też, tańcząc z żoną, przynajmniej udawać, że nie jest to dla ciebie torturą.

Orkiestra skończyła grać i wróciliśmy do stolika, poróżnieni i podnieceni sprzeczką. Przez tchórzostwo Jacka (a może i przez moje rozdrażnienie) cały plan mi się nie udał. Zależało mi na tym, by pokazać tej wydrze, że Jacek jest we mnie zakochany. Tymczasem wyszło coś wręcz przeciwnego. Nawet przy naszym stoliku wszyscy spostrzegli, żeśmy się klócili, i ktoś na ten temat zrobił kilka niemądrych dowcipów.

Podczas następnego tańca zjawił się Toto. Oczywiście zaraz mnie poprosił, lecz odmówiłam.

I tu Jacek wykazał się swoją klasą! Gdy następnie zagrano walca, uśmiechnięty wstał i skłonił się przede mną. Widocznie przełamał w sobie obawę przed tą kobietą albo zląkł się, że ja się na niego poważnie pogniewałam. W każdym bądź razie dał nowy dowód, jak bardzo mnie kocha. Ach, gdybym mu mogła powiedzieć, jak wiele tej chwili odczuwałam dlań wdzięczności.

Był niezrównanie szarmancki, a ponieważ walca tańczy znakomicie, zwracaliśmy na siebie powszechną uwagę. Gdy w drugiej połowie zwolniliśmy tempo, pochylił się nad moim uchem i szepnął:

— Czy już teraz dobrze? Wrodzony upór kazał mi nie poddawać się od razu.

— Tak powinno było być już wtedy — powiedziałam.

— Masz rację, kochanie. Tylko widzisz, wtedy byłoby to nieszczerze, a teraz jest najszersze.

Milczał chwilę i dodał:

— Kocham cię tak, jak już nigdy nikogo kochać nie będę.

Byłam zupełnie szczęśliwa. I z tego, co mi mówił, i z tych spojrzeń, którymi wodzili za mną mężczyźni, i z tego, że tak ładnie wyglądałam, i z tego, że miałam prześliczną sukienkę, której skromność podkreślała jeszcze bardziej moją młodość w porównaniu z tą rudą wydrą. Miała wprawdzie na sobie bardzo szykowną suknię wieczorową z pięciem storczyków, ale wyglądała co najmniej na trzydziestkę. Na dobrze zakonserwowaną trzydziestkę.

Musiła ona to odczuć, gdyż wkrótce wstała i całym towarzystwem przenieśli się do cocktail-baru. Poczciwy Toto w całej swojej naiwności zapytał, zwracając się do mnie i do Jacka:

— Czy nie wiecie, kto to jest ta dama w towarzystwie pana Niementowskiego?

Jacek zmieszał się, a ja powiedziałam:

— Skądże możemy wiedzieć? Przecież nie jest dla ciebie tajemnicą, że z panem Niementowskim nie utrzymujemy żadnych stosunków.

Toto najniezręczniejszy w świecie mruknął:

— Przepraszam...

Coraz bardziej się dziwię, co ja mogłam w nim widzieć.

Zawsze ceniłam u ludzi lotną inteligencję. Wyobrażam sobie, jaki byłby Toto, gdyby nie pochodził ze swojej sfery, gdyby nie miał swojej kindersztuby. I czym by mógł się

wówczas zajmować? Zostalby groomem lub kamerdynerem. Gdy się ich obu widzi razem, Toto nie wytrzymuje najmniejszego porównania z Jackiem. Jacek jest czuły, wrażliwy i gorący. Jego opanowanie, jego dyskretny sposób bycia nikogo uważnego nie zwiodą. Najlepiej go określił Jarosław Iwaszkiewicz. Powiedział mi kiedyś:

— To romantyk w skórze klasyka.

Co prawda niezbyt dobrze orientuję się w sensie tego określenia, ale nie ulega wątpliwości, że jest świetne. Ilekroć komuś je powtarzam, wszyscy przyznają mi rację.

Wróciliśmy do domu w największej zgodzie.

Niedziela

Nie cierpię niedziel. Są nudne, jednostajne i bezbarwne. A przy tym swoją wyjątkowością zakłócają normalny bieg życia. Nagle przypomina człowiek sobie, że nie może pójść do miary, że nie może kupić różnych rzeczy dlatego tylko, że ludzie świętują. Poza tym wszyscy krewni uważają niedzielę za najlepszy dzień do odwiedzin i telefonów. To straszne, jak wielu człowiek ma krewnych. Właściwie mówiąc, krewni są prawdziwą udręką. Zastanawiałam się nad tym, jak by wyglądał świat, gdyby jakoś ograniczyć pokrewieństwa. Na przykład zostawić tylko ojca i matkę. No i oczywiście dzieci.

Ilekroć pomyślę o dzieciach, zawsze mi się robi przykro. Halszka ma cudną córeczkę, której oczywiście nie umie wychowywać. Wyrośnie z niej na pewno raróg. Muszka ma dwóch synów. Wspaniałe chłopaki. Wszystkie pytają mnie, dlaczego dotychczas nie mam dzieci. Przyznam się, że zarówno cieszy to mnie i martwi. Sądzę, że nie umiałabym bawić się i zajmować się sobą, gdybym miała dziecko. To jest coś tak rozkosznego, że zśrodkowałabym w nim całe swoje życie. Z drugiej jednak strony jestem przecież bardzo młoda i tak niewiele dotychczas miałam od życia. Ogarnia mnie radość, że jeszcze jestem wolna, że nie grozi mi konieczność przestrzegania jakiejś diety i nie wyrasta przede mną perspektywa długotrwałego wycofania się z zabaw i z normalnego trybu egzystencji. A jednak zazdroszczę i Halszce, i Muszce. W dodatku Jacek już kilka razy wspomniał o tym, że nasz dziecinny pokój jest pusty.

Posiadanie dziecka sprawia wprawdzie wiele kłopotów, ale ma też i plusy. Mężczyznom to się bardzo podoba. Pamiętam w Rimini taką Dunkę czy Holenderkę, która chodziła na promenadę ze swoim pięcioletnim chłopczykiem. Wprost kokietowała nim wszystkich. Ubierała go cudownie w aksamitny granatowy garniturek lub w biały pikowy. Musiała go wytresować. Inaczej nie zaczepiałby wszystkich panów. Ale robił to z takim wdziękiem, że żaden z nich nie potrafił się oprzeć.

W rezultacie wciąż była otoczona prawie tak jak ja.

Mój Boże! Tak myślę o posiadaniu dziecka, a jeszcze sama nie wiem, czym nie powinna błogosławić tego, że jesteśmy bezdzietni. Przecież jeszcze nie wiadomo, jak skończy się sprawa z tą belgijską Angielką. Stryj dziś nie telefonował. Widocznie nie ma żadnych nowych wiadomości. Jacek przez cały dzień był w domu, tylko koło szóstej namówiłam go, by poszedł do moich rodziców. Ostatecznie naprawdę czuli się urażeni tymi kilkoma wypadkami jego nieuwagi.

Podczas jego nieobecności wyjęłam zza wanny paczkę Roberta i schowałam ją w bieliźniarce. On tam nigdy nie zagląda. Co zaś dotyczy służby, mogę przecież chować klucz do toalety.

Swoją drogą postąpiłam może zbyt lekkomyślnie, domagając się od Jacka, by skłonił ciotkę Magdalenę do wyjazdu. Mam teraz mnóstwo idiotycznych spraw na głowie. Przecież to jest nonsens, bym zajmowała się dysponowaniem, pilnowaniem terminów prania itp., zwłaszcza teraz, gdy gnębi mnie tyle nieszczęść. Gospośia, którą wzięłam, jest szczytem niezaradności. Wciąż zwraca się do mnie z pytaniami o jakieś głupstwa. A już mowy nie ma o tym, by umiała ułożyć menu, czy wiedzieć, jak rozsądzić gości. Jacek dziś po raz trzeci dostał na pierwsze śniadanie herbatę, której nie znosi. Jak dużą sprawiło mu to przykrość, w tym najlepszy dowód, że sam mi to powiedział.

Kto wie, czy nie byłoby wskazane napisać do ciotki Magdaleny. Ostatecznie jej wyjazd załatwiony został w sposób zupełnie przyzwoity i wszyscy wzajemnie możemy udawać, że nasze rozstanie nie było wynikiem żadnych nieporozumień, lecz po prostu chęcią, by ciocia odpoczęła.

Muszę się naradzić z Jackiem.

Święto, Niedziela, Obyczaj

Dziecko, Kobieta

Sługa, Gospodyni

Poniedziałek

Wprawdzie stryj Albin mi o tym wspomniał, ale zupełnie nie byłam na to przygotowana. Miss Elisabeth Normann wczoraj wieczorem wyjechała do Krynicy. Prawdopodobnie nie na długo, gdyż nadal zatrzymała swój numer w hotelu. Stryj dał mi do zrozumienia, że miałby również wielką ochotę pojechać za nią, lecz nie pozwalają mu na to różne sprawy. Domyślałam się, że po prostu brak mu gotówki.

A zresztą nie zależy mi na tym, by stryj do Krynicy jechał. Może byłoby rzeczą najrozsądniejszą, gdybym ja się tam udała. W tamtejszych warunkach, gdzie się zawiera wiele przygodnych znajomości, nietrudno byłoby zbliżyć się do niej, nie wywołując jej podejrzeń, że tyle wiem o niej. Jestem przekonana, że znacznie lepiej niż stryj potrafiłabym skłonić tę panią do zwierzeń. Na przykład stryj nie potrafi przycisnąć jej do muru w związku z językiem polskim. Twierdzi, że niepodobna skierować rozmowy z nią na ten temat.

W rezultacie wszystko spada na mnie. Ja muszę o wszystkim myśleć, wszystko przewidywać. Znikąd nie mam żadnej pomocy.

Jacek znowu jest bardzo zajęty. Na świecie dzieją się ważne rzeczy. Bez ustanku przyjeżdżają kurierzy dyplomatyczni. Jacek mówi, że wybuch wojny jest bardzo możliwy. Tego by jeszcze brakowało! Wprawdzie sędzę, że było wiele przesady w opowiadaniach ludzi starszych o ubiegłej wojnie, ale jednak pozostaje niezaprzeczonym faktem, że trzeba było jadać jakieś świństwa, gdyż produkty zdrożały, no i mowy nie było o sprowadzaniu czegoś z zagranicy.

Jeżeli wojna wybuchnie, Jacek będzie musiał iść na front, a Toto również. Ułożyłam już sobie razem z Tulą, że wstąpimy do Czerwonego Krzyża jako siostry miłosierdzia. W kornecie, który tak świetnie uwydatnia owal mojej twarzy, wyglądam wręcz prześlicznie. A poza tym strój siostry miłosierdzia daje kobiecie *un cachet de virginité*<sup>59</sup>.

Przeraża mnie tylko myśl o maskach gazowych. Nie dość, że się w nich potwornie wygląda, ale na dodatek człowiek się po prostu dusi. I wchłania wstrętny zapach gumy. Po co ludzie urządzają wojny? Rozumiem jeszcze, gdyby urządzali takie piękne i malownicze jak za czasów Napoleona czy Kmicica.

Ale niedawno przeczytałam w „The London News” opis przyszłej wojny. To wstrętne. Mężczyźni będą siedzieli w okopach i zasypywali się wzajemnie gradem pocisków, a kobiety w miastach będą musiały wciąż ukrywać się w schronach przeciwlotniczych przed bombami, gazami, bakteriami cholery i innymi okropnościami. Woda w rzekach będzie zatruta i zakażona różnymi epidemiami. Wszystkie samochody zostaną zarekwirowane. Koleje też będą wyłącznie na usługi wojska. I pomyśleć, po co to wszystko?! Po to, że jeden kraj drugiemu chce odebrać jakiś kawałek ziemi. Gdyby to ode mnie zależało, wolałabym przenieść Polskę gdzieś na odległy koniec świata, na przykład do Australii. Tam nareszcie mielibyśmy spokój.

Wacek Mianowski był konsulem w Australii i mówił, że tam jest bardzo przyjemnie. Są teatry, kina, zawody sportowe, kluby i wszystko jak w Europie. Najdziwniejsze jest to, że mieszkańcy Australii to sami przestępcy. Anglicy wywozili ich tam tysiącami i wypuszczali na wolność. To znacznie lepszy system niż nasz. U nas się niepotrzebnie trzyma ich w więzieniach całymi latami. Oczywiście po wyjściu z więzienia znowu powracają do swego procederu. I tak w kółko. W Australii natomiast od razu porządnieją. Wacek był tam zdaje się trzy lata, a zapewniał mnie, że ani razu go nie okradli.

Swoją drogą to musi być niesłychanie ciekawe, takie społeczeństwo składające się z samych zbrodniarzy. Nie dziwię się tym dziewczętom angielskim, które chętnie zgadzają się jechać tam całymi partiami i wychodzić za nich za mąż.

Muszę o tym wszystkim pomówić dzisiaj na balu w ambasadzie brytyjskiej. Mam suknię z białego tiulu z prawdziwymi koronkami. Wyglądam w niej bardzo efektownie. Ciekawa jestem, czy pani de Rochendier będzie miała ładniejszą. Toto mówił mi, że otrzymał z Londynu ostatni model kołnierzyków frakowych o monstrualnie wygiętych rogach. Radziłam mu, by tego nie nakładał. Mężczyzna dobrze ubrany powinien zawsze w modzie spóźnić się przynajmniej o miesiąc. Pod tym względem Jacek ma rację.

Wojna

Więzień

Zabawa, Moda, Kobieta,  
Mężczyzna

<sup>59</sup>*un cachet de virginité* (fr.) — pieczęć (znak, znak rodowy) dziewictwa. [przypis edytorski]

Wtorek

Więc stało się to najgorsze, czego można było się spodziewać!

Postaram się opowiedzieć wszystko spokojnie i systematycznie. Ponieważ z balu wróciłam po szóstej, spałam prawie do pierwszej. Gdy wstałam, Jacka już nie było w domu. Za dużo piłam szampana i dlatego trochę mnie bolała głowa. Postanowiłam więc do wieczora nie wychodzić i w związku z tym nie ubierać się. Po załatwieniu kilku telefonów, zamierzałam właśnie zająć się uporządkowaniem moich notatek, gdy przyszedł Józef i zameldował, że w przedpokoju czeka jakiś posłaniec z listem, który mu kazano oddać mi do rąk własnych.

W pierwszej chwili pomyślałam, że Toto wykombinował dla mnie jakiś nowy prezencik. On lubi takie niedorzeczne niespodzianki. Nie przeczuwałam nic złego. W przedpokoju stał najzwyklejszy posłaniec: stary, zgarbiony człowiek z siwą bródką i z czerwoną czapką w ręku. Nie przyjrzałamby mu się nawet, gdyby nie to, że powiedział:

— Może szanowna pani z łaski swej zamknie drzwi.

Obejrzałam się. Rzeczywiście zostawiłam za sobą otwarte drzwi do gabinetu. Trochę się zaniepokoiłam.

— Dlaczego mam zamknąć?

— Zaraz to szanownej pani wyjaśnię.

Spojrzałam nań nieufnie, lecz pomyślałam sobie, że przecież taki staruszek nie może mieć żadnych złych zamiarów. Gdy zamknęłam drzwi, wyciągnął do mnie rękę i szepnął:

— Haneczko!...

Omów nie krzyknęłam z przerażenia. Odskokczyłam w tył. O ile mogę sobie przypomnieć, raczej zdawało mi się, że mam do czynienia z wariatem. No, bo proszę sobie wyobrazić: przygarbiony starzec o niechlujnym wyglądzie zewnętrznym i zmierzwionych, siwych włosach wyciąga rękę i szepcze do mnie tak, jakbyśmy byli w najintymniejszych stosunkach. W dodatku ma jeszcze czerwone obwódki dookoła oczu. Przecież to okropne!

— Więc nie poznajesz mnie? — powiedział.

I teraz właśnie go poznałam. To był Robert. Ale jak okropnie się zmienił! Jakie straszne musiały być jego przejścia, skoro wyglądał naprawdę staro, niezależnie od charakterystyki, i ta charakterystyka! Mogłabym przyglądać mu się godzinami i nie wiedzieć, że to on.

— Nie poznajesz mnie? — powtórzył.

Ze strachu i wrażeń nie mogłam z siebie wydobyć głosu. Ręce mi drżały.

— Poznaję — zdołałam wymówić.

— Nie mam wiele czasu, kochana. Przyszedłem tylko po to, by odebrać, coś wyjęła z sejfów. Innym, razem, za dwa, trzy dni, zatelefonuję do ciebie. Czy masz tę paczkę?

Skinęłam głową

— Owszem, mam.

Serce waliło mi jak młotem.

— To dobrze — mówił. — To doskonale. Jestem ci niewymownie wdzięczny. A teraz proszę cię, Haneczko, śpiesz się. I postaraj się tak przynieść mi tę paczkę, by nikt z domowników nie widział. Bardzo mi na tym zależy. Gdzie ją masz?

— W sypialni, w bielizniarce.

— Więc śpiesz się.

Trzęsły się podę mną nogi i kręciło mi się w głowie. Jak na złość nie mogłam znaleźć kluczyka od bielizniarki. Minęło chyba dobrych pięć minut, zanim wydobyłam paczkę i wróciłam do przedpokoju.

Przywitał mnie niemal gniewnie:

— Coś robiła tak długo?! Mów zaraz, coś robiła! Gdzie masz telefon? — Gwałtownie ścisnął mnie za rękę.

Byłam tak oszołomiona, że nie wiedziałam, jak zareagować.

— Proszę mnie puścić — szepnęłam. — Szukałam tej paczki. Zapodział mi się gdzieś klucz od bielizniarki.

— Gdzie masz telefon? — zasyczał, coraz mocniej ściskając moją rękę.

— Tutaj obok, w gabinecie.

Patrzył mi w oczy groźnie i nienawistnie. Wyglądał strasznie. Ileż okrucieństwa musi być w tym człowieku! Odsunął mnie w sposób brutalny i wszedł do gabinetu. Dopiero stwierdziwszy, że rzeczywiście tu znajduje się telefon, uspokoił się nieco i zaczął rozpakowywać paczkę.

Nagle z jego ust wyrwało się obrzydliwe przekleństwo i z furią cisnął paczkę o ziemię. Na dywanie rozsypały się skrawki gazet. Spojrzał na mnie z wściekłością i powiedział przez zaciśnięte zęby:

— To wszystko przez ciebie! Dlaczegoś nie poszła do banku tego dnia, gdyś otrzymała mój list? Zdążyli znaleźć i zamienić. Dlaczegoś nie poszła od razu?

Zbliżył swoją twarz do mojej i wprost ze strachu skłamałam:

— Ależ poszłam. Od razu...

— Kłamiesz! — prawie krzyknął. — Poszłaś nazajutrz o jedenastej. Byłem idiotą, że tobie powierzyłem to zadanie!

Kopnął nogą rozrzucone gazety mówiąc:

— Zresztą już teraz to jest wszystko jedno. A teraz słuchaj: Masz milczeć jak grób. Gdybyś mnie wydała, że tu byłem, zabiłbym cię z zimną krwią. Pamiętaj, że umiem dostrzymywać swoich obietnic, rozumiesz?

— Rozumiem.

— Nikomu nie powiesz?

— Nikomu.

Pogroził mi pięścią i dorzucił:

— Pamiętaj!

To powiedziawszy, odwrócił się i bez słowa pożegnania wyszedł.

Jakże trudno znaleźć wyrazy na to, by określić, co się wówczas we mnie działo. Wiem jedno, że uległam całkowicie pierwszemu przemożnemu wrażeniu: oto ten człowiek był kimś zupełnie innym. Wraz z powierzchownością zmienił swoją treść. On, który umiał obdarzać mnie najcudowniejszymi słowami pieśczęt, dziś mówił do mnie jak do największego wroga. Patrzył na mnie jak na martwy a nienawistny przedmiot. Wówczas tylko to rozumiałam. Ogarnął mnie przede wszystkim jakiś bezbrzeżny, przejmujący wstyd, wstyd zdeptanej ambicji, wstyd własnej łatwości, wstyd, że mogłam wierzyć temu człowiekowi.

Potraktował mnie jak służącą. Jeszcze gorzej. Trzask zamykanych drzwi wyjściowych odezwał się we mnie echem rzeczywistości. Nie wiem, po co pobiegłam do salonu, nie wiem, czy obudziła się wówczas chęć natychmiastowej zemsty, czy po prostu zrobiłam to odruchowo. Wiem, że z całą wyrazistością pamiętałam o instrukcji majora. Należało podejść do okna i dać znak poruszeniem firanki. Co prawda uprzytomniłam sobie również, że widocznie od dawna zaniechano obserwacji moich okien. Nie widywałam na ulicy nikogo, kto by się w nie wpatrywał. W pragnieniu ukarania Roberta zrodził się teraz żal do majora. Dlaczego go nie pilnowali? Oto teraz mieliby go w rękę.

Nigdy dotychczas nie przeżywałam takiego wzburzenia. Czulałam się wręcz zniweczona, dotknięta w najboleśniejszy sposób, upokorzona. Więc kłamał, że mnie kocha, więc oszukiwał mnie bezczelnie! Więc chciał mnie użyć tylko jako narzędzia swoich podłych machinacji. Jakże szczęśliwa byłam teraz, że przynajmniej machinacja ta się nie udała. Zasłużył na to. Zasłużył, by go ujęto. „Co robić?” — myślałam gorączkowo. Już od okna chciałam zawrócić i biec do gabinetu, by telefonować do majora, lecz zdałam sobie sprawę, że i tak nie zdążę. W tej właśnie chwili ujrzałam Roberta na dole. Przechodził przez jezdnię. Nagle spośród przechodniów wysunął się jakiś niski, gruby pan i skierował się w jego stronę.

Wówczas stało się coś strasznego. Robert błyskawicznym ruchem wydobyl z kieszeni rewolwer. Rozległ się jeden strzał, później drugi i trzeci.

Przechodnie w panice uciekali we wszystkie strony. Teraz zobaczyłam, że ze stojącego opodal samochodu również strzela jakiś jegomość w brązowym kapeluszu. Robert rzucił się w bok i zaczął biec w stronę skrzyżowania ulic. Za nim pędziło dwu czy trzech ludzi. Oni strzelali do niego, on raz po raz odwracał się i również do nich strzelał.

W powietrzu rozlegała się kanonada i skądś z daleka gwizdki policyjne. Otworzyłam okno i wychyliłam się.

Na rogu Robert zobaczył widocznie biegnących, naprzeciw policjantów, gdyż zatrzymał się. Tej jednej chwili wystarczyło. Musiało go ugodzić kilka kul naraz, gdyż upadł jak ścięty kosą.

Wokół niego, na śniegu, szybko zaczęła rosnać czerwona plama krwi. Wstrząsnęłam się i odeszłam od okna. Zrobiło mi się mdło. Przed oczami wirowały mi czerwone płatki. Cały pokój wokół mnie się zataczał.

Zdołałam dobrać się do kanapy i tu upadłam nieprzytomna.

Dopiero w godzinę później służba mnie tu znalazła. Józef nakrywając do stołu w jadalni spostrzegł, że spod drzwi od salonu ciągnie zimno. Domyślił się, że w salonie musi być otwarte okno i dlatego tam wszedł. Stracili tak głowę, że pobiegli po lekarza. Wszakże nim lekarz nadszedł, gosposia zdołała mnie ocucić. Najgorsze z tego wszystkiego było to, że przeleżałam przeszło godzinę w wyiębionym pokoju, mając na sobie tylko szlafroczek. Katar już jest pewny, oby tylko nie przyplątała się grypa. Tak nie lubię chorować. Gdy mam katar, nie mogę pokazywać się nikomu, bo koniuszek nosa robi mi się czerwony.

Na szczęście przed przybyciem Jacka zdążyłam oprzytomnieć o tyle, że uprzątnęłam z gabinetu skrawki gazet, rozsypane przez Roberta. Natychmiast po tym położyłam się do łóżka.

Cały dom jest zemocjonowany uliczną strzelaniną. Każde ze służby przyniosło inną relację. Na szczęście nikt z nich nie łączył zdarzenia z posłańcem, który był u mnie, a którego zresztą widział tylko Józef. Ponieważ Józef zdążył wybiec na ulicę już wtedy, gdy było po wszystkim, mogę nie obawiać się jego gadatliwości. Twierdził, że na ulicy postrzelono człowieka, który chciał obrabować sklep jubilerski. Pokojówka zapewniała, że miał tu miejsce jakiś dramat miłosny, gdyż pewien pan strzelał do kobiety, idącej w towarzystwie drugiego mężczyzny. Gosposia od naocznych świadków wiedziała, że był to napad na policjanta. Kucharka natomiast utrzymywała, że wynikła zwykła awantura między pijakami.

Z tej strony miałam więc spokój. Zresztą Jacek przyszedłszy na obiad nie okazał większego zainteresowania tym zajściem. Przestraszył się tylko faktem mego omdlenia i robił mi wyrzuty, że wyglądałam podczas strzelaniny oknem.

— Tę ciekawość mogłaś przecież przyplącić poważnym skaleczeniem — mówił.

Dobrze się złożyło, że miał jeszcze jakąś konferencję na mieście. Musiałam zostać sama. Musiałam zebrać myśli i zastanowić się nad tymi wstrząsającymi zdarzeniami.

Doszłam do przekonania, że w pierwszej chwili niesłusznie tak surowo osądziłam Roberta. Ostatecznie jego zachowanie się aż nadto da się usprawiedliwić. Można kogoś bardzo kochać, ale w takim momencie, gdy grozi nam śmierć, nie zapanować nad nerwami i powiedzieć coś ostrego lub nawet nieuprzejmego. W chwili gdy Robert przyszedł, nie zdawałam sobie jeszcze sprawy z sytuacji, w jakiej się znajduje. Pomyśleć tylko: w brudnym ubraniu posłańca, z przyklejoną brodą i w peruce przemycać się ulicami nie wiedząc, czy pierwszy lepszy przechodzień nie czyha na jego życie.

W dodatku spotyka go taki zawód. Spodziewał się odzyskać swoje rzeczy, ryzykował dlatego głową i gdy otwiera paczkę, wewnątrz znajduje skrawki gazet. Trzeba być aniołem, by w takich warunkach zapanować nad sobą.

Nie, stanowczo osądziłam go niesprawiedliwie. Uprzytomniłam teraz sobie, że przywitał mnie przecież niezwykle serdecznie. Wybuchł gniewem dopiero wtedy, gdy spotkał go zawód. A nie pożegnał się po prostu dlatego, że przeczuwał widocznie wiszące w powietrzu niebezpieczeństwo. Naturalnie. Skoro stwierdził, że zawartość paczki zamieniono, mógł łatwo się domyślić, że śledzono również tego, kto paczkę z sejfu zabrał, czyli mnie. A skoro mnie śledzono — tak musiał rozumować — obserwowano też dom, w którym mieszkam.

Biedak. Czuł się na pewno jak zaszczute zwierzę, na które czatują myśliwi.

I co się z nim stało? Czy został zabity, czy tylko ranny? Gosposia mówiła, że zabrano go do karetki pogotowia. Z tego należałoby wnioskować, że jeszcze żył. Tyle jednak było krwi na śniegu. I cóż mu zresztą przyjdzie z życia? Skażą go i tak na śmierć albo na dożywotnie więzienie, skoro był aż tak niebezpiecznym szpiegiem. I dla mnie byłoby może znacznie lepiej, gdyby nie żył. Kto wie, czy nie wzywano by mnie jako świadka do sądu. Wolałabym otruć się, niż kompromitować się w takim procesie. Wszystkiego na pewno dowiem się jutro z gazet. Zastanawiałam się bardzo nad swoim sumieniem. Czy jestem

i w jakim stopniu winna temu, co spotkało Roberta. Mam chyba prawo sądzić, że stałam się tylko mimowolną sprawczynią jego nieszczęścia. Bo gdybym o niczym nie dawała znać pułkownikowi i tak wypadki potoczyłyby się tym samym torem. Gdybym, tak jak tego Robert żądał w liście, poszła do skrytki banku, śledzono by mnie i mój dom. W zysku miałabym tylko to, że uznano by mnie za współniczkę szpiega. I byłabym zgubiona.

Nie. Nic sobie nie mam do wyrzucenia. I jakże bardzo się cieszę, że Robert wyszedł ode mnie, nie podejrzewając mnie wcale o kontakt z pułkownikiem. O ile cięższej byłoby mu umierać, gdyby wiedział, że kobieta, którą kocha, jest w zмовie z jego prześladowcami.

Przyszło mi nawet na myśl, że Robert naraził się na śmierć nie tylko dlatego, by odebrać tę paczkę. Cóż w niej było? Jakieś plany fabryki i pieniądze. Któż dla takich drobiazgów naraża własne życie?

Nie powiedział mi tego, ale teraz już jestem pewna, że główną pobudką jego powrotu do Warszawy była chęć zobaczenia mnie. Najwyraźniej mówił, że przyszedł na minutę, lecz wkrótce będzie mógł widzieć się ze mną dłużej. Jego późniejsze zdenerwowanie było najzupełniej usprawiedliwione. Muszę przecież wziąć pod uwagę i to, jak się zachowałam. Byłam tak zaskoczona, że nie zdobyłam się nawet na jedno ciepłe słowo.

Miał prawo myśleć, że jestem przerażona jego wizytą, że jestem z niej niezadowolona. To go rozdrażniło jeszcze bardziej. Trzeba umieć wejść w duszę mężczyzny, by ocenić trafnie pobudki jego postępowania. Większość kobiet nie umie się na to zdobyć. Gdybym była przeciętną istotą o powierzchownym sposobie myślenia, zostałabym na pewno przy swoich pierwszych wrażeniach i odsądziłabym Roberta od czci i wiary, jego, który przez największe niebezpieczeństwa przedzierał się, by mnie zobaczyć.

Rozumiem teraz, dlaczego trzeba być tak ostrożną w sądzeniu innych.

O szóstej zmierzylałam temperaturę. Moje przewidywania sprawdziły się. Mam trzydzieści siedem i pięć. A ponieważ wciąż odczuwam chłód i dreszcze, nie ulega wątpliwości, że gorączka wzrasta. Ładna historia. Będę musiała spędzić kilka dni, a może nawet i tydzień w łóżku. Oby z tego nie wywiązała się żadna poważna choroba. Wprawdzie płuca mam zupełnie zdrowe, ale nigdy nic nie można wiedzieć. Mama bardzo się przestraszyła i przyjechała do mnie, przywożąc z sobą doktora Jareckiego. Ona tylko jemu wierzy. Ja zresztą też mam do niego pełne zaufanie, a poza tym jest niesłychanie miły.

Zbadał mnie bardzo skrupulatnie i orzekł, że na razie trudno jest przewidzieć, co z tego może być. Sądzi jednak, że będzie to zwykła grypa, która szybko minie. Ma się rozumieć zabronił mi wstawać z łóżka i zapisał lekarstwa. Pozwolił jadać wszystko i przyjmować wizyty. Zwłaszcza z tego jestem zadowolona. Leżę teraz w ślicznej pidżamie z kremowego jedwabiu i wyglądam bardzo ładnie. Po mieście, wśród znajomych rozeszła się już wiadomość o mojej chorobie. Kilkanaście osób dzwoniło z zapytaniem, jak się czuję. Zainteresowanie to tym jest większe, że wszyscy wiążą moje zachorowanie ze strzelaniną, o której już się też zdążyli dowiedzieć.

Gdybyż przypuszczali, gdybyż mogli domyślić się prawdy! Urosłabym od razu na bohaterkę dnia. To jednak bardzo przyjemnie czuć się kimś znacznie większym, niż domyśla się otoczenie. Ma się wówczas przewagę nad ludźmi, przewagę wewnętrzną.

Z niecierpliwością czekam jutrzejszego ranka i gazet. Mogłabym wprawdzie już dzisiaj zadzwonić do majora czy do pułkownika i dowiedzieć się, co się stało z Robertem. Obawiam się jednak, że gdy się odezwę, znowu obarczą mnie jakąś misją. A poza tym gotowi przypuścić, że troszczę się o niego. Lepiej uzbroić się w cierpliwość i czekać.

Toto oczywiście przyniesie mimozę<sup>60</sup>. Chwilami podejrzewam, że ma on kalendarzyk z przepisami, co i kiedy należy ofiarowywać kobiecie. Taki podręcznik *savoir vivre*'u dla nieumiejących samodzielnie myśleć.

To jest naprawdę dziwne, że może mnie z nim coś łączyć. Polega to chyba na tym, co czytałam niedawno w *Trzech sercach* Mostowicza. Mianowicie, że doskonałość nie poszukuje bynajmniej doskonałości. Tylko kobieta o miernych wartościach szuka uzupełnienia w wysokich wartościach mężczyzny. Swoją drogą stęskniłam się za nim. Co tak długo robi na wsi? I kiedy wreszcie przyjedzie? Tak lubię jego ostry dowcip. Gdyby nawet nie był znanym powieściopisarzem, mam wrażenie, że żywiłabym dla niego tyle samo nie-

<sup>60</sup>*mimoza* — w symbolicznej „mowie kwiatów” używanej przez eleganckie towarzystwo w XVIII i XIX w. oznacza obawę przed okazaniem swoich gorących uczuć. [przypis edytorski]



zmiennej sympatii i serdeczności. Lubię nawet, gdy pokpiwa sobie z mojej inteligencji, bo wiem, że w gruncie rzeczy ceni ją bardzo wysoko. Nie lubi tylko tego okazywać. Między nami pozostał ten pełen szarmu stosunek swobodnej przyjaźni. Napiszę dziś do niego. Właśnie, to jest świetna myśl. Napiszę do niego długi list i poproszę, by przyjechał.

Kończę, bo w przedpokoju dzwonek.

Środa

Niewygodnie jest pisać w łóżku. Mam dziś trzydzieści osiem i dwie dziesiąte. Ale czuję się wybornie. Jacek żartował, że utyję z powodu choroby. Rzeczywiście przy gorączce mam zawsze większy apetyt. Doktor powiada, że to jest dowód zdrowego organizmu, który przy intensywniejszej przemianie materii żąda większych uzupełnień. Kazałam kupić wszystkie dzienniki. Znalazłam w nich niestety tylko krótką i jednakowo brzmiącą wzmiankę, którą tutaj wklejam:

Strzelanina na ulicy Moniuszki

Wczoraj około południa wywiadowcy służby śledczej usiłowali zatrzymać na ulicy Moniuszki podejrzanego osobnika, który w odpowiedzi na żądanie wylegitymowania się dobył rewolweru i oddał w kierunku funkcjonariuszy policji szereg strzałów.

W wyniku strzelaniny osobnik ten został trzykrotnie ranny i w stanie beznadziejnym przewieziony do szpitala więziennego na Mokotowie.

Ze znalezionych przy nim dokumentów okazało się, iż jest to od dawna poszukiwany listami gończymi bandyta Jan Gąsiory, na którym ciąży szereg zbrodni, jak włamania, napady rabunkowe i morderstwa. W trakcie operacji dokonanej natychmiast celem wyjęcia kul, Gąsior zmarł.

To bardzo nieładnie z mojej strony, ale przeczytałam wiadomość o jego śmierci z uczuciem ulgi. Jednak jestem egoistką. Sądzę, że wystarczającą ekspiacją z mojej strony będzie to, że gdy wyzdrowię, dowiem się, gdzie jest pochowany, i zawiozę na jego grób kwiaty. Myślę, że najodpowiedniejsze będą czerwone róże. (*A propos róż* — To to oczywiście przyniósł mi wczoraj ogromny wiecheć mimozy. Powiedziałam mu kilka dokuczliwości).

Nie wiem, dlaczego z Roberta zrobiono bandytę. Trudno mi uwierzyć, by oni go nie poznali, skoro nań czatowano. Najprawdopodobniej dano taką wzmiankę do prasy, gdyż nie chciano ujawniać, że zabitym jest szpieg ościennego mocarstwa. Nie jestem zresztą pewna, czy Robert był szpiegiem właśnie ościennego mocarstwa.

To jest naprawdę tragiczne, że nigdy się nie dowiem, co pchnęło go na tę drogę. Swoją tajemnicę zabrał do grobu. Musiały to być przeżycia niezwykle ciężkie i fascynujące. Biedak. Tak mało mu dać mogłam, a tyle ode mnie oczekiwał. To jednak nie może być rzeczą przypadkową, że na swojej drodze spotykam zawsze ludzi niezwykle (bo i Toto w pewnym sensie jest człowiekiem niezwykle).

Przed południem telefonował stryj Albin i mówił, że otrzymał kartkę od miss Normann z Krynicy. Nie zawierała nic ciekawego poza szablonowym pozdrowieniem. Dla mnie jednak jest rzeczą jasną, że sam fakt przysłania kartki stanowi wymowny dowód jej przebiegłości. Niewątpliwie zna moje panięskie nazwisko i nie może jej nie zastanowić fakt, że starszy pan o identycznym nazwisku tak bardzo się nią interesuje. Jeżeli nawet po wyjeździe stara się nie utracić z nim kontaktu, świadczy to o jej zamiarze utrzymywania z nim stosunków. Jakże stąd wyciągnąć wnioski?... W każdym razie jest to dziwna kobieta. Trudno mi zrozumieć, co ją skłania do przewlekania sprawy z Jackiem. Przekonałam się dzisiaj, że Jacek jest poinformowany o pobycie miss Normann w Krynicy. Gdy wspomniałam mu, że po powrocie do zdrowia zamierzam wyjechać na kilka dni do Krynicy, bardzo mi odradzał. Zalecał Zakopane, którego wiem, że nie lubi. Ciekawa jestem, czy on z nią koresponduje. Przed obiadem nawet wstałam na chwilę i bardzo

systematycznie przeszukałam szuflady w jego biurku. Jest jednak bardzo ostrożny. Nie znalazłam absolutnie nic. W kalendarzu była jednak notatka: „Patria” — 6-8.

Można się było domyślić, że miało to jakiś związek z miss Normann. Przypuszczam, że oznacza to, że zamieszkała w „Patrii” i że można dzwonić do niej między szóstą a ósmą. Powzięłam niezłomne postanowienie: natychmiast po wyzdrowieniu jadę do Krynicy i też zatrzymam się w „Patrii”. Czytałam dziś w gazetach, że ma tam przyjechać Kiepusza z żoną. Jego już poznałam przed dwoma laty w Paryżu. Ale jej jestem bardzo ciekawa. Ma naprawdę prześliczny głos. Kilka osób nawet mi mówiło, że jesteśmy do siebie podobne, ale nie zgadzam się z tym wcale.

Wysłałam wczoraj list do Mostowicza. Wiem, że nie cierpi pisywania listów, ale przynajmniej depeszą mi odpowie na pewno. Jemu będę mogła się zwierzyć z niektórych moich przeżyć i zapytać go, co o nich sądzi.

Dziś będę miała ciężki pasztet: ojciec zapowiedział się na wieczór. By jakoś ulżyć atmosferze, zaprosiłam jeszcze kilka osób.

Rano była Danka. Organizuje teraz jakieś nowe stowarzyszenie, które ma zająć się źle prowadzonymi się dziewczętami. To zabawne, że źle prowadzące się dziewczęta nie rewanżują się i nie zakładają związków opiekujących się pannami, które się dobrze prowadzą.

Nie rozumiem, dlaczego ludzie w ogóle wtrącają się do życia innych. Każdy sobie organizuje życie, jak sam chce, i ponosi tego konsekwencje. Oczywiście zachowuję sobie prawo wypowiedzenia opinii, ale nie mam żadnego na usprawiedliwienie wścibstwa.

Czwartek

Sama nie wiem, jak doszło do tej rozmowy. Zapamiętałam z niej każde słowo. Nie umiem sobie tylko uprzytomnić, co skłoniło Jacka do mówienia. Zdaje się, że sprowokował go do tego ojciec, bardzo surowo potępiając Tonię Potocką za jej stosunek do męża. Gdy wieczorem wszyscy wyszli, Jacek usiadł przy moim łóżku i powiedział:

— Zastanawia mnie, dlaczego ludzie tak rzadko rozumieją innych. Wydaje mi się, że na świecie byłoby znacznie mniej niesprawiedliwości, gdyby jedni zechcieli ujawniać motywy swoich działań, a drudzy wnikać w nie i oceniać według sumienia.

Mówił jakby do siebie. Był zamyślony i smutny. Odezwałam się luźno:

— Ludzie są zbyt zajęci sobą...

— Przeciwnie — potrząsnął głową. — Zajmują się swoimi bliźnimi, ale zajmują się powierzchownie. Stąd tyle fałszywych opinii i tyle jadu. Jestem najbardziej przekonany, że w niebie znajdzie się znacznie więcej osób, niż my przypuszczamy.

Pomyślałam o Robercie i przytaknęłam:

— Naturalnie. Całkowicie podzielałam twoje zdanie. Nigdy przecież nie wiadomo, jakie straszliwe czy po prostu nieprzychylnie okoliczności złożą się na czyjś zły postępek.

Spojrzał na mnie uważnie.

— Na serio tak myślisz?

— Zupełnie serio. Każdy może popełnić błąd.

Jacek pocałował mnie w rękę.

— Cieszę się, że myślisz w ten sposób. Tym bardziej się cieszę, Haneczko, że wyrozumiałość jest cechą tak rzadką, zwłaszcza u kobiet. Wiesz, miałem czasami różne myśli o tobie. I nigdy nie miałem najmniejszej wątpliwości, że jesteś mi zupełnie wierna. Ale zastanawiałem się nad tym, co zrobiłbym, jak bym postąpił, co czułbym, gdybym się dowiedział, że mnie zdradzasz.

Zaśmiałam się.

— Nigdy się o tym nie dowiesz. Jeżeli cię zdradzę, zrobię to tak przebiegle, że nawet się nie domyślisz.

Uśmiechnął się i zerknął z ukosa na mnie niezbyt pewnie.

— Wiem, że żartujesz, kochanie. Ale ja chcę powiedzieć o tym poważnie. Otóż przede wszystkim rozmówiłbym się z tobą. Musiałbym sprawdzić, czy wina nie leży po mojej stronie. W iluż wypadkach tak bywa. Mąż zaniedbuje żonę, poświęca jej zbyt mało czasu czy obojętnie na jej sprawy. Nie interesuje się jej życiem wewnętrznym... Ach, istnieją przecież wiele motywów... Na przykład, mężowie często lekceważąco wyrażają się o swoich żonach, często pozwalają sobie na kokietowanie innych kobiet w ich obecności.

Zdrada, Małżeństwo, Mąż,  
Żona

Zupełnie dobrze zdają sobie sprawę z tego, że każdy z tych motywów w znacznym stopniu usprawiedliwiałby zdradę ze strony żony.

Spojrzałam nań zdziwiona.

— Dlaczego o tym mówisz?

— Ach, zupełnie bez konkretnych powodów. Otóż i w takim wypadku zacząłbym od poszukiwania winy w samym sobie. Nie potrafiłbym osądzić ciebie, nie osądziwszy wprzód swego postępowania.

Zamyślił się i dodał:

— To samo dotyczy przeszłości.

— W jakim sensie?

— W tym, jak na przykład było u Zdzisiostwa Jaworowskich. Nie znasz ich i pewno o tym nie słyszałaś. Zdziś ożenił się z nią z prawdziwej miłości. Lili była pod każdym względem przyzwoitą panną. Kochała się w nim bardzo. Mogli służyć jako wzór dobranego małżeństwa. I w rok po ślubie Zdziś przypadkowo dowiaduje się o tym, że Lili jeszcze za swoich pensjonarskich czasów miała romans... to jest właściwie coś w rodzaju romansu... słowem, bywała w garsonierze u pewnego pana.

— To ładna historia... No i cóż on zrobił?

— Moim zdaniem postąpił brutalnie i niesprawiedliwie. Najpierw przez kilka miesięcy dręczył ją indagacjami i urządził codzienne sceny, chociaż mu od razu się przyznała. Była jeszcze prawie dzieckiem. Nie miała pojęcia o życiu. Zdawało się jej, że pokochała owego pana. Nie miała do kogo zwrócić się o radę. Jej matka zajęta była własnym życiem... Cóż dziwnego?... W tych warunkach każdą lub prawie każdą dziewczynę może to spotkać. Gdy w kilka lat później wychodziła za Zdzisia, już wcale nie pamiętała o tamtym.

Przerwałam mu:

— No, w to trudno uwierzyć.

— Nie wpieram<sup>61</sup> się przy tym. Może pamiętała. Może nawet przywiązywała większą wagę do swego błędu młodości...

— Dlaczego w takim razie nie wyznała wszystkiego mężowi przed ślubem?

Jacek potrząsnął głową.

— O właśnie! Widzisz! Tu nie podzielam twego zdania. Mogła przecież wierzyć, że tamte jej przeżycia nigdy nie wyjdą na wierzch. Po cóż miała zatruwać kochanemu człowiekowi myśli, po co miała mu psuć wiarę we własną czystość i uczciwość, skoro, zostając jego żoną, we własnym sumieniu czuła się czysta i uczciwa. Zapewne, z rygorystycznego punktu widzenia ty masz słuszość. Ale życia nie można traktować rygorystycznie. Nie można zmieniać ludzi w paragrafy. Gdyby przed ślubem wyznała Zdzisiowi wszystko, na pewno zerwałby zaręczyny.

— Nie wiadomo, mój drogi. Jeżeli ją tak bardzo kochał...

Jacek wzruszył ramionami.

— Ależ kocha ją do dziś. A jednak ją porzucił. Zepsuł szczęście swoje i jej, bo nie umiał zdobyć się na wyrozumiałość, bo poddał się egzaltacji, bo chciał widzieć w niej anioła, nie zaś człowieka, który mógł pobiłdździć. Zastanów się tylko, kochanie, ile krzywdy wyrządził sobie i jej...

— No, ale i tobie nie byłoby przyjemnie dowiedzieć się czegoś podobnego na przykład o mnie.

— Zapewne — skinął głową. — Ale nie rozdymałbym tego do rozmiarów tragedii. Potrafiłbym zrozumieć i przebaczyć. Naprawdę przebaczyć. Przebaczyć w sobie. I bądź przekonana, że nie zostałoby we mnie najmniejszego żalu, najmniejszej gorczy.

Zapanowała cisza i dopiero po dłuższej chwili odezwałam się:

— Dlaczego, Jacku, mówisz o tym ze mną?

Nie odpowiedział od razu. Widziałam, ile wewnętrznego wysiłku kosztuje go to, że chce mi się szczerze przyznać. Wreszcie powiedział:

— Bo widzisz, zastanawiałem się też i nad odwrotną sytuacją.

— Jak to nad odwrotną?

— No, na przykład, gdybyś się ty dowiedziała o mnie czegoś złego z mojej przeszłości...

<sup>61</sup>wpierac się — dziś popr.: *upierać się* przy czymś. [przypis edytorski]

Serce uderzyło mi mocniej. Więc jednak sam uznał za swój obowiązek dotknięcie tego tematu. Postanowiłam nie wypuścić go z ręki.

— Ach, mój drogi. Nigdy nie myślałam, że przed naszym ślubem byłeś świętoszkiem. Jestem przekonana, że jak ogromna większość mężczyzn, miałaś sporo przygód i na pewno niejeden poważniejszy romans. Ale nie mam ci tego za złe.

Jacek przygryzł wargi.

— Ach, pod tym względem oczywiście. Myślałem wszakże o czymś innym. Myślałem, jak byś przyjęła wiadomość o tym, że kiedyś popełniłem czyn nieetyczny.

— To zależy, jakiego rodzaju — zauważyłam bez nacisku.

— Nie chodzi o rodzaj.

— Mnie owszem. Powiedzmy, inaczej oceniłabym fakt, że kogoś zabiłeś w gniewie, a inaczej, żeś okradł kogo lub na przykład, żeś był na utrzymaniu u jakiejś starej baby. Co innego obrabować bank, a co innego uwieść dziewczynę i porzucić ją z dzieckiem. Nie mówię o wielkości zbrodni, lecz o rodzaju jej smaku. Chcę, żebyś mnie dobrze zrozumiał. Są takie postęпки, które na zawsze zmieniłyby ciebie w moich oczach. Są takie, które umiałabym odczuć i przebaczyć.

Jacek nie patrząc na mnie zapytał:

— Jak dzielisz je na te dwie kategorie?

Zamyśliłam się i powiedziałam po dłuższej pauzie:

— Sądzę, że umiałabym przejść do porządku dziennego nad czynem nieetycznym poświadczonym pod wpływem jakichś uczuć. Miłości, nienawiści, nagłego gniewu, zazdrości. Sądzę, że nie znalazłabym wytłumaczenia dla wszelkiej premedytacji, dla przebiegłości, dla podstępów i może jeszcze dla krzywdy wyrządzonej słabszym.

Jacek znowu długo nie odpowiadał. Jego piękne brwi ściągnęły się w łuk o jakimś bolesnym wyrazie. Z lekka poruszał wargami jakby zatrzymując słowa, które się same z ust wyrwały.

W obawie, że moja definicja może go powstrzymać od zwierzeń, dodałam:

— Zresztą to tak trudno określić, gdy się nie ma do czynienia z konkretnym faktem. Czy ja wiem?... Może to, co odepchnęłoby mnie zdecydowanie od jednego człowieka, u ciebie na przykład pogodziłoby się z jakimiś cechami twego charakteru i nie tworzyłoby tak rażącego obrazu.

Zdawał się nie słyszeć tego, co powiedziałam, i wpatrując się w jeden punkt na ścianie powiedział:

— Bywają czyny nieetyczne, których nie da się ująć w ramy takiego podziału.

Przechyliłam się ku niemu i serdecznie wzięłam go za rękę. Drgnął i na jeden moment, na króciutki moment podniósł na mnie oczy. Wiedziałam, że tą łagodną pieszczotą ułatwię mu mówienie. Pochylił jeszcze bardziej głowę i zaczął. Nareszcie zaczął!

— Widzisz, Haneczko, chciałem ci coś wyznać. Odgadłaś od razu, że nie bez powodu skierowałem rozmowę na te sprawy. Chciałem ci się przyznać do czegoś, co jak cierni tkwi w moim sumieniu...

— Słucham cię, Jacku — odezwałam się z zapartym tchem.

— Kiedyś, kiedy byłem jeszcze bardzo młody i niedoświadczony, pokochałem pewną dziewczynę. Pokochałem ją tak bardzo, że gdyby zażądała ode mnie dokonania najstraszniejszego czynu, zrobiłbym to bez wahania. Powiedziałaś, że posądzasz mnie o niejeden romans w owych czasach, gdyśmy jeszcze nie byli razem. Otóż jest to niesłuszne. Przeżyłem tylko jeden romans, który w dodatku nie był romansem. Gdy szukam w myśli stosownej nazwy dla niego, przychodzi mi słowo „farsa”, „dramat”, „tragedia”, „komedia pomyłek”, co chcesz, tylko nie romans. Wspominałem ci niedawno, że pewne nad wyraz przykre sprawy odezwały się teraz. Użyłem wyrażenia zbyt łagodnego. Nie były to przykre sprawy, lecz wręcz przybijające. Teraz, gdy zarysowują się przede mną dwie wyraźne alternatywy<sup>62</sup>, kiedy wszystko uporządkowałem w sobie, mogę o tym z tobą mówić szczerze. Wiem, że potrafisz mnie wysłuchać i że będziesz się starała nie sądzić mnie zbyt surowo.

— Możesz być tego pewny.

— Dziękuję ci.

<sup>62</sup>dwie (...) alternatywy — oznaczałoby to cztery możliwe wyjścia, ponieważ alternatywa to wybór między dwiema ewentualnościami (albo-albo). [przypis edytorski]

— Wiedz, Jacku, że nie masz lepszego przyjaciela ode mnie.

— I nie chcę mieć lepszego. I właśnie jako do przyjaciela zwracam się do ciebie, Haneczko, z najgorętszą prośbą. Nie masz pojęcia, jak ciężko jest mi mówić. I dlatego proszę cię, proszę cię bardzo, byś przyjęła to, co ci powiem, jak obiektywną i bezwzględną prawdę. Byś zrozumiała, że mówię ci wszystko, co powiedzieć mogę. Byś nie zadawała mi dalszych pytań. Czy możesz mi to obiecać?

— Obiecuję ci — zapewniłam go poważnie. — Przecież pamiętasz, że nigdy nie dręczę cię pytaniami w sprawach, o których nie chcesz czy nie możesz mówić.

Zrobił taki ruch, jakby chciał sięgnąć po moją rękę, by ją ucałować, lecz cofnął się. Widocznie ukłuła go myśl, że przed wyznaniem prawdy byłoby to niejako nadużycie mojej nieświadomości.

Biedny Jacek! Gdybym mu mogła dać do zrozumienia, że jego zwierzenia nie będą dla mnie aż tak wielką niespodzianką. Gdybym mu mogła powiedzieć, że z góry skłonna jestem przebaczyć mu wszystko!... Należało jednak milczeć. Należało uzbroić się w cierpliwość i w pancierz surowości. Bądź co bądź byłoby rzeczą ze wszech miar niewskazaną dać mu przebaczenie natychmiast, dać mu poznać, że jego nieopatrzny i skandalicznie śmiały postępek, który przecież bezpośrednio godził we mnie, w moje szczęście, w moją dobrą opinię, nie zasługuje na najostrzejsze potępienie. Znowu z całą wyrazistością stanęło przede mną zrozumienie ogromu klęsk, jakie spadłyby na mnie i na moich rodziców, w wypadku ujawnienia tego, że Jacek jest bigamistą.

Wiedziałam, jak muszę się zachować. Należało ułatwić mu wyznanie, należało wydożyć z niego jak najwięcej, zostawić mu daleką perspektywę ewentualnego przebaczenia, lecz zachować rezerwę obrażonej godności własnej i żal doznanej krzywdy.

Jacek zaczął mówić:

— Było to przed ośmiu laty. Pomimo tego, że kończyłem właśnie dwudziesty czwarty rok życia, a inni moi rówieśnicy nieraz odznaczali się już dużym wyrobieniem i poważną sumą wiadomości o świecie, ja, jak to obecnie widzę, należałem do takich, którzy nie grzeszyli doświadczeniem, zbyt łatwo poddawali się impulsom i zbyt lekkomyślnie brali od losu to, co im dawał. Mówiąc po prostu, byłem naiwny. Kończąc studia uniwersyteckie, pozostawałem pod opieką wuja Dowgirda, którego zapewne pamiętasz, bo był na naszym ślubie.

— Pamiętam go — potwierdziłam. — Bardzo miły człowiek.

— Zawsze go wysoko ceniłem. I gdybym wówczas bardziej zaufał jego doświadczeniu, na pewno wiele rzeczy ułożyłoby się inaczej, a dziś nie ponosiłbym konsekwencji ówczesnych błędów. Wuj zresztą, zajmując wysokie i nader absorbujące stanowisko ambasadora, był niesłychanie zajęty i mnie poświęcać mógł niewiele czasu. A i ja sam nie chciałem go wciągać w moje sprawy, po pierwsze dlatego, że uważałem siebie za zupełnie dojrzałego, po drugie z tej przyczyny, że kończąc właśnie studia uniwersyteckie, miałem ambicję jak najszerszej pojętej wolności. W tym to okresie poznałem pewną pannę. Poznałem w sposób dość niezwykły i, jak mi się wówczas wydawało, wskazujący na przeznaczenie. Mianowicie, gdy ruszyłem samochodem sprzed pałacu ambasady, młodziutka i bardzo ładna dziewczyna omal nie wpadła mi pod koła. Była tym tak przerażona, że prawie nieprzytomną musiałem ją odwieźć do domu, a raczej do hotelu, w którym mieszkała razem z ojcem. Znajomość zawarta w ten sposób szybko przerodziła się we wzajemne uczucie. Ojciec tej panny był cudzoziemcem, który przyjechał tam dla załatwienia swoich interesów handlowych. Córkę zabrał, by poznała wielką stolicę i jej koła towarzyskie. Ponieważ byłem zaprzyjaźniony z wieloma dyplomatami, uprosiłem jedną z pań z naszej ambasady, by moją dziewczynę wprowadziła do wszystkich tych salonów, w których bywałem. Wszędzie wywarła jak najlepsze wrażenie i powszechnie zaczęto łączyć nasze nazwiska.

Jacek umilkł na chwilę i powiedział krótko:

— Zostaliśmy kochankami.

— I cóż dalej? — zapytałam łagodnie.

— Dalej sprawy potoczyły się biegiem, którym już nie kierowała ani moja świadomość, ani wola. Jedno wynikało z drugiego. Ambasada miała właśnie wysłać kuriera dyplomatycznego do Waszyngtonu z jakimiś ważnymi dokumentami. Ponieważ uśmiechała mi się podróż do Ameryki, a w dodatku i ta dziewczyna, której o tym wspomniałem, entuzjasmowała się projektem wyjazdu, zdołałem namówić wuja, by mnie powierzono

tę misję. Ojciec Betty — na imię jej było Betty — oczywiście nic nie wiedział o tym, że jedziemy razem. Zapomniałem jeszcze dodać, że Betty w swoim kraju miała narzeczonego. Małżeństwo ich było od dawna ułożone i nie mogło być zerwane ze względów materialnych i rodzinnych. Chcę być z tobą szczerą, Haneczko, i dlatego przyznam ci się, że jakkolwiek moje uczucia dla tej dziewczyny w owym okresie wydawały mi się, a może i naprawdę były wielką miłością, to jednak cieszyłem się w duchu z faktu, że nie zostanę jej mężem. Bywały jednak chwile, gdy zazdrość o jej narzeczonego zdolna była doprowadzić mnie do każdego kroku.

— Czy go znałeś? — zapytałam.

Przecząco potrząsnął głową.

— Nie. Widziałem tylko jego fotografię. Był to bardzo przystojny mężczyzna. Mniejsza zresztą o to. Był to początek kwietnia, gdyśmy odpłynęli do Ameryki wielkim liniowcem. W Stanach Zjednoczonych mieliśmy zabawić kilka miesięcy, podróżując i bawiąc się. Eskapada ta może dlatego, że była pierwszą eskapadą tego rodzaju w moim życiu, wydawała mi się czymś przepięknym. Byłem całkowicie pod urokiem jej romantyzmu, a moje uczucia do Betty wzrastały i umacniały się w miarę licznych stwierdzeń, że mężczyźni wokół zazdroszczą mi jej i zasypują ją komplementami.

— Czy rzeczywiście była taka piękna?

— Była piękna. Miała lat osiemnaście i bardzo wiele wdzięku. W Ameryce, gdzie młode panny zachowują się na ogół bardzo swobodnie, nasza przyjaźń i wspólna podróż nie wydały się nikomu niczym nadzwyczajnym. Niezależnie od moich znajomych w tamtejszych kołach dyplomatycznych, miałem tam jeszcze sporo przyjaciół i kolegów uniwersyteckich ze sfer dobrze sytuowanych. Bawiliśmy się wybornie. Mimo woli dostosowałem się do tamtejszych zwyczajów. Noce spędzaliśmy na hulankach. Nauczyłem się wtedy pić. Niemal codziennie wracało się nad ranem w stanie nietrzeźwym. Pewnego dnia otrzymałem z Waszyngtonu zapytanie, czy nie zamierzam wracać do Europy, gdyż jeżelibym wyznaczył swój powrót na dni najbliższe, ambasada waszyngtońska skorzystałaby z tego, by powierzyć mi przewiezienie nader ważnej poczty dyplomatycznej. Ponieważ i Betty musiała już wracać do kraju, chętnie się zgodziłem. Wówczas nastąpiło nasze pierwsze rozstanie. Nie chciała ze mną jechać do Waszyngtonu po te papiery, wolała zostać w Nowym Jorku i tu na mnie czekać. Nasze rozstanie trwało zaledwie trzy dni, lecz przekonano mnie, jak bardzo jestem do niej przywiązany...

Jacek przerwał i zwrócił się do mnie tonem skruchy:

— Wybacz, że mówię ci to. Wiem, że to jest niedelikatne. Ale muszę oświetlić ci mój ówczesny stan psychiczny gdyż w nim tkwi uzasadnienie popełnionego przeze mnie czynu.

— Słucham cię, Jacku, mów dalej.

— Otóż po powrocie do Nowego Jorku jak grom spadła na mnie wiadomość: Betty otrzymała depeszę, że przyjeżdża jej narzeczonego. To mnie zupełnie wytrąciło z równowagi. Miałem wrażenie, że i ona była zrozpaczona. W gronie kilku znajomych piliśmy przez całą noc, a nad ranem Betty mi powiedziała: „Nie ma innego wyjścia. Albo będziemy musieli rozstać się na zawsze, albo musimy mego narzeczonego i całą moją rodzinę postawić przed faktem dokonanym”.

Jacek przetarł czoło i dodał:

— Rozumiesz, że takim faktem dokonanym mógł być tylko ślub.

Nie powiedziałam ani słowa. Jacek zaś nerwowo gniótł w palcach od dawna nietlący się niedopałek papierosa.

— Wiesz — zaczął — jak prosto i łatwo te sprawy są załatwiane w Ameryce. Mam wrażenie, że oboje byliśmy po prostu pijani. Samochodem jednego z dalekich kuzynów Betty, któregośmy spotkali w Ameryce, pojechaliśmy do najbliższego urzędu stanu cywilnego. Gdyśmy się obudzili nazajutrz po południu, nie mogłem sobie uprzytomnić, czy to, co zrobiłem, nie było snem.

Czekałam tego wyznania, wiedziałam, że nastąpi, a jednak słowa Jacka wywarły na mnie wstrząsające wrażenie. Więc jednak to wszystko było prawdą! Więc jednak ten cień nadziei, który żywiłam, że ze strony Elisabeth Normann jest to jakaś mistyfikacja, okazał się złudzeniem.

Cóż, po raz pierwszy zarysowała się przede mną sprawa Jacka w sposób tak prosty i niepozostawiający żadnych wątpliwości. Popenił przestępstwo, żeniąc się ze mną. Popenił podłość, zatajając prawdę.

Zżyłam się przecież od dawna z tą myślą, ale dopiero w tej chwili z przeraźliwą jasnością ujrzałam rzeczywistość w jej nagich, ostrych konturach, pozbawioną zawoalowań tajemniczości i tych barw, które jej nadawały uczucia. I nagle zmienił się radykalnie mój wewnętrzny stosunek do Jacka. Jeżeli dotychczas dyktowany był raczej współczuciem i gorącym pragnieniem zatrzymania go przy sobie, to teraz patrzyłam na tego człowieka jak na kogoś niemal obcego, który wyrządził mi w dodatku krzywdę.

Nie był to teraz Jacek, najbliższy mi człowiek, z którym spędziłam trzy szczęśliwe lata życia, lecz po prostu mąż. Osobnik spełniający funkcję męża, zajmujący wprowadzić nadal oficjalne stanowisko w mojej egzystencji, lecz tylko stanowisko oficjalne, z którego uleciała cała uczuciowa treść. Oczywiście nadal zależało mi na możliwie poufnym zlikwidowaniu sprawy, oczywiście nadal pragnęłam uniknąć skandalu, ale już z całkiem osobistych, egoistycznych motywów.

Gdyby pomimo wszystkich wysiłków skandalu nie dało się uniknąć, byłoby mi już zupełnie obojętne, czy Jacek zostanie za bigamię skazany na więzienie, czy nie. Czy w rezultacie zostanie przy mnie, czy wróci do tamtej, którą, jak się teraz wygadał, kochał kiedyś do szaleństwa i na pewno nie przestałby kochać, gdyby ona go nie porzuciła. Wszystko to jest ohydne.

Wyżej napisałam może niezbyt zgodnie z prawdą, że przyjąłabym obojętnie powrót Jacka do tamtej. Na podobną rezygnację nie umiałabym się zdobyć. Ale wyłącznie ze względów ambicjonalnych. W gruncie rzeczy nie zależało już mi na nim. Nie chciałabym tylko, by dostał się tej właśnie kobiecie.

Tak był zajęty tym, co mówił, że na pewno nie zdawał sobie sprawy z tej olbrzymiej przemiany, jaka zaszła we mnie w ciągu tych paru minut. Nie wiedział, że mówi już do całkiem innej istoty, która wysłuchuje go już tylko jako człowieka referującego szczegóły jakiegoś wspólnego niepowodzenia w interesach. Jako człowieka, który ponosi odpowiedzialność za to niepowodzenie. Jacek mówił:

— Niestety, nie był to sen. Stopniowo przypominałem sobie wszystko. Małżeństwo zostało formalnie zawarte i klamka zapadła. Możesz mi wierzyć, Haneczko, że od pierwszej chwili wiedziałem, że popełniłem błąd.

Wzruszyłam ramionami.

— Dlaczego błąd?... Była aż tak oszołamiająco piękna, jak mówisz, kochałeś ją do szaleństwa, pochodziła z rodziny odpowiadającej ci pod względem towarzyskim, w dodatku zamożna... Nie widzę tu błędu.

Spojrzał na mnie z rozczuleniem, które odczułam jak obrazę.

— Dziękuję ci, że jesteś tak wyrozumiały — powiedział.

— To nie jest żadna wyrozumiałość, mój drogi, lecz po prostu niewiara w to, że byłeś niezadowolony.

— Jak to?... Nie wierzysz mi?...

Zaśmiałam się.

— Szkoda, że nie mogłeś słyszeć własnego tonu. W twoim pytaniu brzmiało takie oburzenie, jakbyś był człowiekiem najbardziej zasługującym na wiarę, jeżeli nie na całym świecie, to przynajmniej w środkowej Europie.

— Ach — przygryzł wargi — w ten sposób to rozumiesz.

— Właśnie w ten. A jakież inny doradziłbyś kobiecie, która po trzyletnim pożyciu małżeńskim dowiaduje się nie czegoś tam kompromitującego z przeszłości męża, lecz tego, że pomimo ślubu, który był oczywiście fikcją, jest tylko kochanką... czy raczej utrzymanką...

Jacek poczerwieniał i zwiesił głowę.

— Masz prawo najsurowiej mnie potępić, ale nie przypuszczałem, że zechcesz być aż tak okrutna.

— Ach, bynajmniej. Nigdy nie byłam dalej do jakichkolwiek okrutnych zamiarów niż teraz. Jestem gotowa najspokojniej wysłuchać cię do końca. I nie grozę ci przecie żadnymi represjami. Uważałam jedynie za swoje prawo przywołać cię do porządku wówczas, gdy

żądałeś ode mnie bezwzględnej wiary w te osłodzonka i upiększenia, którymi ubierasz swe zwierzenie.

Zmarszczył brwi.

— Więc dobrze. Będę już unikał jakichkolwiek komentarzy.

— To będzie najrozsądniejsze. Więc słucham cię.

Mówił teraz szybko i głosem stłumionym, który mu załamywał się raz po raz.

— Tegoż dnia wyjechaliśmy do Europy już jako małżeństwo. Wybacz, że muszę jeszcze na chwilę wrócić do momentu, który wzbudził uzasadnioną czy nieuzasadnioną twoją niewiarę. Mianowicie, mniejsza o moje ówczesne uczucia, ale wiedziałem, że popełniłem błąd chociażby ze względu na wuja. Jak ci już wspomniałem, Betty nie podobała się wujowi Dowgirdowi. Gdy była w ambasadzie, gdzieśmy mieszkali, prawie codziennym gościem i wuj nie mógł nie zauważyć, że Betty mnie interesuje, wymógł na mnie przyrzeczenie, że nic bliższego łączyć mnie z nią nie będzie.

— Ach, więc jeszcze jedno niedotrzymane przyrzeczenie — zauważyłam dość lekkim tonem.

— Dałem to przyrzeczenie na odczepnego. Po prostu sądziłem, że wuj ma jakieś nieuzasadnione kaprysy. Próbowałem wydobyć z niego, co ma Betty do zarzucenia, i zbył mnie ogólnikami. Przez pewien czas nawet domyślałem się, że jego niechęć do niej powstała na skutek osobistego niepowodzenia. Wuj, nie ma co ukrywać, zawsze był kobieciarzem. Tak czy owak, od chwili gdyśmy się zbliżyli z Betty, ukrywałem to przed wujem starannie, nie chcąc go drażnić. O naszym wspólnym wyjeździe do Stanów Zjednoczonych również oczywiście nie wiedział.

— I dlaczego tak bardzo z nim się liczyłeś?

— To jest zupełnie proste: byłem całkowicie od niego zależny. Przede wszystkim materialnie. Wiesz przecie, że mój ojciec, pamiętając o swoim nieszczęśliwym pożyciu z nieboszczką mamą, zrobił ten dziwny testament. Zapisał wszystko wujowi Dowgirdowi z tym, że ja mam otrzymać spadek dopiero w dniu mego ślubu.

— Nie rozumiem — przerwałam mu — skoro byłeś już po ślubie, miałeś prawo wejść w posiadanie spadku. Właśnie dzięki temu, co nazwałeś błędem, stawaleś się usamodzielniony.

— Nie, gdyż według testamentu moje małżeństwo wymagało zgody wuja.

— Ach, więc chodziło ci o pieniądze!

— Nie tylko o pieniądze — spojrzał na mnie gniewnie. — Liczyłem się z wujem i dlatego, że żywiłem dlań wiele wdzięczności. Wychował mnie przecie od małego chłopca. Poza tym miałem się poświęcić karierze dyplomatycznej i tu również wszystko zależało od wuja. Słowem, jak widzisz, nazajutrz po lekkomyślnie wziętym ślubie mogłem uważać, że popełniłem błąd.

Zmierzyłam go chłodnym spojrzeniem.

— Czy nazajutrz po naszym ślubie nie dręczyło cię to samo?

— Haneczko! — jęknął. — Jak możesz tak znęcać się nade mną! Przecież wiesz, że byłem najszcześliwszym człowiekiem na ziemi!

— Niesłusznie. Właśnie wtedy powinieneś być wiedzieć, że popełniasz nie tylko błąd, lecz i zbrodnię. Teraz dopiero cię poznałam. Wówczas gdy małżeństwo groziło ci utratą pieniędzy i przeszkodą w karierze, rozpaczaleś. Wtedy zaś, gdy narażało na śmieszność i kompromitację mnie, byłeś szczęśliwy.

Siła mojej argumentacji była nieodparta. Jacek zwiesił głowę i siedział zupełnie zgnębiony. Jeszcze przed pół godziną wzruszyłoby mnie to, ale teraz powiedziałam obojętnie:

— Więc ukryłeś przed wujem fakt swego małżeństwa?

— Tak. Przed nim i przed wszystkimi, którzy mogliby mu o tym donieść.

— Nie było to zapewne rzeczą łatwą?

— Owszem. Zamieszkaliśmy w małej wiosce w pobliżu Kadyksu, gdzie nie mogliśmy spotkać nikogo znajomego...

— Szczęście w cichym zakątku — wtrąciłam.

— Była to namiastka szczęścia dla nas obojga, bo i Betty gryzła się wewnątrz równie. Przecie i ona musiała dla mnie zerwać z rodziną. Nie mówiliśmy ze sobą o tym nigdy, ale pomimo nadrabiania minami oboje wiedzieliśmy już, że popełniliśmy szaleństwo. Na



usprawiedliwienie mieliśmy tylko to, że byliśmy bardzo młodzi, a ślub wzięliśmy, co tu obwijać w bawełnę, po pijanemu.

— No i to, żeście się kochali — podkreśliłam.

Nie zaprzeczył. Siedział przez chwilę w milczeniu i powiedział:

— Pewnego dnia, wróciwszy do domu, nie zastałem jej. Wyjechała. Nie zostawiła mi najmniejszego śladu. Nie będę ci opisywał tych sprzecznych uczuć, które wówczas przeżywałem. To nie należy do sprawy i nie ma na nią żadnego wpływu. Jeżeli poszukiwałem jej wszędzie, robiłem to z poczucia obowiązku. Wszystkie poszukiwania jednak nie dały rezultatu, chociaż nie żałowałem ani starań, ani pieniędzy. Tak mijają lata i bądź przekonana, że nie przerwałem poszukiwań aż do dnia naszego ślubu. Pamiętasz na pewno twoje własne niezadowolenie z kilkakrotnego odkładania tej daty. Musiałem to robić w obawie, że Betty niespodziewanie się odnajdzie. Ale gdy minęło lat pięć, doszedłem do przekonania, że albo umarła, albo w ogóle już nigdy nie da znaku życia. Przyznaj sama, czy nie miałem prawa tak rozumować.

— Przypuśćmy, ale w żadnym razie nie miałeś prawa zatajać tego przede mną!

— Tu jest mój największy grzech, ale, Haneczko, wejdź w moje położenie. Kochałem cię do szaleństwa i bałem się, że gdy wyznam ci prawdę, nie zechcesz zostać moją żoną.

Wzruszyłam ramionami.

— Dziś nie wiem, jak postąpiłabym w takim wypadku, ale nie zmniejsza to twojej winy. Po prostu popełniłeś oszustwo w stosunku do mnie i do moich rodziców. Musiałeś chyba w dodatku sfałszować swoje dokumenty, by móc uchodzić za kawalera?

— Nie, w dokumentach nigdy nie miałem żadnej adnotacji. Nie myśl też, że nie robiłem wysiłków, by uzyskać formalny rozwód. Te jednak również spełzły na niczym.

— Dlaczego?... Skoro cię porzuciła, skoro przez tyle lat nie dała nawet znać o sobie, każdy sąd, a szczególnie amerykański, udzieliłby ci rozwodu.

— To prawda — przyznał Jacek. — Żeby jednak rozwieść się, trzeba najpierw być żonatym. To jest przedstawić sądowi świadectwo małżeństwa. A ja takiego świadectwa nie posiadałem. Zabrała je Betty.

— No, ale przecie mogłeś uzyskać odpis w tym urzędzie, gdzie wam dano ślub.

Jacek uśmiechnął się smutno.

— Niestety, nie wiedziałem, w jakim urzędzie. Takie miasto jak Nowy Jork posiada ich mnóstwo. Ludzie wynajęci przez mego adwokata przeszukali księgi, jak mnie zapewniał, we wszystkich. Ręczył mi słowem, że zrobili to bardzo sumiennie. I nie znaleźli. Cóż miałem począć?... Znajdowałem się w takiej sytuacji, że całe moje małżeństwo rozplywało się w jakiejś fikcji. Nie miałem ani żony, ani żadnego dowodu, że kiedykolwiek brałem ślub. Czyż w tych warunkach, zwłaszcza że minął tak długi okres czasu, nie mogłem nabrać pewności, że już nic z tamtego nie wróci, że się nie odezwie?...

Potrząsnęłam głową.

— Przyznaję ci pod tym względem słuszość, ale twoim obowiązkiem było poinformować mnie o tym.

— Tysiąc razy zastanawiałem się nad tym. Bywały chwile, gdy nawet dochodziłem do przekonania, że pomimo wszystko zgodziłabyś się wyjść za mnie. Ale i wtedy zjawiały się refleksje: Po co mam zakłócać twój spokój? Po co mam między nas wprowadzać ten przykry ferment?... Po co narażać cię na przewidywanie niebezpiecznych komplikacji, w których ewentualność już dawno sam przestałem wierzyć?...

— A jednak zjawily się teraz, gdy tego najmniej się spodziewałeś?!...

— Tak. Nie spodziewałem się ich wcale. Minęło osiem lat. Osiem lat! Któż by mógł przypuszczać, że ta kobieta przypomni mi sobie, że zjawi się znowu na mojej drodze?...

— Gdzie ona jest?

— Ach, to nie ma żadnego znaczenia — powiedział wymijająco. — Ważne jest tylko to, że w ogóle jest, że istnieje.

— I czego ona chce od ciebie?

— Chce, bym do niej wrócił.

— Chyba jest szalona! Jak to? Przez osiem lat gdzieś włóczyła się po świecie, prowadziła się, jak mam prawo przypuszczać, nie jak westalka i teraz na jej skinięcie palcem masz do niej wracać?...

— Twierdzi, że mnie kocha.

Zaśmiałam się.

— A ty w swojej naiwności oczywiście jej wierzysz?

— Bynajmniej, ale to w niczym nie zmienia mego położenia. Ona wie, że jestem żonaty, że zostałam skazany za bigamię, i tym trzyma mnie w ręku.

— Więc wróć do niej! — zawołałam, już nie panując nad nerwami.

Spojrzał na mnie ponuro.

— Wolałbym palnąć sobie w łeb.

Powiedział to niewątpliwie szczerze i poczułam doń znowu lekki przypływ sympatii.

— Wobec tego nie rozumiem tej kobiety. Przecie nie może się ludzić, że nawet wróciwszy do niej formalnie, będziesz miał dla niej jakiegokolwiek uczucie poza nienawiścią.

— Ona to rozumie.

— Więc czego chce? Pieniędzy?

— Ach, broń Boże — zaprzeczył Jacek z takim ożywieniem, jakby ją brał w obronę.

— To ładnie z twojej strony — powiedziałam — że tak gorąco ujmujesz się za nią. Nie zmieni to jednak faktu, że ta pani zachowuje się jak szantażystka.

— Mylisz się. Każdy szantaż polega na tym, że grożąc jakimiś złymi konsekwencjami za zaniechanie akcji w tym kierunku, żąda się jakichś korzyści dla siebie. Trudno mi zaś przyjąć, by na przykład to, czego ona ode mnie żąda, było jakąś korzyścią dla niej. Gdybym do niej wrócił, nie odniosłaby z tego żadnego zysku, ani moralnego, gdyż jej nie kocham, ani materialnego, gdyż jest, o ile mogę sądzić, znacznie ode mnie bogatsza. Poza tym w sposobie stawiania przez nią wymagań nie widzę elementu szantażu. Szantażysta stawia zwykle ultimatywnie<sup>63</sup> jakiś termin i precyzuje dokładnie rodzaj represji, jakie zastosuje w razie niedotrzymania terminu. Tu tego nie ma. Podkreśliłbym nawet dużą skłonność tej kobiety do załatwienia sprawy bez terroru i bez pośpiechu. Ponieważ wierzy, że zdoła mnie przekonać, zostawia mi dużo czasu do namysłu i do spodziewanej likwidacji mojego dotychczasowego życia.

— Cóż? — wzruszyłam ramionami. — Zatem przystępuj do likwidacji. Z mojej strony nie spotkają cię żadne przeszkody. Nie narażaj tej szlachetnej, wyrozumiałej i zakochanej kobiety na zbyt długie oczekiwanie.

Wiedziałam, że każde moje słowo boleśnie rani Jacka. Ale przecież zasłużył na to. Powinien cierpieć, powinien odpokutować swoją bezprzykładną lekkomyślność.

— Nie, Haneczko. Pomimo to, że zasługuję na twój surowy sąd, nie wierzę, byś tak myślała naprawdę. Natomiast mam nadzieję, że wszystko da się jeszcze w jakiś sposób ułożyć. Otuchy dodaje mi właśnie ten brak złej woli ze strony Betty.

Nie umiałam powstrzymać wybuchu gniewu.

— Brak złej woli! Doprawdy mam wrażenie, że chwilami tracisz zdrowy sens<sup>64</sup>. Brak złej woli! Porzuca cię przez Bóg wie ile lat, ma Bóg wie ilu kochanków i nagle najbezpieczniej w świecie grożąc ci więzieniem domaga się, byś wrócił do niej, jakby nigdy nic nie zaszło. To perfidna, zła, fałszywa i wstrętna kobieta. I chociaż jesteś tak zarozumiała, że uroiłaś sobie jej wielką miłość, upewniam cię, że ukrywa ona w zanadrzu jakieś łajdactwo!

— Nie mam powodu do najmniejszych przypuszczeń w tym kierunku.

— Ale ja mam! Mam swoją intuicję, która mnie nigdy nie zawodzi. To nie ma znaczenia, że ona jest bogata. Są bardzo chciwi bogacze. Zaproponuj jej pieniądze, a zobaczysz, czy ich nie przyjmie. Jeżeli zostawia ci tyle czasu, to jedynie po to, by utwierdzić cię w przeświadczeniu, że nie wykręcisz się tanim kosztem. Z tego, co mi o niej powiedziałeś, zdołałam przeniknąć ją na wskroś. To jest wstrętna, przebiegła baba! Zaproponuj jej pieniądze. Naturalnie nie dawaj jej ani grosza, póki nie złoży ci na piśmie oświadczenia, że zgadza się na rozwód, biorąc winę na siebie. I nie wręczy ci owego świadectwa ślubu, które zabrała.

To przekonanie, z jakim mówiłam, musiało podzielać i na Jacka.

— Nie mamy — powiedział cicho — aż tak wielkiej ilości pieniędzy, jakiej na pewno by zażądała, gdyby jej o pieniądze chodziło.

— Więc trudno. Sprzedasz moją kamienicę, pożyczymy jeszcze coś od rodziców. Do skandalu nie wolno nam dopuścić. W ostatecznym wypadku powiemy wszystko ojcu,

<sup>63</sup>ultimatywnie — ostatecznie; jako ultimatum. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>tracić zdrowy sens — dziś popr.: tracić zdrowy rozsądek (por. fr. *sens*: zmysł, rozsądek, odczucie). [przypis edytorski]

jestem przekonana, że bez chwili wahania da, ile będzie mógł, byle tylko zatuszować tę ohydłą sprawę.

Jacek przez kilka minut siedział w milczeniu.

— Może i masz słuszość — odezwał się wreszcie. — Zastanowię się nad tym. Na szczęście nic nie nagli.

Oburzyłam się.

— Jak to nic nie nagli?! A czy ty myślisz, że to jest wielka dla mnie rozkosz żyć w takiej atmosferze? W ciągłym oczekiwaniu awantury?!

Jacek uśmiechnął się blade.

— I dla mnie to nie jest rozkoszą. Gdybyś mogła wiedzieć, jak przygniatająco ciężkie były dla mnie te długie tygodnie... Nie mówiłem ci o tym, gdyż miałem nadzieję, że uda mi się przędzej tę rzecz załatwić. Teraz jednak uznałem za konieczne wyznanie ci prawdy. Jestem już taki zmęczony... Chciałem twej rady i dziękuję ci za nią. Jesteś bardzo dobra dla mnie, chociaż sądzisz, że na to nie zasługuję.

Wstał i dodał:

— Postąpisz, jak będziesz uważała za stosowne. Pamiętaj tylko o jednym, że powierzenie tej tajemnicy komukolwiek równałoby się ogłoszeniu jej całemu miastu.

— Nie obawiaj się. Rozumiem to sama.

— Gdyby to było możliwe, należałoby przede wszystkim zwrócić się o pomoc do twego ojca. On, jako znakomity prawnik, może umiałby znaleźć jakieś wyjście.

— Tak — przyznałam. — Ale pogrzebałoby cię to w jego oczach na zawsze.

— Wiedziałem o tym. I dlatego jesteś jedyną istotą, której się zwierzyłem.

— Szkoda, że nie przed trzema laty — odpowiedziałam, najchłodniej, jak umiałam.

Nic nie zostało z jego zwykłej swobody. Czulałam, że nie odchodzi, gdyż nie wie, w jaki sposób się ze mną pożegnać. Zapytał jeszcze, czy czego nie potrzebuję na noc, potem szybko pocałował mnie w rękę i wyszedł.

Była już prawie pierwsza. Oczywiście o zaśnięciu nie mogłam nawet marzyć. Może to i lepiej. Przynajmniej udało mi się zaraz „na gorąco” spisać całą rozmowę.

Już siódma rano. Przez szpary w zasłonach wciska się świt do mojej sypialni. Jeszcze zmierzę temperaturę i zasną. Dopiero jutro jakoś sobie ułożę to wszystko w głowie i zastanowię się nad wnioskami, jakie z tego trzeba będzie wyciągnąć. Już teraz wiem tylko dwie rzeczy: to, że Jacek mniej zasługuje na potępienie, niż myślałam, i to, że mniej wart jest mojej miłości, niż mi się zdawało. Jak on mógł tak bardzo kochać tę wydrę!

Sobota

Wczoraj miałam tak wysoką temperaturę, że nawet pisać mi się nie chciało. Doktor był dwa razy. To taktowne ze strony Jacka, że nie narzucał mi swego towarzystwa. Choć doktor przypisuje gorączkę normalnemu rozwojowi choroby i twierdzi, że nie ma to nic wspólnego z nerwami, jestem przekonana, że to skutek nocnej rozmowy z Jackiem. Powiedziałam mu to zresztą.

Mama siedziała przez cały czas przy mnie porządnie wystraszona. Miarą tego może być chociażby to, że przez pomyłkę dała mi całą łyżkę wody utlenionej, zamiast mikstury. Na szczęście spostrzegłam się i nie przełknęłam, Swoją drogą stryj Albin może i ma trochę racji w swoich poglądach na inteligencję mamy. Wieczorem podobno majaczyłam. To prawdziwie pomyślny zbieg okoliczności, że wówczas oprócz mamy nikogo w pokoju nie było. Z jej relacji wiem, że mówiłam jakieś rzeczy o Robercie, o strzelaniu i o nieżywych kurach. Wymieniałam podobno jeszcze dużo innych imion. Na próżno jednak wypytywałam mamę. Nie umiała niczego powiązać. Tym lepiej. Czasami niezbyt wyostrzona inteligencja może się przydać.

Dziś jestem osłabiona, lecz znacznie spokojniejsza. Na przeżycia swoje z ostatnich tygodni patrzę jakby z perspektywy spraw odległych i nie dotyczących mnie bezpośrednio.

Przerывam teraz pisanie. Przyjechał Dołęga-Mostowicz i za godzinę ma mnie odwiedzić. Jak to dobrze! Nareszcie znalazłam kogoś, komu mogę zaufać i u kogo mogę zasięgnąć rady. Z góry sobie powiedziałam, że postąpię tak, jak on powie. Muszę teraz kazać zmienić pościel i sama się przebrać. Szczęśliwym trafem mam jeszcze pół flakonu „L’Aimant”. On tak lubił te perfumy. (Nawiasem mówiąc są już niemożliwe).

Wyobrażam sobie, jak go zadziwią moimi straszliwymi przeżyciami. Mam prawo sądzić, że nigdy mnie nie uważał za gęś, i on jednak nie może przypuszczać, by mogły mnie spotkać aż tak niezwykle zdarzenia.

Sobota, wieczór

Więc był u mnie. Właśnie w przedpokoju spotkał się z Jackiem, który wychodził. Słyszałam, jak zamienili kilka konwencjonalnych zdań. Mam wrażenie, że Tadeusz nie lubi Jacka, chociaż nigdy mi o tym nie wspomniał ani nawet nie dał do zrozumienia. Stosunki między nimi od początku, gdy się poznali, układały się na płaszczyźnie towarzyskiej uprzejmości.

*Autorka pamiętnika tutaj się myli. Nie mam najmniejszego powodu i nigdy nie miałem, by czuć jakąś niechęć do p. Renowickiego. Uważałem go zawsze za człowieka pod każdym względem correct, obdarzonego dużymi zdolnościami i nieprzeciętnym gustem, o czym świadczą chociażby jego wybór żony. Jeżeli nie zbliżyliśmy się w ciągu kilku lat naszej znajomości, było to skutkiem dwóch przyczyn: po pierwsze, zakres naszych zainteresowań był dość różny, po drugie, to właśnie p. Renowicki dawał mi odczuć pewien chłód i rezerwę w stosunku do mnie. Nie biorę mu zresztą tego za złe, zdając sobie sprawę z niestusznych wprawdzie, lecz dla niego, być może, uzasadnionych motywów niechęci. (Przypisek T. D. M.)*

Jacek wprowadził go do mego pokoju. Nie wiem, czy się domyślał, że wprowadza człowieka, którego opinia zadecyduje o moim dalszym postępowaniu, w każdym razie zdobył się na niepozbawioną głębszej treści uwagę, przyprawioną swobodnym uśmiechem.

— Oto jeszcze jeden lekarz: specjalista od spraw duszy. Doktorze! Oddaję panu w opiekę moją pacjentkę.

Mostowicz widocznie w tym powiedzeniu dopatrywał się lekkiej złośliwości, gdyż odpowiedział:

— Więcej miałby pan racji, nazywając mnie znachorem.

Z kolei Jacek wydobyl z siebie kilka zdawkowych komplementów na temat powieści *Znachor*<sup>65</sup>, a ja dodałam, że znachorom bardziej wierzę niż dyplomowanym lekarzom, po czym Jacek pożegnał się i wyszedł.

— Z listu pani, pani Haneczko, wywnioskowałem — zaczął siadając — że tu nie jeden znachor, lecz całe *consilium facultatis* jest potrzebne. Czy pani przytrafiło się istotnie coś tak nieprzyjemnego?

— To jest sprawa bardzo poważna. Ale nie potrzeba mi ani lekarzy, ani znachorów. Tu pomóc mi mogą dwaj ludzie: przyjaciel i człowiek rozumny. Ponieważ zaś w panu, panie Tadeuszu, obaj się łączą, postanowiłam zwrócić się do pana.

Zaśmiał się.

— Na wszelki wypadek niech pani dobierze kogoś rozumnego. Ale choroba pani nie ma związku z przejściami, o których mi pani wspominała?

— I tak, i nie. Mam zwykłą grypę. Ale zaziębiłam się wskutek tych właśnie przejść. Niech pan sobie wyobrazi, że zemdlalam przy otwartym oknie i przez godzinę marzłam, zanim mnie znaleziono. Zresztą to zdarzenie nie miało żadnego związku z tą zgorą, która zawisła nade mną od początku bieżącego roku, a mówiąc ściślej, od Bożego Narodzenia.

<sup>65</sup>*Znachor* — powieść Tadeusza Dołęgi-Mostowicza z 1937 r., zekranizowana w tym samym roku w reż. Michała Waszyńskiego, opowiadająca historię wybitnego chirurga, prof. Rafała Wilczura, który w wyniku ciężkiego pobicia traci pamięć, następnie, nie mogąc sobie przypomnieć swojej tożsamości, trafia na wieś, gdzie zostaje znachorem i leczy miejscową ludność jako Antoni Kosiba. Pomysł został zrealizowany początkowo w formie scenariusza filmowego, ale nie wzbudził zainteresowania, dopiero sukces powieści przekonał twórców kina do przeniesienia *Znachora* na ekrany, zaś autora do napisania drugiej części losów głównego bohatera (powieść *Profesor Wilczur*, wyd. w 1939 r.). [przypis edytorski]

Tu z całą dokładnością, nie pomijając żadnego szczegółu, opowiedziałam mu wszystko od początku. Z rysów jego twarzy widziałam, jak wielkie to na nim wywarło wrażenie. Słuchał ze skupieniem i często w jego wzroku dostrzegałam zdumienie.

*Jest dla mnie rzeczą niesłychanie ważną sprostować tu pewną nieścisłość w słowach p. Hanki Renowickiej. Widocznie nie dopisuje jej pamięć, gdy twierdzi, że podała mi sprawę z najdrobniejszymi szczegółami. W istocie z pośpiechu lub też z powodu choroby opuściła ich wiele, co w znacznej mierze przyczyniło się do nieco innego naświetlenia jej dramatu niż ten jego obraz, który poznałem dopiero w rok później z niniejszego pamiętnika. Gdybym tak orientował się w okolicznościach, jak w nich orientuję się obecnie, na pewno moje poglądy na całą sprawę oraz wynikające z nich rady i wskazówki poszłyby w innym kierunku. Przypiskiem tym chcę usprawiedliwić siebie. Nie zamierzam jednak bynajmniej winą za te powikłania, które nastąpiły, obciążać mojej uroczej informatorki. (Przypisek T. D. M.)*

Gdy już opowiedziałam mu wszystko, p. Tadeusz zadał mi jeszcze kilka pytań w związku ze sprawą Roberta, zrobił kilka uwag o mojej lekkomyślności i przechodząc do Elisabeth Normann powiedział:

— Biorąc rzecz prosto, nie macie innego wyjścia: pan Renowicki musi rozwieść się z tą damą i gdzieś po cichu wziąć powtórnie ślub z panią. Wtedy rzecz pod względem prawnym będzie uregulowana.

— Powtórnie? — przestraszyłam się. — Ależ po co?!

— Otóż widzi pani, droga pani Haneczko, wasz ślub wobec Kościoła, o ile się nie mylę, jest ważny i pozostanie nim nadal. Natomiast wobec prawa nie ma żadnego znaczenia, gdyż mąż pani, jako człowiek żonaty, nie mógł ślubu otrzymać. Musi tedy dostać rozwód, a następnie powinniście wziąć ślub cywilny. Wtedy wszystko będzie w porządku.

— To straszne, ile tu kłopotów — powiedziałam. — Najważniejsze jednak jest to, że ta okropna kobieta nie zechce się zgodzić na rozwód. Niech pan powie, jak ją do tego zmusić?

Rozłożył ręce.

— Ha, nie jestem adwokatem.

— Ale jest pan powieściopisarzem. Niech pan sobie wyobrazi, że w powieści ma pan podobną sytuację do rozwiązania. Jak by pan sobie z nią poradził? Mostowicza rozbawiło to widocznie, gdyż śmiał się długo. Potem zamyślił się i powiedział:

— Fabularne rozwiązanie takiej sytuacji byłoby może łatwiejsze niż w życiu, ale wymaga również dość ryzykownych pociągnięć i pewnych usprawiedliwień.

— Cała zamieniłam się w słuch...

— Więc mamy w dramacie trzy osoby działające: panią, ją i męża. Obie kobiety chciałyby go zatrzymać dla siebie. On wyraźnie woli panią, ale ta trzecia posiada broń, z pomocą której może go zmusić do kapitulacji lub zgubić. Jak wobec tego powinna postąpić pierwsza kobieta, czyli pani?... Musi postarać się o to, by wytrącić rywalce jej broń.

— To znaczy?...

— To znaczy zawładnąć dokumentami, stwierdzającymi, że wchodzący w grę mężczyzna był już poprzednio żonaty. Samo zawładnięcie nie zamyka jednak sprawy. Pozbawiona dokumentu ta trzecia, jeżeli tylko pamięta nazwę i adres instytucji, która dokument wystawiła, zdoła uzyskać odpis. Korzyść tedy ogranicza się do przedłużenia sprawy, gdyż musimy założyć, że owa osoba byłaby istotą naiwną, gdyby nie przeglądała kilkakrotnie świadectwa ślubu. Na brak pamięci tedy z jej strony autor liczyć nie może. Jest jednak i druga korzyść. Mianowicie, mąż mając w ręku świadectwo może natychmiast wszczać

kroki rozwodowe. W powieści dałoby się to załatwić z piorunującą szybkością. Po prostu telefonuje do swego adwokata w Nowym Jorku i wydaje polecenie. W praktyce natomiast musiałby prawdopodobnie sam pojechać do Ameryki. Lecz nie odstępujemy od powieści. Otóż nagromadzone przez pierwszą kobietę, czyli przez panią, informacje o burzliwym życiu drugiej, jak też i fakt porzucenia męża, wystarczą w zupełności do rozwodu bez żadnego odszkodowania. Więcej jeszcze. Proces z konieczności odsłoni burzliwe życie owej damy, zapewne obfitujące w takie szczegóły, na których ujawnieniu wcale jej nie zależy. Rozumie mnie pani?...

— Niech pan mówi, niech pan mówi... Boże, co to za szczęście, że zwróciłam się do pana, kochany panie Tadeuszu!

— Tak kierując akcją, jakąż miałbym sytuację w powieści? Oto zasadniczo zmienioną. Wprawdzie druga kobieta posiada nadal swą groźną broń, lecz musi długo się namyślić, zanim jej użyje, gdyż obecnie i przeciwnicy nie są bezbronni.

— To znaczy ja i Jacek? — zapytałam.

— Właśnie. Jeżeli pierwszej kobiecie i mężczyźnie zależy na ukryciu faktu popełnionej przez niego bigamii, to owej trzeciej zależy na ukryciu swoich skandalicznych przeżyć. W takich warunkach już znacznie łatwiej o niezbyt zaszczytny wprawdzie dla stron obu, lecz tym niemniej przez obie strony pożądaný kompromis. Już widzę swoją bohaterkę (tę trzecią), jak z nienawiścią w spojrzeniu godzi się na zatajenie bigamii, jest bowiem niewątpliwie kobietą z towarzystwa, której musi zależeć na jako tako dobrej opinii. Mężczyzna rzuca się w ramiona tej pierwszej i następuje *happy end*.

— O, nie tak łatwo — zawołałam. — Dużo wody upłynie, zanim przebaczę Jackowi.

— Źle pani robi, droga pani Haneczko. Zepsuje mi pani cały efekt końcowy.

— Oby taki efekt był w ogóle możliwy.

— Ba!... W powieści należałoby jeszcze spiętrzyć wiele trudności, by podrażnić wyobraźnię czytelnika i trzymać jego uwagę w napięciu. Natomiast powiem pani w sekrecie, że życie w swoich rozwiązaniach bywa znacznie prostsze.

— Jedno wydaje mi się w tym wszystkim niewykonalne: jak wydobyć od niej ten dokument?

Z niepokojem przyglądałam się panu Tadeuszowi. Nie traciłam jednak nadziei. Przecież on w swoich utworach nieraz musiał przeprowadzać takie rzeczy jak ja. Nieraz jeden bohater wydobywał od drugiego jakieś ważne papiery. Na pewno i w tym wypadku znajdzie skuteczny sposób.

Nie zawiodłam się, bo oto zaczął mówić:

— Zwykle autorzy posługują się jednym z trzech sposobów: albo wynajęty bandyta terroryzuje posiadacza dokumentu i odbiera to, na czym autorowi zależy, albo autor upaja posiadacza do nieprzytomności, a wtedy inny jego bohater ma już zadanie ułatwione, bo po prostu wykrada dokument, wreszcie trzecim sposobem, używanym przez autorów nielubiących łatwizn, jest wyłudzenie w sposób podstępny i skomplikowany.

— Aha, to tak — zawołałam — jak ci okropni szpiedzy wydobyli ode mnie tę żółtą kopertę.

— Właśnie. Świadczy to o ich twórczej inwencji. Ja, co prawda, w swojej powieści, gdybym miał podobną sytuację, nigdy nie uciekałbym się do tego sposobu. Wygląda mi na efekciarstwo. Raczej proste rzeczy przemawiają do czytelnika i wydają mu się wiarygodne.

— Więc jakże tu należy postąpić? Zaznaczam, że ta kobieta w ogóle nie używa alkoholu.

Mostowicz potrząsnął głową.

— Nic nie szkodzi. Obędziemy się tu bez alkoholu. Nie chciałbym tak szlachetnego płynu mieszać w tak mętne sprawy. Powiedziała pani, że ta panna czy też pani Normann bawi obecnie w Krynicy?

— Tak. Mieszka na pewno w „Patrii”.

— Świetnie. Otóż na pewno nie siedzi tam całymi dniami w swoim pokoju, lecz używa nart, sanek i podobnych sportów. Normalna kobieta, wybierając się na narty, nie zabiera z sobą dokumentów ani nawet pieniędzy. Otóż w powieści wyobrażałbym to sobie w ten sposób: podczas jej nieobecności pod jakimś pozorem wchodzi się do jej pokoju

i rewiduje się jej rzeczy. W dziewięćdziesięciu dziewięciu powieściach na sto rewizja taka daje wspaniałe rezultaty.

— Ba! Ale jak się dostać do takiego pokoju?!

— To już powinno być zostawione pomysłowości wykonawcy. Beletrystyka rozporządza w tej dziedzinie niezliczoną kolekcją chwytów, zaczynając od wytrychów i podrobionych kluczy, a kończąc na przekupieniu służby. Wszystko zależy od warunków lokalnych i od tego, kto ma dokonać ekspropriacji<sup>66</sup>.

— A czy są ludzie, których można do tego wynająć? — zapytałam.

Mostowicz wybuchnął śmiechem.

— Oczywiście. Chociaż nie są zrzeszeni w żadnym cechu ani związku zawodowym. Gdybym ja jednak komponował taką rzecz do powieści, funkcje te powierzyłbym swojej pierwszej bohaterce.

— Mnie?!

— Naturalnie. Trzeba się wystrzegać niepotrzebnych zawilgości w kompozycji. Po co wprowadzać nadmiar osób działających? Zawsze byłem zwolennikiem surowej ekonomii środków.

— Ba! Ale ja nie potrafię!

— Więcej ufności we własne siły, kochana pani Hanko.

— Ale ja bym umarła ze strachu na myśl, że mógłby mnie ktoś przyłapać. Wzięto by mnie jeszcze za złodziejkę!

— Nie ma obawy. W najgorszym wypadku posądzą panią o kleptomanię. Wystarczy zaliczać się do towarzystwa i być dobrze sytuowanym materialnie, a można kraść, ile dusza zapagnie. Każdy powie: „Biedactwo! Cierpi na kleptomanię...”. To straszna choroba i tylko ludzie biedni nigdy na nią nie chorują.

— Drogi panie Tadeuszu! Niechże mi pan powie, jak ja mam to zrobić.

— Hm — zastanowił się. — Pani potrafi być tak uroczo roztrzępana. Przecież może zdarzyć się pani pomyłka, że zabierając z portierni klucz zamiast swego, weźmie pani klucz od jej pokoju.

— A jeżeli portier to zauważy?

— Wątpię. W dużych hotelach zbyt wielki panuje ruch. I zbyt ufają swoim lokatorom. Zresztą, jeżeli zrobi to pani zaraz w pierwszych dniach po swoim przybyciu na miejsce, nie będą jeszcze dobrze pamiętali pani wyglądu.

— Więc przypuścmy, że mi się uda. I co dalej?

— Bohaterka, zaciskając w drżącej dłoni zdobyty klucz, rozgląda się po korytarzu, a uchwyciwszy moment, gdy nikt jej nie widzi, otwiera szybko drzwi pokoju groźnej wampirzycy. Tam przeprowadza rewizję, znajduje bezcenny dokument, zaciera po sobie ślady, zamyka drzwi, a klucz odnosi na dół, prosząc o wymienienie go na właściwy. Nie zwlekając dłużej, natychmiast pakuje swoje manatki, reguluje rachunek i wyjeżdża najbliższym pociągiem.

Pokręciłam głową.

— Wszystko to w opowiadaniu wygląda bardzo łatwo. Ale na przykład jak pan sobie wyobraża taką rewizję?! Przecież ona na pewno ma mnóstwo rzeczy, waliz, pudeł. Na przeprowadzenie dokładnej rewizji należałoby mieć nie kilka chwil, lecz kilka godzin.

— Toteż nie trzeba rewidować wszystkiego. Trzeba szukać tylko tam, gdzie można dokument znaleźć.

— Więc gdzie?

— Tego to już nie wiem. Ale sądzę, że gdy bohaterka numer 1 znajdzie się w pokoju bohaterki numer 2, instynkt wskaże jej kierunek.

— Jak to instynkt?

— Mówiąc po prostu, zastanowi się pani, droga pani Hanko, nad pytaniem: „Gdzie na jej miejscu ja bym schowała ten papier?...”.

— Czy sądzi pan — powiedziałam nieco obrażona — że jestem tak podobna do innych kobiet, że nie zdobyłabym się na nic oryginalnego?

<sup>66</sup>ekspropriacja (z łac.) — wywłaszczenie; przymusowe pozbawienie własności. [przypis edytorski]

— Och, przeciwnie. Jestem zdania, że pani wynalazłaby niezwykle oryginalny schowek, ale musimy wziąć pod uwagę, że bohaterka numer 2, pragnąc ukryć tak ważny dla niej dokument, na pewno maksymalnie wysiliła swoją inteligencję i pomysłowość.

— Więc dobrze. A jeżeli w bieliźniarce go nie będzie?

— Poszuka go pani za wanną.

— Ach, prawda. Może być jeszcze za wanną!

— No, widzi pani. Przyjdzie pani zresztą na myśl jeszcze kilka innych miejsc, które równie dobrze służyć mogą temu celowi.

— A co znaczy zatrzeć ślady?

— No, trzeba po skończeniu poszukiwań doprowadzić wszystko w pokoju do stanu takiego, w jakim znajdowało się poprzednio. Nie jest wskazane pozostawianie na miejscu swoich rękawiczek, torebki, pantofli, kapelusza czy jakiegokolwiek innej części garderoby, które autorzy powieści kryminalnych nazywają biletami wizytowymi przestępcy.

— Boję się, okropnie się boję, czy mi się to wszystko uda. Ale jestem panu niezmiernie, wprost niewymownie wdzięczna za te wskazówki. Jak to dobrze mieć takiego przyjaciela...

*Tu skreślam pani Renowickiej kilkanaście wierszy z pamiętnika. Nie są one istotne ani dla opisu zdarzeń, ani dla charakterystyki autorki. Zawierały natomiast wyszczególnienie objawów jej wdzięczności dla mnie, opatrzonych tyloma niezastużonymi komplementami pod moim adresem, że byłoby dla mnie rzeczą żenującą podawanie ich w druku... Jeżeli chodzi o odtworzenie naszej rozmowy z owego czasu, przyznać muszę p. Renowickiej wyjątkową pamięć i niemal zupełną ścisłość. Ponieważ jednak magis amica veritas, muszę nadmienić, że p. Hanka opuściła te kilka gorzkich słów reprimendy, które padły z moich ust za jej lekkomyślność w zawieraniu znajomości z takimi osobnikami jak Tonnor. Nie jestem holdownikiem skostniałego konwenansu, lecz z własnego doświadczenia wiem, że znajomości przygodne najlepiej likwidować natychmiast. To właśnie powiedziałem p. Hance. (Przypisek T. D. M.)*

A więc klamka zapadła. Nieodwołalnie jadę do Krynicy. Jadę natychmiast, gdy tylko doktor mi pozwoli. Tadeusz dobrze mi radzi, by nie zabierać stryja Albina. To mogłoby tylko skomplikować moją sytuację. Jak to dobrze być powieściopisarzem! Taki układa sobie własne życie według zasad kompozycji powieści i właściwie nic nieprzyjemnego nie może go spotkać. Jeżeli zaś zdarzy się jakaś niespodzianka, zawsze znajdzie wyjście, by sprawę zakończyć pomyślnie.

Usiłowałam to wytłumaczyć temu biedakowi. Toto przyszedł zaraz po Mostowiczu i teraz dopiero z całą wyrazistością zrozumiałam, że nie zasługuje on na to, bym się nim interesowała chociaż odrobinę. Mówię mu, że natychmiast po wyzdrowieniu jadę do Krynicy, a on nawet się nie zdziwił, nawet nie zapytał, co się stało. Jest niemożliwie gruboskórny. Przyjął to jako coś zupełnie naturalnego.

*Tu znowu, niestety, muszę autorce pamiętnika skreślić spory ustęp. Tym razem przez wzgląd na pewną, dość znaczną liczbę czytelników. Mianowicie p. Hanka Renowicka wypowiedziała w nim sporo nieprzychylnych uwag o ziemiaństwie i arystokracji. Wiem z doświadczenia, jaki to miałoby efekt. Mówię o drażliwości kastowej. Nie tylko zresztą kastowej, lecz i o profesjonalnej. Ilekroć wprowadzałam do swoich powieści jakiś ujemny typ, zawsze znalazła się grupa ludzi oburzonych. Z różnych stron kraju nadchodziły listy pełne niezadowolenia, ironii i uszczypliwych zapewnień, że tak źle mogą sądzić dane środowisko tylko dlatego, że go nie znam. W ten sposób w ciągu lat kilku dowiedziałem się, że nie znam ziemiaństwa, chłopów, dentystów, robotników, adwokatów, przemysłowców, fryzjerów, szoferów, inżynierów, pisarzy gminnych, kolejarzy, literatów, właścicieli magli parowych, rzeźników, akuserek, dziennikarzy, radioamatorów, Żydów, bankowców, hydrauliczków, aktorów, kominiarzy, kobiet, mężczyzn i dzieci. Jeżeli dotychczas nikt nie zakwestionował mojej erudycji w świecie niemowląt,*



to tylko dlatego, że niemowlęta nie umieją pisać listów. Pewien znajomy redaktor opowiadał mi, że kiedyś zgłosiła się doń delegacja związku akuserek z płomiennym protestem przeciw wprowadzeniu przeze mnie do jednej z powieści postaci akuszerki, zajmującej się niedozwolonymi sprawami. Wtedy dopiero zrozumiałem, że w Polsce „czarnym charakterem” może być tylko analfabeta lub niemowlę. Trudno mi się oprzeć przeświadczeniu, że ta nadwrażliwość zawodowa czy kastowa jest objawem najzwyczajszego kompleksu niższości, i ogarnia mnie przerażenie, gdy muszę stwierdzić, jak powszechnym zjawiskiem jest w Polsce kompleks niższości. Doszło już do takiego idiotyzmu, że nazwy pewnych profesji trzeba było pozmienić. Z wielu tysięcy stróżów kamienicznych w ciągu paru lat nie zachował się ani jeden. Zostali sami dozorczy, chociaż w żaden rozsądny sposób nie umiałem sobie wytłumaczyć, czym dozorca przewyższa stróża. Jedynym stróżem pozostał nadal tylko Anioł Stróż. Lecz czy na długo?... Dalej, by nakarmić kompleks niższości służby domowej, potulnie się zgodzono nie używać terminu „służąca” i zastąpić go nazwą „pomocnica domowa”. Również lokaj wyszedł z obiegu. Lokaj woli być służącym. Co za kadryl kretynizmów! W tym smutnym pejzażu najsmutniejsze jest to, że jest prawdziwy i że z nim liczyć się trzeba. Dlatego woląłem uchronić p. Hankę Renowicką przed konsekwencjami jej wypowiedzi o ziemiaństwie i arystokracji. Nie chciałbym, by otrzymała w druku i w listach tyle skarg i protestów, złośliwości i potępień, co ja po wydaniu swoich Wysokich progów (Przypisek T. D. M.)

Sluga

Poniedziałek

Obudziłam się dziś w doskonałym nastroju. Gorączki ani śladu. Trochę zmizerniałam, ale wyglądam z tym interesująco. Błękitnawe cienie pod oczami dodają mojej cerze bardzo wiele delikatności. Nie piszę tego, by się chwalić, ale tak delikatnej cery nie widziałam jeszcze nigdy. Nawet Norblin<sup>67</sup> mi to kiedyś powiedział. A on już chyba się na tym zna. Będę musiała pozować mu drugi raz, gdyż Toto koniecznie chce mieć mój portret. Już wiem, jak się ubiorę. Biała tunika empire i gładka, złota obręcz na głowie. Tunika naturalnie z rozcięciem od biodra. Tak, by cała noga była widoczna. To będzie śliczne.

Dziś już wstałam, a pojutrze będę mogła wyjść. W czwartek wyjeżdżam do Krynicy. Rozmyślnie nie powiedziałam o tym dotychczas Jackowi. Nie chciałabym, by mi odradzał, by (kto go wie!) dał jej znać, że ja przyjeżdżam. Mógłby pokrzyżować wszystkie moje plany, ułożone tak pracowicie.

Zastanawiałam się nad tym, czy nie pomówić o nich ze stryjem Albinem. Doszłam jednak do przekonania, że lepiej nie. Niepokoi mnie tylko, że stryj od tak dawna nie dzwonił.

Bardzo ciekawie ułożyły się moje stosunki z Jackiem. Zachowujemy się niby zupełnie normalnie. Rozmawiamy o potocznych sprawach bieżących, widzujemy się przy stole, ale do tamtych historii nie wracamy ani jednym słowem. Zupełnie tak, jakby była między nami w tym względzie jakaś niepisana umowa.

O ile znam Jacka, musi się czuć przygnębiony. Pojęcia nie ma, co o nim myślę i jak zamierzam postąpić. Dla niego zawsze będę tajemnicą. Rozmyślnie zresztą. Mężczyzna póty interesuje się kobietą, póki jej nie zna i póki nie jest pewien, czego się może po niej spodziewać. Co prawda i my, kobiety, mogłybyśmy o sobie powiedzieć to samo. Nic zresztą dziwnego. Cóż może być nudniejszego niż człowiek, o którym się wszystko wie. Gdy patrzę na Tota, chce mi się ziewać. Nie omyłę się nigdy, przewidując, co powie lub co zrobi. Pod tym względem najzabawniejsi są jeszcze artyści wszelkiego rodzaju. Poeci, aktorzy, muzycy, pisarze. Ale u nich już to dochodzi do przesady.

<sup>67</sup>Norblin, Stefan (1892–1952) — właśc. Juliusz Stefan Norblin de la Gourdaïne (prawnuk Jean-Pierre’a Norblina, fr. malarza scen rodzajowych doby stanisławowskiej); malarz, twórca plakatów utrzymanych w stylu secesyjnym i art déco, a także ilustracji i karykatur, projektów architektonicznych i wnętrzarskich oraz mody; bardzo popularny w Warszawie w okresie międzywojennym, mąż aktorki Leny Żelichowskiej; po wybuchu II wojny światowej opuścił Polskę, przebywał w Persji i Indiach, ostatecznie osiedlił się w San Francisco w Stanach Zjednoczonych, gdzie zmarł. [przypis edytorski]

Myśląc o Jacku, nie mogę zaprzeczyć, że jakkolwiek wyjście na jaw tej skandalicznej afery sprawiło mi wiele bólu i smutku, to jednak on sam — co tu ukrywać — podniósł się w moich oczach. Oczywiście, nie z punktu widzenia etyki, lecz tej treści, której nie umiem nazwać.

Jeżeli chodzi o etykę, to w ogóle wydaje mi się, że ludzie zbyt wiele przywiązują do niej wagi. Ma się rozumieć, złodzieje, oszuści i inni przestępcy zasługują na potępienie. Ale nie zmienia to faktu, że często wśród tych potępionych spotykamy jednostki wysoce interesujące lub wręcz czarujące. Weźmy chociażby takiego Roberta, takiego Jacka czy stryja Albina. Albo nawet owego szpiega, który udawał adiutanta pułkownika Korczyńskiego. Żeby Toto, który jest zwierciadłem wszystkich cnót, miał chociaż cząstkę ich szarmu! Mógłby być naprawdę zajmującym przyjacielem.

To dobrze, że wyjeżdżam. Od tak dawna nie ruszałam się z Warszawy. Obmierzy mi już wciąż te same twarze. Trzeba odetchnąć. Muszka, która snobuje się na przewrażliwione nerwy, powiedziała, że jej dusza więdnie w mieście. Kabotynka. Moja dusza nie więdnie. Po prostu się nudzę, gdy zbyt długo siedzę na jednym miejscu.

Kończę już. Mamy dzisiaj wieczorem na obiedzie dwadzieścia dwie osoby i muszę się zająć tym nieszczęsnym gospodarstwem. Powiedziałam dziś Jackowi, by napisał do ciotki Magdaleny. Niech już sobie przyjedzie.

Wtorek

Cudna pogoda! Byłam na spacerze z Totem. Przy Belwederze wysiedliśmy i przyszedłam pieszo aż na Kredytową, gdzie mi chciał pokazać u jubilera jakieś okazyjne kolczyki. Wcale mi się nie podobały. Jeżeli się nie mylę, stanowiły one własność Żuczki Olszynowskiej. Czyżby z nimi było tak źle, że muszą wyprzedawać się z biżuterii?!

Wczoraj obiad się nie udał. Byłam wściekła. Jednak dobrze, że postanowiłam sprowadzić ciotkę Magdaleny.

Mam dziś urwanie głowy. Oczywiście okazało się, że wszystkiego mi brak. Nawet naroty mi się rozeschły, bo je położyli na pawlaczu obok przewodu kominowego czy czegoś takiego. Na gwałt musiałam uzupełniać swoją garderobę. Nie mogę przecież w Krynicy pokazać się w swoich zeszlorocznych rzeczach z Davos. Wobec tych obostrzeń dewizowych wiele osób spędza zimę w kraju.

Sprzyjało mi szczęście. Gdy jechałam do stryja Albina, spotkałam go na Miodowej. Powiedział mi, że na całą sprawę zapatruje się optymistycznie. Jego zdaniem ta kobieta nie ma złych zamiarów, w przeciwnym bowiem razie nie odkładałaby sprawy, lecz starałaby się wyrzucić jak najprędzej skuteczny nacisk na Jacka.

Siedzieliśmy u „Loursa”<sup>68</sup> i irytował mnie tym, że robił oko do jakiejś egzotycznej brunetki, która jednak nie była Żydówką. W rzeczywistości miała tylko ładne oczy. Ci mężczyźni są szalenie niewybredni. Nawet tacy doświadczeni jak stryj Albin. Gdybym mu zrobiła najmniejsze awanse, oczywiście oszalałby ze szczęścia. To dziwne, że czasami o tym myślę. Całkowita wina za to spada na Tota. Jak to dobrze, że nie będę go widziała przez czas dłuższy.

Środa

Jutro wyjeżdżam. Powiedziałam to dziś Jackowi przy obiedzie, dodając, że wyjazd został zalecony przez lekarzy. Spodziewałam się jakichś protestów lub przeszkód, lecz zachował się zupełnie normalnie. Zawsze w nim cenię to opanowanie odruchów. Przy słowie „Krynica” nie drgnęły mu nawet powieki. Nie mogło go to zresztą zdziwić, gdyż wszyscy jadą do Krynicy. Spotkam tam mnóstwo znajomych.

<sup>68</sup>U „Loursa” — kawiarnia i cukiernia na wzór francuski zał. w 1821 r. przez szwajc. cukiernika z St. Maurizio, Laurenta Lourse’a. Ze względu na wysoką jakość wyrobów i usług, elegancką oprawę oraz gustowne wnętrza firma Lourse’a szybko zyskała uznanie, prestiż i ogromną popularność, stając się na ponad 120 lat miejscem spotkań śmietanki towarzyskiej i inteligencji warszawskiej. Początkowo mieściła się przy ul. Miodowej, następnie w Teatrze Wielkim (od momentu jego wybudowania w 1833 r. funkcjonowała „Café des Théâtres”, zw. też „Pod Filarami”, pełniąc rolę salonu polityczno-kulturalnego). Powstały też liczne filie cukierni przez warszawiaków nazywane „Loursem”: w 1880 r. w Ogrodzie Saskim, w 1884 r. w gmachu Giełdy, w 1888 r. w Alejach Ujazdowskich i w 1894 r. na ulicy Marszałkowskiej 127. Główna cukiernia „Lourse’a” przeniosła się w 1873 r. do Hotelu Europejskiego i tam, pod adresem Krakowskie Przedmieście 13, funkcjonowała w okresie międzywojennym i w czasie wojny do 1944 r. [przypis edytorski]

Od Tota dowiedziałam się, że jest tam również Romek Żerański. To bardzo dobrze. Może na tle uzdrowiska straci coś ze swojej eternalności. Może zmądrzeje. Przez pół godziny szukałam w bibliotece *Sezonowej miłości* Zapolskiej. Dam mu to do przeczytania. O ile sobie przypominam, ta powieść może mu dać do zrozumienia, że mężczyzna powinien traktować miłość sezonowo. Opowiem mu też, co mówił mi kiedyś Dołęga. Twierdził, że zna trzy rzeczy wieczne: wieczne pióro, wieczną miłość i wieczną ondulację. Jego zdaniem najtrwalsze z tych trzech rzeczy jest wieczne pióro.

Nie mogę pojąć, dlaczego ci dwaj ludzie się przyjaźnią. Romek bywa na wszystkich czwartkowych przyjęciach u Mostowicza i zdaje się, że widują się jeszcze poza tym. À propos tych czwartków. Nie mogę odmówić Tadeuszowi. Jutro będę musiała zjawić się u niego. Jeżeli mam być szczerą, nie cieszy mnie to wcale, chociaż spotkam wielu znajomych. Jedyną rzeczą, która mnie skłania do pójścia na „czwartek”, jest to, że w ten sposób dam do zrozumienia Jackowi, że się z jego uprzedzeniami nie liczę.

Nie wiem jeszcze, jak postąpię. W każdym razie Tadeusz okazuje mi zawsze tyle życzliwości i zachował dla mnie niezmienną przyjaźń.

#### Czwartek

Siedzę w pociągu. Kto nigdy w pociągu nie pisał, nie wie, jak to trudno. Litery wychodzą niewyraźnie, niektóre są zupełnie zniekształcone. Jestem ciekawa, czy kiedyś, jeżeli zdecyduję się moje notatki uporządkować i wydać w formie pamiętnika, sama to zdołam odczytać. Swoją drogą byłoby rzeczą frapującą wydać swój pamiętnik.

Obserwuję twarze pasażerów. Przyglądają mi się, jak zwykłej ładnej kobiecie. Czyż który z nich może się domyślać, ile treści kryje się w mojej duszy?! Ja również na nich patrzę, jak na ludzi zwykłych, przeciętnych. Ten łysawy brunet jest pewno handlowcem lub fabrykantem. Ten gruby wygląda na bankiera. Starsza pani o utlenionych włosach musi być żoną jakiegoś dygnitarza kolejowego. Nie sprawia wrażenia pasażerki, która może sobie pozwolić na pierwszą klasę. Na pewno ma bilet darmowy. Młody człowiek o aparycji sportowca ma wiele pryszczu na twarzy. Jest obrzydliwy. Prawdopodobnie pracuje w jakimś dzienniku i też ma gratisowy przejazd.

Tak ich określiłam. A czyż mogę wiedzieć, kim są naprawdę? Spojrzałam na grubasa. Może jedzie, by zastrzelić swoją niewierną żonę, i już za dwa dni będzie siedział w więzieniu? Ta kobieta może być księżną krwi, a nieciekawy młodzieniec jakimś znakomitym cudzoziemcem. Przecież księcia Windsoru wzięłam kiedyś za komiwojażera. Nic nigdy nie można wiedzieć. Każdy człowiek kryje w sobie jakieś tajemnice. Ma swoje własne życie. Ludzie właściwie nigdy się nie znają i nie mogą mieć o sobie zdecydowanie sprawiedliwego zdania. Łysawy brunet, który mi się wydaje człowiekiem zupełnie pospolitym, może mieć w duszy całe piekło lub całe niebo. Dopiero nieszczęścia, które spadają na ludzi, ujawniają przed innymi ich skarby i ich ubóstwa.

Naprawdę powinnam to przerobić na pamiętnik. Coraz bardziej się przekonuję, że wiele cennych myśli, które mnie nawiedzają, zasługuje w zupełności na opublikowanie. Ileż kobiet, ba, iluż mężczyzn skorzystać z nich może! Największą trudnością, jaką przewiduję przy układaniu takiego pamiętnika, są nazwiska. Oczywiście nie mogłabym dać swego ze względu na rodziców i na Jacka. A wymyślić jakieś nazwisko jest rzeczą niesłychanie trudną. Zresztą, jak mówi Gombrowicz, najbardziej nieprawdopodobne nazwisko, wykomponowane przez autora, zawsze może znaleźć swego prawnego posiadacza. A to ponoć naraża autora na wiele przykrości.

*Autorka pamiętnika, a raczej Witold Gombrowicz, ma tu zupełną rację. Sam zanotowałem wiele podobnych wypadków. Prawny posiadacz jakiegoś nazwiska nie ma nic przeciw temu, jeżeli się danego bohatera tym nazwiskiem ozdabia. Czyta powieść w błogim zadowoleniu. Dopiero wówczas, gdy bohater popelnia jakieś świństwo, prawny posiadacz gwałtownie protestuje. Miałem na przykład taki wypadek: w jednej z powieści obdarzyłem nazwiskiem Iks (nie chcę go tu wymieniać, by nie wywoływać nowych komplikacji) dwie panny, które — ponieważ było mi to na rękę — zaliczyłem do arystokracji. Nazwisko zresztą brzmiało ładnie*

*i dobrze po polsku. Powieść, jak wszystkie moje powieści, przed wydaniem książkowym była drukowana w odcinku jednego z dzienników warszawskich. Otóż póki o pannach było tylko to, że są świetnie ułożone, ładne i obracają się w najwyższych sferach towarzyskich, nikt nie protestował. Jednej z nich zdarzył się wszakże przykry wypadek. Rozstała się mianowicie w okolicznościach dość zabawnych z tym, co tradycja nasza, wbrew wszelkim oczywistościom, uważa za nieodłączny atrybut panieństwa. I jakież skutki?... Nie czekałem na nie długo. Po dwóch dniach otrzymałem od jakiegoś adwokata Fensterglassa groźny protest. Jego klient nosił właśnie to samo nazwisko. Adwokat w imieniu klienta groził mi jakimiś paragrafami, jeżeli w przeciagu itd. nie zmienię nazwiska Iks na jakieś inne, gdyż obraża to rodowe honory Iksów, że jedna z Iksówien wyczynia dziwne rzeczy. P. Hanka Renowicka ma tedy rację, że dobór nazwisk dla bohaterów przedstawia wielką trudność dla autora. Nie tylko już chodzi o czarne charaktery, lecz i o „białe”. Nazwie się na przykład któregoś z szlachetnych adonisów nazwiskiem, zdawałoby się, tak nieprawdopodobnym jak Cynjan. I jaki skutek?... Nie mija miesiąc, a oto cała prasa się trzęsie od wiadomości, że niejaki Cynjan sprzedał kmiotkowi kolumnę Zygmunta, tramwaj i dworzec główny za kilkaset złotych. Nazwisko Cynjana oszusta staje się synonimem pomysłowości złodziejskiej. I jakże wówczas wygląda mój Skrzetuski, obarczony takim mianem?! To samo odnosi się również do nazw miejscowości. Raz otrzymałem od burmistrza jednego z małych miasteczek najformalniejsze sprostowanie. W jego Pikutkowie nigdy nie mieszkał żaden pan Aleksander Powarycki, a zatem nie mógł nago przebiegać ulic tego miasta ani podpalić stajni straży ogniowej. Wobec tego muszę się przyznać, że sporośmy się nagłowili z p. Hanką, zanim wymyśliśmy dla niej nazwisko „Renowicka” i kilka innych nazwisk do jej pamiętnika. Jeżeli chodzi o p. Tota, zdecydowaliśmy w ogóle nie dawać mu nazwiska. By jednak uniknąć wszelkich nieporozumień, z całym naciskiem chcę podkreślić, że Toto z Pamiętnika pani Hanki nie ma nic wspólnego z księciem Totem Radziwiłłem, chociaż może nie jest mniej znany od niego na terenie Warszawy i niektórych dzielnic Polski. (Przypisek T. D. M.)*

Postanowiłam zatrzymać się w Krakowie na jeden dzień. Bawi tam właśnie ciocia Baworowska i wypada ją odwiedzić. Nie widziałam jej od swoich lat dziecińczych.

To zabawne, że muszę nazywać ją ciocią, gdy jest ode mnie o dwa lata młodsza. Na szczęście ja nie jestem niczyją ciocią. To ogromnie postarza. Nie zdołam jednak tego uniknąć. Danką już dziś zapowiada, że będzie miała co najmniej sześcioro dzieci. Okropnie! Zresztą ten Stanisław na to wygląda. Wyobrażam go sobie jako ojca rodziny, nieznośnie poważnego i patriarchalnie głaskającego główki swoich sześciu pociech. Jestem przekonana, że podczas karesów oboje będą bardziej myśleli o potrzebie zwiększenia przyrostu naturalnego w naszym kraju niż o czymś innym. Życie w gruncie rzeczy nieprawdopodobnie śmieszne.

Na „czwartku” jednak nie byłam. Trochę mnie korciło, ale ze względu na zatrzymanie się w Krakowie i na i ciotkę Baworowską miałam doskonałe usprawiedliwienie wobec siebie i wobec Tadeusza. Wyjechałam popołudniowym pociągiem, a jutro wieczorem już będę w Krynicy.

Drętwięę na myśl o zadaniach, które mam tam do spełnienia. Odchodzi mnie cała pewność siebie, gdy zdam sobie sprawę, że będę się musiała tam zmierzyć oko w oko z tą niebezpieczną kobietą. Czy zdołam być przebieglejsza od niej? Czy zdołam zdobyć to nieszczęsne świadectwo ślubu?

Nie jestem wprawdzie religijna i w dziedzinie praktyk mam wielkie zaległości, ale jednak w Krakowie dam ofiarę na jakiś kościół, by mi się powiodło. Zawsze lepiej jest zaasekurować się na wszelki wypadek.

Zastanawiałam się nieraz nad kwestią wiary. Właściwie mówiąc nic nie miałabym przeciw temu, by być dobrą katoliczką. Ale po prostu nie mam na to czasu. Modlitwy i chodzenie do kościoła, spowiadanie się i tak dalej, wszystko to, jeżeli ma być porządnie zrobione (a nie lubię żadnego niechlujstwa), wymaga wielu godzin dziennie. Myślę, że Pan Bóg w swoim nieograniczonym miłosierdziu zechce mi to wybaczyć.

Religia

Sobota

Jestem w Krynicy. „Patria” przepelniona. To szczęście, że Toto zamówił dla mnie pokój. Niestety, większe apartamenty wszystkie są zajęte. Moc znajomych. Wszyscy zapewnniają, że bawią się znakomicie.

Pierwszą osobą, jaką spotkałam w hallu „Patrii”, była... miss Elisabeth Normann. Schodziła właśnie do sali restauracyjnej na kolację. Zdążyła już się opalić. Nie bez przykrości muszę stwierdzić, że wygląda interesująco. Przekonałam się jednak, że jej rude włosy są ufarbowane. Kobiety rude nie opalają się tak dobrze, a najczęściej dostają piegów, których życzyłabym jej z całego serca.

Albo nie pamięta mnie z Warszawy (widziałyśmy się w „Bristolu” zaledwie kilka razy), albo świetnie umie udawać. Jej zielone oczy prześliznęły się po mnie z doskonałą obojętnością. Zdążyłam się już dowiedzieć, że mieszka na pierwszym piętrze i oczywiście ma apartament. To mi trochę zepsuło humor. Dyrektor obiecał, że gdy tylko zwolni się apartament na drugim piętrze, gdzie mieszka obecnie jakiś bogaty Niemiec z Górnego Śląska, przeznaczy go dla mnie.

Jestem trochę zmęczona podróżą i krakowskimi wizytami. Człowiek nawet nie wie, ilu ma dalekich krewnych.

Jednak ten Toto ma gest. Powiedziałabym nawet, że zrobiło to dobre wrażenie w hotelu: w moim pokoju oczekiwał mnie wielki bukiet róż. Musiał to załatwić telegraficznie.

Kolację zjadłam u siebie. Teraz notuję te kilka słów, by czym prędzej wziąć kąpiel i położyć się do łóżka. Z dołu dolatują dźwięki orkiestry. Jestem ciekawa, czy ta cała Betty porobiła już tu znajomości. Wyobrażam sobie, jakie ma stroje! Jednak nie sądzę, bym się dała zdystansować.

Sobota

Spotkałam Romka. To jednak jest przyjemnie, gdy ktoś przy każdym spotkaniu ze mną czerwieni się jak pensjonarka. Umacnia to mnie w wierze we własne wartości. Zatrzymałam sanki i zawołałam go. Stał przed jakimś sklepem. Potknął się o kupę śniegu na brzegu chodnika. Zachował się wprost niezdarnie, co przy jego klasie ma duży urok. Ubrany zresztą był, jak zawsze, pierwszorzędnie. To jego ogromna zaleta. Nie cierpię mężczyzn źle ubranych. Taki na przykład Leszek Ponimirski programowo ubiera się fatalnie. Podejrzewam nawet, że bardzo rzadko się kąpie. Romek pocałował mnie w rękawiczkę i powiedział:

— Och, nie przypuszczałem, że jesteś w Krynicy. Gdyby...

Nie dokończył, więc zapytałam:

— Gdybyś o tym wiedział?...

Zrobiłam mu miejsce obok siebie. Gdy już konie ruszyły, powiedział z emfazą:

— Gdybym o tym wiedział, nie przeklinałbym tak swego lekarza za to, że mnie tu wysłał. Czy... jesteś sama?

— Tak, Jacek siedzi w Warszawie. A ty?...

— Ja?... — przeraził się. — A z kimże mógłbym tu być!

Zaśmiałam się.

— No, mój drogi Romku. Przecież nie będziesz we mnie wmawiał, że wiecznie żyjesz w celibacie.

Odwrocił głowę. Te wszystkie kwestie ogromnie go peszą. Czasami chce mi się śmiać na myśl, że ten chłopak w ogóle nie wie jeszcze, co to jest kobieta. Co prawda może być to zupełnie interesujące. Wyobrażam sobie jego zachowanie się w takich okolicznościach. Wszystkie panie oglądają się za naszymi sankami. Nie dziwię im się. Romek musi podobać się każdej. To zabawne. Na pewno niejedna go atakuje. A ten biedak broni się jak lew.

— Nie stronię od ludzi — powiedział po długim namyśle.

— Tylko od płci odmiennej?...

Spojrzał na mnie surowo i oznajmił mi tonem wyroku sądowego.

— Zmieniłaś się bardzo.

— Na niekorzyść?

Odwrocił głowę i niemal gniewnie powiedział:

— Tak.

To wszystko zaczynało mnie bawić.

— Czy zbrzydłam?  
— Nie o tym mówię.  
— Przytyłam?  
— Ach, nie. Udajesz, że mnie nie rozumiesz. W twoim sposobie bycia... Inaczej patrzysz na życie niż dawniej, niż wtedy, gdy...  
— Gdy co?  
— Gdy tak wiele nadziei wiązałem z tobą.

To nieszczęście, jak bardzo ten chłopak jest patetyczny. Gdyby nie koczyła mnie jego niewzruszalna niewinność, już czułabym się znudzona. Jestem ciekawa, co zrobiłby taki człowiek, gdyby się dostał we wprawne ręczki takiej na przykład Betty Normann. Byłoby to nad wyraz komiczne. Ona oczywiście dostroiłaby się do jego tonu. Ja jestem zbyt wielką sybarytką<sup>69</sup>, by zadawać sobie tyle trudu. Jeżeli szokuje go moje zachowanie się, niech się męczy. Albo straci sentyment do mnie, albo zdoła przystosować się do mojego *façon d'être*<sup>70</sup>. W gruncie rzeczy tak bardzo mi na nim nie zależy i mogę zdobyć się na to ryzyko. Powiedziałam mu:

— Mój drogi Romku. Nie jestem już gęsią. A ty, zdaje się, do końca życia zamierzasz nosić głowę w chmurkach, szukać polnego kwiecica i grać na fujarce. To może zajmujące póty, póki się ma osiemnaście lat. Ale zastanów się, że kiedyś, jako minister czy inny prezes z brzuszkiem, będziesz wyglądał z tą manierą dość zabawnie.

Czułam, jak pod wpływem moich słów kurczy się cały. Jego sposób bycia wynika najprawdopodobniej z nieśmiałości. Chciałabym poznać jego marzenia. Na pewno są przeciwieństwem tego, czym żyje. W marzeniach tych musi być wiele zuchwałych podbojów miłosnych. Może nawet cynizm.

— Staram się nie mieć żadnej maniery — powiedział wzburzony.  
— Więc może źle się wyraziłam. Po prostu twoje podejście do życia jest piekielnie niewygodne.

— Jak to rozumiesz?  
— Chodzisz na koturnach. Robi to wiele stuku, ale krępuje swobodę ruchów.  
— Stuku?  
— No, tak — zdobyłam się na otwartość. — Swoją cichością i brakiem agresywności robisz dookoła siebie reklamowy hałas. Każesz się zdobywać.

Niecierpliwie ruszył ramionami.

— Wcale nie chcę być zdobywany.

— Tym gorzej.

— Nie zależy mi na tym.

— A jednak takie sprawiasz wrażenie — brnęłam naprzód. — Oto człowiek nie z tego świata, zazdrośnie strzegący skarbów swego serca, zakłeta królewna, niedostępna forteca, czy jak tam chcesz to nazwać, która czeka na zwycięską zdobyczynię.

Zaśmiał się nieszczerze.

— Upewniam cię, że nie czekam. W ogóle te sprawy zbyt mało zajmują miejsca w moim życiu, bym miał im poświęcać więcej uwagi.

— Aha, chcesz mi przez to dać do zrozumienia, że ja zbyt wiele o nich myślę.

— Nie miałem tego zamiaru, ale, skoro już o tym mówimy... nie mogę zaprzeczyć. Rzeczywiście wydaje mi się... Może mi się wydawać, że poświęcasz im zbyt wiele czasu.

— Czy można zbyt wiele czasu poświęcić miłości?!

Znowu się zarumienił i odpowiedział jakimś zupełnie innym tonem:

— Miłości można poświęcić całe życie.

To dziwne, że ten Romek przy jego urodzie jest taki poważny. Przyglądałam się jego profilowi. Ma w sobie coś z Savonaroli. Jakiś zacięty wyraz i klasyczne linie czoła, nosa, podbródka. Umiałby być okrutny. Gdyby się we mnie nie kochał, na pewno bym się go bała. To jednak dziwne, jak wielką władzę dać może uczucie. Siedziałam obok niego, mówiłam mu rzeczy przykre i drażniące, wiedząc, że nic mi nie grozi, że jeden mój uśmiech, jedno dotknięcie ręki może go uszczęśliwić.

<sup>69</sup>sybarytka — osoba mająca zamiłowanie do wygod, luksusu i używania przyjemności. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>*façon d'être* (fr.) — sposób bycia. [przypis edytorski]

— Życie byłoby niesłychanie nudne — powiedziałam — gdybym na nie patrzyła twoimi oczami.

— Nudne? — zdziwił się. — Wcale się nie nudzę.

— Bierzesz je zbyt poważnie.

— Tak, jak na to zasługuje.

— Wcale nie zasługuje. Otóż to właśnie, że nie zasługuje. Czy ty, na przykład, wiesz, co to jest przygoda?

Wzruszył ramionami.

— Miałem wiele przygód.

— Wątpię. W każdym razie nie zrobiłeś na pewno nic, by na nie się narazić. Wszystko u ciebie musi być uplanowane i przygotowane. Przynajmniej to, co jest świadome. Jakaś mordercza konsekwencja.

— Nie rozumiem ciebie.

— To bardzo proste. Zawsze wiesz, co zrobisz. Wiesz co i dlaczego.

— Sądzę, że każdy człowiek wie, co i dlaczego robi.

— Bynajmniej. Ten, kto zna urok życia, lubi czuć się jak łódź bez steru na falach.

— Ooooo... Niesiona w dowolnym kierunku?!

— Nie. Ogólny kierunek możemy jej nadawać. Ale pewne dywagacje<sup>71</sup> są czymś koniecznym, co chroni nas przed nudą.

Romek przygryzł dolną wargę. To jeszcze bardziej podkreśliło w jego twarzy rys zaciętości.

— Bardzo cię przepraszam, Haneczko, że nie umiem być zabawnym towarzyszem — powiedział. — Przepraszam, że cię nudziłem. Jeżeli pozwolisz, tu wysiadę. Właśnie u tego fotografa mam coś do załatwienia.

Zaśmiałam się.

— Nieprawda. Nic nie masz do załatwienia i wcale nie jesteś nudny. A raczej twój rodzaj nudy jest zupełnie zabawny.

Spojrzał na mnie prawie z nienawiścią.

— Masz dość oryginalny słownik.

— Dziękuję za komplement.

— To wcale nie miał być komplement. Wręcz przeciwnie. Cóż to za dziwny sposób dzielenia ludzi na takie dwie kategorie, jak: nudny i zabawny.

— A jakie są inne kategorie?

— Mój Boże. Wartościowy, próżny, właściwy, etyczny... Tysiące określeń.

Uczulam się z lekka dotknięta tą uwagą.

— Czyli chcesz przez to powiedzieć, że kategorie mego rozumowania są płytkie?

— Chcę przez to powiedzieć, że nie zadajesz sobie trudu, by ujmować głębiej zagadnienia.

Zmierzyłam go ironicznym spojrzeniem.

— Zagadnienia?... Czy naprawdę sądzisz, że jesteś dla mnie zagadnieniem?

Zaczerwienił się bardzo i mruknął:

— Nie mówiłem o sobie.

— Ale ja mówiłam o tobie. Bardzo cię lubię, mój drogi, nie ukrywam zresztą tego, ale nie jesteś dla mnie żadnym zagadnieniem. Widzę cię na wylot. Znam cię doskonale...

— Może zanedo jesteś pewna swego sądu.

— Wcale nie zanedo. Ty jesteś całkowicie zrobiony z jednego materiału. Jeżeli były w tobie jakieś domieszki, postarał się je usunąć.

Zamyślił się i nic nie mówił. Odezwał się dopiero po dłuższej pauzie:

— Nie wiem. Może i masz rację. W takim razie rzeczywiście muszę cię nudzić.

— Ależ wcale nie — zaprotestowałam. — Chciałabym tylko, byś się trochę zmienił.

Spojrzał na mnie wystraszonymi oczyma.

— Bym się zmienił?

— Och, jesteś nieludzko poważny. Czyś ty nigdy nie zrobił żadnego głupstwa?

Zastanowił się i odpowiedział:

<sup>71</sup>dywagacje — rozważania (szczególnie wolne dygresyjne czy abstrakcyjne), odchodzenie od tematu. [przypis edytorski]

- Owszem. Jeden raz.  
— Zdumiewasz mnie.  
— Jeden raz, gdy poznawszy ciebie nie uciekłem na drugi koniec świata...

Bardzo to ładnie powiedział. To zasługiwało już na nagrodę. Zdjęłam rękawiczkę i lekko pogłaskałam go po twarzy. On jest naprawdę bardzo zabawny. Cofnął się tak gwałtownie, jakbym go dotknęła rozpalonym żelazem. To jednak jest frapujące.

- Przepraszam — powiedziałam. — Nie chciałam zrobić ci przykrości...

Miał zaciśnięte szczęki i pod naciągniętą skórą twarzy grały mu mięśnie. Niewielu znam mężczyzn równie ładnych tą prawdziwie męską, niebezpieczną urodą. Umie świetnie panować nad sobą, ale jego miłość musi być jak burza, jak orkan. Ile gwałtowności kryje się pod tym pozornym spokojem!

Dobrze jednak zrobiłam, że nie zostałam jego żoną. Byłby świetny właśnie jako przygoda. Ale na stałe, na co dzień byłoby to zbyt monotonne. A w dodatku niebezpieczne. Odczułam to wyraźnie, że bałabym się go. Nie umiałby mi zostawić chwili czasu, nie wypełnionej sobą. Taka zachłanność musi pociągać i na pewno pociąga w nim niejedną, ale *à la longue*<sup>72</sup> stałoby się to torturą.

Jak mu to wszystko wytłumaczyć? Mężczyźni o psychice tego typu nie są zdolni do zrozumienia czegoś, co nie jest wieczne, ostateczne, nieodwołalne. On jest bezapelacyjny. I ma tak wspaniale zarysowane nozdrza, które poruszają mu się ledwie dostrzegalnie. Opanowała mnie nagle nieprzewidywalna ochota, by go pocałować. Mocno, w same usta.

Sanki minęły ostatnie zabudowania. Droga była pusta. To okropne mieć do czynienia z mężczyzną tak wysokim, który nie ma najmniejszego zamiaru pochylić się, by ułatwić mi zadanie. Przecież trudno bym się nań wspinała. A nieludzko mnie korciło. Wprost musiałam go pocałować.

Od czego jednak inwencja. Upuściłam rękawiczkę po swojej prawej stronie gdzieś między futrzany fartuch a siedzenie. Musiał przechylić się przede mną, by po nią sięgnąć. Wówczas jego policzek znalazł się tuż przy mojej twarzy. Mały ruch głowy wystarczył, by dotknąć wargami kącika jego oka. Zrobiłam to bardzo ostrożnie i natychmiast cofnęłam się w obawie, że znowu się zachnie i może mi nadwerżyć zęby. Moja ostrożność została nagrodzona. Istotnie uniknęłam niebezpieczeństwa w samą porę. Romek zaś z wrażenia wypuścił z rąk rękawiczkę, którą właśnie zdążył wyłowić. Ta mała przygoda uwolniła mnie od jakichkolwiek wyjaśnień. Trzeba było zatrzymać konie i woźnica pobiegł po rękawiczkę.

Romek siedział jak skamieniały.

— Jakąż śliczną mamy pogodę — powiedziałam swobodnie. — Lubię mróz, gdy pod płozami tak śpiewa i gdy świeci oślepiające słońce.

Spojrzałam nań z ukosa i trochę się przelekłam. Może postąpiłam jednak zbyt lekomyślnie. Gotów natychmiast zażądać ode mnie, bym porzuciła Jacka i uciekła z nim co najmniej do Ameryki Południowej. Albo sam się spakuje i natychmiast wyjedzie, zostawiając mi patetyczny list.

— Po co to zrobiłaś? — odezwał się głucho po dobrych pięciu minutach milczenia.

Udałam zdziwienie.

— Co zrobiłam?... Że cię pocałowałam?... Mój Boże, czy ja wiem?... Przyszła mi nagle ochota. Jesteś ładny i zawsze mi się podobałeś.

— Czy... to tylko kaprys?...

— Być może. To jest takie nudne zastanawianie się nad każdym swoim postępkim. Analizowanie wszystkich drobiazgów...

— Wiedziałem, że dla ciebie jest to drobiazgiem — wyrzucił z siebie takim tonem, jakby mi oznajmiał: „Wiedziałem, żeś wytruła całą rodzinę i zamordowała sześcioro niemowląt”.

Zirytowało mnie to trochę.

— A czymże ma dla mnie być? Czym jest, obiektywnie rzecz biorąc, zwykły pocałunek?

— Czy... czy i w stosunku do innych mężczyzn... zachowujesz się tak samo?

<sup>72</sup>*à la longue* (fr.) — na dłuższą metę. [przypis edytorski]



Byłam już zła.

— Tak. W stosunku do wszystkich, bez wyjątku. Ale upewniam cię, że żaden dotychczas nie zrobił mi o to awantury.

— Bo żaden z nich cię nie kocha — wybuchnął.

— Zaiste, masz dziwne wyobrażenie o miłości. Zawsze sądziłam, że atrybutem tego uczucia raczej jest pocałunek niż wymówki i impertynencje.

Z całej siły chwycił mnie za rękę i spojrzał mi głęboko w oczy. Był z tym gniewem, niepokojem i nadzieją wspaniałą. Miły Boże! Czemuż jest taki głupi?! Zapytał przerywanym głosem:

— Jak mam to rozumieć... Haneczko, jak mam to rozumieć?... Czy... ty mogłabyś mnie... pokochać?

Potrząsnęłam głową.

— Nie mogłabym. Nie mogłabym właśnie dlatego, że ty tak poważnie bierzesz tę sprawę. Nie cierpię przywiązywania większej wagi do przeżyć, niż na to zasługują. Boję się wszystkich klęsk żywiołowych. Nie pociąga mnie trzęsienie ziemi. Po prostu go się boję. Stokroć wolę pogodę i ciszę. I jeżeli mam być szczerą, dlatego cię właśnie nie pokochałam.

Znowu odsunął się ode mnie i zastygł w milczeniu. Na szczęście był właśnie ostry zakręt i chcąc nie chcąc musiał się do mnie przytulić. By złagodzić swoje słowa, powiedziałam:

— Zresztą, mój Romku. Mówiłam ci, że nie lubię zagłębiać się w analizę swoich postępów czy uczuć. Czyż to nie jest zupełnie proste?... Podobasz mi się, żywimy dla siebie bardzo wiele przyjaźni. Dlaczego nie miałabym cię pocałować?

— Dlatego, że to, co dla ciebie jest tylko chwilowym kaprysem, dla mnie może być rozdarciem niezagojonych blizn.

— I znowu przesadzasz. Nie, Romku. Musimy o tym wszystkim pomówić wyczerpująco. Może podczas takiej rozmowy i ja zdołam sobie uświadomić mój stan wewnętrzny. Jeżeli chcesz zrobić mi prawdziwą przysługę, przyjdź dzisiaj o piątej do mnie. Mieszkam w „Patrii”.

Nic nie odpowiedział. Sanki właśnie zatrzymały się przed fryzjerem, u którego miałam zamówioną godzinę. Wysiadłam i żegnając się z Romkiem dodałam:

— Będę czekała.

Zrobiłam przy tym umyślnie jak najbardziej zalotną minę. Nie lubię spraw, które się przeciągają. Chciałam mu wyraźnie dać do zrozumienia, że jeżeli zdecyduje się przyjść, przyjdzie do jaskini lwa. Jeżeli zaś sądzi, że kalam jego uczucia, rozdieram blizny i robię dużo innych, równie nieestetycznych rzeczy — niech sobie wyjedzie.

Pierwszą osobą, którą zobaczyłam u fryzjera, była Betty Normann. Obsługującemu ją fryzjerowi usiłowała wytłumaczyć, o jakie uczesanie jej chodzi. Posługiwała się przy tym angielskim, francuskim i niemieckim, lecz ten jej nie mógł zrozumieć. Niewiele pomogła też usłużna interwencja dwóch pań, które widocznie nie władały dobrze żadnym z tych języków. Serce zabiło mi mocniej. Oto nadarzała się wyborna okazja do nawiązania znajomości.

— Czy pani pozwoli — odezwałam się do niej po angielsku — że będę służyła jako tłumacz?

Musiła od razu poznać po akcencie, że znam świetnie angielski, gdyż uśmiechnęła się do mnie nad wyraz przyjemnie i odpowiedziała:

— Jestem pani bardzo wdzięczna. To naprawdę wyjątkowo uprzejme ze strony pani. Zazdroszczę pani, że nauczyła się pani języka polskiego.

— Nie potrzebowałam się uczyć. Jestem Polką.

— Niepodobnieństwo! Mówi pani jak rodowita Angielka. Ja w Polsce bawię od niedawna, a wasz język jest taki trudny.

Wytłumaczyła mi, o co jej chodziło, a ja z kolei powtórzyłam to fryzjerowi. Swoje miejsce zajęłam prawie nieprzytomna z wrażenia. Bądź co bądź chociaż nieformalnie, zdołałam ją poznać. Jakie będą tego następstwa?...

Oczywiście przy każdym spotkaniu będziemy się sobie kłaniały, a możliwe, że ona w jakimś innym przypadku zwróci się jeszcze o moją pomoc. Muszę się mieć na baczności. Może jednak wytelegrafować wujka Albina?...

Na razie tego nie zrobię. Zobaczą, jak będą się układały stosunki. Ona ostatecznie nie robi tak złego wrażenia. Być może (nie marzę jeszcze o tym) polubi mnie i sama zrozumie, jak brzydkie jest to, co chce mi zrobić. Ostatecznie pewno też ma jakieś serce. A mnie kobiety na ogół lubią. Nawet Muszka Zdrojewska, która pęka z zazdrości o Tota.

Gdy weszłam do sali restauracyjnej, było już tam prawie pełno. Sporo znajomych. Chociaż mi niektórzy dawali znaki, bym siadła przy ich stoliku, udałam, że tego nie spostrzegam. Wiem z doświadczenia, jak to jest niewygodnie w różnych uzdrowiskach, gdy się człowiek od razu na początku spręgnie z jakimś towarzystwem. Później trudno jest odczepić się, chociaż może chciałoby się przebywać z kim innym. Nie zbliżę się tu do nikogo, zanim się nie rozejrzę. Muszę zresztą zobaczyć, z kim tu przestaje Betty Normann.

Weszła w parę minut po mnie i również usiadła przy osobnym stoliku. Gdy dostrzegła mnie, znowu się uśmiechnęła. Zachowuje się zupełnie przyzwoicie. Na usprawiedliwienie Jacka muszę stwierdzić, że jest ona *comme il faut*<sup>73</sup>. Pojąć tylko nie mogę, dlaczego tak uporczywie udaje, że nie zna polskiego języka.

Z przyjemnością skonstatowałam, że na pewno nie jestem gorzej ubrana od innych pań. Zobaczą, jak będzie wieczorem. Chociaż jeżeli o mnie chodzi, na wieczorowe toalety kładę najmniej nacisku. Uważam, że kobieta prawdziwie elegancka musi się wyróżniać smakiem strojów rannych i popołudniowych. Oburza mnie taka Halszka, która ubiera się gorzej niż średnio, a wieczorowe toalety sprowadza z Paryża. To najlepszy dowód *nouveau richelostwa*<sup>74</sup>.

Gdy wróciłam do numeru, zastałam zabawną niespodziankę: Romek przysłał mi wiązankę mimozy i kartkę z przeproszeniem, że nie będzie mógł przyjść, gdyż zatrzymują go ważne sprawy.

Cóż za sensat! I ta mimoza! To takie do niego podobne przysyłać właśnie mimozę. Pewno w języku kwiatów coś to znaczy. Szkoda, że nie mam babci. Zadepeszowałabym do niej po wyjaśnienia. Za czasów naszych babć ludzie bali się używać języka do wyłuszczenia swoich intymniejszych spraw. Posługiwali się w tym celu kwiatami. Jakie szczęście, że nie żyłam w tamtej epoce. Pękałabym ze śmiechu, co prawda, ale umarłabym z nudów.

Mimoza! To pewno ma znaczyć, że nie ośmieli się mnie tknąć. Cóż za zabawny chłopak. Kolor też pewno ma jakieś znaczenie. Romek byłby zupełnie na miejscu w „*fin de siecle*”<sup>75</sup>. Swoją drogą i tak duży mój sukces, że nie wyjechał. Ukrywać się przede mną może bardzo długo, gdyż nieopatrznie nie zapytałam go o to, gdzie mieszka.

Ciekawa jestem, czy ta Betty wie, że ma do czynienia z żoną Jacka. Udaje nieświadomość, ale sądzę, że już dzisiaj wieczorem potrafię to wy badać. Co też sobie myśli Jacek... Ponieważ wie, że mieszkamy w jednym hotelu, na pewno boi się, że między nami może dojść do nieporozumień. Jeżeli tak jest rzeczywiście, albo przyjedzie tu pod jakimś pozorem, albo będzie telefonował, by się dowiedzieć. W każdym razie nie wyobrażam sobie, by spędzał czas pogodnie. Dobrze mu tak. Niech wie, że każdy grzech wymaga pokuty.

Kończę już pisać. Muszę się przebrać do kolacji.

Poniedziałek

Wczoraj nie pisałam, bo nie miałam czasu. A zresztą nic się nie zdarzyło. Betty Normann nadal zdaje się nie szukać ze mną zbliżenia. Klaniamy się sobie z uśmiechem. To wszystko. Dziś zauważyłam, że zapuszcza sieci na generała Kocyńskiego. Dziwny gust. Kocyński ma wprawdzie nie więcej niż lat pięćdziesiąt, ale jest zupełnie brzydki. I nieszykowny. Czyżby jej imponowało to, że zajmuje jakieś dygnitarskie stanowisko? Byli razem w Żegiestowie i wrócili przed samym wieczorem.

Mój kostium narciarski robi furorę. Podobny, ale w znacznie gorszym gatunku (rzuca się to w oczy), ma jakaś pani Retz czy Rentz z Łodzi. Poza tym w całej Krynicy nic ciekawego. Nigdy sobie nie daruję, że nie nauczyłam się dobrze jeździć na łyżwach. Te dwie smarkate Holdynówny są formalnie obłożone. Rzeczywiście jeżdżą bardzo ładnie.

<sup>73</sup>*comme il faut* (fr.) — właściwy, w dobrym tonie. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>*nouveau richelostwo* (z fr. *nouveau riche*: nowo wzbogacony) — sposób bycia właściwy nuworyszom, tj. nowobogackim. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>*fin de siecle* (fr.) — koniec wieku; w historii sztuki i kultury europejskiej: ostatnie dziesięciolecie XIX w., cechujące się charakterystycznym poczuciem schyłkowości (dekadentyzmem), melancholii i katastrofizmu. [przypis edytorski]

Kostium lyżwiarski jest niesłuchanie twarzowy. Gdy tylko idą na ślizgawkę, wali tam pół Krynicy.

Spotkałam bardzo zajmującego człowieka. Jest to pan Joe Larsen Knidle, dyplomata amerykański z Moskwy. Przyjechał tu, by wypocząć. Spędzam z nim sporo czasu. Byłam dumna, że lepiej jeżdżę na nartach od niego. I jemu to zaimponowało. Okazało się, że Jacka zna jeszcze z Ligi Narodów, a z Totem polował kiedyś w Kongo. Bardzo miły, światowy człowiek. Nie żuje gumy i nie opowiada co trzecie zdanie o wspaniałościach Ameryki. Z tym wychwalaniem swego kraju Amerykanie na ogół są nużący. Wszystko, co amerykańskie, jest dla nich superlatywem. Gdy chce taki zrobić mi komplement, mówi:

— Ależ panią można wziąć za Amerykankę.

Okropne! Za Amerykankę! Nie przeczę, że przeważnie są ładne, wysportowane i dobrze utrzymane. Ale ich sposób bycia z paleniem papierosów przy zupie, z włączeniem się po nocnych klubach z przygodnie poznanymi ludźmi, ich, mówiąc po prostu, brak kultury i ogłady towarzyskiej... Br... Nie umiałabym tak samo, jak żyć w epoce babek. Jacek twierdzi, że Europa stopniowo amerykanizuje się. We Francji amerykanizm zrobił już znaczne postępy. Na szczęście do nas jeszcze nie doszedł.

Okazuje się jednak, że i Amerykanie mogą się zeuropczywić. Najlepszym dowodem jest Larsen. Romek nie daje znaku życia. Mówił mi ktoś, że widział go z panią Żółtowską na spacerze. Od niej jego cnoty nic nie zagraża. Pani Żółtowska ma sześćdziesiąt lat. Tacy są dzisiaj mężczyźni.

Wtorek

Spotkałyśmy się na schodach *bec-à-bec*<sup>76</sup>. Gdy ją zobaczyłam, od razu przeczulałam, że poznanie musi nastąpić. Zatrzymała się i z uśmiechem wyciągnęła do mnie rękę.

— Czy pani pozwoli, że się przedstawię — powiedziała po angielsku. — Nazywam się Elisabeth Normann.

Wymieniłam swoje nazwisko równie uprzejmie.

— Słyszałam od generała Koczyńskiego — mówiła — najprzyjemniejsze rzeczy o pani.

— Generał jest bardzo miły. A jakże się pani podoba Krynica?...

— Nadzwyczajnie. Dla kogoś, kto już jest zblazowany komfortem różnych zagranicznych miejscowości kuracyjnych, Krynica ma urok miłego prymitywu.

Najwyraźniej w świecie chciała podtrzymać i przedłużyć rozmowę. Teraz już nie ulegała dla mnie wątpliwości, że wie ona, kim jestem. Zaczyna się niebezpieczna gra. Ano dobrze. Nie cofnę się przed nią. Zapytałam z zainteresowaniem:

— Pani na pewno dużo podróżuje?

— O, tak — odpowiedziała. — Podróże to moja pasja.

— A stale pani mieszka w Londynie?

Zadałam jej to pytanie, by upewnić ją, że nic o niej nie wiem. Jacek — o ile go znam — na pewno z nią o mnie nie mówił. Jeżeli zaś mówił, to tylko w tym sensie, że pragnąłby oszczędzić mi zmartwień z powodu tych spraw.

Miss Normann potrząsnęła przecząco głową.

— O, nie. Właściwie mówiąc nigdzie stale nie mieszkam. Najczęściej jeszcze w Paryżu. Spędzam tam co roku dwa lub trzy miesiące.

— Zazdroszczę pani — powiedziałam. — Ale raczej pani jest Angielką niż Amerykanką. Sądząc z akcentu i ze sposobu bycia.

— Dziękuję pani — uśmiechnęła się. — Rzeczywiście jestem Angielką. Urodziłam się w Birmingham i w Anglii spędziłam swoje młode lata. Ale później tak jakoś się złożyło, że w ojczyźnie swej bywałam niezmiernie rzadko. Moi rodzice z jakichś powodów przyjęli obywatelstwo belgijskie.

— A w Polsce pani jest po raz pierwszy?

— O, tak. Kiedyś bawiłam tu przejazdem zaledwie parę godzin. Tego nie można liczyć. Prawda? Ale i pani, zdaje się, dużo podróżuje? Przynajmniej generał wspominał mi, że mąż pani jest dyplomata, a służba w dyplomacji łączy się z częstym zmienianiem miejsca pobytu. Nieprawdaż?

<sup>76</sup>*bec-à-bec* (fr.) — twarzą w twarz. [przypis edytorski]

— Oczywiście — przyznałam. — Nie podróżowałam jednak tyle, co pani. Teraz zaś już od dłuższego czasu siedzimy w Warszawie.

Wymieniłyśmy jeszcze kilka zdań zdawkowych uprzejmości i miss Normann poszła do siebie. Sprawia zupełnie miłe wrażenie. Jestem ciekawa, dlaczego nie wspomniała ani słowa o stryju Albinie. Stryj na pewno nie zwierzył jej się z tego, że rodzina nie utrzymuje z nim stosunków. Zagadkowa kobieta. Nie mogę pozbyć się jakiegoś podświadomego przeświadczenia, że ukrywa ona w sobie tajemnice znacznie groźniejsze od tych, które znam. Nie układałam jeszcze żadnych planów. Cieszę się jednak z tego, że teraz będę mogła bez wzbudzenia jej podejrzeń wstąpić któregoś dnia do niej i rozejrzeć się w jej apartamencie. Muszę koniecznie zdobyć sobie identyczny o piętro wyżej. W razie przyłapania mnie, będę mogła się tłumaczyć pomyłką o piętro.

Rozmawiałam z dyrektorem i obiecał mi, że apartament za dwa dni będzie wolny. Pan Larsen przychodzi teraz na obiady do „Patrii” i jemy razem. Jest nader interesującym interlokutorem<sup>77</sup>.

Środa

To musi coś znaczyć. Ponieważ wiem, że w Biarritz posługiwała się kiedyś jakimś cudzym nazwiskiem (a właściwie swego panińskiego też używa nieprawnie, gdyż powinna nosić nazwisko Jacka), skłonna jestem raczej wierzyć pamięci Larsena niż zachowaniu się tej kobiety.

Było to tak.

Jedliśmy właśnie z panem Larsenem obiad, gdy do sali restauracyjnej weszła miss Normann. Przechodząc obok mego stolika pozdrowiła mnie może nawet z większą dążą serdeczności, niż na to pozwalała nasza krótka znajomość. Odpowiedziałam jej tym samym. Larsen wstał i uklonił się również. Odpowiedziała mu ledwo dostrzegalnym skinieniem głowy. Gdy już zajęła miejsce po drugiej stronie sali, Larsen powiedział:

— Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że znam tę damę. Kto to jest?

— Nazywa się miss Elisabeth Normann.

— To dziwne — mruknął. — Przysiągłbym, że kiedyś nazywała się inaczej. I że spotykałem ją stosunkowo często.

Spojrzał w jej stronę i dodał.

— Może wtedy miała włosy innego koloru i... Chciałem powiedzieć coś niedorzecznego.

— No, niech pan powie — nalegałam ogromnie zaintrygowana.

— Kiedy to naprawdę jest bezsensu.

— A jednak!...

— Nie mogę pozbyć się wrażenia, że widziałem ją tańczącą w bardzo ekscentrycznym kostiumie.

— Na jakiejś maskaradzie?...

— Bynajmniej. W jakimś kabarecie.

— Nie rozumiem?...

— Oczywiście nie mogę dowierzać swojej pamięci. Ale zdaje mi się, że ktoś ogromnie podobny do tej damy był tancerką w kabarecie... Gdzie to było, już sobie przypominam. Ani kiedy. Przepraszam panią za te aluzje w stosunku do jej znajomej.

Wzruszyłam ramionami.

— Znam tę panią od bardzo niedawna. Nie wydaje mi się jednak rzeczą prawdopodobną, by mogła występować jako tancerka w kabaretach. Niewątpliwie jest osobą bogatą, nie wygląda zaś na to, by zrobiła taką rzecz dla kaprysu. Sprawia wrażenie kobiety zrównoważonej i przyzwoitej. Ale zaciekawił mnie pan. Czy nie może pan przypomnieć sobie, jak się tamta nazywała?

Zmarszczył brwi i po paru chwilach powiedział:

— O ile się nie mylę, nazywała się Sally Ney... Tak. Sally Ney. Jeden z moich kolegów interesował się nią bliżej. Stąd zapamiętałem to nazwisko... Ależ naturalnie. Teraz wiem doskonale. Było to przed czterema laty w Buenos Aires. Mój kolega poświęcał jej wiele uwagi. Oczywiście mówię o tancerce, nie o tej damie, która jest do niej podobna. Tamta na pewno była brunetką. Raczej typ południowy.

<sup>77</sup>interlokutor (z łac.) — rozmówca. [przypis edytorski]

— I jakże się to skończyło?

— Niestety, szybkim rozstaniem. Bawiliśmy wówczas w Buenos Aires dla zawarcia traktatu handlowego. W stosunkowo krótkim czasie ukończyliśmy pertraktacje i musieliśmy wracać do Stanów Zjednoczonych.

— Chciałam pana o coś prosić — uśmiechnęłam się do niego przymilnie. — Czy nie mógłby mi pan dać nazwiska i adresu tego swego kolegi?

— Byłoby mi dość trudno, proszę pani, po tym, co już o nim powiedziałem.

— Przecież pan nic złego o nim nie powiedział.

— Jednak jest to człowiek żonaty... — bronił się Larsen.

— Ach, mój Boże. Napiszę w sposób najbardziej dyskretny. Jeżeli mój list dostanie się nawet w ręce jego żony, nie będzie miała powodu do podejrzewania go o niewierność. A naprawdę byłabym panu za to bardzo obowiązana.

— Więc jednak sądzi pani, że ta dama mogła istotnie być tancerką kabaretową?

— Och, bynajmniej. Ale widzi pan, dotyczy to prawdopodobnie jej siostry. Ona ma taką marnotrawną siostrę. Nie mogę zresztą panu dać bliższych wyjaśnień, gdyż sama wiem niewiele. Niechże pan mi nie odmawia.

Wahał się jeszcze chwilę i wreszcie się zdecydował.

— Więc dobrze. Polegam jednak na pani dyskrekcji.

— Może pan być jej pewny.

Wydarł z notesu kartkę i napisał na niej: *Charles B. Baxter Burgos Hotel „Continental”, España*. Przeczytałam to ze zdziwieniem.

— Przecież Stany Zjednoczone nie utrzymują stosunków dyplomatycznych z generałem Franco?

— Oficjalnych — nie. Baxter bawi tam w charakterze obserwatora dyplomatycznego.

— No, widzi pan — zauważyłam. — Pańskie obawy okazały się nieuzasadnione. Bo na pewno jest tam bez żony.

— Przeciwnie. Są tam razem.

— Jak to? I nie bał się narażać jej na niebezpieczeństwa wojny?!

— W Burgos jest dość bezpiecznie. Samoloty rządowców rzadko tam docierają. Zresztą wojna prawdopodobnie niedługo się skończy. Sowiety coraz oszczędniej pomagają rządowcom i przewaga powstańców staje się coraz wyraźniejsza.

— Mój mąż twierdzi — powiedziałam — że wojna hiszpańska swym okrucieństwem znacznie przewyższa światową.

— Zapewne — przyznał Larsen. — Dzieje się tak zawsze, ilekroć w grę wchodzi motywy ideowe. Poza tym narodowy temperament Hiszpanów też należy wziąć pod uwagę. Nie zapominajmy, że Hiszpania jest ojczyzną najkrwawszej inkwizycji, walki byków i podobnych świństw.

Rozgadał się bardzo obszernie na ten temat, co było mi nie na rękę, gdyż przed napisaniem listu do owego Baxtera chciałam jeszcze z Larsena wyciągnąć jakieś informacje o tej tancerce, gdyż byłam niemal pewna, że chodziło tu nie o kogo innego, jak właśnie o Betty Normann.

W jej zachowaniu się w stosunku do Larsena nie dostrzegłam jednak nic, co wskazywałoby na to, że go już kiedyś w życiu widziała. Zresztą i to jest prawdopodobne. Mogła kiedyś dla kaprysu tańczyć w kabarecie. Ja sama w jakimś bardzo dalekim mieście, gdzie mnie nikt nie zna, umiałabym się na to zdobyć. Po prostu po to, by mieć sprawdzian swojego wdzięku i powodzenia. Tańcząc w kabarecie, poznaje się oczywiście setki mężczyzn. Zupełnie jest zrozumiałe, że można później większości z nich nie pamiętać.

Po skończeniu obiadu znowu przechodziła koło naszego stolika i znowu bardzo uprzejmie uśmiechnęła się do mnie, nie zwracając żadnej uwagi na mego towarzysza. Po jej wyjściu Larsen powiedział:

— Nie. Tamta była na pewno niższa...

— A czy jej konduita była tego rodzaju, co u ogółu tancerek kabaretowych?

— Raczej nie. O ile oczywiście mogę sądzić. Znałem ją bardzo mało. O ile sobie przypominam jednak, Baxter uważał to za jej wielki plus.

Więcej nic istotnego wydobyć zeń nie mogłam. Natychmiast po powrocie do swego numeru zabrałam się do pisania listu. Napisałam tak:

Szanowny Panie! Nasz wspólny przyjaciel p. Joe Larsen Knidle wspominał mi o pewnej dziewczynie, która z czysto osobistych względów bardzo mnie interesuje. Ponieważ od lat straciłam ją z oczu, byłabym Panu niezmiernie wdzięczna za udzielenie mi o niej jakichkolwiek informacji. Ogromnie mi na tym zależy.

Nazwisko jej brzmi Elisabeth Normann. Występując jednak w kabarecie używała pseudonimu Sally Ney. Niektóre wiadomości o niej mówiły mi, że bawiła przed czterema laty w Buenos Aires.

Czy nie wie Pan, gdzie się ona znajduje obecnie? Gdzie była poprzednio? Jakie miała zamiary? Czy nie wyszła za mąż? Czy nie zamierza zmienić zawodu? Wszystko, cokolwiek Pan o niej napisze, będzie obchodziło mnie jak najbardziej. Jeżeli przypadkiem posiada Pan jej fotografię — błagam o przysłanie jej. Solennie obiecuję, że ją zwrócę.

Oczywiście nikt, oprócz p. Larsena, nie będzie wiedział o tym, że do Pana piszę, ani o całej sprawie. Z góry najserdeczniej dziękuję Panu za dobroć i najmocniej przepraszam za zabieranie Mu cennego czasu.

H. Renowicka

Sama zaniiosłam list na pocztę i wysłałam go jako ekspres polecony. W powrotnej drodze przyszło mi na myśl, że nawet w wypadku, gdyby ten Amerykanin nie chciał odpisać lub odmówił informacji, zostaje mi jeszcze inna droga: mianowicie znalazłszy ten nowy ślad mogę zawiadomić o tym brukselskie biuro detektywów. Dla nich sprawdzenie tego w Buenos Aires nie będzie przedstawiało szczególniejszych trudności.

Ach, gdybym mogła przesłać im jej fotografię!

I tu nagle doznałam olśnienia. Przecież w Krynicy na każdym kroku fotografują przechodniów. Od fotografów po prostu się roi. Jest niepodobieństwem, by jej nie sfotografowano ani razu. Trzeba tylko przeszukać większe zakłady fotograficzne, a niewątpliwie znajdę to, czego mi trzeba.

Poświęciłam temu cztery bite godziny i oczywiście znalazłam. Znalazłam dwa zdjęcia. Zupełnie wyraźne, z doskonale uchwyconym podobieństwem. Ponieważ obawiałam się, że nie zechcą mi ich wydać, postąpiłam trochę nieładnie, ale nie miałam innego wyjścia. Gdy panienka odwróciła się, oba zdjęcia ukryłam w torebce. By nie byli na tym stratni, kazałam zrobić powiększenie swojej fotografii, którą tu również znalazłam. Teraz ci w Brukseli będą mieli zadanie znacznie ułatwione. Może zdołają wykryć i inne jej ślady.

Poczekaj, moja pani. Przekonam cię, że nie tak łatwo jest odebrać męża kobiecie, która umie sobie dać radę w życiu i ma dość wytrwałości, by przeprowadzić walkę z całą konsekwencją.

Środa

Więc nareszcie Romek się odnalazł. Było to bardzo zabawne. Ale zanim to opiszę, muszę zanotować rzeczy ważniejsze. Mianowicie wysłałam wczoraj list do Brukseli wraz z fotografią. Drugą zostawiłam sobie. Schowałam ją między chusteczkami w szafie. Detektywom napisałam, by nie szczędzili kosztów, zrobili z fotografii wiele odbitek i rozesłali podobnym biurom w różnych krajach.

Teraz sprawa pójdzie innym tempem. Jeżeli od Baxtera otrzymam potwierdzenie moich podejrzeń, będę i tak już miała dość kompromitującego dla niej materiału. Śmiało będę mogła powiedzieć, że jest międzynarodową awanturnicą, o bardzo skandalicznej przeszłości. Kto wie zresztą, czy ona sama nie jest bigamistką. Może się jeszcze okazać, że ten pan, z którym mieszkała w Biarritz, był jej prawdziwym mężem.

Spotkałam ją dziś rano w hallu. Miałam doskonały pretekst do zaczęcia rozmowy, gdyż właśnie przenoszono moje rzeczy do apartamentu na drugim piętrze, położonego nad jej apartamentem.

— Sąsiadujemy teraz ze sobą — powiedziałam. — Ale niech się pani nie obawia. Nie będę u siebie urządziła tańców ani biegów na przelaj.

— Gdyby nawet — odpowiedziała uprzejmie — pani jest tak leciutka, że nie zrobiłoby to żadnego hałasu.

Ponieważ obie miałyśmy do załatwienia jakieś sprawunki, wyszłyśmy razem. Wiele ze spotkanych osób kłaniało mi się i Betty zauważyła:

— Pani ma tu moc znajomych.

— O, tak. W związku z ograniczeniami dewizowymi wiele osób nie może wyjechać za granicę i z konieczności przyjeżdżają tu na wypoczynek. A pani, zdaje się, spędza czas dość samotnie?

— Tak. Nie przepadam za większym towarzystwem. Poznałam zaledwie kilku panów i kilka pań. Ach, świetnie, że mi pani przypomniała. Muszę tu wstąpić do tej kawiarenki i przeprosić mego partnera narciarskiego za to, że nie przyszedłem dziś z rana na trening. Czy wejdzie pani na chwilę ze mną? To jest bardzo miły chłopiec.

Oczywiście zgodziłam się natychmiast. Po pierwsze byłam ciekawa, jaki gust ma ta kobieta, po drugie ten pan mógł być jej amantem. Nie należało wyrzekać się żadnej sposobności do poznania jej spraw intymnych.

I nagle ta przekomiczna niespodzianka! Wchodzimy, a tu na widok Betty od stolika zrywa się — Romek! Omal nie wybuchnęłam śmiechem.

— Ależ my się znamy doskonale! — zawołałam.

Romek czerwony jak mak polny, zmieszany, omal nie przewrócił się przez krzesło. Wyglądał jak sztubak przyłapany w spiżarni na wyjadaniu konfitur. Chętnie uciekłby przez okno. Jego sytuacja rzeczywiście nie była do pozazdroszczenia. Bo z jednej strony, jego ukrywanie się na nic się nie zdało, a z drugiej, mogło wyglądać na to, że romansuje z Betty, udając miłość dla mnie.

Oczywiście wiedziałam, że to nie jest prawda. Znam go zbyt dobrze. O romansie między nimi mowy nie ma. Są naprawdę tylko partnerami od sportu. Jednak, jeżeli mam być szczerą, nie sprawiło mi specjalnej przyjemności, że zajęli się sobą. Nie jest to z mojej strony, broń Boże, zazdrość. Nie zamierzam rywalizować o względy żadnego mężczyzny, a tym bardziej Romka. Uważam, że mogę sobie jeszcze na to pozwolić. Ale dlaczego on właśnie z nią się spiknął?!

Ponieważ wiedziałam, że zależało mu na tym, byśmy jak najprędzej zostawiły go samego, najspokojniej w świecie siadłam przy stoliku i kazałam sobie dać herbaty. Rozmowę pokierowałam w ten sposób, że musieli go brać diabli. Za każdym razem zwracałam się do nich obojga. „Co państwo o tym sądzą”, „Co państwo robią”, „Jakie macie zamiary na najbliższe dni”.

Betty nie dostrzegła w moim zachowaniu się żadnej złośliwości, gdyż nie mogła wiedzieć o tym, co było między mną a Romkiem. On za to skręcał się wewnętrznie. Nie robiłam tego wyłącznie przez złośliwość. Wiedziałam dobrze, że Romek wolałby wszystko, niż zostawić mnie w przeświadczeniu, że jest kochankiem tej kobiety. Już teraz nie będę potrzebowała go szukać. Zgłosi się sam, bo będzie musiał dać mi wyjaśnienia. By go dobić, powiedziałam:

— No, nie będę już państwu dłużej przeszkadzała. Życzę miłej sjesty. Jest już tak późno, a ja jeszcze mam moc rzeczy do załatwienia.

Romek próbował zapewnień, że on również się śpieszy, lecz nie dałam mu dojść do słowa i wyszłam. W pół godziny po obiedzie zatelefonował do mnie, pytając, czy może mnie widzieć. Powiedziałam:

— Ależ zawsze, Romku. Z przyjemnością. Panna Normann zwykle wypoczywa po obiedzie u siebie. Więc będziesz miał chyba trochę wolnego czasu o tej porze.

W jego głosie była prawie wściekłość.

— Nic mnie nie obchodzą wypoczynki panny Normann. I mój czas nie jest w żaden sposób z nią związany.

— Nie rozumiem, dlaczego tak gwałtownie zapierasz się zażyłszej znajomości z osobą tak uroczą, jak panna Normann. Całkowicie akceptuję twój wybór.

Już myślałam, że przeholowałam. Milczał, trzymając słuchawkę, przez dobre pół minuty. Widocznie wahał się, czy nie skończyć na tym rozmowy. Lecz chęć przekonania mnie przemogła. Zapytał sucho:

— Czy możesz mnie przyjąć teraz?

— Proszę cię bardzo. Będę cię czekała za jakiś kwadrans. Muszę się trochę wypięknąć, bo nie chcę być zbyt rażącym kontrastem...

Przerwał mi:

— Dobrze, będę za kwadrans.

Co za śmieszny chłopak! Nie będę jednak twierdziła, że mi zupełnie nie imponuje. Niezłomność jego charakteru jest nader męska. Tym lepiej. Nie sztuka zdobyć takiego, który leci na skinienie palca byle idiotki. Nigdy nie byłam zwolenniczką łatwych zwycięstw. A w tym wypadku uparłam się, gdyż wchodziła w grę jeszcze ta kobieta. Przysięgłabym, że nic ich nie łączy, ale jednak musiała mu się trochę chociaż podobać. Że on się jej podoba, to dla mnie nie ulega wątpliwości. On musi się podobać każdej kobiecie, cokolwiek zblazowanej. Zresztą widziałam, jak na niego patrzy. Przez chwilę nawet zastanawiałam się, czy nie poprowadzić wręcz odmiennej strategii. Gdyby się zajęła nim poważnie, może dałaby spokój Jackowi. Doszłam do wniosku, że taka kobieta poważnie nim się nie zajmie. A rezygnując uznaję tylko jej przewagę.

Romek przyszedł ze swoją zabójczą punktualnością. Zdążył się już opanować i przywitał mnie zupełnie spokojnie. Ponieważ zbliżał się zmierzch, zasłoniłam okna gdyż przy sztucznym świetle zawsze łatwiej wytwarza się intymny nastrój. Kazałam podać kawę, a od dawna już miałam przygotowany ulubiony koniak Romka.

Usiadł na najmniej wygodnym krześle, chrząknął i powiedział:

— Przede wszystkim chciałbym się usprawiedliwić, dlaczego nie przyszedłem wówczas...

Przerwałam mu:

— Ależ daj spokój, Romku. Nie mam prawa żądać żadnych usprawiedliwień. Wyznaję, że było mi trochę przykro, bo... Widzisz, nawet twój koniak miałam przygotowany... Ale trudno od kogoś wymagać, by wołał moje towarzystwo niż towarzystwo kogoś milszego.

Spróbował się uśmiechnąć.

— Ostrze twojej złośliwości, Haneczko, nie może mnie zranić, gdyż wiem doskonale, że ani przez chwilę nie możesz na serio brać tego, co mówisz.

— Na serio? — zdziwiłam się. — Ale ja wcale nie twierdzę, by twoja przyjaźń z miss Normann była czymś aż tak bardzo serio.

— Nie ma mowy o żadnej przyjaźni.

— Ach, więc wszystko jedno, jak to nazwiesz. Powiedzmy: *liaison*<sup>78</sup>.

— Tym bardziej nie.

Uśmiechnęłam się pojednawczo.

— Dajmy spokój temu tematowi. Drażni cię, a zresztą to nawet niedelikatnie z mojej strony, że się w to wtrącam. Po prostu zaciekawiła mnie ta sprawa dlatego...

— Na miły Bóg! Tu nie ma żadnej sprawy. Poznałem tę panią i od czasu do czasu robimy wycieczki narciarskie. To wszystko.

— Chętnie ci wierzę, Romku. Chociaż ta pani w nieco inny sposób mówiła o tobie.

— Za to, co ktoś o mnie mówi, nie mogę ponosić odpowiedzialności.

— Och, co za mocne słowo — zaśmiałam się. — Aż odpowiedzialność! Sądzę, że nie pochlebiłoby to miss Normann, że tak gwałtownie i rozpaczliwe wypierasz się jej jak ducha złego. Osobiście uważam, że jest to naprawdę czarująca i bardzo przystojna osobka. Wiem jeszcze jedno: że jest bardzo bogata. Cóż byłoby dziwnego, gdyby młody człowiek w twoim wieku zainteresował się taką kobietą.

— Zapewne. Nie byłoby w tym nic dziwnego. Ale ja się nią nie interesuję. Nie jestem stworzony do żadnych flirtów. I sama najlepiej wiesz, dlaczego.

— Ja?... Pojęcia nie mam.

Opuścił powieki i powiedział:

— Gdybym ci tego nawet nigdy nie mówił i tak musiałabyś wiedzieć.

Przynieśli właśnie kawę i z konieczności musieliśmy przerwać rozmowę. Po wyjściu pokojowej powiedziałam:

<sup>78</sup>*liaison* (fr.) — więzy, powiązanie; współpraca. [przypis edytorski]



— Wiem, co chcesz mi dać do zrozumienia. Twierdzisz, że mnie kochasz. Długo zastanawiam się nad tym. I wiesz, do jakiego doszłam przekonania?... Że tych uczuć, jakie żywisz dla mnie, w żadnym razie nie można nazwać miłością.

Na jego ustach zjawiał się ironiczny uśmiech.

— Nie można?...

Odpowiedziałam z przekonaniem:

— Stanowczo nie można.

— Więc jakże to nazwiesz?... Jak nazwiesz to, że nic mnie nie pociąga do żadnej innej kobiety, że myślę tylko o tobie, że każda godzina mego życia jest pełna ciebie? Jak to nazwiesz?

Wzruszyłam ramionami.

— Nie wiem. W każdym razie nie nazwę miłością czegoś, co jest zupełnie abstrakcyjne, czegoś, co nie dąży do realizacji. Unikasz mnie. Unikałeś stale.

— Unikałem cię odtąd, odkąd się przekonałem, że wybrałaś innego.

— Ależ mój drogi. Czy nie wyobrażasz sobie, że między mężczyzną i kobietą wcale niekoniecznie musi być coś, co wiąże ich na całe życie i pakuje w finale do wspólnego grobu?! Dlaczego na przykład nie moglibyśmy być przyjaciółmi? Dlaczego nie mielibyśmy się widywać, mieć możliwość wymiany myśli, uśmiechów, smutków, radości?... Przecież istnieją tysiączne formy i zabarwienia przyjaźni, tysiączne rodzaje sympatii. Dlaczego na przykład uważasz za przyjemne i możliwe obcowanie z miss Normann, a za niemożliwość — obcowanie ze mną?

— To całkiem proste. Ona jest dla mnie osobą całkiem obojętną.

— Ach, więc tak?... Więc tak. Więc osób, dla których żyjemy jakieś większe uczucia, musimy planowo unikać?...

— Tak — skinął głową. — Skoro ich nie możemy zdobyć na własność, lepiej unikać ich, by nie ranić...

— ...sobie serca — dokończyłam nie bez szyderstwa.

Przygryzł wargi.

— Prawda, jakie to śmieszne?

— O, nie — zaprzeczyłam. — To wcale nie jest śmieszne. To jest oburzające. Oburza mnie myśl, że pozbawiasz mnie swego towarzystwa dla jakichś urojeń. Czy ty naprawdę nie widzisz braku logiki w swoim rozumowaniu? Więc jeżeli ci na przykład ktoś proponuje kotlet cielęcy, zrywasz się i uciekasz, bo możesz przyjąć tylko całe cielę. Z kopytami i z ogonem. Ani odrobinę mniej.

— To porównanie nic nie mówi.

Zmarszczył brwi.

— Owszem. Widzę tu zupełną analogię. Chcę dać ci przyjaźń, jak najwięcej serdeczności. Pocałowałam cię nawet, co muszę przyznać, nie sprawiło mi wcale przykrości. A ty zgadzasz się ofiarować mi trochę czasu tylko na warunkach dozgonnych po wsze czasy, aż do Sądu Ostatecznego. Zastanów się, czy nie jest to irytujące. Owszem, wierzę ci, że miss Normann nie przedstawia dla ciebie żadnych szczególniejszych wartości. Chętnie w to wierzę. Ale protestuję przeciwko bojkotowaniu mnie.

Potrząsnął głową.

— Nie chcesz mnie zrozumieć, Haneczko.

— Więc naucz mnie — wzięłam go za rękę.

— Nie potrafię. Widocznie nie zdołamy się porozumieć nigdy.

— Znowu słowo „nigdy”! Naucz mnie. Spróbuj. Przecież kiedyś rozmawialiśmy ze sobą godzinami i nie uskarżałeś się na brak inteligencji z mojej strony. Może i teraz uda się nam znaleźć wspólny język.

Podniósł na mnie swoje oczy pełne smutku i milczał. Stałam tuż obok niego i zaczęłam końcami palców głaskać jego włosy. Myślałam, że się cofnie, on jednak tylko powiedział:

— Proszę cię. Nie rób tego.

— Masz takie miękkie włosy — odezwałam się cicho. — Podobno ma to oznaczać dobroć. Dlaczego jesteś dla mnie niedobry?... Tak wiele obiecywałam sobie po naszym przypadkowym spotkaniu w Krynicy.

Przesunęłam dłońią po jego policzkach i dodałam:

— Może i kochasz mnie, lecz na pewno mnie nie lubisz... Powiedz, dlaczego mnie nie lubisz? I teraz, kiedy dotykam twoich ust, zdaje mi się, że raczej grozi mi niebezpieczeństwo niż pocałunek.

Głos jego brzmiał głucho przez zaciśnięte zęby:

— Hanko... Igrasz z ogniem.

Omam nie roześmiałam się. Brzmiało to jak żywcem wyjęte z przedwojennej powieści. A było tym zabawniejsze, że niewątpliwie szczere.

*Pragnę dodać tu do pamiętnika p. Renowickiej pewne wyjaśnienia. Otóż odezwanie się p. Romana Żerańskiego niewątpliwie brzmi w naszej potocznej mowie jak anachronizm. Literatura nowsza, film i scena unikają w miarę możliwości podobnych sformułowań. Jednakże — polecam to Państwu, jako eksperyment — gdybyśmy podsluchali rozmowy zakochanych, tych prawdziwych, znaleźlibyśmy tam wszystko, zaczynając od zdziwienia, że kwiaty pod stopami nie rosną, a kończąc na ewokacji: „Ty maju! Ty raj! Ty wiosno!”. Pod tym względem sztuka wyprzedza życie. Nie należy zresztą dziwić się temu. Przecież ludzie zakochani w bardziej emocjonujących momentach nie mają czasu zastanawiać się nad nowoczesnym sposobem wyrażenia swych uczuć. Dlatego chciałbym, by Czytelnicy nie stracili sympatii do p. Żerańskiego z racji tej jednej jego wypowiedzi. (Przypisek T. D. M)*

— Niestety — powiedziałam — ile razy jesteśmy przy sobie, odnoszę wrażenie, że mam do czynienia z lodem. Dlaczego jesteś dla mnie taki chłodny?

— Hanko, ty nie wiesz, do czego mnie możesz doprowadzić — mówił już prawie niewyraźnie.

Głos mu się załamywał i drgał.

To było bardzo zabawne. Ja miałam nie wiedzieć! Boże, jacyż naiwni są ci mężczyźni! (Co prawda nie wszyscy).

Leciutko przytuliłam się do niego. Wtedy nareszcie stało się. Rzucił się na moją rękę jak zgłodniały wilk. Jeszcze nikt w życiu tak mnie w rękę nie całował. To było zupełnie frapujące i zdawało się wróżyć rzeczy niespodziewane. Zerwał się i z równą gwałtownością pochwycił mnie w ramiona.

*Ta uwaga przeznaczona jest wyłącznie dla autorki pamiętnika. Chcę tu podkreślić, że p. Hanka, która przed chwilą śmiała się ze słów p. Romana, sama używa przeżytego zwrotu „pochwycił mnie w ramiona”. Przyganieanie garnkowi nie zawsze jest wskazane. Na usprawiedliwienie p. Renowickiej muszę dodać to, że istotnie w wyrażaniu słowami pewnych uczuć czy czynności ludzkich sam, jako pisarz, nieraz spotykam duże trudności. Czelator stylu, jakim był Flaubert, męczył się godzinami nad czyszczeniem swej wspaniałej prozy z wszelkich niedokładności, usterek i banałów. Dzisiejsze tempo życia uniemożliwia taką benedyktyńską pracę. Nieraz z rumieńcem wstydu odnajduję w prozie własnej tak kardynalne horrenda, jak na przykład mimowolne rymy. Powiedzmy takie zdanie: „Trudności i przeszkody nie mogły osłabić zapędów jego młodości, bo Anzelm był przecież młody!...”. Jedyne, co mnie pociesza, jest to, że wyłowienie podobnej perelki z któregoś z moich utworów napędza niepodrabianą radością wielu moich kolegów po piórze, już nie mówiąc o panach krytykach i recenzentach. Wracając teraz do kwestii szablonowych zwrotów, pragnąłbym zaznaczyć, że wynalazczość w tej dziedzinie jest minimalna i bardzo rzadko trafna. Ulepszanie techniki pisarskiej prowadzi często do dziwactw i wykrzywień stylu, które są zaprzeczeniem prostoty. A właśnie prostotę uważam za pierwszą i główną nakaz w każdej twórczości. Po ukazaniu się pierwszych moich książek, z wielu stron, przyjaźnie lub nieprzyjaźnie, klepano mnie po ramieniu za tę właśnie prostotę. W Polsce po Przybyszewskim i Żeromskim, a za czasów Kadena Bandrowskiego*

uważano, że prostota ma zamknięte drzwi do sztuki. Wierzano w to tak święcie, że nawet nie dostrzegano istnienia Prusa, Sienkiewicza, Pana Tadeusza, tych wielkich wzorów prostoty. Dziwiono się później bardzo, dlaczego na Zachodzie wydane bardzo starannie dzieła Żeromskiego nie mają absolutnie powodzenia. Czytelnik angielski czy francuski nie umiał ich po prostu strawić. Były dlań czymś zbyt egzotycznym, zarówno w swej formie, jak i w tematyce. Ze względu na niejaka poczytność moich utworów krytyka łaskawie połączyła ich popularność z prostotą języka, znajdując dla mnie wytłumaczenie, jako dla „karmiciela szerokich mas”. Być może, krytyka ma tu rację. Ale cóż na to poradzę, że mnie to bynajmniej nie martwi. Marzeniem Mickiewicza było, by jego księgi trafiły pod strzechy. Jeżeli wielkiemu wieszczowi wolno było o tym marzyć, niechże i mnie, skromnemu powieściopisarzowi, na to łaskawie pozwolą. Przepraszam Czytelników za zajęcie ich uwagi moimi osobistymi sprawami. Jeżeli nie czuję z tego powodu zbyt usilnych wyrzutów sumienia, to tylko dlatego, że większość czytających na pewno przeczeka ten mój komentarz, by dorwać się do dalszego biegu zdarzeń Pamiętnika. Czym prędzej tedy oddaję głos jego autorce. (Przypisek T. D. M.)

— Doprowadzisz mnie do szaleństwa... Do szaleństwa — szeptał zdyszany.

Ścisnął mnie coraz mocniej i przyznam się, że wcale nie było to przykre. To zdumiewające! Gdy na przykład w podobny sposób ścisnął mnie Toto, nie wywiera to na mnie żadnego wrażenia. Myślę o zgniecionej sukni i o tym, że mogę mieć sińce. W tym wypadku widziałam tylko półprzymknięte oczy żarzące się, o długich, rozedrganych rzęsach.

— Więc jednak kochasz mnie — szepnęłam.

— Jak wariat! Jak wariat!...

Mówił coś jeszcze, lecz już zupełnie nie mogłam rozróżnić słów. A szkoda! Może znalazłabym w nich takie kwiatki jak owo „igranie z ogniem”. Później już nic nie mówił, tylko całował mnie.

Miło jest poddawać się nagle takiemu huraganowi. Ma się pełne uczucie jakiegoś niebezpiecznego bezpieczeństwa. Wprost oblewał mnie gorącym oddechem.

— Opamiętaj się, Romku — szepnęłam niebacznie tonem, który nawoływał do czegoś wręcz przeciwnego. Ten szaleniec jednak nie zwrócił najmniejszej uwagi na ton, natomiast treści uchwycił się, jak ostatniej deski ratunku!

Nagle, w momencie gdy się tego najmniej mogłam spodziewać, odskoczył ode mnie jak oparzony, nieprzytomnym ruchem zwichrzył sobie włosy, drugą ręką przekrzywił krawat i jęknął:

— Boże, Boże...

Zanim zdążyłam się zorientować i cokolwiek przedsięwziąć, porwał kapelusz, palto i wybiegł na korytarz. Cóż miałam począć? Nie mogłam go przecież gonić. Ogarniało mnie tylko przerażenie na myśl, że spotka na korytarzu kogoś i wówczas domysłem czy plotkom nie będzie końca. Ostatecznie nie przyczynia się do dobrej opinii kobiety to, że z jej pokoju wylatują nieprzytomni mężczyźni w panicznej ucieczce.

Swoją drogą to dziwne, że najnieprzytomniejszy mężczyzna, który pod wpływem niezwykłych przeżyć zapomina o świecie bożym, zapomina o formach towarzyskich, zapomina o konieczności zachowania pozorów — nie zapomina nigdy o swoim kapeluszu i palcie.

Właściwie mówiąc, cała ta historia bardziej rozśmieszyła mnie, niż zirykowała. Z góry byłam przekonana, że tak się zachowa. Głuptas. By nie myśleć więcej o tym, zabrałam się do czytania magazynów, które już przed paru dniami nabyłam w „Ruchu”. Pomimo wszystko ten Romek popsuł mi humor. Nie mogłam skupić myśli. Ten chłopiec powinien być urodzić się za czasów trubadurów i nosić na hełmie rękawiczkę damy swego serca. W dzisiejszej epoce taki typ jest zupełnie bezużyteczny. Tak jestem nań zła, że w pamiętniku chciałam go umieścić pod jego prawdziwym nazwiskiem. Dopiero Dołęga-Mostowicz mi to wyperswadował. Twierdził, że byłoby to niesprawiedliwe. Może i miał rację.

Napisałam listy do matki i do Jacka. Oczywiście ani słówkiem nie wspomniałam w nich o miss Normann.

Nie chciało mi się schodzić na kolację, tym bardziej że p. Larsena dziś nie ma, a przyjechali Skoczniwscy. Wypadałoby usiąść z nimi i nudzić się przez cały wieczór. Kazałam

przynieść sobie coś do zjedzenia na górę. Siedzę teraz i piszę. Ciekawa jestem, kiedy otrzymam odpowiedź z Burgos.

Czwartek

Miałam dzisiaj bardzo urozmaicony dzień. Z rana telefonował Jacek. Telefonował z Krakowa, gdzie bawi z jakimś szwedzkim ministrem, który zwiedza Polskę. Rozmowa była zupełnie stereotypowa, na zasadzie uprzejmości i małżeńskiej troskliwości. Miałam co prawda wielką ochotę powiedzieć mu coś cieplejszego, ale należało utrzymać styl. Może i oczekiwał, że powiem mu coś o tej rudej, bo bardzo szczegółowo wypytywał, kto bawi w Krynicy. Umyślnie mówiłam mu bardzo długo o Romku. Niech ma za swoje. O Romka zawsze był zazdrosny. Dostałby szału, gdybym powiedziała mu o liście, który dziś rano otrzymałam. Zlitowałam się jednak nad nim.

Więc ten list. Przyniesiono mi go wraz ze śniadaniem. Romek pisał:

Zaczynam bez nagłówka, gdyż nie mam prawa użyć tych słów, które mi się cisną pod pióro. A słów konwencjonalnych użyć nie chcę, nie mogę. Już idąc do Ciebie wczoraj, chciałem się z Tobą poważnie i ostatecznie rozmówić. Przekonałem się jednak, że przerasta to moje siły. W Twojej obecności tracę panowanie nad nerwami i nad sobą, co doprowadza do tak karygodnego zachowania się, jak moje wczorajsze. Najusilniej i najserdeczniej przepraszam Cię za to. Gdyś mnie przywołała do porządku, zrozumiałem, że jedynym ratunkiem dla Twojej czci i dla mego honoru, to jest dla dwóch świętości, które najbardziej cenię na ziemi, będzie natychmiastowe opuszczenie Twego pokoju.

To jednak nie załatwiło niczego i pozostawiło mój dramat, moją tragedię niedokończoną. Pragnę, muszę ją skończyć w ten czy w inny sposób. Niestety, nasze zapatrywania na życie różnią się diametralnie. Nie myśl, że jestem tak naiwny. Zdaję sobie sprawę z tego, że nie jestem Ci całkiem obojętny. Przykro jest pisać o tych rzeczach, ale czuję się do tego zmuszony. Otóż poznałem, że sama pragnęłaś zbliżenia między nami, zbliżenia takiego, które uwłaczałoby zarówno Twojej godności, jak i mojej miłości ku Tobie.

Pragnęłaś, a raczej zdawało Ci się, że pragniesz. Znam Cię zbyt dobrze, by to rozumieć. W Twojej jasnej duszy, w Twoim dziewczęcym świecie wyobraźni, coś niegodnego może zjawić się tylko jako przelotny i przypadkowy gość, jako kaprys, wynikający z przekory, jako przemijający bunt przeciw tym regułom moralnym, w których wyrosłaś i które stały się Tobą.

Jestem mężczyzną i moim obowiązkiem jest wiedzieć to wszystko, gdyż ja i tylko ja za wszystko ponoszę odpowiedzialność. Tym surowiej potępiam siebie za to, że dałem się przez moment opanować szaleństwu. Było to z mojej strony słabością nie do przebaczenia. Ale błogosławię tę chwilę, gdyż — może piszę to zbyt śmiało — przyniosła mi iskierkę nadziei. Daruj, że mówię otwarcie. Przekonałem się, że żywiesz dla mnie nie tylko przyjaźń i sympatię, jak mówiłaś, ale masz — i jeszcze raz proszę o wybaczenie tego słowa — masz i pociąg do mnie. Do śmierci nie zapomnę tej cudnej chwili, gdyś drżała w moich ramionach. Nie zapomnę Twoich zamkniętych powiek i rozchylonych ust. To jednak nie mogły być tylko zmysły. Nie mam wprawdzie w tym kierunku szczególniejszego doświadczenia, ale przysięgam Ci, że jest niepodobieństwem tak przeżywać tę chwilę szaleństwa, jak myśmy ją przeżyli, i nie rozumieć, że dla nas obojga oznacza to coś znacznie większego niż zwykły pociąg zmysłów, niż to, co w nas jest najmniej ważne. Mówię: dla nas obojga. I jestem tego pewien.

Jedyna! Zaklinam Cię na wszystko, co dobre i piękne, zaklinam Cię na Ciebie samą! Zajrzyj w swoją duszę i zapytaj siebie, czy to nie jest rodzące się w Tobie uczucie głębsze, ważniejsze i istotniejsze, niż wszystko, co przeżywaś.

Jeżeli mi odpowiesz, że nie wiesz, że jeszcze nie wiesz, zostawię Ci tyle czasu, ile sama zechcesz. Nie naglę Cię. Jeżeli będziesz mogła odpowiedzieć mi twierdząco, natychmiast wyjedziesz na wieś, do swoich rodziców, a ja zajmę się formalnościami unieważnienia Twego małżeństwa. Mam nadzieję, że w Rzymie załatwię to dość prędko. Mam tam przez krewnych mojej śp. Matki duże stosunki. Przez całą noc nie spałem, spalając się w tych marzeniach. Ale teraz już jestem przytomny i błagam Cię, byś gruntownie i poważnie zastanowiła się nad swoją decyzją, która będzie dla mnie wyrokiem.

Do jutra, do godziny dwunastej będę oczekiwał Twojej odpowiedzi. Jeżeli nie otrzymam żadnej, zrozumiem to jako odpowiedź odmowną. Wyjadę i nie zobaczę Cię już nigdy w życiu.

Jakże trudno jest wybrać słowa do zakończenia takiego listu, gdzie równie dobrze można napisać śmiertelne i krótkie „Żegnaj”, jak i pełne radoznego oczekiwania „Do jutra”.

Całuję Twoje ręce. Całuję z najgłębszą czcią i miłością. Niezmiennie i na zawsze Twój  
Roman

Miałam lzy w oczach, gdy skończyłam czytanie tego listu.

Tak pięknie jeszcze nikt mnie nie kochał. To doprawdy nieszczęście, że on ma te swoje zasady. Jestem pewna, że czulibyśmy się zupełnie szczęśliwi.

Nie pojmuję, jak można tak sobie utrudniać życie. Przecież człowiek żyje nie dla zasad, tylko właśnie zasady powinny służyć życiu. Biedny Romek! Oczywiście nie odpiszę mu ani słowa. Tak będzie najlepiej. Rozwód z Jackiem jest czymś nie do pomyślenia. W gruncie rzeczy przecież tylko jego jednego kocham.

Nie wyobrażam sobie życia bez Jacka. Gdybym go nawet musiała stracić, nie wyszłabym jednak za Romka. W mojej naturze, jak w każdej wybitniejszej indywidualności, leży głód swobody. Natomiast Romek ze swoją zazdrością, z zasadami i z całym tym bagażem uniemożliwiłby mi korzystanie z tej wolności, z jakiej korzystałam zawsze, odkąd zostałam mężatką. Nie. Nic mu nie odpiszę. Poślę mu tylko kwiaty. To będzie ładnie.

Kiedyś, kiedy oboje z Jackiem będziemy już starzy, pokażę mu list Romka. I inne listy. Musi przecież kiedyś się dowiedzieć, ile wdzięczności jest mi winien za to, że nie chciałam go opuścić.

W Krynicy robi się trochę nudnawo. Wszyscy panowie są do niczego. Siedzą obłożeni stosami gazet i mają ponure miny. Na próżno ich zapewniam, że wojny nie będzie. Komu jak komu, a mnie mogliby uwierzyć. Gdyby zanosilo się na wojnę, Jacek by pierwszy o tym wiedział i przyjechałby po mnie. Hitler zajmie Austrię i wszystko na tym się skończy.

Jedyne, co mnie martwi, to *point de reveries*<sup>79</sup> dla Ottona Habsburga<sup>80</sup>. On jest taki przystojny. W ubiegłym roku byłam mu przedstawiona w Mentonie. Wyobrażam sobie, jak wspaniale wyglądałby w stroju koronacyjnym. Nawet mu to powiedziałam.

W ogóle to nie jest dobrze, że wszędzie porobiono republiki. Niech mi kto powie, po jakim prezydencie zostanie Wersal, Sans-Souci, Windsor czy chociażby Wilanów i Łazienki. A poza tym te wszystkie malownicze uroczystości dworskie, mundury, tytuły. To wszystko jest bardzo piękne. W rezultacie, chociaż nie ma monarchii, w republikach też wprowadzono przy prezydentach ceremoniał dworskie. Mój ojciec mówi, że to jest idiotyzm. I bardzo się irytuje, ilekroć w towarzystwie z tego się wyśmiewają. Twierdzi, że to jest smutne, a śmiech oznacza pewną formę pobbłazania.

<sup>79</sup>*point de reveries* (fr.) — koniec marzeń (mrzonek). [przypis edytorski]

<sup>80</sup>*Habsburg, Otton von* (1912–2011) — najstarszy syn ostatniego władcy Austro-Węgier, Karola I, który objął tron po cesarzu Franciszku Józefie I w 1916 r., zaś w 1918 r., po zakończeniu I wojny światowej i rozpadzie Austro-Węgier, został zmuszony zrzec się władzy, a następnie udać się wraz z rodziną na uchodźstwo. Otton pielęgnował swoje przekonanie o prawach do tronu austriackiego i pełnienia naczelných funkcji w państwie. W 1938 r. kandydował na stanowisko kanclerza; po Anschlussie Austrii przez hitlerowskie Niemcy był ścigany listem gończym; okres II wojny światowej spędził w Stanach Zjednoczonych. [przypis edytorski]

*Tu autorka pamiętnika przytoczyła kilka przykładów, które uznałem za nadające się do skreślenia, mogłyby bowiem dotknąć niektóre głowy państwa względnie ich małżonki, doprowadzając do konfliktów międzynarodowych. Zresztą, przytaczanie podobnych rzeczy w druku jest zupełnie zbędne, skoro i tak krąży na ten temat mnóstwo anegdot. (Przypisek T. D. M.)*

Moim marzeniem byłoby jeszcze być na dworze angielskim. Obiecał mi to zresztą hrabia Edward. Wtedy jeszcze gdy mówiło się o przeniesieniu Jacka na stałe do Holandii. Bal dworski, to musi być coś wspaniałego. Ogromnie się cieszę, że pani Simpson<sup>81</sup> nigdy na takim balu nie będzie. Nie cierpię jej.

*Ponieważ p. Renowicka, jak sama dalej wyznaje, nie zna osobiście p. Simpson, a raczej księżnej Windsoru, uważałem, że będzie lepiej, gdy jej osobiste zdanie o tej damie pozostanie nadal jej wyłączną własnością. (Przypisek T. D. M.)*

Miałam dzisiaj dziwną niespodziankę. Zginęła mi gdzieś fotografia Betty. Przeszukałam wszystko, przewracając rzeczy do góry nogami. Jak kamień w wodę. Zupełnie nie rozumiem, w jaki sposób to się stało. Przy przenosinach zginąć nie mogła, gdyż umyślnie sama przeniosłam chusteczki i sprawdziłam, że fotografia między nimi była.. Czyżbym przez pomyłkę w pośpiechu wzięła tę właśnie chusteczkę, w której ją ukryłam?... Wydaje mi się to jednak niemożliwe. Jutro ponowię poszukiwania. Na szczęście wówczas dostałam dwie odbitki.

Namówiłam p. Larsena, by pojechał do Krakowa zwiedzić Wawel i tak dalej. Przy sposobności przywiezie mi pończochy w lepszym gatunku, niż tu można dostać. To niemiarygodne, jak szybko niszczą się porządne pończochy.

Piątek

Dziś po raz pierwszy byłam u miss Normann. Udało mi się sprowokować ją do zaproszenia. Spotkałyśmy się w chwili, gdy właśnie wchodziła do siebie. Powiedziałam:

— U pani już sprzątnięte? Bo u mnie właśnie sprzątają i muszę przesiadzieć te pół godziny w hallu.

Nie wypadło jej zrobić nic innego, jak zaproponować:

— Miło mi będzie, jeżeli pani zechce ten czas spędzić u mnie.

— O, nie chciałabym pani krępować!...

— Ależ nie mam nic do roboty. I naprawdę będzie mi przyjemnie.

Apartament jej niczym się nie różni od mojego. Przekonałam się tylko, że ma bardzo piękne *articles de voyage*<sup>82</sup> i że panuje tu wzorowy porządek. Poczęstowała mnie czekoladkami i powiedziała:

— Nigdzie na świecie nie jadłam tak dobrych czekoladek jak w Polsce. Jeżeli chodzi o czekoladę gorzką, lepsza jest może holenderska. Wasza jednak jest wysmienita.

<sup>81</sup>Simpson, Wallis (1896–1986) — żona Edwarda Windsora (wcześniej Edwarda VIII, króla Wielkiej Brytanii) po jego abdykacji w 1936 r.; urodzona w Stanach Zjednoczonych, w Pensylwanii, Bessie Wallis Warfield uprzednio była dwukrotnie zamężna (1916–1927 z Winfieldem Spencerem i 1928–1936 z Ernestem Aldrichem Simpsonem); ściślejsze związki z angielskim następcą tronu łączyły ją od 1934 r. (prowadzili regularną korespondencję od 1931 r.). W styczniu 1936 r. Edward został królem, po czym ogłosił, że zamierza poślubić panią Wallis Simpson; wobec sprzeciwu parlamentu i (nieoficjalnej) niezgody na to małżeństwo rodziny królewskiej, zrzekł się korony w grudniu tegoż roku. W 1937 r. we Francji, gdzie para zamieszkała, odbył się ślub Edwarda i Wallis, noszącej odtąd tytuł księżnej Windsoru. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>*articles de voyage* (fr.) — przybory podróżne. [przypis edytorski]

— Tak — przyznałam. — Nieraz słyszę od cudzoziemców pochwały dla naszej czekolady i dla ciastek. Gdy polska ambasada w Londynie sprowadza z Warszawy ciastka, Anglicy się nimi zajadają.

— O, tak, wszystkie angielskie ciastka są okropne. Czy pani to zauważyła?

Tak rozmawialiśmy o niczym. Ja przy tym miałam sposobność dokładnego obejrzenia wszystkich kątów. Nabrałam przekonania, że jeżeli to świadectwo ślubu jest gdzieś ukryte, to na pewno będzie albo w bielizniarce, albo w neseserku, stojącym za fotelem w sypialni. Jest jednak bardzo prawdopodobne, że znajduje się w szufladzie biurka. Gdy otwierała ją, by pokazać mi coś, zobaczyłam tam dużo papierów.

Stanowczo od jutra muszę się starać o sposobność samotnej wizyty w apartamencie miss Normann.

Sobota

Dzisiaj wszystkie usiłowania spęły na niczym. W portierni przez cały czas był ten wąsaty staruszek, który nieomylnie podawał mi za każdym razem mój klucz, chociaż wskazywałam klucz p. Normann.

— Ach, tak. Być może. Omyliłam się — mówiłam na swoje usprawiedliwienie. A ten cymbał z uśmiechem pełnym galanterii zapewniał mnie:

— Naszym szanownym gościom wolno się mylić. Ale mnie nie wolno.

Zaczęła się odwilż. Na ulicach jest trochę błota. Z lekka zaczyna mi się nudzić.

Niedziela

Boże, jakie straszne przeżyłam emocje! Brrr... Nie potrafiłabym zostać zawodowym złodziejem. Ale opowiem wszystko od początku.

Wszystko zdawało się układać jak najpomyślniej. Gdy z rana schodziłam na dół, zobaczyłam Betty wsiadającą do sanek z jakimś panem. Musieli jechać gdzieś dalej, gdyż zabrała własny pled. W tej chwili powzięłam postanowienie: teraz albo nigdy. Staruszek portier widocznie poszedł na mszę do kościoła, gdyż zastępował go pomocnik, wysoki dryblas, o dość tępym wyrazie twarzy. Ta zamiana była dla mnie niezwykle pomyślna.

Przez kwadrans przeglądałam „Vogue”, po czym, starając się zachować jak najniższą krew, zbliżyłam się do dryblasa i kazałam podać sobie mój klucz. Wskazałam przy tym na klucz od apartamentu miss Normann. Dał mi bez najmniejszego wahania.

Korytarz na pierwszym piętrze był zupełnie pusty. Szczęście mi sprzyjało. Szybko otworzyłam jej drzwi i weszłam do środka. Serce waliło mi w piersi jak oszalałe. To jednak trudno jest być złodziejem.

Najpierw stwierdziłam, że zarówno w szufladzie, jak i w bielizniarce tkwią klucze. To mnie bardzo uspokoiło. W bielizniarce panował idealny porządek. Jaką ona ma cudowną bieliznę! Chociaż każda minuta groziła mi największym niebezpieczeństwem, nie mogłam sobie odmówić przyjemności obejrzenia jej kombinezek. Ach, gdybym miała czas na skopiowanie niektórych! Dwie zwłaszcza były cudowne, z prawdziwymi koronkami. Nocne komplety wspaniałe. Na pewno amerykańskie. Te cuda musiały kosztować majątek.

Systematycznie przeszukałam półkę za półką. Nic jednak nie znalazłam. Zajrzałam nawet do butierki, pełnej pantofelków. Ile ona tego ma! Ponieważ jedna para była bez prawidełek, zwróciła moją uwagę. Wsunęłam palce do środka i omal nie krzyknęłam z wrażenia. Wewnątrz był jakiś przedmiot, owinięty w papier. Gorączkowo rozwinęłam to i doznałam rozczarowania. Był to miniaturowych rozmiarów rewolwer, wykładany złotem i emalią.

Odłożyłam to w jak największym porządku i zabrałam się do neseseru. Tu znalazłam jedynie papier listowy, ten sam, na którym pisała do Jacka. Skoro trzyma go w neseserze, widocznie teraz z Jackiem nie koresponduje.

Przystąpiłam do rewizji biurka. Była tu spora paczka różnych papierów, dokumentów, prospektów i rachunków. Przejrzałam wszystko bardzo dokładnie, nie znalazłam jednak ani dokumentu, którego szukałam, ani nic takiego, co mogłoby mnie na jakiś ślad doprowadzić. Byłam wręcz przygnębiona. Zbadałam jeszcze wszystkie kąty, zajrzałam pod dywan i pod materac, na szatę i za kaloryfer — bez rezultatu.

Ta przebiegła kobieta na pewno wszystko nosi z sobą lub zdeponowała w Warszawie w hotelowym sejfie.

W chwili gdy już byłam zrezygnowana i chciałam wyjść, nagle zapukano do drzwi. Serce we mnie zamarło. O ucieczce nie mogło być mowy. Apartament ma tylko jedne drzwi. W pierwszej chwili przyszedł mi pomysł ukrycia się w łazience. Byłoby to jednak nic nie pomogło. Wchodząc, zamknęłam drzwi na klucz od wewnątrz. Jeżeli pukała pokojówka, to miała swój klucz i z łatwością przekonałaby się, że ktoś jest wewnątrz.

Pukanie rozległo się ponownie.

— Kto tam? — zapytałam po angielsku, usiłując podrobić głos miss Normann.

Odetchnęłam z ulgą, gdy odpowiedział mi męski głos, również po angielsku:

— Czy tu mieszka miss Elisabeth Normann?

Miałam więc do czynienia z kimś nieznanym terenu. Co miałam odpowiedzieć? Zależało mi przecież tylko na tym, by oddalił się od drzwi na moment, wystarczający na moją ucieczkę. Należało go wysłać do portiera. W tym celu powiedziałam:

— Nie. Omyłka.

Ten człowiek jednak nie ruszył się od drzwi, doprowadzając mnie tym do zupełnego przerażenia. Wreszcie powiedział przyciszonym głosem:

— Jutro.

Potem usłyszałam oddalające się jego kroki. Co to mogło oznaczać? Najwyraźniej słyszałam „jutro”. Czy chciał przez to powiedzieć, że przyjdzie nazajutrz, czy miało to znaczyć co innego? Nie miałam już czasu zastanawiać się dłużej nad tym. Szybko otworzyłam drzwi. Po dwóch minutach byłam już na dole, oddałam klucz i wróciłam do siebie. Z emocji rozboleła mnie głowa. Muszę napisać do Tadeusza, że jego plan nie powiódł się. Nie mam już tu właściwie nic do roboty. Mogłabym wracać do Warszawy. Zatrzymuje mnie tylko spodziewany list od Baxtera.

W każdym razie powinien odpisać. Dżentelmen nie zostawia damy bez odpowiedzi. Muszę się uzbroić w cierpliwość.

Moja eskapada zupełnie mnie rozstroiła. Wzięłam trochę bromu i położyłam się do łóżka. W dodatku nie jestem pewna, czy nie zostawiłam w pokoju Betty jakichś śladów swojej bytności i niepokoi mnie ten jegomość ze swoim niedorzecznym „jutro”. Świat wydaje mi się smutny i nieciekawym. To pogoda tak usposabia. Żeby chociaż był mróz.

Poniedziałek

Ten Toto to prawdziwy wariat. Podobny pomysł! Jednak to miłe z jego strony. Przyjechali sześciu samochodami. Coś dwudziestu paru panów. Na samochodach wywiesili tabliczki z napisem: „Zimowy rajd do pani Hanki”. Cała Krynica o niczym innym nie mówi. Stałam się od razu najpopularniejszą tu osobą. Wyobrażam sobie, jak wszystkie baby skręcają się z zazdrości na korkociąg.

Przyjechali o dziesiątej rano, a ponieważ wszyscy byli głodni, pierwsze śniadanie zmieniło się w jakiś dziki bankiet. W sali restauracyjnej zestawiono stoły i o pierwszej, gdy zaczęto podawać normalny obiad, dyrektor musiał błagać Tota, byśmy się przenieśli do baru i na dół. Tu Toto kazał sprowadzić orkiestrę i bawiliśmy się wyśmienicie aż do szóstej wieczór, kiedy zawiani i zmęczeni poszli wreszcie spać.

Toto jednak jest niestrudzony. Ani słyszeć nie chciał o śnie, chociaż od Warszawy aż do Krynicy prowadził wóz. Niejeden mężczyzna mógłby mu pozazdrościć zdrowia. Poszliśmy na ślizgawkę, gdzie rozgrywano właśnie mecz hokejowy z Łotyszami.

Toto oczywiście przywiózł całą furę czekolady i wybornego porto, które tak lubię. On jednak ma swoje zalety.

Kolację jedliśmy razem na dole. Cała sala wpatrywała się w nas jak sroka w gnat. I nic dziwnego. Toto zachowywał się niczym zakochany paź. Nie zwracał najmniejszej uwagi na to, że wszyscy nas widzą. Dopiero przy deserze spostrzegł miss Normann i powiedział:

— Spójrz no, Haneczko. Zdaje się, że widywaliśmy tę panią w Warszawie. Czy nie wiesz, kto to może być?

— Owszem. To Angielka. Nazywa się miss Normann.

— Znasz ją?

— Poznałam tutaj. Czy tak ci się podoba?

Zaśmiał się nieszczercze.



— Czyż przy tobie może się podobać jakakolwiek inna kobieta?

Zmierzyłam go zimnym spojrzeniem.

— Komuś niewybrednemu podoba się każda.

— Ale mnie chyba za takiego nie uważasz?

— Czasami rzeczywiście nie.

— Tylko czasami?

— No, naturalnie. Przepadasz przecież za tą głupią Muszką Zdrojewską. Zastanawiałam się nieraz nad tym, o czym wy możecie ze sobą mówić. Cóż to musi być za sympozjon intelektu, wiedzy i zainteresowań.

Uczuł się dotknięty. Wiedziałałam, że nic go tak nie boli, jak ironia na temat jego poziomu umysłowego. Zirytował mnie jednak tym przyglądaniem się miss Normann.

— Jeżeli uważasz mnie za głupca — powiedział — nie wiem, dlaczego pozwalasz mi widywać siebie.

Wzruszyłam ramionami.

— Wcale nie uważam cię za głupca. Ale przecież sam wiesz, że prochu nie wymyślisz.

Toto poczerwieniał.

— Teraz widzę, że rzeczywiście niepotrzebnie tu przyjechałem. Spotykają mnie same przykrości.

— Wynagrodzę ci je z wielką przyjemnością — powiedziałam i wstałam, by przywitać się z wychodzącą właśnie miss Normann. Zrobiłam to pod wpływem jakiegoś niedorzecznego impulsu, ale już nie mogłam się cofnąć. Miss Normann zatrzymała się. Przedstawiłam jej Tota i poprosiłam, by usiadła z nami na chwilę. Obserwowałam jego minę. Udawał naraz tyle odmiennych uczuć i robił to tak nieudolnie, że widziałam go na wskroś. Udawał oburzenie moim postępkami, obojętność na urodę miss Normann (ona jest jednak naprawdę niebrzydka), udawał chłodne zainteresowanie i znudzenie. W końcu jednak uznał za stosowne zademonstrować to jeszcze dobitniej. Po pięciu minutach konwencjonalnej rozmowy usprawiedliwił się zmęczeniem, pożegnał się i poszedł spać.

Myślał pewno, że zatelefonuję do jego pokoju lub że przyjdę. Długo na to poczeka.

Sama nie wiem właściwie, dlaczego tak mnie zirytował. Ale w jego sposobie patrzenia na tę Betty było coś obrzydliwego.

Nie będę mogła długo zasnąć ze złości. Umysłnie wyłączyłam telefon i nie odpowiadałam na pukanie do drzwi. Najmądrzej bym zrobiła, gdybym jutro wyjechała wczesnym rankiem. To byłaby dobra nauczka dla Tota. W tej chwili, gdy to piszę, znowu puka do drzwi. To już trzeci raz. Nic mu to nie pomoże. Niech sobie idzie do tej rudej wydry. Jutro będzie skruszony i pokorny. Na nią okiem nie rzuci. Naturalnie w mojej tylko obecności. Zupełnie niepotrzebnie ich poznałam. Już dwunasta. Idę spać.

Wtorek

Między mną i Totem wszystko skończone. Jestem z tego powodu bardzo zadowolona. Należało tak postąpić już dawno. Stało się to tak.

Obudziłam się bardzo wcześnie i włączyłam telefon. O ósmej przyszedł fryzjer, w kwadrans potem zadzwiczał dzwonek aparatu. Wzięłam słuchawkę, lecz okazało się, że to dzwoni Mirski. Nic nie wiedział o tym, żeśmy się wczoraj z Totem poprzytykali, gdyż zapytał, jakie mamy (to znaczy Toto i ja) projekty na dzisiejszy dzień. Odpowiedziałam mu, że jeszcze nie wiem, gdyż Toto śpi.

— Jak to śpi? — zdziwił się. — Przecież był tu u mnie przed godziną.

Oniemiałam. Więc wstał i nie zatelefonował do mnie. „Ano, dobrze — pomyślałam sobie. — Obraziłeś się, więc się sam przeprosisz”. Zaproponowałam Mirskiemu przejażdżkę sankami. Zgodził się z radością. O dziesiątej już byliśmy na dole.

W chwili gdy przejeżdżaliśmy koło kina, minęły nas sanki. Nie uwierzyłam własnym oczom. Siedział w nich Toto obok miss Normann. Toto speszył się trochę, ale uklonił mi się z chłodną emfazą. Ponieważ ta wydra nie patrzyła w naszą stronę, mogłam i ja sobie pozwolić na demonstrację: ani drgnęłam. Mirski zauważył, że nie odkloniłam się, lecz o nic nie zapytał. To było bardzo taktowne z jego strony.

Takiego zachowania się nie mogłam już Totowi przebaczyć. Przecholował. Wprost nie umiem opisać swojej wściekłości. Nie o niego mi oczywiście chodziło, lecz o moją ambicję. Tak mnie skompromitować! I jeszcze afiszować się publicznie! W pierwszej chwili

powzięłam postanowienie, by natychmiast wyjechać, gdy się jednak trochę uspokoiłam, doszłam do przekonania, że byłoby to niezręczne. Dałoby do zrozumienia Totowi, że mi na nim zależy. Muszę zostać tu co najmniej dwa dni. Nawet źle zrobiłam, że mu się nie odkloniłam. No, ale trudno. Stało się.

Po powrocie do hotelu napisałam długi i bardzo serdeczny list do Jacka. To jest najlepszy człowiek, jakiego znam. Gotowam mu nawet wybaczyć tę bigamię. Przynajmniej z jego strony nie czekają mnie takie niespodzianki, jak ze strony Tota.

Jadłam obiad z Larsenem. To szczęście, że on przyszedł. Ogromnie ułatwiło mi to sytuację. Ta wydra była sama, a całe moje towarzystwo hałaśliwie ucztowało w końcu sali. Udawałam rozbawioną, czym, zdaje się, mój towarzysz był trochę przestraszony, gdyż opowiadał mi nudne rzeczy o Rosji i tamtejszych stosunkach.

Toto widocznie rozmyślnie usiadł plecami do sali. Ciekawa jestem, w jaki sposób on im tłumaczy, że nie jesteśmy razem. Na pewno wymyślił jakieś bardzo głupie kłamstwo. Mniejsza zresztą o to. Wróciłam do siebie. Byłam bliska płaczu. Coś niedobrze jest z moimi nerwami. Nie mam się czemu dziwić co prawda. Każda inna kobieta na moim miejscu po tylu przeżyciach dostałaby pomieszenia zmysłów. A tu jeszcze ten Toto.

Wreszcie o piątej raczył do mnie zatelefonować.

— Czy mogę służyć? — zapytałam zupełnie spokojnie.

— Czy mogę wstąpić do ciebie na chwilę? Chciałbym z tobą pomówić.

— O czym? — powiedziałam takim tonem, że musiał przyjąć to jako stwierdzenie faktu, że zupełnie nie mamy o czym ze sobą mówić. Zamilkł też na chwilę, a później odezwał się niepewnie:

— No, przecież w jakiś sposób musimy się porozumieć. Już wprost dlatego, by nie wyglądało to dziko. Ze względu na ludzi.

— Więc dobrze — zgodziłam się. — Pod jednym wszakże warunkiem...

— Mianowicie?...

— Obiecasz mi, że nie będziemy mówili o niczym innym, jak tylko właśnie o formie zakończenia naszej przyjaźni.

— Przyrzekam ci to.

W pięć minut później przyszedł. Po raz pierwszy przyjrzałam mu się zupełnie obiektywnie. Wprost pojąć nie umiem, jak mogłam mieć z nim coś wspólnego. On jest po prostu wulgarny. Oczywiście na pewnym poziomie. Ale wulgarny. Superkoncentrat popolitości. Mógłby służyć jako foremka do fabrykowania takich właśnie ludzi jak on, pozbawionych jakiegokolwiek wewnętrznej treści, szablonowo ułożonych, dobrze urodzonych i niepotrzebnie istniejących.

Uklonił się i nie wyciągnął ręki, widocznie w obawie, że mu swojej nie podam. Obawa była bardzo uzasadniona. Wskazałam mu fotel i sama usiadłam.

— Właściwie — zaczął — po twoim nieodklonieniu się nie miałem już prawa odzywać się do ciebie. Przyznasz jednak...

— Znajduję — przerwałam — że nie miałeś prawa już wcześniej.

— Co przez to rozumiesz?

— Rozumiem, że mogłeś uprzedzić o tej manifestacji, którą wobec wszystkich ludzi zrobiłeś, afiszując się z tą lafiryndą. Naraziłeś mnie na to, że Mirski zorientował się błędnie w sytuacji. W jego oczach wyglądałam na nieszczęśliwą i porzuconą przez ciebie, godną pożałowania istotę. Tak się nie postępuje. Oczywiście nie mam nic przeciwko temu, byś przed całą Krynicą popisywał się swoimi sukcesami u wszystkich międzynarodowych awanturników, jakie tylko są na świecie. To twoja sprawa. Ale mogłeś przynajmniej mnie o tym uprzedzić. Tak przynajmniej ja rozumiem przyzwoitość.

— Niestety, odebrałaś mi możliwość takiego uprzedzenia — powiedział. — Wczoraj mało pięćdziesiąt razy telefonowałem. Nie raczyłaś nawet podnieść słuchawki. Kilka razy pukalem do drzwi. Nie raczyłaś odpowiedzieć. Cóż więc miałem zrobić?

— Mogłeś zatelefonować rano...

— Ach, tak? Rano... I po co?... By przekonać się, czy ci zły humor nie przeszedł. Jakąż miałem gwarancję, że zdobędziesz się na tyle łaski i zechcesz ze mną mówić? Przyjeżdżam do ciebie i tylko dla ciebie. Męcę się, nie śpię, a ty mnie tak przyjmujesz. Nie, moja droga. Nic sobie nie mam do wyrzucenia.

— Mniejsza o to. Ja jestem odmiennego zdania. Ale to już nie jest ważne.

— Właśnie — przyznał bezczelnie.

— A zatem?

— Jakkolwiek czujemy do siebie żal... — zaczął.

Przerwałam mu:

— Nie czuję do ciebie żadnego żalu.

— Więc wszystko jedno, jak to nazwiemy.

— Wcale nie wszystko jedno. Wychodząc z tego założenia, możesz swoim przyjaciołom opowiedzieć, jak rozpaczam.

— Hanko — spojrział na mnie z wyrzutem. — Wiesz przecież dobrze, że nigdy bym czegoś podobnego nie powiedział. Że nigdy i z nikim o tobie nie mówiłbym w sposób inny, jak tylko w najprzyjaźniejszy.

— Nie mam na to najmniejszej gwarancji.

— Więc daję ci słowo. Nie wiem, dlaczego mnie znienawidziłaś tak nagle, ale ja zachowam dla ciebie te same uczucia, które żywiłem zawsze.

Podniosłam brwi.

— Ach, co za rewelacja. Żywiłeś dla mnie jakieś uczucia? Nigdy bym tego nie przypuszczała.

Toto poruszył się nerwowo na fotelu i odezwał się tonem już zupełnie obrażonym:

— Mieliśmy nie mówić o przeszłości.

— To ty zaczęłaś.

— Niech i tak będzie. Ale już kończę. Zatem chcę ci zaproponować, byśmy nasze stosunki ułożyli w sposób nierzucający się ludziom w oczy. Spotykamy się przecież tak często. Nie mówię już o Krynicy, gdzie mieszkamy w jednym hotelu. Ale i o Warszawie. Po co mamy dawać żer plotkarzom? Sądzę, że nie sprawia ci to szczególniejszej przykrości. Przecież i tak witasz się z wieloma osobami obojętnymi lub z takimi, których nie lubisz. Unikniemy gadania. A to najważniejsze. Chodzi mi tylko o zachowanie pozorów.

— To niezbyt zręcznie do tego się zabrałeś. Pięknie zachowujesz pozory, gdy tak gwałtownie i publicznie atakujesz tę rudą Angielkę. A nie zadajesz sobie trudu podczas obiadu, by się ze mną przywitać.

Zaprotestował gwałtownie:

— Byś ponownie nie odpowiedziała na mój ukłon? Bądźże sprawiedliwa. A jeżeli ci sprawia przykrość, że spędzam trochę czasu z tamtą panią, mogę z tego zrezygnować.

— Mnie?... Mnie przykrość!... Jesteś paradny. A cóż mnie to może obchodzić? Miej z nią nawet czternaścioro dzieci. Twoja zarozumiałość przechodzi wszelkie granice. Ja miałabym martwić się z tego powodu, że ty asystujesz komuś czy zabiegasz o czyjeś względy.

Był okropnie zły, lecz nic nie odpowiedział. Wobec tego oświadczyłam:

— Więc dobrze. Zgadzam się na twoją propozycję. Przy spotkaniach będziemy się zachowywali tak jak dawniej. Oczywiście tylko w obecności ludzi. Podkreślam tylko, że nikogo tym nie wprowadzimy w błąd, jeżeli jednocześnie będziesz się afiszował z tą kobietą. To wyrzeczenie się niewiele by cię nawet kosztowało. Zabawię tu najwyżej jeszcze dzień lub dwa.

— Nie kosztowałoby mnie w żadnym razie, chociażby dlatego, że ja wyjeżdżam jeszcze dzisiaj.

— Wyjeżdżasz? — zdziwiłam się. — Dlaczego?

— Co za dziwne pytanie. Przyjechałem tu przecież dla ciebie.

Spojrziałam nań podejrzliwie.

— A ona? Również wyjeżdża?

Wyrażnie się zmieszał.

— Nie mam pojęcia. Skądże mogę wiedzieć?

— Byłby to bardzo zabawny zbieg okoliczności — zaśmiałam się.

— Jak to? — zawołał z oburzeniem. — Podejrzewasz, że umówiłem się z miss Normann i że wyjeżdżamy razem?!

— Nie interesuje mnie to — wzruszyłam ramionami.

— Nie masz za grosz serca.

— O, nie, mój drogi. Mam go aż za wiele. Jeżeli czegoś mi brak, jeżeli czegoś było mi brak, to właśnie rozsądku, gdy to serce źle lokowałam. Nigdy nie umiałeś mnie docenić.

Zerwał się oburzony

— Ja nie umiałem? Ja? Bądźże sprawiedliwa, Hanko. Nikogo i niczego nie ceniłem tak w życiu, jak ciebie. I ty o tym wiesz najlepiej.

Co prawda miał słuszość. Nawet zanadto popisował się swoją miłością do mnie. Ostatecznie nie zasługiwał aż na tak bezwzględne potraktowanie tego wybryku z mojej strony. Ani przez chwilę, ma się rozumieć, nie myślałam o przebaczeniu. Doznałam od niego zniewagi, a o zniewagach mi wyrządzonych nie umiem zapominać, chociaż bynajmniej nie jestem mściwa. Powiedziałam:

— Przypuśćmy, że tak było istotnie. Ale mieliśmy mówić wyłącznie o zachowaniu *decorum*. Więc cóż?... Czy nie sądzisz, że byłoby wskazane, bym się pokazała przy kolacji z tobą i z całym twoim towarzystwem?

— Jak to przy kolacji? Przecież przed kolacją wyjeżdżam.

— No, tak. Miałaś taki zamiar. Ale nic cię nie zmusza do tak nagłego powrotu.

Zawahał się.

— Oczywiście nic... Chociaż z drugiej strony... właściwie... niektóre sprawy wymagają mojej obecności w Warszawie. Ma przyjechać pan Gołębiowski ze sprawozdaniem. Sam mu wyznaczyłem jutrzejszy dzień... Nie wypadaloby...

— Pan Gołębiowski bywa w Warszawie co dwa tygodnie — zauważyłam chłodno — i siedzi w Warszawie po kilka dni. Może poczekać.

— Są zresztą i inne rzeczy. Wolałbym wyjechać dzisiaj.

— Więc wyjeżdż. Niech ci się nie zdaje, że cię zatrzymuję. Doskonale możesz to zrobić po kolacji.

Kręcił się na fotelu, jakbym go przywoździła widelcem. Teraz już nie miałam najmniejszej wątpliwości, że chodzi o miss Normann. Najprawdopodobniej obiecał jej, że ją zabierze swoim samochodem. Do tego żadną miarą nie mogłam dopuścić. Byłby to dla niej triumf zbyt już wielki.

— Kazałem już spakować swoje rzeczy — westchnął Toto.

— Więc teraz każesz je rozpakować.

— Wymówiłem pokój. Przy tym tłoku nie wiem, czy już ktoś nań nie czeka. Nie miałbym gdzie nocować.

— Po cóż masz nocować? Wyjedziesz przecież na noc.

Postanowiłam być nieustępliwa. Niech ta wydra wie, że jeszcze ja tu mam coś do powiedzenia. Toto był zupełnie zakłopotany. Zerkał w moją stronę niepewnie i w duchu przeklinał pewno swój pomysł rozmówienia się ze mną. Wiedziałam, że nie starczy mu odwagi na postawienie sprawy otwarcie. Nienawidzę tego ciamajdy. Prawdziwy mężczyzna na jego miejscu oświadczyłby mi po prostu:

„Nigdy nie zmieniam swoich planów. Jeżeli zaś chcesz zachować pozory, służę ci. Zejdziemy teraz razem na podwieczorek i pokażemy się wszystkim”.

Toto kręcił guzik przy marynarce i milczał. Zapytałam go:

— To chyba wszystko, cośmy mieli do omówienia. Nieprawdaż?

— Tak. Ale... Z tym moim wyjazdem...

Udałam oburzenie.

— Jak to? Robisz kwestię z kilku godzin?... Wymagasz, bym dla zachowania pozorów zmuszała się do obcowania z tobą, bym świeciła oczyma przed wszystkimi po afroncie, który mi wyrządziłeś, a sam nie możesz się zdobyć nawet na taką drobną ofiarę jak odłożenie wyjazdu do wieczora?! Wybacz, ale to już jest zbyt rażące!

Wstałam i dodałam stanowczo:

— Mniejsza zresztą o to. Rozmowę uważam za skończoną. Gdy zejdę na kolację i nie zastanę ciebie w sali restauracyjnej, zrozumieć, że nie zależy ci na *decorum*. Wtedy oczywiście zostawiam sobie wolną rękę w oświetleniu wobec znajomych, zarówno tu, jak i w Warszawie, przyczyn zerwania naszej znajomości.

Kiwnęłam mu głową, odwróciłam się i weszłam do sypialni.

Jeżeli mam być szczerą, wcale nie wiedziałam, jak postąpi Toto. Schodząc na kolację, byłam nawet bardzo podniecona oczekując mnie niewiadomą sytuacją.

Na schodach koło pierwszego piętra zobaczyłam coś, co napelniło mnie niekłamaną radością. Omal nie śmiałam się głośno: do pokoju miss Normann służba wносиła jej walizy.

Zagadnęłam służącego:

— Czy to wprowadza się ktoś do panny Normann?

— Nie, proszę pani — odpowiedział mi. — Tylko ta pani zamierzała wyjechać, a teraz się rozmyśliła i zostaje. Wyjeżdża dopiero nocnym pociągiem.

Awanturница! Myślała, że wystarczy jej palcem kiwnąć, by sprzątnąć mi Tota sprzed nosa. Nie tak łatwo moja pani. Ciekawa jestem, co Toto wymyślił, by usprawiedliwić się przed nią, czego nakłamał? Już on i jego dyplomacja! Na pewno poznała się na wszystkich wykrętach, a chociażby się i nie poznała, to zobaczy mnie przy jednym stole z Totem, co powinno już jej wystarczyć. A wieczorem może sobie spokojnie wyjeżdżać, gdyż postanowiłam Tota zatrzymać przez cały jutrzejszy dzień w Krynicy.

Przy dużym stole w końcu sali siedział stropiony, przygnębiony, poskromiony. Musiał tu już czekać dość długo. Mirski i inni też byli na swoich miejscach. Gdy zbliżyłam się do ich stołu wstali i może zbyt dobitnie manifestowali swoją radość „z powodu zażegnania konfliktów”. Zwróciłam się do Tota, tak jakby między nami nigdy nic nie zaszło:

— Jestem ogromnie głodna. I wypiłabym kieliszek jarzębiaku, czy czegoś, co już mi sam wybierzesz.

Był tak zaskoczony moją swobodą i uśmiechem, że zdołał wybąkać tylko parę sylab. Rozruszał się dopiero pod koniec kolacji.

Miss Normann w ogóle na dół nie zeszła. Pewno jadła u siebie, lub ze złości jeść nie chciała. Pokazałam jej, że nie jestem byle gęsią. I jeżeli w tej drobnej sprawie nie udało się jej nic wskórać, musi liczyć się ze mną jako z poważną przeciwniczką w sprawie ważniejszej.

Na dole w barze, siedzieliśmy do trzeciej w nocy. Cóż to za naiwny cymbał z tego Tota! Rozkrochmalił się zupełnie, zapomniał o wyjeździe i przewracał do mnie oczy, jak za najlepszych czasów. Dałabym głowę, że obiecywał sobie bardzo wiele. Chciałabym widzieć jego minę, gdy dowiedział się, że poszłam spać. Wyszedł na chwilę z baru, zapowiadając, że zaraz wróć. No i oczywiście nie wróciłam.

Nasłuchiwałam dość długo, czy nie zapuka do moich drzwi, widocznie jednak zrozumiął i nawet nie próbował.

Jutro wieczorem wyjedziemy razem.

Środa

Nareszcie przyszedł list z Burgos. Z niecierpliwością otwierałam długą, wąską kopertę amerykańskiego typu. Na wstępie spotkało mnie rozczarowanie. Wewnątrz był tylko list, żadnej fotografii.

Baxter pisał:

Szanowna Pani! Niestety, nie będę mógł Pani służyć obszerniejszymi ani szczegółowszymi wiadomościami dotyczącymi osoby interesującej Panią. Znajomość moja z panną Sally Ney była znajomością wybitnie przypadkową i przelotną. Istotnie, przed czterema laty służbowo bawiłem w Buenos Aires i tam spotkałem dziewczynę tego nazwiska. O ile mnie pamięć nie myli, nie był to jej pseudonim, używała go bowiem nie tylko na afiszu, jako tancerka, ale i w życiu prywatnym. Utwierdza mnie w tym przekonaniu to jeszcze, że mówiliśmy o jej rodzinie, osiadłej od wieków w północnej Irlandii.

Od czasu mego pobytu w Buenos Aires nie widziałem więcej tej pani i nie korespondowałem z nią. Zachowałem jednak dla niej jak najwięcej przyjaznych uczuć, wspomnienie osoby miłej, dobrze wychowanej, inteligentnej i kulturalnej. W swoim trudnym zawodzie tancerki, obracającej się w środowisku z natury swej raczej niesprzyjającym kultywowaniu dobrych obyczajów, zachowała świeżość i uczciwość dziewczyny z dobrego domu.

O ile wiem, tańcem musiała się zająć na skutek ruiny materialnej jej rodziców. Los swój znosiła pogodnie, chociaż marzyła o małżeństwie. Z całą pewnością wówczas nie była mężatką. Ponieważ zasięgała mojej rady w zwią-

ku ze sprawami wizej, miałem w ręku jej dokumenty, wystawione przez władze angielskie na nazwisko Sally Ney.

Wspominała mi o tym, że proponują jej występy w kasynie w Cannes, z czego bardzo się cieszy, gdyż jej brat pracuje w Nicei w jednym z angielskich przedsiębiorstw przemysłowych. Nie jestem tego pewien, lecz zdaje się, że ma na imię James.

W Buenos Aires panna Ney mieszkała wraz ze swoją ciotką, panią Collars, szanowną, starszą damą o nienagannych manierach i żywym usposobieniu. Obie kochały się bardzo.

Wszystko, co wiem o paninie Ney zdaje się świadczyć, iż zachodzi tu pomyłka, i że nie o nią Szanownej Pani chodzi. Wszystko mogłaby wyjaśnić fotografia. Niestety, ani jednego zdjęcia panny Ney nie posiadam.

Przy sposobności proszę Panią uprzejmie o załączenie mych przyjacielskich pozdrowień Larsenowi i pozostają

Z poważaniem  
Ch. B. Baxter

List przeczytałam bardzo uważnie. Tylko pozornie stanowił on zaprzeczenie moich podejrzeń. To, że Betty Normann mogła się posługiwać fałszywym paszportem, wyglądało na bardzo prawdopodobne. Pochodząc z przyzwoitej rodziny, nie chciała zapewne, by ktokolwiek wiedział, że występuje w kabaretach. Jeżeli w Biarritz mogła posługiwać się cudzym nazwiskiem i jeżeli dziś posługuje się swoim panińskim, zamiast prawnie jej przysługującego nazwiska Jacka, mogę uważać za pewnik, że jej poglądy na autentyczność dokumentów wcale nie są rygorystyczne.

Teraz kwestia tej ciotki i brata. Ciotka oczywiście mogła być prawdziwa. Tym bardziej że ogólnie jest przyjęte nawet dalsze krewne nazywać ciotkami. Natomiast brat został przez nią zmyślony. Jacek, a także wuj Dowgird najwyraźniej mówili o niej jako o jedynaczce. Sama mi zresztą wspominała, że jest zupełnie samotna.

Przecucie mówiło mi, że się nie mylę. Zresztą ci belgijscy detektywi wszystko sprawdzą. Spodziewam się wkrótce ich odpowiedzi. Co za pech, że zginęła mi ta fotografia miss Normann. Posłałabym ją Baxterowi i za parę dni miałabym już pewność. Jeszcze raz i bardzo starannie przeszukałam wszystko. Fotografii jednak nie znalazłam. Postanowiłam znowu zrobić wyprawę do tych zakładów fotograficznych, w których byłam poprzednio. Teraz, gdy miss Normann nie ma w Krynicy, mogę śmiało mówić, że robię to z jej polecenia i zabrać wszystkie niewykupione zdjęcia.

Toto pokornie zatelefonował z samego rana. Powiedział, że głowa go boli, gdyż wczoraj pił za wiele i sam nie wie, o której położył się do łóżka. Zorientowałam się, że umyślnie mówi o różnych rzeczach, unikając intymniejszego tonu, gdyż nie wie, jak się ja do niego ustosunkuje. Bardzo dobrze. Niech nie wie. Właśnie najlepiej będzie utrzymać go w nieświadomości.

Postanowiłam za żadną cenę nie dopuścić do jego zbliżenia się z tą rudą awanturnicą międzynarodową. A wiem dobrze, że nawet przy niedużym wysiłku zdołam utrzymać go przy sobie. Nie przez wzgląd na niego, lecz na nią. Wystarczy, gdy w momentach oddalania się zrobię mu jakieś niewielkie awanse. Poza tym Toto boi się, że go ośmieszę wśród znajomych. Nie mam po co ukrywać, że zrobiłabym to z prawdziwą przyjemnością i potrafiłabym zrobić gruntownie.

Zaraz po śniadaniu zabrałam Tota i udałam się na poszukiwanie fotografii. Po pierwsze dlatego, że lepsze towarzystwo Tota niż żadne, a po drugie z tej przyczyny, że musiałam się z nim pokazać, by zatknąć buzię plotkarzom. Wczoraj wszyscy wiedzieli, że Toto wyjeżdża, wiedzieli również, że wyjeżdża ta baba. Nie ulega wątpliwości, że łączyli te dwa wyjazdy. Niechże się przekonają, że został i że został dla mnie.

Pomimo najusilniejszych poszukiwań i przejrzenia paru tysięcy odbitek nie znalazłam ani jednej fotografii miss Normann. Okazało się, że przed swym wyjazdem wykupiła wszystkie własne zdjęcia. Zdziwiło mnie to bardzo, gdyż ilekroć byliśmy razem na ulicy, widziałam, że zawsze usiłowała uniknąć fotografów. Twierdziła, że ma taki przesąd. W jej

apartamencie również nie znalazłam ani jednej fotografii. Dlaczego tedy tak skrupulatnie wykupiła wszystkie?...

Toto naszą wędrówkę przechodził jak torturę, powiedziałam mu bowiem (musałam to jakoś wytłumaczyć), że szukam fotografii dla niego. Przy obiedzie trochę się rozruszał. Ustaliliśmy wyjazd na szóstą. Zatrzymamy się w Krakowie na dzień lub dwa. Namówiłam Mirskiego, by jechał z nami. W jego obecności Toto nie będzie mógł pozwolić sobie na żadne próby poufalszego zbliżenia. Zostawię mu też możliwość złożenia mojej rezerwy na karb dyskrecji wobec Mirskiego. Kończę w pośpiechu. Moje rzeczy już zabrano do samochodu. Oba kufry ma wieczorem portier wysłać pociągiem.

Wyjeżdżam z Krynicy, nie osiągnąwszy wprawdzie tego, po co tu przyjechałam, ale z dużym zapasem nowych wiadomości.

Czwartek

Jestem bardzo z siebie niezadowolona. Za dużo piłam u Guciów na obiedzie. Jeszcze dotychczas szumi mi w głowie. Gdyby nie ten wstrętny szampan, nie zrobiłabym na pewno tego głupstwa. Szampan i te nudy w Krakowie. Tu naprawdę nie ma co robić. Wszystko sobie popsulałam. Całą moją strategię.

Toto znów gotów sobie Bóg wie co wyobrazić. Trzeba będzie jutro zastanowić się nad nową taktyką. Dziś nie mam do tego zdrowia. Taka cisza dookoła. Godzina pierwsza. Kraków już od dawna śpi. Zeszłej nocy drzemałam wprawdzie w samochodzie, ale jestem ogromnie zmęczona i oczy mi się kleją.

Miałam jeszcze coś ważnego do zanotowania. Nie mogę sobie przypomnieć. Aha, już wiem: Toto dawał mi do zrozumienia, że może liczyć na duże awanse ze strony tej rudej. Czy to jego zarozumiałość, czy prawda?...

Piątek

Dziś będzie wielki bal u Potockich. Cały *high life* małopolski, a oprócz tego młody Esterhazy, który, zdaje się, zabiega o rękę Lusi. Jestem bardzo ciekawa, jak on wygląda. Na amatorskich fotografiach robi bardzo dobre wrażenie. Szalenie mnie proszono, bym została. I Toto namawiał mnie usilnie. Liczył, że Esterhazy, który przed dwoma laty był u niego na wilkach, zrewanżuje się i zaprosi go do siebie na muflony.

Właśnie dlatego że Toto tak nalegał, nie zgodziłam się. Wyjedziemy dziś wieczorem przed balem. Jeszcze mam tu parę wizyt. Rozmawiałam przez telefon z Jackiem. Ucieszył się szczerze, że przyjeżdżam. Coraz bardziej przekonuję się, że jego tylko kocham.

Niedziela

Doktor powiedział, że szrama na czole zagoi się bez śladu. Drzę na myśl, że może się na tym nie znać, chociaż podobno jest jednym z najlepszych specjalistów w Europie od kosmetycznych operacji. W dodatku prawy bok tak mnie boli, że mogę leżeć tylko na lewym.

Mirski ma rozkwaszony nos. Wyobrażam sobie, jak będzie wyglądał, gdy wyzdrowieje. Najgorzej jest z Totem. Przed chwilą miałam telefon, że stwierdzono skomplikowane złamanie lewej ręki. Zasłużył na to w zupełności. Szosa była śliska. Dwa razy go prosiłam, by jechał wolniej. A on ze złości wciąż dodawał gazu. To musiało się skończyć katastrofą. Całe szczęście, że drzewo padając nie przygniotło auta. Bylibyśmy wszyscy trupami. Naturalnie z mercedesa została kupa żelastwa.

Ci ludzie z niższych sfer zazdroszczą nam, że jeździmy samochodami. Gdyby wiedzieli, na jakie niebezpieczeństwo narażamy się, dziękowaliby Bogu, że los kazał im korzystać z tramwajów, pociągów i innych furmanek.

Jackek daje mi tyle dowodów swoich uczuć, jest tak uważny, tak we mnie wpatrzony. Powiedział mi dziś rano, gdy martwiłam się, czy nie będę miała szpetnej blizny:

— Wstydzę się swego egoizmu, ale wyznam ci, że może bym nawet tego pragnęła, byś zbrzydła, byś bardzo zbrzydła, byś nie podobała się nikomu, tylko mnie.

— Obawiam się, że i tobie przestałabym się podobać.

Zaśmiał się tak szczerze, że nie mogłam mieć wątpliwości.

— O, nie — zawołał. — Czytałem niedawno wcale niegłupią książkę jakiejś angielskiej autorki. Zdaje się, że nosi tytuł *Technika małżeństwa*. Znalazłem w niej niepozbanioną słuszności obserwację, że po kilkuletnim pożyciu mąż i żona już nie widzą swojej

Pozycja społeczna

powierzchności. Tak się do niej przyzwyczajają, jak dziecko do najpiękniejszych zabawek. Wtedy zaczyna odgrywać rolę treści i tylko treść.

— Jeżeli ta treść istnieje — zauważyłam.

Spojrzał na mnie z największą czułością.

— A czyż w samym małżeństwie jej nie ma?

Miałam wielką ochotę przyznać mu słuszność, lecz przez pamięć na jego niezmaszaną dotąd winę wobec mnie powiedziałam:

— Że treść taka była — to wiem... Czy wróci — nie wiem...

Był szczęśliwy z przerwania rozmowy, gdyż właśnie przyszła mama. Była strasznie zaaferowana i ledwie zdążyła mnie ucałować, gdy zaraz zawołała:

— Słyszeliście już?

— O czym? — spokojnie zapytał Jacek.

— No, że już została postanowiona wojna europejska. Niemcy są wściekli na Czechów, że podobno Rotszyld, wiecie, ten, u którego bawił księżę Windsoru, uciekł do Pragi, powiedzieli, że albo im wydadzą Rotszylda, albo zabiorą im Karlsbad. No i w Paryżu już postanowili zrobić wojnę.

Jacek zaśmiał się.

— Co też mama opowiada! To są jakieś nieprawdopodobne plotki zmyślane przez kogoś, kto absolutnie nie orientuje się w polityce międzynarodowej. Po pierwsze, Rotszyld nie uciekł, a po drugie, gdyby nawet stu Rotszyldów uciekło do Pragi i Czechosłowacja udzieliła im azylu, nie byłoby o to wojny.

Mama ucieszyła się.

— To całe szczęście! Czy tylko jesteś tego pewien?

— Najzupełniej pewien.

— Bo pani Sarnicka twierdziła, że wie z najbliższego źródła, jakoby Hitler chciał zająć Czechosłowację. Podobno ma część oddać Włochom, część nam, ale największą część, razem z Karlsbadem, zabrać sobie. Ładnie bym wyglądała! Oni tam nie mają masła w Niemczech. A ja sobie wprost nie wyobrażam życia bez świeżego masła. Jak myślisz, czy pozwoliliby mi sprowadzać masło z Polski?

— A dlaczegoż mieliby zabronić? — powiedziałam.

Jacek trochę się zniecierpliwiał.

— Moja mamo, wszystko, co mama mówi, nie ma najmniejszych podstaw. Po pierwsze, Niemcy nie odważyliby się sięgnąć po Czechosłowację. Zresztą nie chcieliby. Hitler dąży do zjednoczenia Niemców i właśnie za żadne skarby nie chciałby mieć w granicach Rzeszy Niemieckiej jakichkolwiek obcych narodowości. Gdyby jednak miał nawet apetyt na Czechosłowację, nigdy by jej nie dostał.

— Dlaczego? — zaoponowała mama. — Pani Sarnicka twierdzi, że mógłby ją zawojować w przeciągu kilku tygodni.

— Mógłby, gdyby inne państwa na to pozwoliły. Ale Czechosłowacja związana jest sojuszami wojskowymi z Rosją i z Francją. Za Francją zaś stoi Anglia i Ameryka. I to jeszcze nie wszystko. Czechosłowacja, jako członek Małej Ententy<sup>83</sup>, może zawsze liczyć na poparcie Rumunii i Jugosławii. Absurdy opowiedane przez panią Sarnicką zasługują tylko na śmiech.

— Czy aby tylko jesteś tego pewien?

— Mamusi — powiedziałam z oburzeniem. — A któż może być bardziej poinformowany niż Jacek?... Przecież oni w dyplomacji wszystko z góry wiedzą.

— Może mama spać spokojnie — dodał Jacek. — Karlsbad ani masło mamie nie uciekną. Najlepszy mama ma dowód, jak niemądra jest mamy informatorka, jeżeli twierdziła, że Włochy też mają zagarnąć część Czechosłowacji. Włochy przecież nie mają wspólnej granicy z tym państwem. A poza tym Włochy nigdy nie zgodziłyby się na to, by Niemcy zawładnęli Czechami.

— Dlaczego nie zgodziłyby się? Przecież Hitler i Mussolini są przyjaciółmi?...

<sup>83</sup> *Mała Ententa* — zawiązana na pocz. lat 20. XX w. między Czechosłowacją, Jugosławią a Rumunią porozumieniem, przypieczętowane paktem w 1933 r., mające na celu przeciwstawianie się ewentualnym roszczeniom Habsburgów, Austrii i Węgier oraz wszelkim próbom powrotu do struktur daw. cesarstwa. [przypis edytorski]



— Widzi mama, w polityce międzynarodowej jest tak, że żaden przyjaciel nie pragnie, by drugi zanadto wzrósł w potęgę. Nadmierna potęga Niemiec byłaby wysoce niebezpieczna dla Włoch.

Zawsze podziwiam Jacka, jak on logicznie i rzeczowo wszystko umie uzasadnić. Jak spokojnie potrafi rozważyć najzawilsze zagadnienie polityki międzynarodowej.

— Widzi mama — mówił dalej — Niemcy, zwłaszcza teraz, po zajęciu Austrii, muszą z konieczności gospodarczych dążyć ku basenowi Morza Śródziemnego. Już obecnie wpływy niemieckie w Jugosławii są dość silne i Włochy po cichu przeciwstawiają się tym wpływom. Obecność Niemiec nad Adriatykiem byłaby dla Włoch klęską. Istnieją wprawdzie możliwości, o których nie mogę teraz szczegółowiej mówić, a które przewidują pewne zmiany w ustroju Czechosłowacji, te jednak załatwione zostaną bez wojny, drogą rokowań. Chodzi o pewne ulgi dla ludności niemieckiej na terenie Sudetów. A wojna? Wojna w ciągu najbliższych paru lat jest nie do pomyślenia z tej prostej przyczyny, że ani Niemcy, ani mocarstwa zachodnie nie są do niej dostatecznie przygotowane. Zresztą wszystkimi państwami rządzi obecnie pokolenie, które już przeżyło Wielką Wojnę. Pokolenie to do wojny nowej wcale nie tęskni.

Mama dała się przekonać i orzekła, że Jacek zdjął jej kamień z serca.

Zaraz po obiedzie zaczęli się schodzić znajomi i krewni. Widocznie źródłem plotki nie była pani Sarnicka, gdyż wszyscy już o tym mówili. Byłam bardzo zadowolona, że mogłam autorytatywnie zaprzeczyć tym bzdurom. Z tego powodu zasłużyłam nawet w oczach Stanisława (bo i on przyszedł wraz z Danką) na pochwałę. Stanisław powiedział:

— Jesteś bardzo rozsądna i widzę, że te sprawy nie są ci obce. Niepotrzebnie u nas wołbrzymia się siłę Niemiec i pomniejsza się znaczenie Francji. Wprawdzie obecnie w tym państwie panują stosunki godne pożałowania, ale to długo nie potrwa. Naród ten już nieraz w ciągu historii dał dowód, że potrafi otrząsnąć się z przejściowej słabości. I teraz w razie niebezpieczeństwa wydobędzie się łatwiej, niż myślimy, spod jarzma Żydów, socjalistów i masonów.

Stanisław jest specjalistą od masonerii. Z ojcem umie godzinami o tym rozmawiać. Przysłuchiwałam się nieraz ich rozmowom. Byłoby straszne, gdyby rzeczywiście nad światem panowali masoni. Według Stanisława niemal wszystkie wybitne osobistości w Polsce i za granicą należą do masonerii. Nie rozumiem tylko dlaczego, jeżeli są tak potężni i posługują się środkami takimi, jak skrytobójstwo, nie zdołali dotychczas pozbyć się wszystkich swoich wrogów, już nie tylko pomniejszych, jak na przykład Stanisław, ale takich jak Hitler i Mussolini.

Swoją drogą Polska jest naprawdę w nieszczęśliwym położeniu, mając do wyboru albo bolszewików, albo hitlerowców, albo masonów. Z kim się tu przyjaźnić? Odetchnęłabym z ulgą, gdyby Jacek został ministrem spraw zagranicznych. Z jego głową na pewno dałby sobie radę. Chociaż z drugiej strony cała jego sprawa z miss Normami dałaby się na pewno lepiej załatwić, niż on to robi.

Chyba jutro będę musiała zadzwonić do Mostowicza, byśmy odbyli nową naradę wojenną. Z tym bandażem na czole wyglądam zupełnie ładnie. Przypomina to trochę taką srebrną czapkę.

Wtorek

Dziś wstałam po raz pierwszy. Właściwie nic mi nie dolega, jednak to jest tak przyjemnie być na prawach chorej. Ciotka Magdalena obchodzi się ze mną jak z jajkiem. Ona ma jednak naprawdę dobre serce. Ponieważ Jacek był dziś przez cały dzień zajęty, spędziłyśmy wiele godzin z nią na rozmowie. Opowiedziała mi po raz pierwszy, dlaczego została starą panną. Nigdy nie przypuszczałam, by mogła przeżyć coś podobnego, by mogła przeżyć właśnie ona. Jednak są na świecie uczucia trwałe. Ciotka Magdalena zapewnia, że kocha go i dzisiaj równie gorąco, jak kochała wtedy.

Miała wówczas zaledwie osiemnaście lat. Po skończeniu pensji, ponieważ rodzice jej nie żyli, pojechała do swej starszej siostry, pani Sułhwowej. Sułhwowie mieszkali w swoim majątku na zapadłym Polesiu. Mieli już dwóch synów. (Znam obydwóch. Jeden jest w marynarce wojennej, a drugi zajmuje jakieś wybitne stanowisko w przemyśle na Śląsku). Wtedy mieli coś po 10 czy 12 lat. Sułhwo, znacznie starszy od żony, zajęty całkowicie gospodarstwem, nie interesował się również wychowaniem dzieci. Do chłop-

Polska

ców był wzięty guwerner i nauczyciel w jednej osobie, pan Anzelm. Poza tym w dużym, ponurym dworze, oprócz nielicznej służby, nie było nikogo.

Ciotka Magdalena już wkrótce po przyjeździe zorientowała się w sytuacji: między jej siostrą Anielą a nauczycielem jej synów istniały stosunki inne, niż tego mógłby sobie życzyć pan domu. Zdawało się jednak, że nie dostrzegał tego.

Sąsiedztwa prawie nie mieli. A i ci znajomi, którzy mieszkali w promieniu piętnastu czy dwudziestu kilometrów, unikali domu Sułyhwów. Panowała tam przygnębiająca atmosfera milczenia. Gospodarz, gdy tylko nie miał zajęć, zamykał się w bibliotece. Chłopcy, poza lekcjami, spędzali czas na swoich cichych zabawach, w które nikogo nie wtajemniczali, Aniela snuła się po domu jak cień. Wówczas jeszcze nie była brzydka. (Ja poznałam ją już wtedy, gdy była sparaliżowaną staruszką). Czy między nią a panem Anzelmem był romans, ciotka Magdalena do dziś dnia nie wie. Przypuszcza, że raczej nie. Była to jakaś miłość niezdrowa, nienormalna, która wyrosła na tym odludziu niejako z konieczności.

— Dzisiaj może — mówiła ciotka Magdalena — dziś, kiedy znam świat i setki ludzi, inaczej bym spojrzała na pana Anzelma. Jednego wszakże jestem pewna: zawsze zwróciłabym nań uwagę, gdyż był to człowiek niezwykle. Miał nie więcej niż lat trzydzieści, a rozporządzał wprost ogromną wiedzą. Ukończył dwa fakultety, zwiedził mnóstwo krajów. Zasięg jego zainteresowań wskazywał na niepospolity umysł i na wybitną inteligencję. Z tym wszystkim był absolutnie niezdolny do życia. Człowiek w tym wieku i o takim zasobie kwalifikacji gnuśniał na tej zapadłej wsi jako nędznie opłacany guwerner, byle jak spełniał swoje obowiązki, zbierał różne rośliny, z których każdą umiał nazwać, lecz zbierał nieporządnie i w końcu wyrzucał je do śmieci. I tak było ze wszystkim. Jedyną jego rozrywką, jeżeli można to było rozrywką nazwać, pozostawało kilka codziennych partii szachów z Sułyhwą. Wygrywał zresztą zawsze. Wieczorami, gdy już wszyscy układali się do snu, pan Anzelm zostawał w małym saloniku z Anielą. Czytał jej wówczas wiersze lub grał na starym fortepianie, który sam nastroił. O czym ze sobą mówili i czy mówili w ogóle — nie wiem. Aniela wracała do siebie bardzo późno. Codziennie słyszałam jej powrót, gdyż deski na korytarzu skrzypiały.

— A czy ciocia nie zapytała cioci Anieli o to, co ich łączy?

Ciotka Magdalena potrząsnęła głową.

— Nie. Najpierw mnie to nic nie obchodziło. Zajęta byłam korzystaniem po raz pierwszy w życiu ze swej wolności. Robiłam, co chciałam. Nikt na mnie nie zwracał uwagi. Zresztą, między mną i Anielą nigdy nie zawiązała się nic bliższego kontaktu. Różnica wieku, usposobień, warunków, w jakich wychowywałyśmy się, wszystko to nas dzieliło. Pewnego dnia spotkałam pana Anzelma w odległej alei zapuszczonego parku. Spędziliśmy dwie godziny na rozmowie. Od tego się zaczęło. Była to jesień...

— Zakochała się ciocia w nim z miejsca.

— Nie. Nie jeszcze. Ale nadeszła zima. Muszę ci wyjaśnić, że byłam dość słabego zdrowia i nasz stryj życzył sobie, bym przynajmniej przez rok odpoczęła na wsi, zanim przyjadę do niego. Skazana na zamknięcie w czterech ścianach smutnego domu, coraz bardziej lgnęłam do tego człowieka. Wszyscy zdawali się tego nie dostrzegać z wyjątkiem Anieli. Stała się dla mnie przykra, czasami szorstka. Kiedyś powiedziałam panu Anzelmowi, że nie powinniśmy spędzać zbyt wiele czasu razem, gdyż to drażni Anielę. On nic nie odpowiedział, lecz w niczym nie zmienił swego postępowania. Nadal szukał mego towarzystwa. A raczej nieprawda: to ja szukałam towarzystwa pana Anzelma. On nie unikał go wcale. Był bierny. Pokochałam go do szaleństwa. Wprost znenawidziłam Anielę. Zaczęłam ich szpiegować. Nic jednak nie wykryłam. Pewnego dnia weszłam do jego pokoju. Był to... był to nasz pierwszy i jedyny pocałunek. Nagle zastukano do drzwi. Anzelm odruchowo przekręcił klucz w zamku. Wówczas Aniela zaczęła gwałtownie łomotać w drzwi pięściami. Jej krzyk nappełnił cały dom alarmem. Na dole, w bibliotece, siedział jej mąż. Tuż obok w sąsiednim pokoju byli chłopcy. W jadalni służba sprzątała po obiedzie. Nikt jednak nie przyszedł, nikt nie dał znaku życia. Wtedy odbiegła od drzwi. Ja, przeczuwając nieszczęście, pobiegłam za nią. Gdy wpadłam do jej sypialni, trzymała rewolwer w ręku. Przyszłam w samą porę, by uniemożliwić jej popełnienie szaleństwa. Podczas szamotania się padł strzał. Kula ugodziła pana Anzelma, który stał w otwartych drzwiach... Upadł... Był tylko ranny... Ale ona o tym nie wiedziała. W kilka minut

później Antoniowa znalazła ją wiszącą na strychu. W porę przecięto pętlę. Odratowano ją. W nocy wykradłam się z domu i dobrnęłam przez zasy do najbliższej wioski. Tu wynajęłam konie... Nigdy już więcej go nie widziałam.

— I nie wie ciocia, co się z nim stało?

W milczeniu przecząco potrząsnęła głową. Przyglądałam się z przerażeniem tej zaszuszonej, małej kobiecie. Czyż mogłam kiedykolwiek przypuszczać, by takie straszne przeżycia mogła przejść kiedyś ta zgorzkniała istota, ten żywy katechizm konwenansu. Brrr. Jak powinien być wdzięczna Bogu, że los mi nie kazał znaleźć się w podobnych warunkach.

Opowiadanie ciotki Magdaleny wstrząsnęło mną do głębi. Jak bardzo taki jeden moment szczerych zwierzeń zmienić może nasze wyobrażenie o jakimś człowieku! Dotychczas uważałam ją za nudną i zupełnie nieinteresującą istotę, pozbawioną cienia życia indywidualnego. Ot, stara panna, której nikt nie chciał, która osiwała, nie znalazłszy takiego mężczyzny, który bodaj z litości zająłby się nią.

Wydawało mi się to trochę dziwne z tego powodu, że fotografie ciotki Magdaleny niedwuznacznie świadczyły o urodzie, w każdym razie nieprzeciętnej. Jej brak powodzenia i staropanieństwo tłumaczyłam sobie tym usposobieniem, które na co dzień stawało się dla otoczenia męczące. Sądziłam, że adoratorzy musieli od niej uciekać, gdy ją tylko bliżej poznali.

Czyż mogłam przypuszczać, że to ona odsuwała się od nich? Że to ona unikała mężczyzn, pielęgnując w sobie tę chorą i niedorzeczną miłość do jakiegoś wykolejeńca. Miłość niespełnioną, dziwną i ponurą. Nie powiem, bym po wyznaniach ciotki nabrała do niej większej sympatii. Raczej przeciwnie. A to z tego względu, że sama poczułam się wobec niej jakąś płytszą i mniej wartościową kobietą. Wiem, że to uczucie jest bezzasadne, że minie mi z czasem. Nie zmienia to wszakże postaci rzeczy: patrząc na nią, zmuszam się do hamowania swych zbyt arbitralnych może, zbyt nonszalanckich wypowiedzi.

Ciekawa jestem, czy wszyscy ci starsi i obojętni mi ludzie, których mijam jak sprzęty codziennego użytku, mają również, jak ciotka Magdalena, zapadłe w swych duszach niedogaszające głównie jakichś przeżyć? Chyba nie wszyscy. Ale taki, na przykład, Romek... Cóż ja wiem o nim? Skąd wiedzieć mogę, czy nie pozostanę w jego pamięci wieczną i niegojącą się raną. Naprawdę postępowałam z nim lekkomyślnie. Ach, gdyby człowiek mógł się rozdzielić, gdybym mogła jakimś zaklęciem rozszczepić się na kilka istot! Na pewno znalazłabym w sobie i taką, która poszłaby z Romkiem, i taką, która by została przy Jacku, i taką, co płakałaby nad grobem biednego Roberta... Mnóstwo.

Gdy patrzę w siebie, widzę, jak jestem skomplikowana. Z ilu dobrych i złych, próżnych i rozumnych jednostek składa się moja indywidualność.

Niestety, nie umiem podzielić ani swego ciała, ani swojej duszy. A świat każdą próbę takiego podziału nazywa kradzieżą. Zmusza do ukrywania jej pod tysiącnymi pozorami, do przysłaniania woalkami obludy, do paczenia swego charakteru kłamstwem i wybiegami. Czemu w duszy człowieka, czemu w mojej własnej duszy tkwi ta przeklęta żądza wyłączności?...

Jacek, z którym kiedyś o tym rozmawiałam, tłumaczy to dość prozaicznie wrodzonym każdemu stworzeniu instynktem posiadania, poczuciem własności. Dlaczego miłość nie może być tak jak powietrze, którym oddychają wszyscy i którego nikt innym nie zazdrości, nie odbiera, nie wzbrania? A przecież miłość jest jak powietrze. Wypełnia cały świat, poczynając od roślin, a kończąc na ludziach.

Niewątpliwie i to, co czułam dla Tota, było pewnym rodzajem miłości. Miłość ma tyle form i tyle nasileń. Tyle gatunków i różnych wartości. Jakże tu je segregować i szacować, jak ocenić chociażby miłość ciotki Magdaleny do owego człowieka o dziwnym imieniu Anzelm, o imieniu zaczerpniętym z jakiejś fredrowskiej komedii, jakby dla kontrastu do swego typu, wyrwanego żywcem z rosyjskiej literatury.

Wiem, że nie będę mogła długo otrząsnąć się z wrażenia, że długo nie zapomnę tej makabrycznej historii. Mostowicz, któremu to opowiedziałam, wyraził zdanie, że nie zaszkodzi mi takie zajrzenie od czasu do czasu „życiu w zanadrze”.

— To zmusza do refleksji — mówił — i pogłębia nasze wiadomości o sobie. Nie jest bowiem ważne, co nami wstrząśnie, lecz to, jakie reakcje w nas obudzi i do jakich wniosków doprowadzi.

Kobieta, Małżeństwo,  
Obyczaje

Starość, Młodość,  
Tajemnica

Poczułam nawet z tego powodu trochę żalu do Tadeusza. Czyżby on, który zna mnie tak dobrze, posądzał mnie o powierzchowność i o nieumiejętność głębokiego przeżywania wrażeń?

Ale dość już o tym. Zdałam Tadeuszowi dokładne sprawozdanie z mego pobytu w Krynicy. Pokazałam list Baxtera i zakomunikowałam, że oczekuję z Brukseli odpowiedzi biura detektywów. Nie dał mi żadnej rady. Zapytał tylko, czy miss Normann nie widuje się z Jackiem. Powiedziałam mu, że raczej nie, gdyż Jacek jest spokojniejszy. Wobec tego poradził mi czekać. Potwierdził również moje przypuszczenia, że według wszelkiego prawdopodobieństwa miss Normann i tancerka nazwiskiem Sally Ney są jedną i tą samą osobą.

— Osoby tego typu często znajdują się w kontrastowych sytuacjach. Ta pani mogła zostać tancerką kabaretową nie tylko dla własnego kaprysu, ale i z konieczności. Ludzie, którzy nie znają ograniczeń w wydatkach, nie są również wybredni w wyborze źródeł dochodu.

— To jest bardzo prawdopodobne — zauważyłam. — Ta Betty w Krynicy od razu zwąchała, że Toto jest monstrualnie bogaty. I już zarzucała nań swe sieci.

Tadeusz spojrzął na mnie z uśmiechem.

— Ale pani udaremniła jej zabiegi?...

— Ja? — oburzyłam się. — A cóż mnie Toto obchodzi? Nie ruszyłabym palcem, gdyby nie chęć dania jej po nosie.

— Droga pani Hanko — powiedział Tadeusz, całując mnie w rękę. — W piekle poznałbym panią...

Nie wiem, co przez to chciał powiedzieć. W każdym razie zawsze po rozmowie z nim czuję się spokojniejsza i pewniejsza siebie. Jak to dobrze mieć przyjaciela, przed którym nie ma się żadnych tajemnic.

*Muszę tu skorygować słowa p. Renowickiej. Nie chcę bynajmniej twierdzić, by nie żywiła dla mnie tej przyjaźni, o której mówi, a za którą jestem jej niezmiernie wdzięczny. Chodzi o to, że w ogóle i w zasadzie uważam za niepodobiestwo istnienie takiej przyjaźni, w której obie strony wypłacają się sobie równą i całkowitą otwartością. Zawsze pozostają pewne niedopowiedzenia, zawsze najbliższy przyjaciel ukrywa przed drugim pewne swoje tajemnice. Toteż i p. Hanka nie powiedziała mi wszystkiego. Wydaje mi się, że w przeciwnym wypadku umiałbym jej już tego dnia dać radę, zarówno trafną, jak skuteczną. Może mi zresztą wydaje się tak obecnie, gdy już do końca przeczytałem jej pamiętnik i gdy znam dalszy bieg zdarzeń. (Przypisek T. D. M.)*

Piątek

Dziś po raz pierwszy mogłam wyjść z domu. Opatrunek zdjęto mi już wczoraj. Na czole pozostała dość wyraźna, mocno zaróżowiona blizna. Teraz jednak i ja wierzę, że zniknie, jak zapewniają lekarze. Musiałam ojcu dać słowo, że już nigdy „z tym niepoczytalnym młodzieńcem w średnim wieku” nie siądę do samochodu.

Toto śmiał się jak bawół, gdy mu to powtórzyłam. Jest na pewno najbardziej z siebie zadowolonym człowiekiem na świecie, a przynajmniej w klinice. Gdy doń przyjechałam, nie mogłam się zbliżyć do łóżka. Ze wszystkich stron był obstawiony tacami z niezliczoną ilością przekąsek i potraw. Jadł właśnie obiad. Jego Antoni od czasu do czasu wyciągał z kieszeni butelkę koniaku i napełniał szklaneczkę.

— Jak widzisz — śmiał się Toto — wszystkie ostrożności są zachowane. Wczoraj doktor Hurbowicz wyrzucił mi prawie pełną butelkę starego „Boulestin<sup>84</sup>” przez okno do ogrodu szpitalnego.

<sup>84</sup>Boulestin — gatunek fr. koniaku. [przypis edytorski]

— Jesteś głuptasem — powiedziałam wstrzemięźliwie. — Miesiącami ci się to nie wygoi. Alkohol ogromnie przy tym szkodzi.

— Jeszcze bardziej szkodzi brak apetytu — oświadczył Toto. — A bez czegoś mocniejszego zupełnie jeść mi się nie chce.

Była to zresztą nieprawda. Toto zawsze obżera się nieludzko. Nawet na śniadanie potrafi zjeść tyle, ile wystarczyłoby trzem Anglikom naturalnej wielkości. Chodzi mu po prostu o splatanie psikusa lekarzowi. On jest jeszcze bardziej dziecinny niż inni mężczyźni. Może na tym właśnie polega jego wdzięk.

Oczywiście przeproszał mnie bardzo za katastrofę, gęsto sypiąc wykrętami. Gdy wreszcie Antoni znikł wraz z tacami, powiedział:

— To wszystko twoja wina. Byłem wściekły na ciebie. Jeszcze nikt nigdy tak mi nie dokuczył. Upatrzyłaś sobie coś do tej miss Normann, która mnie ani ziębi, ani grzeje.

Uśmiechnęłam się ironicznie.

— A od kogo masz te kwiaty? — zapytałam, wskazując pęk róż w zupełnie ładnym wazonie Gallet<sup>85</sup>.

— Od Muszki Zdrojewskiej — odpowiedział bez zająknięcia.

— Ooo — zauważyłam. — To bardzo ładnie z jej strony. Nie posądzałam jej o taką *largesse*<sup>86</sup>.

— A widzisz — wyduł wargi. — Widocznie nie dla wszystkich jestem czymś bezwartościowym.

Miał to być przytyk do tego, że nie posłałam mu kwiatów. Nie posłałam mu rozmyślnie, chociaż przysłał mi dwa duże kosze. Nie miałam najmniejszego powodu do wyrażania współczucia. Jednak wydało mi się niezbyt prawdopodobne, by właśnie Muszka zdobyła się na tak kosztowny dowód pamięci.

— Chyba oświadczyła ci się przy tej sposobności?

Wybuchnął śmiechem.

— Przy oświadczeniach przysłałaby mi cały ogród botaniczny.

— No, więc przynajmniej musiała napisać bardzo czuły list.

Musiał być przygotowany na tę moją uwagę, gdyż sięgnął i spod papierońnicy wyjął kartkę wizytową, *corpus delicti*. Była to istotnie kartka Muszki, a na odwrocie kilka zdawkowych słów z życzeniami zdrowia. Jednak ja naprawdę stworzona jestem na detektywa. Inna na moim miejscu na pewno nie zwróciłaby na to uwagi: spojrzałam na datę i już wiedziałam wszystko.

Data była sprzed czterech dni!

Rzuciłam okiem na róże. Wyglądały zupełnie świeżo. Było niepodobieństwem, by zostały ścięte wcześniej niż dziś rano. Moja myśl pracowała zupełnie logicznie. Muszka przysłała kwiaty swoją drogą, lecz już zwiędły i zostały wyrzucone, a te wraz z wazonem pochodzą oczywiście od miss Normann. Mam tak zdyscyplinowane nerwy, że nie dałam po sobie poznać irytacji, która mnie ogarnęła.

Bez słowa zwróciłam mu kartkę, a on zapytał:

— No, teraz nareszcie mi wierzysz?

W jego głosie zabrzmiała nutka triumfu. Zmierzyłam go pogardliwym spojrzeniem i odpowiedziałam:

— O, tak. Wierzę ci bezgranicznie.

Ogarnęły go widocznie jakieś wątpliwości.

— Przecież znasz jej charakter pisma?

<sup>85</sup>wazon Gallet — zapewne chodzi o wazon z pracowni projektanta szkła w stylu *Art Nouveau*, Émile'a Gallé (1846–1904), założyciela i gł. reprezentanta szkoły z Nancy. W swoich pracach wykorzystywał formy ze świata roślin (np. wazony w kształcie kielichów kwiatów) oraz owadów i zwierząt morskich, stosował opracowane przez siebie metody barwienia oraz obróbki szkła (szlifowania, trawienia kwasem, techniki szkła warstwowego, wtapianie innowodnych elementów, np. metalowych), na jego sztukę miały wpływ studia nad produkcją wyrobów szklanych w antyku, średniowieczu oraz w daw. japońskiej sztuce użytkowej. Odmierna pisownia nazwiska w tym wypadku może wynikać z pomyłki z nazwiskiem jednego z założycieli znanej firmy perfumeryjnej, Charlesa Martiala Galléta. Istniejąca od 1862 r. perfumeria Roger i Gallet cieszyła się ogromnym prestiżem, zaopatrywała dwory europejskie (m.in. francuski i brytyjski), a wiele szykownych flakonów dla jej wyrobów zaprojektował inny sławny artysta tworzący w szkłe w stylu *Art Nouveau*, René Jules Lalique (wykonywał również wazon, misy oraz biżuterię i zegarki). [przypis edytorski]

<sup>86</sup>*largesse* (fr.) — hojność; wspaniałomyślność. [przypis edytorski]

— Ależ naturalnie.

— No, więc widzisz — odetchnął z ulgą.

Wewnętrznie trzęsłam się z wściekłości. Agresywność tej kobiety wyprowadziłaby z równowagi każdego. A cóż dopiero mnie! Jakaś dziwna predylekcja do moich mężczyzn. Poluje na każdego, z którym właśnie mnie coś łączy. Usiłuje odebrać mi Jacka, kokietowała Romka, a teraz zawzięła się na Tota. To jest obrzydliwa baba. Zabiłabym ją z przyjemnością.

Nie wiem, co bym dała za to, bym mogła wygarnąć mu tu zaraz, co sędzę o nim i co wiem o niej. Niestety, należało być cierpliwą i mądrze politykować. I skąd ta wdra dowiedziała się, że Toto miał wypadek i że leży w klinice? Przecież w gazetach na moją prośbę nie było o katastrofie ani słowa. Jacek przez swoje stosunki o to się postarał. Twierdził, że byłoby mu przykro, gdyby ogólnie wiadano, że jechałam nocą sama z dwoma obcymi panami. Jacek ma jeszcze przestarzałe poglądy na te sprawy i nie może odczytać się hipokryzji. Skoro zgadza się na to, bym była w podobnych sytuacjach, niechże się tego nie wstydzi przed ludźmi.

Oczywiście Toto kazał Antoniemu zatelefonować do niej do „Bristolu”. Albo jeszcze prawdopodobniej zrobił to na jego prośbę Mirski. To już byłby skandal! Wtajemniczenie Dominika w to, że mnie zdradza, byłoby ze strony Tota takim brakiem delikatności, jakiego mogłabym się spodziewać po człowieku pozbawionym wszelkich zalet taktu i subtelności. Może i ma rację Jacek, że uważa go za gruboskórnego.

Tym niemniej nie byłabym sobą, gdybym przez moment pomyślała o rezygnacji. To się po mnie nie pokaże. Powiedziałam:

— Wyobraź sobie, że nic dziś nie mam do roboty i nie bardzo chcę się pokazywać ludziom z tą szramą na czole. Może po południu odwiedzę cię znowu.

Gdybym nawet dotychczas o nic go nie podejrzewała, teraz nie miałabym już żadnych wątpliwości. Speszył się, zrobił kilka głupich min i bąknął:

— O, byłoby mi bardzo przyjemnie... Ale nie chcę cię trudzić.

— To żaden trud dla mnie. Nawet podobno gdzieś w niebieskich księgach wpisuje się nawiedzanie chorych jako zasługę.

— Jesteś dla mnie szalenie dobra — skrzywił się. — Ale widzisz... Ja przez całą noc miałem dość silne bóle w rękę i prawie nie spałem. Pewno będę bardzo śpiący...

— O, to nic nie szkodzi. Posiedzę i poczytam książkę.

Chrząknął rozpaczliwie i zdawało mu się, że trafił na świetny pomysł.

— Bo wiesz, możliwe też jest, że wpadnie tu do mnie cała hałastra moich przyjaciół klubowych, którzy zechcą opowiedzieć mi jakieś nowe kawały. Nawet dzwonił Zulek Tyszkiewicz...

— Tak? Bardzo chętnie go zobaczę.

Dobrze wymierzyłam i nieomylnie trafiłam. Jeżeli z rana przysłała mu kwiaty, na pewno zapowiedziała swoje przyście na popołudnie. Zachowywałam się w ten sposób, że Toto w żadnym razie nie mógł mnie podejrzewać o nic.

— Jesteś wyjątkowo dobra dla mnie — sapnął. — To naprawdę czarujące z twojej strony... Sama wiesz najlepiej, że z nikim się tak cudownie nie czuję, jak z tobą...

Szukał gorączkowo jakiejś nowej przeszkody, tym samym utwierdzając mnie w przekonaniu, że umówił się z miss Normann, jak dwa a dwa cztery. Nie pozostawało mi teraz nic innego, jak upewnić go, że nie przyjdę.

— Ach, prawda — zawołałam. — Na śmierć zapomniałam, że muszę dziś być u rodziców. Obiecałam solennie. Ojciec w jakichś sprawach wyjeżdża za granicę i muszę się z nim pożegnać. Chyba nie będziesz o to się gniewał na mnie?

Toto zrobił przesadnie smutną minę.

— Serio? Musisz koniecznie być u rodziców?

— Koniecznie.

— Zmartwiłaś mnie tym okropnie. To pech, że nie mam tu w pokoju telefonu. Moglibyśmy chociaż telefonicznie pomówić. Ale może byś wieczorkiem, tak po ósmej, znalazła czas?

Zaprzeczyłam stanowczo:

— Nie, nie. O tej porze to już nie będzie wypadło.

— Bardzo żałuję.

- Zobaczymy się jutro.  
Zrobił do mnie słodkie oczy.  
— Ale jutro za to wcześniej przyjdiesz?  
— Tak, kochanie. Postaram się jak najwcześniej.

Gdy wyszłam, odetchnąłem z ulgą. „Pokażę ja mu to wcześniejsze przyjście” — pomyślałam sobie. Plan układał się sam przez się. Jediną przeszkodą było to, że w pobliżu kliniki znajdowały się wyłącznie domy mieszkalne. Ani jednej cukierni czy kawiarni, w której można byłoby zaczekać. Jednego byłam pewna: ta kobieta przed piątą do niego nie przyjedzie. Najwcześniej o wpół do szóstej. Podczas obiadu Jacek zauważył, że jestem podniecona. Zapytał mnie nawet, czy nie spotkało mnie nic przykrego. Powiedziałam mu:

- Ach, przeciwnie. Spotka mnie dzisiaj raczej coś przyjemnego.

Spojrzał na mnie z tym wyrazem obawy w oczach, który obserwuję u niego od czasu, gdy zdobył się na wyznanie. Nic jednak nie powiedział. Piętnaście po piątej wzięłam taksówkę na placu Napoleona. W kilka minut później byłam już na miejscu. Kazałam szoferowi stanąć o dwa domy za kliniką. Miałam stąd dokładny widok nie tylko na całą ulicę, lecz i na wejście do kliniki. Moje przewidywania mnie nie zawiodły.

Upłynęło zaledwie dwadzieścia, może dwadzieścia pięć minut, gdy przyjechała. Ile ta kobieta ma płaszczów! Była teraz w granatowym, przybranym bardzo efektownie niebieskim lisem. Swoją drogą ma świetną sylwetkę i dużo harmonii w ruchach. To prawdziwe szczęście, że przynajmniej Jackowi się nie podoba.

Pozostawał do rozstrzygnięcia problem: jak długo pozostawić ich sam na sam?... Czy pozwolić im na dojście do jakiejś rozmowy bardziej *intime*<sup>87</sup>, czy raczej przeszkodzić w tym natychmiast?... Pierwsza ewentualność dałaby mi niewątpliwie większą satysfakcję. Byłoby to coś w rodzaju przyłapania *in flagranti*<sup>88</sup>. Mogłabym się nacieszyć jej miną i speszeniem Tota. Z drugiej jednak strony nie mogłam dla drobnej satysfakcji poświęcać spraw ważniejszych. Chodziło mi przecież o to, by nie dopuścić do zatriumfowania tej międzynarodowej awanturnicy nade mną.

Tak. Dla przyzwoitości odczekałam pięć minut z zegarkiem w rękę i weszłam do kliniki. Nie układałam sobie wcale tego, co im powiem i jak się zachowam. Dzięki Bogu, mam dość przytomności umysłu, by umieć zachować się w każdej sytuacji. Nie cierpię na *esprit de l'escalier*<sup>89</sup>, tak jak na przykład Toto, który w wypadku zaskoczenia nie umie znaleźć odpowiednich słów. Dopiero nazajutrz po długim i ciężkim myśleniu wynajduje dowcipną i ciętą odpowiedź. (Dowcipną i ciętą oczywiście w jego mniemaniu).

Stałam przy drzwiach. Drzwi były cienkie. Wyraźnie słyszałam ich śmiech.

„Ja wam się tu pośmieję!” — zacisnęłam zęby. Musiałam jeszcze wstrzymać się przez chwilę, gdyż ogarnęła mnie nagle taka złość, że gdybym weszła w tym nastroju, nagadałabym im nieludzkich impertynencji i tylko bym się skompromitowała. Mogliby wtedy podejrzewać mnie o to, że czatowałam na miss Normann i że jestem zazdrosna.

Lekko, lecz zdecydowanie zapukałam do drzwi. Długa pauza — i wreszcie głos Tota:

— Proszę.

Nacisnęłam klamkę i wbiegłam do pokoju z taką swobodą, jakby mnie tu od dawna oczekiwano.

— Ach, cóż za spotkanie — zawołałam. — Jakże się cieszę, że panią widzę! Co pani powie, miss Normann, o tym lekkomyślnym mordercy i samobójcy, który omal siebie i mnie nie pozbawił życia?! Jak to ładnie ze strony pani, że go pani odwiedziła!

Na twarzy miss Normann poza uprzejmym wyrazem nie znać było żadnego wzruszenia. Natomiast rysy Tota zeszytywniały w jakimś przekomicznym i wstrętnym grymasie. Wyglądał tak, jakby połknął jajko na twardo i jajko stanęło mu w przełyku.

Skonstatowałam od pierwszego rzutu oka dwie rzeczy: ta baba siedziała na fotelu w przyzwoitej odległości od łóżka, natomiast najbezczelniej w świecie zdjęła nie tylko palto, lecz i kapelusz. Ta poufałość była oburzająca. Jeżeli zamierzała tu zostać Bóg wie jak długo, wyperswaduję jej to z łatwością.

Udając, że nie dostrzegam jego zmieszania, zwróciłam się do Tota:

<sup>87</sup>*intime* (fr.) — intymny, bliski. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>*in flagranti* (łac.: *in flagranti delicto*) — na gorącym uczynku. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>*esprit de l'escalier* (fr.) — spóźniony koncept, spóźniony refleks. [przypis edytorski]

— Wyobraź sobie, jak szczęśliwie się stało! Ojciec odłożył swój wyjazd i mam czas dla ciebie. Przyniosłam ci gryłazowe czekoladki, które tak lubisz.

Toto skręcił się pod moim wzrokiem jak piskorz.

— Jakże się czujesz? — trzepałam beztrósko i pieczołowicie. — Nie bardzo dolega ci ręka?... Może ci wyżej podnieść poduszki?... Nie ma pani pojęcia, jak niezaradni i bezbronni są wszyscy mężczyźni podczas choroby. Ja, co prawda, dopiero od trzech lat jestem mężatką, ale muszę w tym względzie mieć większe doświadczenie niż pani. Toto, kochanie, czy tu nie za gorąco? Może ci okno otworzyć?

Z ust Tota wydobył się jakiś nieartykułowany bełkot, który miał oznaczać, że istotnie jest mu za gorąco. Między nami mówiąc, nie zdziwiłam się tym wcale. Będzie mu jeszcze goręcej!...

Okryłam go z największą starannością i otworzyłam okno. Na dworze co prawda było prawie tak ciepło jak w pokoju. Czułam wciąż na sobie wzrok miss Normann. Przyglądała mi się badawczo, gdy zaczęłam robić porządek na stoliku przy łóżku. Jestem ciekawa, czy moje zachowanie się w stosunku do Tota nie posłuży dla niej jako argument w przekonaniu Jacka, by do niej wrócił.

Oczywiście Jacek absolutnie nie weźmie tego pod uwagę. Po pierwsze, wierzy mi bezgranicznie, a po drugie, nie ukrywałam przed nim nigdy (a przynajmniej w ostatnich czasach) tego, co myślę o walorach Tota. Śmiał się nieraz do łez, gdy opowiadałam mu o nim różne historyjki. Jestem przekonana, że jeszcze bardziej rozbawiłoby go czyjeś posądzenie, podsuwające mu myśl, że między Totem a mną istnieje coś więcej poza zwykłą przyjaźnią. Tym bardziej nie uwierzyłby miss Normann. Ona jednak nie może o tym wiedzieć i dlatego prawdopodobnie będzie próbowała intrygi.

Tym swobodnie, tym demonstracyjnie nadawałam swemu zachowaniu się pozory największej poufałości. Przewyciężając wręcz odwrotne pragnienia, pogłaskałam nawet Tota po twarzy. Stwierdziłam przy tym, że świeżo kazał się ogolić. To wszystko dla miss Normann. W tym krzątaniu się zwróciłam się do niej:

— Jaki śliczny wazon — powiedziałam. — Gdzie go pani dostała?

Toto rzucił się na łóżku i przełknął ślinę z takim hałasem, jakby właśnie się dusił. Ona, chociaż nie mogła tego nie dostrzec, odpowiedziała ku jego przerażeniu:

— Zbyt mało znam Warszawę. Nie mogłabym określić. To na takiej długiej ulicy, w takim bardzo dużym sklepie.

— Ślicznie dobrany do koloru róż — skinęłam głową. — Musisz uważać, Toto, by zawsze w tym wazonie były takie właśnie róże. Jakże?... Jakże pani się czuje po powrocie z Krynicy?

— Och, dziękuję pani. Doskonale.

— Czy nie spotykała pani w Warszawie pana Żerańskiego?

— Kogo? — zapytała z szczerym zdziwieniem.

— Pana Żerańskiego, który był partnerem pani w wycieczkach narciarskich. Och, miss Normann, ma pani, jak widzę, krótką pamięć, jeżeli chodzi o pani adoratorów.

— O, bynajmniej — zaprzeczyła żywo. — Tylko z polskimi nazwiskami jest mi trudno. Wszystkie wydają mi się podobne do siebie. Jeżeli chodzi o pana Romana, pamiętam go doskonale. W Warszawie jednak go nie widziałam. Zdaje się, miał zamiar wyjechać do Szwajcarii.

— To czarujący chłopak. No i naprawdę piękny. Nie znajduje pani?

Miss Normann bez zająknięcia potwierdziła. Jednak ona ma dobrą klasę. Powiedziała swobodnie:

— Bezsprzecznie to jeden z najładniejszych mężczyzn, jakich widziałam w życiu.

Miałam teraz szaloną ochotę powiedzieć jej, że Roman kocha się we mnie jak szalenię już od lat i że gdybym kiwnęła palcem, wróciłby już nie z Szwajcarii, ale z końca świata. Musiałam jednak sobie odmówić tej satysfakcji. Zależało mi na pognębieniu Tota. Znając jego prostoduszność, byłam pewna, że od tej chwili nie ma już najmniejszej wątpliwości co do tego, że miss Normann i Romka łączył romans.

Dla Tota jest rzeczą niezrozumiałą, by jakikolwiek mężczyzna mógł przebywać i pokazywać się z kobietą z jakichkolwiek innych przyczyn i w jakimkolwiek innym celu.



Zresztą znał przecież Romka i nieraz miał możliwość zazdrościć mu sukcesów. Oczywiście na myśl Totowi nie przyszłoby, że Romek sukcesów tych nie realizuje.

W tej chwili prawie nienawidziłam tego głupca. Zmarnował mi najlepsze lata mojego życia! Przez ten czas mogłabym się zająć kimś wartościowym, człowiekiem o wybitnym intelekcie, wymieniać z nim myśli, a tym samym nie tylko wzbogacać własną umysłowość, lecz i jego. Taki Toto, jestem przekonana, z tak długiej znajomości ze mną wyciągnął zaledwie małe korzyści. Zapewne trochę zmadrał, ale niestety, tylko trochę.

Chętnie pomówiłabym o tym otwarciu z miss Normann. Nie sprawia wprawdzie na mnie wrażenia szczególnie inteligentnej, ale dość jest sprytna i wyrobiona życiowo, by poznać się na Tocie. I co ona w nim widzi?... Gdyby chodziło jej o pieniądze, rozumiałabym jeszcze, ale na tym jej przecież nie zależy. Jako obiekt do flirtu Toto bynajmniej nie jest pociągający. O ile zdążyłam zapamiętać, jego repertuar uwodzicielski składa się z trzech sloganów:

- 1) Pani jest dziś oszołamiająca.
- 2) Gdybym miał prawo panią pokochać, byłbym najszczęśliwszym z ludzi.
- 3) Jeżeli nie przyjdiesz o piątej, oszaleję.

Takich mężczyzn jak on są setki. Mógłby ją nęcić tytuł rodowy i pozycja towarzyska. Ale nie jest chyba tak naiwna, by sądzić, że Toto się z nią ożeni. Pod tym względem, na szczęście, ma dużo zdrowego rozsądku. Rozsądku i pychy. Gdyby dostał za żonę księżniczkę z domu panującego, jeszcze nie uważałby, że zrobiono mu łaskę. Zresztą kobiety typu miss Normann, zwłaszcza w jej wieku, po zaznaniu kilku lat zupełnej swobody nie tęsknią do małżeństwa. Jeżeli żąda teraz od Jacka, by do niej wrócił, jest to wynikiem albo jakiegoś kaprysu albo prawdziwego uczucia, które się nagle w niej obudziło. To ostatnie zwłaszcza wydaje mi się możliwe, chociaż wygląda na nieprawdopodobieństwo.

— Pani, zdaje się, także zamierzała wyjechać do Szwajcarii? — zapytałam i nie czekając na odpowiedź, która oczywiście byłaby zaprzeczeniem, mówiłam długo i szeroko o Szwajcarii i jej urokach.

Musiła spostrzec się w intencjach, jakimi się kierowałam, gdyż uśmiechnęła się kącikiem ust. Z kolei zaczęłam mówić o inteligencji i szerokich zainteresowaniach Romka. Każde moje słowo w tej oracji było jakby szpilką dla Tota. Rozmyślnie przesadzałam, by mu sprawić przykrość.

Miss Normann słuchała uprzejmie, podczas gdy on wciąż ocierał pot z czoła, nie mogąc zdobyć się nawet na jedno zdanie sprzeciwu, chociaż Romka nie lubił i nazywał go sensatem<sup>90</sup>.

Później zaczęłam z miss Normann rozmowę o najnowszej beletrystyce francuskiej. Toto, do którego opinii odwoływałam się umyślnie, nie mając o tym pojęcia, bąkał niewyraźnie. Wreszcie miss Normann uznała, że wizyta jej przeciąga się zbyt długo i wstała. Gdy zaczęła się żegnać, ja zrobiłam to samo. Nieszczęsny Toto, który na pewno drżał na myśl, że zostanie ze mną sam na sam i że będzie musiał kajać się w pokorze, ze szczęścia odzyskał trochę przytomności i zdobył się na parę okrągłych zdań.

Wyszliśmy razem. Nie wypadałam z roli i nadal zachowywałam się wobec niej jak naiwna trzpiotka. Nie miałam wprawdzie nadziei zwieść jej w ten sposób, lecz uniemożliwiałam rozpoczęcie prawdziwej rozmowy. Pożegnałyśmy się przy postoju taksówek. Wróciłam do domu dumna z siebie. Tak załatwić podobnej sprawy nie potrafiłoby kobieciątko.

Sobota

Chociaż nie miałam najmniejszego zamiaru odwiedzenia Tota, z rana zatelefonowałam do kliniki i powiedziałam Antoniemu, by zakomunikował swemu panu, że wstąpię do niego. W ten prosty sposób zakorkowałam Tota na cały dzień.

Niedziela

Przed południem posłałam Jacka do kliniki i kazałam mu zapowiedzieć moją wizytę na po obiedzie. Niech czeka. Mam dziś fajf<sup>91</sup> u ministrowej Goryckiej, a wieczorem ja-

<sup>90</sup>sensat (daw.) — człowiek przesadnie poważny. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>fajf (z ang.) — stałe popołudniowe spotkania w prywatnych domach, daw. zwyczajowo odbywające się o piątej (stąd nazwa). [przypis edytorski]

dę na wielki obiad proszony do Nieborowa. Mam cudną suknię od Chanel. Kosztowała piekielnie drogo, ale za to wyglądam w niej uroczo.

Poniedziałek

Z rana Jacek zapukał do mojej sypialni i powiedział trochę zdziwionym tonem:

— Dzwoni do ciebie jakiś cudzoziemiec, który nie chce podać swego nazwiska. Czy zechcesz z nim mówić?

W pierwszej chwili przyszedł mi na myśl Robert i zrobiło mi się okropnie przykro. Dopiero po sekundzie uświadomiłam sobie, że przecież biedny Robert nie żyje. Dlaczego jednak ten człowiek nie chce podać swego nazwiska? Z żadnym cudzoziemcem, których znam przecież tylu, nie łączą mnie takie stosunki, bym musiała z nich robić tajemnicę.

— Może to jakiś komiwojazer — wzruszyłam ramionami. — Oni często uciekają się do podobnych bezczelności. Zapytaj go, w jakiej sprawie.

Jakbym przeczuwała, że to będzie coś ważnego, wyskoczyłam jednak z łóżka i nałożyłam szlafroczek. Jacek wrócił z oznajmieniem:

— Ten jegomość, nieszczególnie zresztą mówiący po francusku, z jakimś jakby holenderskim akcentem, twierdzi, że musi się z tobą rozmówić w sprawie, która cię bardzo obchodzi. Oświadczyłem mu, że jestem twoim mężem, lecz pomimo to żądał rozmowy z tobą.

Podchodząc do aparatu nie miałam pojęcia, o co chodzi, lecz gdy tylko odezwałam się, usłyszałam pytanie:

— Czy to pani korespondowała z moim biurem w Brukseli w sprawie pewnej damy?

— Tak, tak. To ja.

— Z polecenia szefa przyjechałem do Warszawy by pani przedstawić rezultaty naszych poszukiwań.

— Słucham. Słucham pana.

— Rzecz nie nadaje się do rozmowy telefonicznej. Prosiłbym panią o wyznaczenie mi godziny i miejsca spotkania.

Zawahalam się. Pokazanie się gdziekolwiek publicznie z jakimś detektywem byłoby zupełnie nie na miejscu. Już i tak dość najadłam się przykrości przez randki ze stryjem Albinem. Zaprosić go do siebie nie mogłam przez wzgląd na Jacka. Nie było innej rady. Musiałam zdecydować się na pójście do niego.

Zapytałam:

— Gdzie się pan zatrzymał?

— Hotel „Polonia”. Numer 136. Czy mogę panią czekać u siebie?

— Tak. Będę o dwunastej.

Odłożyłam słuchawkę i przez chwilę nie odchodziłam od telefonu. Jacek z sąsiedniego pokoju słyszał całą rozmowę. Co z niej mógł zrozumieć?... Tylko to, że umówiłam się z jakimś cudzoziemcem u niego w hotelu. Nie mogłam mieć złudzeń: Jacka to nie zachwyciło. Niepodobna było ostrożniej mówić przez telefon, wobec czego, nie mając możliwości udzielenia Jackowi wyjaśnień, należało ich po prostu odmówić.

Przeszłam do jadalni i kazałam sobie podać śniadanie. Jacek usiadł naprzeciw przy stole, udając, że przegląda gazety. Po chwili nie wytrzymał.

— Któż to telefonował? — zapytał.

Spojrzałam nań karcąco.

— Mój drogi, czy ja cię pytam, gdy do ciebie dzwonią jakieś panie?

— Nie. Przepraszam cię, nie sądziłem, że to jakaś tajemnica.

— Właśnie tajemnica. Każdy może mieć swoje tajemnice. Wyobraź sobie na przykład, że ten pan jest... moim pierwszym mężem, z którym potajemnie wzięłam ślub.

Cios był bolesny. Jacek przybladł, wstał i wyszedł z pokoju. Zrobiło mi się go trochę szkoda. Biedak i tak chodzi po domu jak banita, któremu lada dzień grozi wygnanie. Od czasu swoich zwierzeń nie odważył się ani razu zwrócić się do mnie z pieszczotami. Zawsze był zanadto przesubtelniejszy. Oczywiście ja nie mogłam go zachęcać do poufności, chociaż mi czasami — wyznaję — bardzo tego brakowało.

Parę minut po dwunastej byłam już w hotelu. Przyznam się, że doznałam miłego rozczarowania. Nie wiem dlaczego, ale wyobrażałam sobie takiego detektywa jako tłustego

człowieka w średnim wieku, o małych przenikliwych oczkach i źle ogolonej twarzy. Tymczasem zastałam wysokiego, bardzo przystojnego młodzieńca, typ skandynawski: szczupły, blondyn o pogodnych, niebieskich oczach i wyrazistych zmysłowych ustach. Ubrany był doskonale, a jego formy nie pozostawiały nic do życzenia. Ogarnął mnie zaciekawionym spojrzeniem i zapytał:

— Pani Renowicka, nieprawdaż? Pani pozwoli, że się przedstawię: van Hobben.

— Gdzieś już słyszałam to nazwisko — powiedziałam, gdyż istotnie tkwiło w mojej pamięci.

— To bardzo możliwe, proszę pani, jeżeli była pani we Flandrii.

— Ach, tak — rozjaśniło mi się w głowie. — Naturalnie. Zamek Hobben. Śliczny, średniowieczny zamek.

Młody człowiek pochylił głowę.

— Był kiedyś siedzibą moich przodków.

Na pewno nie kłamał. Każdy szczegół jego powierzchowności, każdy ruch, a nawet sposób mówienia zdradzały dobrą rasę. Przysunął mi fotel. Siadając zapytałam:

— A teraz ma pan biuro detektywów?... Czy to dla sportu?...

Zaśmiał się swobodnie:

— Gdzież tam, proszę pani. Jestem zaledwie jednym z pracowników tego biura. A jeżeli chodzi o ustosunkowanie się do moich zajęć... zapewne, pod niektórymi względami zdecydowała o tym żyłka sportowa.

— Pan jest jeszcze bardzo młody — zauważyłam.

Rzeczywiście wyglądał najwyżej na lat dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy. Gdyby nie usta, które chwilami układały się w smutny i sarkastyczny jakby uśmiech, pomyślałabym, że mam przed sobą niedowarzonego studencika.

— Nie zawsze jest to równoznaczne z brakiem doświadczenia — powiedział znacząco.

Widocznie jednak moja uwaga sprawiła mu przykrość, gdyż chrząknął i sięgnął po teczkę, z której wydobyl plik papierów.

— Przystąpmy jednak do rzeczy — zaczął. — Otóż przede wszystkim muszę pani zakomunikować, że miss Elisabeth Normann i tancerka kabaretowa Sally Ney są jedną i tą samą osobą. Szereg osób rozpoznało ją w Buenos Aires. Nie może być co do tego najmniejszej wątpliwości.

— Więc jednak? — zawołałam triumfująco.

— Tak. Nie omyliła się pani. Zresztą osoba ta, jak udało się nam ustalić, używała w różnych miejscowościach globu różnych nazwisk. Dotychczas naliczyliśmy ich dwanaście.

— Czy między innymi nie używała mego nazwiska? — zapytałam z niepokojem.

Spojrzał na mnie bardzo uważnie.

— Czy miałyby ku temu jakieś podstawy?

Wzruszyłam ramionami.

— Jeżeli ktoś używa wielu nazwisk, można być pewnym, że robi to bez żadnych podstaw prawnych.

Przecząco potrząsnął głową.

— Jako madame Renowicka nie występowała nigdzie. Raz tylko, w ubiegłym roku w Rzymie, a następnie podczas podróży po Libii, posługiwała się polskim nazwiskiem...

Pochylił się nad papierami i z trudem wyrecytował:

— Halina Jaszczółt. Strasznie trudne nazwisko. — Uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo. — Czy Polakom też z taką trudnością przychodzi wymawianie nazw cudzoziemskich?

— O, nie — zaprzeczyłam. — Chyba że są to nazwy na przykład flamandzkie. Nigdy sobie nie umiałam z nimi poradzić.

— Chętnie podjąłbym się lekcji, gdyby pani kiedyś zawitała do nas — skłonił się nie bez kokieterii.

— Z tego wynika, że pan niedługo zabawi w Warszawie?

— Muszę stąd wyjechać jak najprędzej. Mam dwie bardzo pilne sprawy. Jedną w Gdańsku, a drugą w Kopenhadze. Warszawę widzę po raz pierwszy. Z przyjemnością zostałbym tu dłużej. Zarówno miasto, jak i jego mieszkańcy bardzo mi się podobają.

Jego zachowanie się i sposób mówienia świadczyły o dużym wyrobieniu i zdawały się przeczyć jego młodości. Wyznam, że nie lubię takich młodych chłopców. Właściwie mężczyzna zaczyna się od trzydziestki. Nie rozumiem na przykład Toli, która przepada za smarkaczami. Taki młodzieniec albo śmiesznie pozuje na zblazowanego i udaje cynika, co wyraża się obrzydliwym brakiem dyskrecji, albo chce „prawdziwej, wielkiej miłości”, wyłączności, pisze sążniste wyznania, czatuje po bramach, wzdycha do telefonu i robi podobne śmieszności.

Pamiętam coś w rok po ślubie poznałam młodszego de Godant. Zatańczył ze mną dwa razy na balu „Latarni”, a nazajutrz przyszedł w żakiecie do Jacka, by mu wyznać, że mnie kocha i że jako lojalny dżentelmen chce Jacka uprzedzić, że będzie walczył o zdobycie moich uczuć. W końcu popłakał się i coś przez miesiąc przysyłał mi codziennie kwiaty. Skończyła się ta sielanka dopiero wówczas, gdy wzięto go do podchorążówki.

Pan van Hobben jednak nie robił wrażenia młokosa. Jego młodzieńczość pełna była jakiejś treści tajemniczej i skomplikowanej. Już sam fakt, że wybrał sobie tak dziwny fach, jak zawód detektywa, musiał zaciekawiać.

— Szkoda, że pan wyjeżdża — powiedziałam, nadając głosowi umyślnie ciepłą barwę. — Niezależnie od naszych interesów chciałabym, by pan mi opowiedział coś o swoich przygodach. To musi być niesłychanie frapujące. Kocha pan to zajęcie?

— Słowo „kocham” nie byłoby tu trafne. Przyzwyczailem się doń jak alkoholik do napojów wysokowych. Jest to swego rodzaju nałóg. I nie wiem, czy się go kiedy pozbędę.

— Często pan bywa narażony na niebezpieczeństwa?

Skinął głową.

— O, tak. Lecz właśnie to pociąga. To i przewidywania. Gdy tylko dostanę jakąś sprawę, przede wszystkim, wzorując się na Sherlocku Holmesie, buduję sobie szereg hipotez. Z nich wyłania się koncepcja śledztwa. Wtedy dopiero zabieram się do roboty. Gdy mi szef polecił zająć się powierzoną nam przez panią sprawą, przyznam się, że bardzo się nią zainteresowałem. To nie jest rzecz tuzinkowa. Spodziewam się, że pod nazwiskiem miss Elisabeth Normann kryje się ktoś zupełnie niebezpieczny.

— Tak pan sądzi? Ale niebezpieczny pod jakim względem?

— Nie mam jeszcze żadnych danych. Wygląda to mi jednak na handel narkotykami, na przemyt czy coś w tym rodzaju. Osoby tak często zmieniające miejsce zamieszkania i nazwisko nie robią tego zazwyczaj w uczciwym celu.

— I mnie coś podobnego przychodziło na myśl — skinęłam głową. — Czy pan wie, że ona jest obecnie w Warszawie?

— Naturalnie — odpowiedział z uśmiechem. — Przyjechałem wczoraj wieczorem i przede wszystkim zająłem się odszukaniem tej pani. Mieszka w hotelu „Bristol”, nieprawdaż? W ciągu dnia dzisiejszego postaram się ją obejrzeć. Byłoby bardzo wskazane w jakiś dyskretny sposób przeszukać jej rzeczy. Przypuszczam jednak, że jest zbyt sprytna, by na to pozwolić.

— Więc niech pan sobie wyobrazi, że wcale nie jest tak sprytna. W Krynicy, to jest taka nasza miejscowość kuracyjna, skąd przesłałam panom jej fotografię, miałam możliwość zrewidowania pokoju tej pani. Nie znalazłam nic, co by mogło naprowadzić na jakiś ślad. Żadnej korespondencji, żadnych dokumentów. Nic.

Spojrzał na mnie szczerze zdziwiony.

— Jak to? I to pani sama rewidowała jej rzeczy?

— Ja sama.

Zrobił niewyraźny ruch ręką.

— No tak, widzi pani. Ale pani nie mogła tego zrobić fachowo. Tego rodzaju rewizje dają jakieś rezultaty w tym jedynie wypadku, jeżeli dokonuje ich ktoś obeznany z podobnymi zadaniami. Poza tym zdarzają się szczegóły, które dla niefachowca nic nie znaczą, fachowcowi natomiast dają od razu wiele poszlak. Ale wróćmy do mego sprawozdania. Otóż zdołaliśmy ustalić, że kobieta, którą pani zna pod nazwiskiem Elisabeth Normann, przez przeszło pół roku pełniła obowiązki stewardesy na niemieckim transatlantyku „Bremen”, pod nazwiskiem Karoliny Bunsche. W kilka miesięcy później odnajdujemy ją w Barcelonie. Jest bibliotekarką w archiwum rządu katalońskiego. Występuje jako wdowa po słynnym lotniku amerykańskim Howardzie Peatsie, przy czym używa swego obecnego imienia Elisabeth. Na przeszło trzy miesiące tracimy ją znowu z oczu. Następnie mieszka

w Nicei w hotelu „Negresco” z rzekomym swym mężem, emigrantem włoskim Paulino Danieli...

Słuchałam i nie wierzyłam własnym uszom. Tyle informacji! Jaka to niebezpieczna rzecz takie biuro detektywów. Dostałam wprost gęsiej skórki na myśl, że ktoś mógłby w podobny sposób mnie śledzić. Przed tymi ludźmi nic się nie ukrywa. Naprawdę byłam zawsze zanadto lekkomyślna, trzeba bardziej na siebie uważać.

Van Hobben sypał szczegółami jak z rękawa. Podawał daty, nazwy miejscowości, nazwiska. Przy tej okazji dowiedziałam się, że ta anielica ma przynajmniej siedem niewątpliwych romansów, które się dadzą udowodnić. To wystarczy każdemu sądowi na udzielenie rozvodu.

Pod względem kryminalnym też na pewno nie ma czystej ewidencji. Pan Hobben ma rację, podejrzewając ją o handel narkotykami, bo skoro widywano ją w Szanghaju w towarzystwie znanego handlarza opium, nie ulega wątpliwości, że miała z nim konszachty zawodowe. Na tym niecznym procederze zrobiła prawdopodobnie wielki majątek, sprzykrzyła się jej teraz wieczna włóczęga i przypomniała sobie Jacka.

Słuchając sprawozdania tego czarującego van Hobbena drżałam jednak na myśl, że mogli oni wysledzić również fakt małżeństwa tej wydry z Jackiem. Wprawdzie van Hobben w żadnym wypadku nie wyglądał na szantażystę, przypominał raczej ów niezwykle atrakcyjny typ dżentelmena-włamywacza, jednak bardziej dżentelmena niż włamywacza. Należało wszakże wziąć pod uwagę fakt, że jego szef może być zwykłym szantażystą, a nie wiadomo, czy Hobben zachowałby przed nim w tajemnicy fakt amerykańskiego małżeństwa mego męża. Gdyby zechciał mi obiecać dyskrecję, chętnie wyznałabym mu i to. Może takie zwierzenie ułatwiłoby mu dalsze poszukiwania.

W tej chwili z całą jasnością rozumiałam, że w żadnym wypadku nie mogłabym liczyć na dyskrecję Hobbena inaczej, jak tylko wtedy, gdyby w stosunku do mnie miał jakieś zobowiązania moralne, najzupełniej prywatnej natury, gdyby nas łączyła przyjaźń, miłość czy choćby przygoda. Ostatecznie muszę się nad tym poważnie zastanowić. Przecież tyle już poświęciłam dla dobra Jacka, dla uratowania jego honoru i opinii... Jacek nigdy nie domyśli się, do jak wielkich ofiar jestem dla niego zdolna.

Nie będę tu przytaczała tych wszystkich wiadomości o miss Normann, które podał mi pan Hobben. Nie miałyby to racji, gdyż szczegóły te same przez się nic istotnego nie wnoszą. Ważne może być tylko to, że ta kobieta w swojej ryzykownej karierze miała wyjątkowe szczęście: nigdy nie została przyłapana na żadnym przestępstwie i nie udało się stwierdzić, by siedziała w więzieniu. Raz tylko aresztowano ją przed dwoma laty w Singapurze, lecz po przesłuchaniu natychmiast wypuszczono.

Zastanawiające było również, że mieszkała przez rok niemal w Pradze czeskiej, w niezwykle skromnych warunkach. Odnajmowała pokój przy rodzinie jakiegoś sierżanta, jadła w ubogiej garkuchni, pracowała w jednym z hoteli jako telefonistka. Trudno mi uwierzyć, by kobieta z towarzystwa (trudno, nie mogę jej tego odmówić), kobieta przyzwyczajona do zbytku i do absolutnego nieliczenia się z wydatkami, bez konieczności utrzymania się przy życiu, mogła zdobyć się na tak długie i straszne wyrzeczenie się wszystkiego. Van Hobben wszakże jest zdania, że raczej należy przypuścić ewentualność przeciwną. Jego zdaniem miss Normann musiała w ten właśnie sposób ukrywać w Pradze swoje machinacje przestępcze.

Było już po drugiej, gdy skończył swoje relacje. Powiedziałam wówczas:

— Nie, panie van Hobben. Za żadne skarby nie zgodzę się na to, by pan zostawił mnie teraz samej sobie. Pan mi może tu ogromnie pomóc. Niech pan zostanie chociaż na dwa tygodnie... Na tydzień!...

W jego pięknych oczach błysnął na chwilę ogień, po którym już niemal byłam pewna jego zgody. Już chciał powiedzieć coś obowiązującego, ale chrząknął tylko i po chwili rozłożył ręce:

— Niestety, *madame*, wspomniałem pani już o czekających mnie zadaniach w Gdańsku i Kopenhadze.

— Mój Boże — oburzyłam się. — A czy koniecznie musi to pan załatwić? Czy pańskie biuro nie może tam wysłać kogoś innego?

— Teraz już nawet nie mogłoby, gdyż właśnie ja posiadam wszystkie potrzebne materiały.

— Ach, proszę pana... Widocznie bardzo się panu nie podoba w Warszawie. Chce pan z niej jak najprędzej uciec. Cóż dla pana znaczy prośba jednej z jakichś dalekich i przelotnych klientek...

— Och, niechże pani tego tak nie traktuje — odpowiedział z niewątpliwą szczerością w głosie. — Proszę mi wierzyć, *madame*, że dla dobra takiej klientki jak pani, zostałbym nie tylko w Warszawie, ale nawet na Biegunie Północnym poty, póki tego by chciała.

Uśmiechnęłam się ze smutkiem.

— Pańska uprzejmość jest tylko werbalna. Niestety...

— Niestety — podchwycił — nie mam żadnej możliwości, by pani udowodnić, że to nie jest bynajmniej uprzejmość z mojej strony. I że raczej, jeżeli chodzi o werbalizm, pokrywa on u mnie treść znacznie istotniejszą, niż to pani raczy przypuszczać.

— Gdybym mogła w to wierzyć, sądziłabym, że nic prostszego, jak wysłać te papiery, które pan ma przy sobie, do Brukseli.

Pan Hobben zamyślił się.

— Istotnie — odezwał się po chwili — nie wiem wszakże, czy w Brukseli będą mieli kogoś, kto by mógł zaraz wyjechać do Kopenhagi i Gdańska. Widzi pani, wraz z wiosną zaczyna się u nas najgorętszy sezon.

— Dlaczego wraz z wiosną? — zdziwiłam się.

— To bardzo proste. Powierzają nam przeważnie swoje sprawy zawiedzeni mężowie lub zazdrosne żony. Rozumie pani? Sprawy, których nie można oddać policji, gdzie zależy na dyskrecji. Otóż z wiosną tych spraw bywa najwięcej.

Uśmiechnęłam się.

— Wobec tego muszą panowie dobierać bardzo dyskretnych współpracowników.

— O tak — zapewnił mnie z największym naciskiem. — Niepowściągliwość języka z naszej strony mogłaby wypełnić skandalami całą Europę. Zresztą w interesie własnym nasze biuro zatrudnia wyłącznie ludzi o pewnym poziomie towarzyskim i etycznym.

To zapewnienie z jego strony przedstawiło mi go jeszcze sympatyczniej. Nie mogłam mieć wątpliwości, że pomimo swego bardzo młodego wieku ten chłopak w zupełności zasługuje na zaufanie. I ja musiałam na nim zrobić duże wrażenie. W jego sposobie patrzenia, w tembrze jego głosu, w całym jego zachowaniu się było to widoczne. Pochlebiam sobie, że znam się na tym trochę.

W rezultacie zgodził się na moją prośbę. Oczywiście wyjaśniłam, że wszystkie wydatki, jakie z tego tytułu poniesie biuro, pokryję bez zastrzeżeń. Ponieważ musiałam spieszyć do miary, nie mogłam od razu z nim wszystkiego omówić. Postanowiliśmy tylko, że przyjdę do niego o siódmej wieczór i ułożymy cały plan działania.

Poniedziałek, wieczorem

Przyglądał mi się jak wilk jagnięciu. Rzeczywiście w nowej sukni wyglądałam niesłychanie efektownie. Te toalety wieczorowe bez ramiączek, jak utrzymuje Dominik, zawsze sprawiają u mężczyzn wrażenie „dostępu ułatwionego”. Oczywiście nie nałożyłam tego dla pana Hobbena. Ponieważ jednak obiad u Kaziów był o ósmej, nie miałabym już po wizycie u Hobbena czasu na przebranie się, wołałam więc przyjechać do niego w tej sukni.

Mam pewien niezawodny sposób postępowania z mężczyznami, który przy pomocy mego *Pamiętnika* chcę ofiarować moim Czytelniczkom. Otóż pozwałam sobie na tym większą zalotność, a nawet zaczepność, im skromniej jestem ubrana. W zapiętym pod szyję kostiumie i w bucikach sportowych staję się frywolna i przystępna. Natomiast im większy mam dekolt, tym jestem skromniejsza, naiwniejsza, bardziej niewinna. W kostiumie kąpielowym zachowuję się już prawie jak pensjonarka z *Sacré-Coeur*.

Ten system, zapewniam, daje znakomite efekty. Pozwala na jednakowo silne oddziaływanie na wyobraźnię mężczyzn i w rezultacie zapewnia niezmiennie powodzenie.

Kobieta, Mężczyzna, Strój

*Autorka pamiętnika szerzej rozwija tu swoją teorię. Aczkolwiek jednak jej filozofia powodzenia może być ze wszelkich miar interesująca dla pań, uważałam za stosowne skreślić resztę wywodów.*

*Pamiętnik dostanie się w ręce nie tylko kobiet, lecz i mężczyzn. Uważałbym zaś za wielką stratę dla tych ostatnich, gdyby przez poznanie zakulisowej maszyneryi uroków niewieścich doznali rozczarowania i nabrali sceptycznych poglądów na spontaniczność pobudek kierujących kobietą. Sądzę, że kilka słów, wypowiedzianych na temat powyżej przez p. Renowicką, Czytelniczkom jej wystarczy w zupełności do rozwinięcia jej teorii w praktyce z należytych wyników. (Przypisek T. D. M.)*

Nasz plan ułożyliśmy w następujący sposób: pan Hobben zamieszka od rana w „Bristolu”, w pokoju przylegającym do pokoju miss Normann. Umożliwi to mu szereg działań. A więc poznanie jej, zrewidowanie jej rzeczy, a możliwe, że nawet stwierdzenie, kto u niej bywa i o czym z nią mówi.

Dotychczas już zdążył ją zobaczyć tak, że go nie widziała. Było to konieczne ze względu na to, że miss Normann musi być przekonana o tym, że on przyjedzie właśnie jutro rano. Poda się za agenta jednej z dużych firm holenderskich, który przybył do Polski dla załatwienia interesów. Oczywiście my, to znaczy ja i pan Hobben, będziemy udawali, że się nie znamy. Największym jego marzeniem jest dostać pokój bezpośrednio nad pokojem miss Normann. Nie jest jednak pewien, czy mu się to uda. Na pożegnanie po raz pierwszy pocałował mnie w rękę.

Zrobił to z takim szacunkiem, jakbym była królową. Ma niezwykle drażniący dotyk warg. Skąd tyle szarmu u tego smarkacza?!

Na obiedzie było dość wesoło. Nawet Jacek bawił się dobrze, co w ostatnich czasach zdarzało mu się rzadko. Kaziowa kokietowała go zawzięcie. To mnie tylko pobudzało do śmiechu. Biedna idiotka! Zdawało się jej, że może mieć u niego jakieś szansę z tymi sztucznymi zębami i ze swoją trzydziestką. U niego! Który ma taką żonę, a raczej takie dwie żony!

Poznałam nareszcie owego przemysłowca śląskiego, który się od tak dawna dobijał, by zostać mi przedstawionym. Wcale miły pan. Typ amerykańskiego selfmademana w Londonowskim guście. To jest zupełnie inny gatunek niż dorobkiewicz europejscy, którzy są nie do zniesienia. Pan Jurgus nie pozuje na dobre maniery. Ma swoje własne. Kanciaste i prymitywne, ale właśnie dlatego do przyjęcia.

Nie umie mówić komplementów. Nie zanudza jednak opowiadaniem o swoich interesach. Zaczął karierę jako chłopak na wiślanym statku. Później pracował w kopalniach diamentów w Afryce Południowej. Posądzony o kradzież, zastrzelił tam kogoś i zbiegł do Brazylii czy też Chile, gdzie stał się współwłaścicielem kopalni miedzi. Od kilku lat jest w Polsce i prowadzi wielkie interesy na Śląsku. Na prawym policzku ma dość głęboką szramę, ślad od kuli. Wygląda na czterdzieści lub czterdzieści pięć lat. Przez cały obiad i później był wyłącznie mną zajęty. Nawet gdy rozmawiałam z kimś innym, z daleka przyglądał się mi bez przerwy. Nigdy nie znałam jeszcze mężczyzny tego typu.

Wyobrażam sobie, ile niespodzianek kryć musi jego pozornie nieskomplikowana natura.

W pewnym momencie powiedział zupełnie zwyczajnym tonem:

— Chciałbym panią widywać częściej. Moje sprawy wiążą mnie ze Śląskiem, mogę jednak swoją centralę przenieść do Warszawy. Co pani o tym sądzi?

Zaśmiałam się.

— Ależ panie, ja się zupełnie nie znam na interesach.

— Pani wie, że nie chodzi tu o interesy — mruknął, nie patrząc na mnie. Zbliżył się do nas w tej chwili Jacek i musieliśmy przerwać rozmowę. Dopiero gdyśmy wychodzili od Kaziów, pan Jurgus zapytał mnie półgłosem:

— Czy zechce mi pani poświęcić jutro dziesięć minut czasu?

— Ależ z przyjemnością — odpowiedziałam. — Niech pan jutro odwiedzi mnie o piątej.

— Czy będziemy mogli mówić swobodnie?

— Najzupełniej.

Dziwny człowiek z niego. Halszka pięknie z zazdrości, że zdołałam go poznać bez jej pośrednictwa. Muszę się jej jutro zaraz pochwalić. Właściwie mówiąc, brak mi jej trochę. Jest niemożliwie głupia, fałszywa i zazdrosna, ale ostatecznie to moja najlepsza przyjaciółka. Już kończę. Ogromnie chce mi się spać. Pan Hobben obiecał zadzwonić, z samego rana.

Wtorek

Umyślnie wstałam bardzo wcześnie. Nie chciałam, by telefon odebrał Jacek. On ostatnimi czasy po prostu czatuje przy aparacie.

Pan van Hobben zadzwonił przed dziesiątą. Okazało się, że na razie zamieszkał na trzecim piętrze, od dziś wieczór jednak obiecano mu pokój, o który mu chodzi. Ponieważ był bardzo piękny dzień, zaproponowałam mu spacer, na śmierć zapomniawszy o tym, że w razie spotkania miss Normann wszystkie nasze plany przez to mogły być pokrzyżowane. Na szczęście on o tym pamiętał. Ponieważ jednak warto było się rozmówić co do niektórych kwestii, obiecałam, że go o czwartej odwiedzę.

Dzisiejszy dzień to istna góra zajęć. Nie wiem, jak to wszystko zdążyć ułożyć i zmieścić. Przede wszystkim zadzwoniłam do Halszki. Jakby nigdy nic. Miałam zresztą wygodny pretekst, gdyż, jak wiedziałam, mąż jej poniósł jakieś straty w swym przedsiębiorstwie. Halszka była wręcz oczarowana. Powiedziałam jej, że się za nią stęskniłam i że zdziwiłam się jej nieobecnością na wczorajszym obiedzie u Kaziów. To była szpilka dobrze wymierzona. Halszka na głowie stawiała, by dostać kiedy zaproszenie do nich. Taka z niej snobka. Zupełnie ją dobiłam natomiast mówiąc:

— Ach, wyobraź sobie, moja droga, poznałam tam wczoraj tego pana Jurgusa. To bardzo interesujący człowiek. Nie wyobrażałam sobie, by jakiś mężczyzna, znając kogoś tylko z widzenia i z fotografii, mógł już być w nim aż tak zakochany. Powiadam ci, nie odstępował mnie ani na sekundę.

Rozmawialiśmy z pół godziny. Ona jest taka gadatliwa. W każdym bądź razie pójdę do nich na jutrzejszy fajf.

Oczywiście spóźniłam się do van Hobbena. Na szczęście ani w hallu, ani w windzie nie spotkałam miss Normann. Jaki on zabawny! Na stole stała butelka madery i taca z ciastkami. W wazonach kwiaty. Uściskałabym go za tę naiwną romantyczność. W istocie ciastka przydały mi się bardzo, gdyż nie miałam czasu na zjedzenie obiadu. Musiałam zaś wciąż pamiętać, że na piątą zaprosiłam do siebie pana Jurgusa. Taki człowiek na pewno przychodzi punktualnie z wybiciem zegara.

Van Hobben ma na imię Fred, Fred van Hobben. Freddie. Ładnie to brzmi. Ponieważ miał na ręku pierścionek, niewątpliwie pierścionek damski, zapytałam go, czy jest zaręczony. Żywo zaprzeczył:

— Nie, proszę pani. To jest pierścionek po mojej matce. Bardzo kochałem moją matkę. A to jest jedyna po niej pamiątka.

W jego głosie nie było szczególniejszego akcentu smutku, ale wyraz jego oczu świadczył, że każde wspomnienie o matce przeżywa z najgłębszym wzruszeniem. To bardzo ładne. Przekonałam się już, że ci mężczyźni, którzy otaczają szczególniejszym kultem swoje matki, są najlepszym gatunkiem mężczyzn. Tacy nie bywają ani gruboskórni, ani lekceważący w stosunku do kobiet. Mogą nawet być *brusque*<sup>92</sup> po wierzchu, lecz wewnętrznie są delikatni i subtelni. Zdobywają się na wiele czułości, przywiązania, są zdolni do wielu poświęceń. Van Hobben na takiego mi właśnie wyglądał. Przez kilka minut mówiliśmy o jego matce. Okazało się, że umarła przed trzema laty. Ojca stracił już dawniej. Początkowo pomagała mu rodzina, później już musiał sam myśleć o sobie.

W ciągu tej krótkiej rozmowy zawiązały się między nami nici prawdziwej przyjaźni. Jedyną niewygodą przedstawiania z tak młodym człowiekiem jest ta nieśmiałość, która cechuje wszystkich ludzi nieposiadających jeszcze dostatecznego doświadczenia. Każdemu z nich zdaje się, że jakakolwiek agresywność w stosunku do kobiety obrażałaby jej godność. Oczywiście mówię o agresywności utrzymanej w granicach dobrego wychowania. Hobben nie pozwolił sobie nie tylko na jakiś odważniejszy ruch, ale nawet nie zdobył się na słowa, które, jak widziałam, cisnęły mu się do ust.

<sup>92</sup>*brusque* (fr.) — szorstki, opryskliwy. [przypis edytorski]



Ta narzucona sobie rezerwa sprawia jednak, że przestawanie z takim młodzieńcem ma swoisty *charme*<sup>93</sup>. Stanowczo zrobiłam dobrze, nalegając, by został w Warszawie. Zapytałam go:

— Ale ma pan oczywiście jakiś urlop.

— Naturalnie, proszę pani. Latem spędzam zwykle beztroski miesiąc w Spa, w Ostendzie lub Scheweningen.

— Tak? — powiedziałam. — Bardzo więc możliwe, że się spotkamy. Ja również lubię lato spędzać nad Północnym Morzem.

Spojrzał na mnie wymownie.

— Byłoby to dla mnie więcej niż pomyślne zdarzenie.

— Ach, niechże pan nie żartuje.

— To pani żartuje, udając, że posądza mnie o nieszczerłość.

Przyglądałam mu się przez dłuższą chwilę, wreszcie położyłam rękę na jego dłoni.

— Owszem, wierzę, że mówi pan szczerze.

Po chwili zaś dodałam:

— I chcę wierzyć.

Gdy podniósł moją rękę do ust, przesunęłam niby nieumyślnie palcami po jego wargach.

— Już muszę iść — powiedziałam. — Oczekuję kogoś u siebie o piątej.

Był tym zaskoczony. Najwidoczniej znacznie więcej sobie obiecywał po mojej wizycie. Nie dziwię mu się zresztą. Miałam prawdziwy *beau jour* i nie wyobrażam sobie żadnego mężczyzny, który w takiej sytuacji z lekkim sercem zgodziłby się na pożegnanie. Niestety, musiałam. Całe szczęście, że zdążyłam wrócić do domu w niespełna pięć minut po piątej. Pan Jurgus był już oczywiście na miejscu.

Bawiła go ciotka Magdalena, czym nie wydawał się specjalnie zachwycony. Gdy poszła, by wydać polecenia służbie (pan Jurgus prosił o whisky i wodę sodową), powiedział mi:

— Od bardzo dawna chciałem panią poznać.

— Ja również o panu słyszałam.

— Nie wiem, co pani o mnie słyszała. Pragnąłbym natomiast, by pani wiedziała o mnie wszystko.

— Tak trudno jest wiedzieć o kimś wszystko — zauważyłam.

— Tak. Jeżeli ktoś robi tajemnice. Ja będę zupełnie szczerzy. Otóż, proszę pani, jak już mówiłem to pani wczoraj, wiele przeżyłem. Zjeździłem niemal cały świat. Wiele nauczyłem się i wiele zrozumiałem. I dlatego właśnie nie jestem szczęśliwy, chociaż dopiąłem tego celu, który sobie postawiłem. Przekonałem się, że ten cel był nic niewart.

— Zaciekawia mnie pan. Do czegoż pan dążył?

— Do majątku, proszę pani. Postanowiłem sobie, że będę milionerem. Urodzony i wychowany w nędzy, wyobraziłem sobie, że najwyższe szczęście daje pieniądź. Niech pani nie sądzi, bym był kiedykolwiek tak płytki, bym o pieniądzu myślał jako o samym bezpłodnym bogactwie. Nie traktowałem go również jako środka umożliwiającego bez troskie i luksusowe życie. Myślałem o nim jako o potędze, którą daje posiadaczowi. Marzyłem, a raczej źle mówię, bo marzyć nigdy nie umiałem, układałem sobie plany, że będę zakładał fabryki i przedsiębiorstwa, że stanę się duszą zorganizowanych rzesz ludzkich, którym wpajać będę moje pojmowanie świata, moje ideały i tak dalej.

— To bardzo szczytne — powiedziałam.

Skinął głową.

— Tak sądzę. Tak sądziłem zawsze. I tak pewno będę myślał do końca życia. Otóż cel swój osiągnąłem. Dziś mam wiele milionów. Kieruję wieloma przedsiębiorstwami. Tysiące ludzi wychowuję według swoich przekonań. A jednak przekonałem się, że to nie jest szczęście.

— I dlaczego? — zapytałam.

Na jego wysokim czole zarysowały się głębokie pionowe bruzdy.

— Widzi pani, dlatego że każdy mężczyzna, jak przypuszczam, ma w sobie dwóch ludzi: jeden to jest człowiek, drugi to jest mężczyzna. Nie umiem się wysławiać, nie mam

<sup>93</sup>*charme* (fr.) — czar, urok. [przypis edytorski]

żadnego wykształcenia, ale pani i tak mnie zrozumie. Otóż jako człowiek jestem szczęśliwy. Wiem, że pracuję z pożytkiem dla społeczeństwa, wiem, że przedstawiam mniejszą lub większą, ale na moje wymagania wystarczającą wartość, że otacza mnie uznanie i szacunek. Gdybym dziś umarł, żalowano by mnie jako uczciwego kontrahenta, jako sprawiedliwego pracodawcę, dobrego obywatela. Ale widzi pani, nikt by po mnie nie płakał.

— Czy pan jest tego pewien?

— Najzupełniej. Nikogo nie mam bliskiego. Jako człowiek prywatny jestem zupełnie sam. Jako mężczyzna jestem sam. Rozumie mnie pani? Nie mam żony, nie mam rodziny, nikogo.

— Ach, mój Boże — zaprotestowałam. — Przecież nieposiadanie żony nie wyklucza jeszcze uczuć, które możemy żywić dla kogoś z nami niezwiązanego, uczuć, którymi ten ktoś nam odpowiada.

— Rozumiem, co pani chce powiedzieć. Otóż ja się do takich rzeczy, proszę pani, nie nadaję. Nie umiem tego. Proszę mi darować brutalną szczerość. Ale nie chcę maskować się przed panią. Nigdy nie miałem kochanki. To znaczy nigdy nie miałem kobiety, którą łączyłby ze mną najmniejszy bodaj sentyment. Nie lubię półśrodków. Nie lubię komedii. Te kobiety, z którymi się stykałem, podobnie na tę rzecz patrzyły. Ja płaciłem, one brały pieniądze.

— To straszne. Nie uwierzę, by to panu wystarczało.

— Przez długie lata wierzyłem, że mi wystarcza. Ale...

Urwał nagle, gdyż weszła ciotka Magdalena, a za nią Józef z tacą. Gdy Józef wyszedł, pan Jurgus zwrócił się do ciotki Magdaleny:

— Bardzo szanowną panią dobrodziejkę przepraszam, ale właśnie mam tu z panią Renowicką ważną i zupełnie prywatną rozmowę, którą muszę szybko skończyć, gdyż mój pociąg za godzinę odchodzi. Niech się pani łaskawie na mnie nie obraża za szczerość.

W ciotkę jakby piorun strzelił. Poczzerwieniła, rybim ruchem poruszyła kilka razy wargami, zerwała się z krzesła i mamrocząc jakieś słowa, których niepodobna było rozróżnić, wybiegła drobnym kroczkiem z pokoju. Gdyby ten człowiek wiedział, ile trudu mnie kosztowało powstrzymanie się od śmiechu. Jak żyję, jeszcze nie widziałam, by ktoś w taki sposób w obcym domu potrafił wykurzyć bądź co bądź starszą damę!...

Zaczął mówić, tak jakby nic, ale to absolutnie nic ważnego nie zaszło:

— Przekonałem się, że ten drugi Jurgus, że ten Jurgus prywatny, co siedzi we mnie zapomniany i zahukany przez pierwszego, też ma równe prawa i też domaga się swego szczęścia.

— Przypuszczam, że nawet na nie zasługuje.

Podniósł na mnie oczy i zapytał:

— Czy pani mówi poważnie?

— Ależ najzupełniej.

— A dlaczego pani tak sądzi?

— No, nie zamierzam panu robić komplementów, ale jest pan młody, dzielny... Powiedziałabym, bardzo męski. Zasługuje pan na osobiste szczęście.

Nic nie odpowiedział. Zdawał się szukać słów, od których zacząć. Wewnętrznie wprost trzęsłam się z niecierpliwości, chociaż oczywiście domyślałam się, co mi chce powiedzieć. Wreszcie odezwał się:

— Kiedyś zobaczyłem panią. Od tej chwili nie umiałem pani zapomnieć. Później u jednej z pani przyjaciółek przypadkiem zobaczyłem pani fotografię. Wiele razy przyjeżdżałem do Warszawy w nadziei, że uda mi się panią poznać.

Nalał sobie do szklanki whisky i widocznie zapomniał o wodzie sodowej, gdyż przechylił szklankę jednym haustem.

Pod drzwiami rozległo się skrzypnięcie. Byłam niemal pewna, że jeżeli ktoś nas podsłuchuje, to tylko ciotka Magdalena. Tym razem nie miałam czego ukrywać. Owszem. Niech posłysz, niech wie, jakim się cieszę powodzeniem. Niech nawet powtórzy to, co usłyszała, Jackowi. Do pewnego stopnia było mi to nawet na rękę, toteż gdy pan Jurgus zapytał mnie, czy może mówić zupełnie swobodnie (widocznie do jego uszu też dotarł ten dźwięk od drzwi), zapewniłam go, że nikt nas nie słyszy. Zaczął mówić wolno, jakby każde słowo przychodziło mu z największym trudem:

— Nie umiem tych rzeczy... Zdaję sobie sprawę z całej absurdalności mego zachowania się. Ale nie mam innego wyboru. Pani jest mężatką. To już jedno wystarczyłoby, by mi zamknąć usta. Ani przez chwilę nie chcę w oczach pani uchodzić za zarozumialca. Wolno mi przypuszczać, że jest pani z małżeństwa swego zadowolona, widzę zaledwie jedną szansę na tysiąc, że może być inaczej. Do śmierci nie darowałbym sobie jednak niesięgnięcia po tę jedną szansę. Ma się rozumieć, wszelkie porównania byłyby tu nonsensem. Myślę o porównaniach, jakie mogłaby pani przeprowadzać między swoim mężem a mną. W tych rzeczach nie może być porównań. Po prostu albo się coś przyjmuje, albo nie. Wszelkie argumenty i racje muszą tu milczeć...

Podniósł na mnie oczy i po krótkiej pauzie rzekł dobitnie:

— Czy godzi się pani zostać moją żoną?

Powiedział to tonem tak suchym, że niemal ostrym. Mój Boże! Ileż dziewcząt, ile kobiet byłoby szczęśliwych, gdyby mogło usłyszeć podobne pytanie. Jestem przekonana, że niewiele znalazłoby się takich, które by odpowiedziały odmownie. Zapewne, gminne pochodzenie tego człowieka mogło doń zrażać. Jego nazwisko również nie należało do przyjemnych. Ale cóż to za wspaniały mężczyzna. Żonę swoją na pewno uczyniłby swoim bóstwem. Przez całe życie odczuwałaby wokół siebie tę jego bezpieczną siłę, mądrą, śmiałą i posłuszną. Posłuszną wyłącznie jej. Tak mało znałam go, lecz w tych rzeczach sam instynkt przemawia. Wiedziałam, że nie ma w nim nic banalnego, nic taniego, nic, co by nie było napełnione treścią. Jego charakter musi być taki jak jego bary i mięśnie... Powoli zapalił papierosa, a ja myślałam:

„Czym jestem naprawdę? Ile jestem warta? Czy nie za mało szanuję siebie? Bo muszę przecież reprezentować jakieś istotne, jakieś głębokie walory, jeżeli z taką łatwością zdobywam uczucia takich mężczyzn. Takich jak on, jak Jacek, jak Romek czy Robert. Przecież ci ludzie nie pragnęliby mnie tak bardzo, gdyby im chodziło tylko o moją urodę. Niech mi tysiąc razy powtarzają zawistne przyjaciółki, że całe moje powodzenie opiera się wyłącznie na mojej urodzie — nie uwierzę im! Zgodzę się, jeżeli chodzi o istoty tak płytkie jak Toto. (Chociaż też niezupełnie! Toto również ocenia moje wartości wewnętrzne). Ale ci, ci mądrzy mężczyźni, oni dostrzegają zalety mojej duszy. I dlatego takim wzruszeniem mnie napełnia każdy hołd, taki jak ten”.

Tak zamyśliłam się, że aż drgnęłam, gdy odezwał się znowu:

— Podobno mężczyźni w takich wypadkach proszą o nieudzielanie od razu odpowiedzi. Ja jednak nie umiem i nie lubię się ludzić. Wolę najgorszą prawdę od najpiękniejszych mrzonek. A ponieważ wiem, że w podobnych sprawach albo od razu serce przemawia, albo nie przemówi już nigdy, więc proszę panią, by zechciała mi odpowiedzieć zaraz.

I jak to było ładnie z jego strony, że niczego mi nie obiecywał, niczym nie starał się mnie zjednać, niczym pociągnąć ani nawet zachęcić. Całkiem po prostu przyszedł i zapytał, czy go chcę. Zapytał, chociaż sam rozumiał, że ma jedną szansę na tysiąc. Cóż mogłam począć?... Tak przykro mi było wydobyć z siebie odmowę. Zapłacić mu za jego uczucie chłodnym „nie”...

Powiedziałam po chwili milczenia:

— Mój drogi panie. Jestem naprawdę wzruszona... Gdybym wyznanie pańskie usłyszała wtedy, gdy jeszcze byłam wolna, kto wie, czy nie uważałabym tego za szczęście. W zupełności doceniam pana wartość. Muszę panu powiedzieć, że niewielu udało mi się w życiu spotkać ludzi, dla których tak wiele chciałabym żywić przyjaźni i szacunku... Zresztą pod każdym względem zasługuje pan na najlepszy los. Ja jednak mam męża. Mam męża, z którym wiąże mnie nie tylko przysięgi złożone przed ołtarzem, lecz i miłość, i przywiązanie...

— Rozumiem — głos mu się załamał. — Jest pani szczęśliwa... Wiedziałem to zresztą...

Potrząsnęłam przecząco głową i uśmiechnęłam się boleśnie:

— Nie jest to równoznaczne z tym, co powiedziałam. Kochać kogoś i zachować dlań wierność, nie zawsze jest szczęściem.

Podniósł na mnie zaniepokojony wzrok. Nie wymówił ani słowa, lecz wiedziałam, co myśli. Wiedziałam, co daje mi do zrozumienia: że w każdej chwili gotów jest stanąć w mojej obronie, przyjść mi z pomocą, zostać moim mężem, choćbym go nie kochała.

Opanował się jednak, wstał i powiedział:

— Przepraszam panią za to najście. Nigdy bym się na nie nie zdobył, gdyby nie konieczność wewnętrzna, która mnie do tego zmusiła...

Zawahał się i dodał:

— I dziękuję pani za szczerość. Dziękuję za to, że jest pani taką... jaką sobie panią wyobrażałem i jaką będę mógł...

Nie dokończył. Ukłonił się nisko i niezgrabnie, ledwie dotknął ustami mojej ręki i wyszedł. Nacisnęłam dzwonek i słyszałam jeszcze, jak w przedpokoju Józef otwierał mu drzwi.

Wieczorem przyniesiono mi ogromny kosz kwiatów bez żadnej kartki.

Gdy już położyłam się do łóżka, nie mogłam czytać. Wreszcie rozplakałam się. Jacek, który przyszedł powiedzieć mi dobranoc, zapytał, czy nie spotkało mnie coś przykrego. Jakże on nic o mnie nie wie! Jakże on mnie nie rozumie! Wydał mi się pospolity i słaby. Mam zupełnie rozstrojone nerwy.

Z tego dnia wyniosłam jeden wielki pożytek: nieodwołalnie i ostatecznie postanowiłam zerwać z Totem. Niech go bierze miss Normann, Muszka lub pierwsza lepsza. Nic już to mnie nie obchodzi. Umyślnie piszę te słowa, by na papierze mieć swoją decyzję i by nie móc się cofnąć.

Dziś triumfuję. Okazało się, że moja rewizja przeprowadzona została bez zarzutu. Pan van Hobben musiał mi to przyznać, gdyż sam w pokoju miss Normann nie znalazł absolutnie nic interesującego. Cały plon jego poszukiwań ograniczył się do wynotowania firm krawieckich, w których ubierała się w różnych miastach.

Przyznałam oczywiście, że to jest pewien ślad, wyraziłam jednak wątpliwość, a pan Freddie nie mógł mi zaprzeczyć, że niewiele się to przyczyni do i tak bogatego zasobu informacji, jaki o niej zdołaliśmy zebrać.

Na rewizję wystarczyło mu pół godziny. Dopilnował chwili, gdy miss Normann wyszła. Mógł jednak śmiało siedzieć w jej pokoju choćby i dwie godziny. Wiedziałam, gdzie ona jest. Nietrudno to zresztą było sprawdzić. Po prostu zadzwoniłam do lecznicy i zapytałam, czy już przyjechała do Tota taka pani z rudymi włosami.

Gdy otrzymałam odpowiedź twierdzącą, pomimo wszystko zirytowałam się. Ta się zawzięła na niego. Na szczęście o żadnych karesach między nimi nie może być mowy ze względu na stan ręki Tota.

By go ukarać, pojechałam do „Bristolu”, chociaż wcale nie miałam po co widzieć się z panem Fredem. Byłam nieco zdziwiona, gdy na moje pukanie długo nikt nie odpowiadał. Już myślałam, że go nie ma, gdy niespodziewanie otworzył drzwi. Wyglądał na lekka zaaferowanego. Przez jedno mgnienie pomyślałam, że może jest u niego jakaś kobieta. Gdy jednak przyjął mnie radosnym uśmiechem i zaprosił do środka, podejrzenie to okazało się bezsensowne. Był sam.

Starannie zamknął drzwi od korytarza i zapytał:

— Czy wie pani, czym byłem zajęty?

Głos jego brzmiał tajemniczo. Ponieważ wiedziałam jednak, że nic u miss Normann nie znalazł, byłam naprawdę zaintrygowana.

— Zaraz pani pokażę — przymrużył oko z miną sztubaka, który właśnie szykuje jakąś dowcipną psotę.

Znikł na chwilę w łazience i ukazał się z powrotem, trzymając w ręku jakieś patyki żelazne o bardzo skomplikowanych formach.

— Cóż to jest? — zapytałam zdumiona.

— To są świdry i rurki do zabezpieczenia ścianek otworu.

— Boże, jakiego otworu?!

Na to bez słowa odprowadził mnie ze środka pokoju i odsłonił dywan. Wówczas w samym centrum podłogi ujrzałam kupę wiórków i otwór objętości palca. Jeszcze nie mogłam się zorientować.

— Po co pan zrobił tę dziurę?

— Jak to po co?... Po to, by móc widzieć i słyszeć, co się dzieje w pokoju tej czcigodnej damy, która mieszka piętro niżej.

— Aha — zawołałam radośnie. — No, wie pan, ale to przecież genialne.

Zaśmiał się.

— Nie tak bardzo. Zawsze się to robi.

— Zawsze?... Czytałam wprawdzie o tym nieraz w książkach, nigdy mi jednak do głowy nie przyszło, by i w życiu stosowano podobne rzeczy. Myślałam, że to tylko tak dawniej było.

— Będzie tak zawsze — uśmiechnął się — póki ciekawość ludzka będzie istniała. Czy nie przeszkodzi pani, jeżeli się zabiorę do dalszej roboty?

— Ależ proszę. To jest bardzo frapujące.

— Przerwałam ją, gdy pani zapukała. A muszę się śpieszyć. Obawiam się bowiem, że miss Normann, czy jak się tam ona nazywa, niedługo wróci. Wówczas szmery, które się nie dają uniknąć przy borowaniu, mogą zwrócić jej uwagę i udaremnić cały mój plan.

— Niech się pan nie obawia — zapewniłam go. — Tak prędko nie wróci. Wiem, u kogo jest.

— Pani wie? — zdziwił się.

— Tak. Jest u pewnego pana, na którego poluje. Nie wiem tylko, czy na niego, czy na jego miliony.

Pan Fred zamyślił się, przerwał robotę i, zerknąwszy na mnie, powiedział:

— Rozumiem. To o niego pani chodzi.

Nie mogłam nie zauważyć, że powiedział to smutnym głosem. Toteż zaśmiałam się:

— Ależ uchowaj Boże. Mogę tego pana ofiarować jej gratis z opakowaniem.

Podniósł się i spojrzął na mnie z wdzięcznością.

— To bardzo ładnie ze strony pani.

Już teraz nie miałam wątpliwości, że zależy mu na mnie. Gdy znowu pochylił się nad swoją dziurką w podłodze, pogłaskałam go po głowie. Miał włosy trochę szorstkie, ale suche i przyjemne w dotyku:

— Tak się pan trudzi — powiedziałam.

Poblądł z lekka i widocznie wahał się, czy na mój awans nie odpowiedzieć w sposób agresywny, lecz opanował się i zauważył tylko:

— Gdyby ten trud nie był moim obowiązkiem, podjąłbym się go z przyjemnością i tak, gdyż trud ten jest dla pani.

Po pauzie zaś dodał:

— Nie wiem wprawdzie, dlaczego interesuje się pani tą podejrzaną damą, do jakiego celu pani dąży, ale proszę mi wierzyć, że chciałbym zrobić wszystko, by ułatwić pani jej zamiary.

— Pan jest bardzo... Pan jest wyjątkowo miły.

W tej właśnie chwili powzięłam postanowienie: powiem mu wszystko. Gdy wyraziłam chęć wyznania mu prawdy, przerwał swoje zajęcie i usiedliśmy na kanapie. Systematycznie i dokładnie punkt po punkcie opowiedziałam mu historię od pierwszego listu miss Normann aż do ostatniego dnia przed jego przyjazdem. Na zakończenie dodałam:

— Rozumie pan, że nie podejmowałabym tych wszystkich kroków, gdyby nie względy rodzinne i towarzyskie. Gdyby nie opinia, z którą muszę się liczyć.

— No i gdyby nie mąż — wtrącił — którego by pani musiała utracić.

Spojrzałam nań ze smutnym uśmiechem.

— Czyż naprawdę może pan przypuszczać, że jakakolwiek kobieta, posiadająca poczucie własnej godności, przywiązywałaby wartość do człowieka, który ją tak haniebnie zawiódł?... A gdyby nawet. Czy może pan sobie wyobrazić, że po ujawnieniu takiego stanu rzeczy można dla danego człowieka żywić te same uczucia, co przedtem?...

Moje słowa na panu Fredzie zrobiły duże wrażenie, powiedział jednak krótko:

— Rozumiem panią.

— Więc zdaje pan sobie sprawę, co przeżywałam i co przeżywam?... Może pan sobie wyobrazić, że codziennie drżałam na myśl, że ta tajemnica stanie się własnością publiczną. Że dotrze do kogoś niedyskretnego, kto rozplotkuje ją, grzebiąc tym samym moją opinię, zadając śmiertelny cios mojej ambicji, memu honorowi...

Spojrzał na mnie z niepokojem.

— Mam nadzieję, że nie zwierzała się pani z tym nikomu.

— Oczywiście nikomu. Pan jest pierwszym i jedynym, komu mogę w zupełności zaufać. Komu nawet muszę zaufać, gdyż potrzebuję pańskiej pomocy, skazana na samotne wysiłki w tej tak trudnej dla mnie sprawie.

Pan Fred zmarszczył brwi.

— Dziękuję pani. I mogę pani zaręczyć słowem van Hobbena, że absolutnie nikt nie dowie się ode mnie ani słowa. Proszę mi też wierzyć, że od tej chwili pomagam pani nie jako płatny funkcjonariusz brukselskiego biura detektywów, lecz jako dżentelmen, który uważa za swój obowiązek pomóc kobiecie.

Wyciągnęłam doń obie ręce gestem podziękowania. Ujął je mocno i podniósł do ust. Nie mogłam wątpić, że posunąłby się dalej, lecz w jego naturze widocznie leżała nieśmiałość lub też przyczyną jego powściągliwości był młody wiek i mały zasób doświadczenia.

Z tym większą za to gorliwością zabrał się natychmiast do wiercenia tej swojej dziury w podłodze. Świder już się zagłębiał na dobre dziesięć centymetrów, więc zaniepokojona zapytałam Freda:

— Czy nie obawia się pan, że ostrze tego narzędzia przebije tynk sufitu na dole i zasypie tam podłogę? Wówczas na nic się cała robota nie zdała. Wystarczy miss Normann spojrzeć do góry, by nabrać podejrzenia, że ktoś z piętra wyżej chce ją podsłuchać czy podglądać.

Zaśmiał się swobodnie.

— Niech się pani nie obawia. Na to mamy swoje sposoby. Po pierwsze, wszystko dokładnie wymierzyłem. Borowana przeze mnie dziura wypadnie akurat między lampami zyrandola.

— A tynk?

— Zabezpieczyłem. Do tego celu istnieją specjalne plastry. Ani okruszyna tynku nie spadnie na podłogę. Zresztą mam już wprawę.

— Często pan takie rzeczy robił? — zapytałam zaintrygowana.

Skinął głową.

— O, tak. Wiele razy. Nie jest to zapewne zajęcie najodpowiedniejsze dla dżentelmena, ale ponieważ przeważnie chodzi właśnie o obronę czyjś honoru lub czyjejś czci, czyjś majątku lub czyichś praw, pocieszam się tym, że cel uświęca środki.

— A gdyby pana przyłapano na tym?

— Ha — zaśmiał się. — Wówczas byłbym narażony na wielkie przykrości. Przede wszystkim zarząd hotelu, później policja... Musiałbym się gęsto tłumaczyć.

Machnął ręką i dodał:

— Posiedziałbym też pewno parę dni w areszcie, aż do wyjaśnienia sprawy.

— Doprawdy, naraża się pan dla mnie na tak straszne rzeczy...

— Miejmy nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

Przerwał borowanie i dając mi ręką znak, bym się nie odzywała, przyłożył ucho do dziury.

— Nie. Zdawało mi się tylko. Do wieczora wszystko będzie gotowe. Złoży się mikrofon, wzmacniający dźwięki, będzie pani mogła wygodnie, siedząc tu na kanapie ze słuchawkami na uszach, słuchać tego, co się dzieje na dole, jak audycji radiowej.

— To nadzwyczajne! A czy również można będzie widzieć?

— To byłoby znacznie trudniejsze i wymagałoby dłuższych zabiegów. Nie mam zresztą ze sobą odpowiedniego aparaciku, skonstruowanego na zasadzie peryskopu. Uważam jednak, że świetnie się bez tego obejdziemy, gdy podzielimy role. W wypadku, gdy będzie nam zależało na stwierdzeniu, kto jest u tej pani, pani może słuchać tutaj, a ja zejść o piętro niżej i zobaczę, kto od niej wychodzi.

Czyż mogłam mu nie przyznać, że jest genialny? Z przyjemnością zostałabym u niego dłużej, ale zaczęło mnie niepokoić, dlaczego ta wydra nie wraca. O czym oni ze sobą mogą tak długo rozmawiać? Chyba Toto opowiada jej o swojej stajni wyścigowej. W każdym razie należało to sprawdzić. Teraz jednak nie chciałam bynajmniej spotkać jej u Tota. Przeczekałam jeszcze kilka minut i pożegnałam się z panem Fredem, obiecując, że będę z nim w kontakcie telefonicznym.

W lecznicy dowiedziałam się, że ta pani wyszła już przed godziną. Widok Tota sprawił mnie w zdumienie: wstał już z łóżka i siedział w szlafroku na fotelu. W wazonie, oczywiście, były świeże kwiaty. Ona tymi kwiatami tak go rozpuści, że będzie mu się naprawdę zdawało, że na nie zasługuje. Ode mnie nigdy nie dostał najmniejszego kwiatka. Dawałam mu wyłącznie krawaty, i to tylko po to, by ustrzec się przed jego straszliwym

gustem. Potrafił czasem zjawić się publicznie w takim krawacie, że wstyd mi było z nim siedzieć przy jednym stoliku.

Był w wyśmienitym humorze i przyjął mnie z taką zadowoloną z siebie swobodą, że wyglądało to chwilami na pobłażliwość. Myślałam, że pęknę ze śmiechu. Po tym jednym poznałabym zawsze, że była u niego jakaś kobieta. Byle sukcesik u byle baby wprawia go w to poczucie pewności siebie, utwierdza go w idiotycznym przekonaniu, że jest donżuanem, któremu żadna się nie oprze, o którego względy zabiegają wszystkie.

Oczywiście udałam, że tego wszystkiego nie dostrzegam.

By mu z lekka dać po nosie, zaczęłam opowiadać, że spotkałam hrabiego Batiglioni i że spędziłam z nim całe przedpołudnie. Toto zawsze był o niego zazdrosny. Batiglioni nie tylko bowiem jest prawie tak bogaty jak on, ale w dodatku spokrewniony z domem sabaudzkim. Obaj nie znosili się zawsze wzajemnie i cięli się przy każdym spotkaniu, przy czym górą był zawsze Włoch, o wiele przewyższając Tota nie tylko inteligencją i dowcipem, ale i znanstwem zarówno koni, jak i myślistwa.

— Był niezwykle miły — powiedziałam. — Wyraził nawet chęć poduczenia cię automobilizmu.

Toto poczerwieniał.

— Ten mydłek?!... Mnie?!... On sam nie ma pojęcia o prowadzeniu wozu.

— No, tak. Możliwe. A jednak ma pierwszą nagrodę za wyścig alpejski i nigdy dotychczas nie miał katastrofy...

— Tak ci powiedział? — wybuchnął Toto. — Więc kłamie. Bezczelnie kłamie. W 1929 roku podczas rajdu sycylijskiego wyskoczył z szosy i rozbił wóz na miazgę.

— Ale nic mu się nie stało.

— Każdy bałwan ma szczęście.

— Doprawdy, Toto — powiedziałam karcąco — to nieładnie z twojej strony czyjś talent i umiejętności nazywać szczęściem. Tak samo mówileś, że Batiglioni tylko dzięki szczęściu zajął przed trzema laty drugie miejsce w Rallye Monte Carlo. Wtedy, gdyś ty odpadł już na drugim etapie. Powinieneś być mu wdzięczny, że zgadza się udzielić ci kilku lekcji. To zresztą jest taki miły pan.

Toto z wysiłkiem panował nad sobą. Ponieważ jednak wiedziałam, że jest zbyt dobrze wychowany, by wybuchnąć, dokuczyłam mu jeszcze paru drobiazgami. Potem dopiero zapytałam, jak się czuje i kiedy mu doktor pozwoli opuścić lecznicę. Okazało się, że już nazajutrz miał się przenieść do siebie.

— W domu ci będzie wygodniej — przyznałam. — A jakże się miewa miss Normann? Wzruszył ramionami.

— Skądże ja mogę wiedzieć?

— Ach, więc nie osobiście przyniosła ci te kwiaty?

Przełknął ślinę i mruknął:

— Nie. Przysłała mi. A zresztą, czy wyobrażasz sobie, że tylko od niej mogę otrzymywać kwiaty? Ty nigdy mnie nie doceniałaś.

Przeszłam go wzrokiem.

— Ależ przeciwnie. Przypomnij sobie, że święcie wierzyłam w to, żeś własnoręcznie zabił te dwa tygrysy, których skóry wiszą w twoim gabinecie na wsi. I wierzyłabym w to do dziś dnia, gdybym przypadkiem nie znalazła na nich od spodu stempla fabrycznego, bo...

— Tsss... Tsss... Ciszej. Po co, na miłość boską, tak głośno mówisz — jęknął Toto. — Czy chcesz, żeby ktoś usłyszał? Zależy ci na tym, by mnie skompromitować?!

— Ależ bynajmniej, mój drogi. Nie chcę cię ani skompromitować, ani ośmieszyć. A najlepszy dowód masz w tym, że dotychczas nikomu o tym nie wspomniałam ani słowem.

Na słowie „dotychczas” położyłam lekki nacisk, wystarczająco jednak dostrzegalny, by Toto skurczył się w sobie ze strachu. Niech wie, że musi się ze mną liczyć. Stał się od razu niesłychanie serdeczny i nadskakujący. Na te zabiegi patrzyłam z obrzydzeniem. Nie upadłam jeszcze tak nisko, by zależało mi na wymuszonych względach. Po kwadransie pożegnałam go i wróciłam do domu.

Jacka zastałam zdenerwowanego i przygnębionego. Podejrzywałam od razu, że musi być to związane z tą wstrętną kobietą. Ponieważ jednak na moje pytanie odpowiedział

wykrętem, że miał pewne przykrości w biurze, zrezygnowałam z dalszych indagacji. I tak wkrótce o wszystkim będę wiedziała. Jestem zadowolona, że opowiedziałam całą sprawę panu Fredowi. Ani przez chwilę nie wątpię, że nikomu nie zdradzi mojej tajemnicy.

*Do tego ustępu pamiętnika p. Renowickiej muszę dodać małe sprostowanie. Prawdopodobnie wskutek złej pamięci zapewniała ona p. van Hobbena o wyjątkowości zaufania, jakim go darzy. W istocie tajemnicę swą zwierzyła nie tylko p. Albinowi Niementowskiemu i mnie, ale jeszcze kilku osobom.*

*Przekonałem się o tym osobiście w owym właśnie czasie. Po mieście bowiem przebąkiwano tu i ówdzie, że p. Jacek Renowicki jest zamieszany w jakąś sprawę o bigamię. Nawet Janusz Minkiewicz, najznakomitszy satyryk wśród plotkarzy i plotkarz wśród satyryków, pytał mnie, czy nie warto by na ten temat napisać fraszki do „Szpilek”. Oczywiście odradziłem mu. Ale to już nie należy do rzeczy.*

*Na usprawiedliwienie małej nieprawdomówności p. Renowickiej znajduję to, że znając p. van Hobbena stosunkowo mało, tym niewinnym kłamstwem chciała zjednać go sobie i zachęcić do udzielenia jej pomocy. (Przypisek T. D. M.)*

Już o dwunastej rano byłam w „Bristolu” u pana Freda. Instalacja była gotowa. Wchodząc do pokoju nikt by się nie domyślił, że istnieje w nim ta cała maszyneria. Spod dywanu wystawał tylko mały kawałeczek drucika. Pan Fred zaraz przyczepił doń inny drucik i podał mi słuchawkę. To było fenomenalne!

Najwyraźniej usłyszałam kroki i nuconą z cicha piosenkę: *Bei mir bist du schön*<sup>94</sup>, odgłos przesuwanych krzesel, skrzywienie szaf. Widocznie ubierała się.

Fred stał przede mną i z zadowoleniem przyglądał się wrazeniu, jakie uwydatniło się na mojej twarzy. Już chciałam odłożyć słuchawki, gdy usłyszałam dzwonek telefonu i jej *ballo*. Mówiła po francusku z kimś, kogo nazywała *mon cher monsieur*<sup>95</sup>. Ze zdawkowych i krótkich jej odezwań się niepodobna było wywnioskować, o czym mówią. Wyglądało jednak na to, jakby od kogoś przyjmowała wskazówki czy dyspozycje. Rzecz musiała dotyczyć spraw handlowych, gdyż padały takie słowa jak „ładunek” itp. Rozmowa zresztą trwała zaledwie dwie czy trzy minuty. Później do moich uszu doleciał szelest papieru, po chwili zaś pukanie do drzwi. Musiała zadzwonić na służbę. Nie omyliłam się. Powiedziała po angielsku:

— Proszę zaraz wysłać tę depezę.

Następnie na dole zapanowała cisza. Odłożyłam słuchawki i powtórzyłam panu Fredowi wszystko, co słyszałam, dodając:

— To bardzo prawdopodobne, że ona zajmuje się przemycaaniem narkotyków.

— Nie jestem jeszcze zupełnie o tym przekonany — odpowiedział po chwili wahania — mam jednak nadzieję, że wkrótce zdobędziemy konkretniejsze wiadomości.

— Dzięki pańskiemu świetnemu pomysłowi z tym aparatem. Co za znakomity wynalazek! Słyszysz się nie tylko każde słowo, ale każdy szelest.

Skinął głową.

— Zastosowałem wzmacniacz dźwięków własnego pomysłu. Najważniejsze jest jednak to, że moja sąsiadka z dołu widocznie nie podejrzewa wcale istnienia tego podsłuchu. W przeciwnym razie byłaby ostrożniejsza w telefonicznej rozmowie.

— Czy było w niej aż coś tak ważnego? — zaciekałam się.

— Oczywiście. Ta pani podaje się przecież za turystkę. Tymczasem wiemy już teraz, że ma jakieś kontakty i że zajmuje się jakimiś sprawami niemającymi z turystyką nic wspólnego.

Zapisał sobie coś w notesie i powiedział:

— Dziś miss Normann otrzymała dwa listy. Gdy wyjdzie, zajrzę znowu do jej pokoju. Przypuszczam jednak, że listy niszczy natychmiast po przeczytaniu. Ale zastanawiałem się nad pani sytuacją i doszedłem do pewnych wniosków. Otóż wydaje mi się sprawą bardzo skomplikowaną cała historia małżeństwa między mężem pani a tą damą. Zwłaszcza pojąc nie mogę, dlaczego nowojorski adwokat nie umie odszukać tego urzędu stanu cywilnego,

<sup>94</sup>*Bei mir bist du schön* (niem.) — dla mnie jesteś piękna (a. piękny). [przypis edytorski]

<sup>95</sup>*mon cher monsieur* (fr.) — (mój) drogi panie; łaskawy panie. [przypis edytorski]



gdzie małżeństwo zostało zawarte. O ile wiem, pod tym względem w Ameryce panują wzorowe porządki. Obawiam się, że w tym właśnie punkcie tkwi jakaś zagadka.

— Jakies nowe niebezpieczeństwo?

— Przeciwnie, raczej zasadzka, która się da zdemaskować, zanim stanie się groźna.

— Mój Boże, co za szczęście, że spotkałam właśnie pana. Teraz już wierzę, że wszystko dobrze się skończy. Tak bardzo jestem panu wdzięczna, że uściskałabym pana, panie Fredzie.

Zaczerwienił się troszkę, lecz zdobył się na odwagę i usiadł przy mnie, mówiąc:

— A co pani robi, jeżeli będę się domagał tej gratyfikacji?

Zaśmiałam się:

— Będę próbowała targów. Może dojdziemy do jakiegoś kompromisu. Na przykład, o taki siostrzany pocałunek w czoło.

To powiedziawszy ujęłam jego twarz w obie ręce i dotknęłam ustami czoła.

Tu muszę ostrzec każdą kobietę, która znajdzie się w podobnym położeniu, a będzie miała do czynienia z niedoświadczonym młodzieńcem. Pan Fred nagle tak machnął głową, że nosem bardzo boleśnie uderzył mnie w podbródek. Oczywiście w tych warunkach, chociaż dopiął swego i pocałował mnie w usta, pocałunek ten nie sprawił przyjemności ani mnie, ani — jak mogę sądzić — jemu. Przez dobrych kilka minut rozcierał sobie biedak nos, a ja przyglądałam mu się w oczekiwaniu, że zacznie puchnąć. Oboje pokryliśmy incydent niezbyt naturalnym śmiechem. W każdym razie siedzieliśmy teraz przytuleni do siebie i nie mogłam nie zauważyć, że już po chwili ta bliskość zaczęła działać na pana Freda.

W słuchawkach jednak rozległ się znowu szmer i przyłożyliśmy je do uszu. Miss Normann musiała tymczasem wyjść, gdyż dobiegały do nas odgłosy sprzątania. Zamieniliśmy jeszcze kilka zdań i zaczęłam żegnać się. Przy pożegnaniu, widocznie speszony niedawnym niepowodzeniem, nie próbował już mnie pocałować.

Jednak brak doświadczenia u mężczyzny — to naprawdę poważny mankament.

Czwartek, wieczorem

Pan Fred przysłał mi kwiaty. Zwymyślałam go przez telefon. Po co robi takie głupstwa? Jego sytuacja materialna — jestem przekonana — nie pozwala na takie ekstrawagancje. Musi ciężko pracować. Wytłumaczyłam mu, że stokroć większą przyjemność zrobiłby mi, gdyby ograniczył się do bukietu fiołków. Muszę obmyślić dla niego jakiś ładny prezent. Mam prawo do tego choćby z tej racji, że będzie to wyglądało na dodatkowe honorarium. Kupię mu jakąś ładną papierośnicę do fraka. Dostanie ją, gdy będzie wyjeżdżał z Warszawy. Chcę, by miał po mnie pamiątkę. Może mu się zresztą przydać, gdy zabraknie mu pieniędzy. Młodzi ludzie często korzystają z lombardu.

Jacek zostawił mi kartkę, że będzie do późna zajęty na mieście. Jest to zupełnie zrozumiałe w związku z tym, co się dzieje w Europie. Zdaje się zanosić na wojnę. Pani Lucyna twierdzi, że w razie wojny wejdą w modę wysokie sznurowane buciki i małe kapelusiki stylizowane według czapek wojskowych. Pod tym względem wojny się nie boję. Swoich łydek, dzięki Bogu, nie potrzebuję się wstydzic, a w małych kapelusikach jest mi bardzo do twarzy.

Na kolację niespodziewanie wpadła Danka. Stanisław wyjechał w swoich interesach na dwa dni do Budapesztu, a ona wyjątkowo nie miała tego dnia żadnego zebrania ani posiedzenia. Siedziała u mnie prawie dwie godziny.

Piątek

Po raz nie wiem który przekonuję się, że Jacek mnie kocha. I ja zresztą wiem, że żaden inny nie zastąpi mi go nigdy. My z Jackiem jesteśmy naprawdę doskonałym małżeństwem. Nie na próżno nam wszyscy zazdroszczą naszego szczęścia. Gdyby wiedzieli o groźnej chmurze wiszącej nad naszym ogniskiem domowym, może żywiliby do nas jeszcze więcej sympatii i przyjaźni. Bo trudno zaprzeczyć, że na ogół nas bardzo lubią.

Dziś rano Jacek miał telefon, który wydał mi się wysoce podejrzany. Zwykle mówi w ten sposób, że nie ukrywa płci osoby, z którą rozmawia. Tym razem najwyraźniej unikał takich zwrotów. Widziałam zresztą, że z trudem panował nad wzburzeniem. Głos mu się

Pocałunek

Wojna, Moda

łamał, a chwilami się zacinał, co świadczyło o tym, że omawiał jakąś sprawę wielkiej wagi i że chciał przede mną ukryć jej treść.

Niedługo zresztą czekałam na potwierdzenie moich obaw. Zaledwie po wyjściu Jacka z domu połączyłam się z panem Fredem, dowiedziałam się, że ta zła kobieta przeprowadziła z jakimś mężczyzną ostrą i kategoryczną rozmowę przez telefon, dając mu czterdzieści osiem godzin na ostateczne załatwienie z nią jakiejś sprawy.

Pan Fred prosił mnie, bym w związku z tym najprędzej doń przyjechała, co mogę zrobić zupełnie bezpiecznie, gdyż miss Normann nie spotkam ani w hallu, ani na schodach. Jest u siebie, oczekując jakiejś wizyty.

Pan Fred nie miał pojęcia, na kogo ona czeka. Nie wiedział nawet, czy ma to być mężczyzna, czy kobieta. Mnie jednak — jeszcze raz mogłam się o tym przekonać — intuicja nie zawodzi nigdy: byłam niemal pewna, że przyjdzie do niej Toto. Już z góry cieszyłam się, że dzięki genialnej instalacji podsłuchowej dowiem się nareszcie, w jakim stadium są ich wzajemne stosunki. Pomimo jednak absolutnej obojętności dla Tota muszę się przyznać, drażniła mnie ta jego gra za moimi plecami. Pocięchą było tylko to, że w każdej chwili mogłam zmusić go do wyjazdu na wieś czy bodaj za granicę.

Gdy przyszłam, na dole była jeszcze sama. Pan Fred, gdy odłożyłam słuchawki, już z większą pewnością siebie usiadł tuż przy mnie i niby niechcący położył za mną rękę na oparciu kanapy w ten sposób, że prawie mnie obejmował.

— Piękną macie tu wiosnę w Polsce — powiedział. — Piękną i niezwykle silnie przemawiającą do tych uczuć, które podczas reszty roku, zagłuszone nadmiarem przyziemnych spraw i zajęć, budzą się nagle, by nam przypomnieć, że istnieje piękno.

— Czyżby wiosna belgijska pod tym względem ustępowała naszej? — zapytałam.

— Nie wiem. By o tym sądzić, musiałbym przeżyć wiosnę w Belgii obok istoty równie wiośnianej i równie koncentrującej w sobie uroki i sugestie wiosny jak pani...

— Więc już pan nie żałuje, że został pan w Warszawie?

— Och — oburzył się. — Nie żałowałem ani przez jeden moment. Czyż moje oczy nie mówią tego pani codziennie?

Zaśmiałam się i potrząsnęłam głową.

— Może jeszcze nie nauczyłam się czytać ich wyrazów. Niech je pan zamknie... Dobrze?... I teraz niech pan mówi...

Posłusznie opuścił powieki. Przechyliłam się i pocałowałam go w usta. Nie mogłam przecie przewidzieć, że na ten niewinny pocałunek, raczej muśnięcie, zareaguje w sposób tak gwałtowny, chwytając mnie w objęcia.

*Tu na chwilę muszę przerwać tok narracji p. Renowickiej. Sam przyznaję, że nagły i niedający się przewidzieć gest owego młodego człowieka zasługuje na surową naganą. Nie postępuje się w ten sposób w stosunku do młodej mężatki, która w pełni zaufania przychodzi do mężczyzny przekonana o tym, że jest dżentelmenem. Zepsucie, które w ostatnich czasach wkrada się w szeregi młodzieży, sprawia to, że kobiety bywają narażone na podobne, a zasługujące na potępienie ataki, chociaż wszystkimi siłami starają się ich uniknąć. W danej sytuacji, jeżeli nieopanowany wybryk owego młodzieńca nie miał żadnych przykrych następstw, przypisać to należy nie tylko trwałym i niezłomnym zasadom p. Renowickiej, lecz także jej wyrozumiałości i taktowi. Jak to stwierdzimy z dalszego toku pamiętnika, umiała ona nie tylko zachować się w sposób odpowiedni, lecz i nie zrazić do siebie zapalczywego młodzieńca. Przeciwnie: potrafiła zyskać jego przyjaźń, czego dowody mamy w opisie dalszej ich znajomości. Dodam jeszcze, że uważałam za wskazane wykreślić w tym miejscu z pamiętnika kilkadziesiąt wierszy zawierających szczegóły, które zupełnie nie miały wpływu na dalszy tok akcji. Autorka nie jest jeszcze uprawną pisarką i dlatego czasami lekceważy kanony kompozycji, pozwalając fragmentom rozrastać się do rozmiarów przytłaczających całość konstrukcji. (Przypisek T. D. M.)*

Gdy przypomniałam sobie o słuchawkach, u miss Normann był już ten ktoś. Śmiała się i z ożywieniem (oczywiście sztucznym!), opowiadała mu o perypetiach jakiegoś swego kuzyna na słynnym *steeple-chase*<sup>96</sup> w Liverpoolu. Jaszczurka! Już zdążyła wypenetrować, czym może zająć Tota!

Nie czekałam długo na jego głos. Ach, nie miałam już najmniejszej wątpliwości, że to był Toto. Poznałabym go chociażby po tych jego ulubionych powiedzonkach, których nie ośmiela się przy mnie powtarzać, gdyż je zawsze wyśmiewałam.

Byli z sobą na pan i pani. Z ich rozmowy nie można było wywnioskować, by już między nimi mogło dojść do czegoś istotniejszego. Jednakże najwyraźniej go kokietowała, starała mu się przypodobać i — może pod tym względem Fred ma rację, że w ten sposób kobieta zachowuje się tylko wobec takiego mężczyzny, który jej się naprawdę podoba. Winszuję jej gustu!... Ze swej strony Toto również nie pozostawał w tyle, obsypując ją banalnymi zachwykami i prawiąc głupie komplementy.

Sama nie wiem, dlaczego z takim spokojem zniosłam to wstrętne „słuchowisko”. Może dlatego, że byłam jeszcze pełną radości i wewnętrznej pogody, może dlatego, że obok mnie siedział Fred, taki miły i tak bardzo pod każdym względem przewyższający Tota.

Swoją drogą nie może to być zwykłym przypadkiem, że spotykam w swym życiu ludzi wyjątkowo wartościowych, nieprzeciętnych, chociaż tak różnych, i że oni właśnie odnajdują we mnie te zalety, które dla zwykłych tuzinkowych mężczyzn pozostają niedostrzegalne.

Po powrocie do domu zatelefonowałam do Tota. Oczywiście nie przyznał mi się, że był u niej, gdy zaś zaproponowałam, byśmy się spotkali o szóstej na fajfie u państwa Ledóchowskich, zgodził się bez najmniejszego zająknięcia, chociaż na własne uszy słyszałam, jak umawiał się z tą wydrą do kina właśnie na szóstą. Widocznie czuje jeszcze przede mną mores. Nic mu to zresztą nie pomoże. Gdy się już wszystko wyklaruje, opowiem komu trzeba o tych tygrysach. Wyobrażam sobie, przez ile miesięcy Toto nie będzie mógł pokazać się nie tylko w Klubie Myśliwskim, lecz w ogóle w Warszawie.

Sobota

W głowie mi jeszcze huczy od myśli, których ani zebrać, ani uporządkować nie umiem. Tyle naraz strasznych i wstrząsających wiadomości!

Nareszcie ta podła kobieta zdjęła maskę. Nie mogłam uwierzyć własnym uszom, gdy słuchałam tej rozmowy. Gdyby nie obecność Freda, nie wiem, co zrobiłabym. Może popełniłabym jakieś nieobliczalne głupstwo. Była przecież chwila, gdy chciałam zbiec na dół, gdy chciałam telefonować po policję...

Będę się starała opisać wszystko z jak największą dokładnością. A więc już o godzinie dziesiątej rano Fred zadzwonił z zawiadomieniem, że wkrótce u miss Normann ma być ten człowiek, któremu onegdaj postawiła czterdziestoośmiogodzinne ultimatum. Uważał, jakżeż słusznie, że rozmowa ta przedstawiać będzie dla mnie bardzo wielkie znaczenie. Ubrałam się czym prędzej i w niespełna dwadzieścia minut byłam już u niego. Gdy wychodziłam z domu, Jacek golił się w łazience, gwizdząc jakąś melodię. Czyż mogłam przewidzieć, że miss Normann właśnie z nim jest umówiona?! Ale nie będę wyprzedzała wypadków.

W pokoju miss Normann panowała cisza. Fred również zdawał się być podniecony niezwykłością sytuacji. Nie powiedział mi o tym, lecz przewidywał widocznie, że miss Normann wezwała mego męża. Obecność Freda była mi wielką pociechą i ukojeniem. Każda kobieta zrozumie, co przez to chciałam powiedzieć. Bliskość silnego, odważnego i rozumnego mężczyzny dla każdej kobiety zmniejsza poczucie niebezpieczeństwa do minimum. Siedzieliśmy w milczeniu, przy czym każde z nas przyciskało do ucha jedną z dwóch słuchawek. Wreszcie o godzinie jedenastej, czy może kilka minut po jedenastej, na dole rozległo się pukanie do drzwi i krótkie *come in*, rzucone przez miss Normann.

Od razu poznałam głos Jacka. Mówił:

— Zdaje się, że jestem punktualny. Jestem do dyspozycji pani.

Ponieważ mówili po angielsku, do końca nie mogłam ustalić, czy zwracają się do siebie per ty, czy per pan, czy pani. Angielskie *you* może oznaczać zarówno jedno, jak i drugie.

<sup>96</sup>*steeple-chase* (ang.) — wyścig z przeszkodami (tu w domyśle: konny). [zprypis edytorski]

Sądząc jednak z ogólnego tonu rozmowy, mogłam wywnioskować, że Jacek raczej starał się zachować najbardziej oficjalną formę, podczas gdy ona chciała nadać rozmowie ton poufalszy. Przynajmniej na początku. Postaram się jak najdokładniej powtórzyć to, co usłyszałam. Otóż miss Normann odpowiedziała swobodnie:

— Tak długo i tak cierpliwie czekałam na pańską decyzję, że te kilka minut nie robi już różnicy. Proszę, niech pan siada. Tu są papierosy. Blando pan wygląda. Doskonale zrobiłaby panu teraz Sycylia. W nadziei, że razem tam już pojedziemy, telefonowałam nawet do biura podróży z zapytaniem o połączenie. Może kieliszek koniaku?...

Fred ścisnął mnie za rękę.

— Ona kłamie. Wcale nie telefonowała do biura podróży.

Jacek zaśmiał się nienaturalnie.

— Chyba pani żartuje?... Przecież decyzję swoją zakomunikowałam pani już od dawna. Kocham swoją żonę i nie mam najmniejszego zamiaru rozstawać się z nią nie tylko na zawsze, ale i na krótki bodaj okres. Czy pani rozumie, że ją kocham?!

— Owszem. Dla mnie to jednak nie zmienia sytuacji.

— Nie zmienia? Traktować to mogę jedynie jako dowcip. Cóż przyszłoby pani z tego, gdybym nawet wrócił do pani, skoro nie mógłbym w sobie wzbudzić żadnych innych uczuć, oprócz...

Urwał, a ona odpowiedziała:

— Oprócz nienawiści?... Widzi pan, jak pan to słusznie kiedyś zauważył, nie należę do kobiet banalnych, szablonowych. Właściwie mówiąc, byłoby to dla mnie zupełnie obojętne, jakie uczucia pan dla mnie żywi. Przecież ja również nie twierdzę, że pana kocham. A może pan sądzi inaczej?

— Nie zastanawiałem się nad tym — mruknął Jacek.

— Jako nad rzeczą, która pana nie obchodzi?... Otóż nie kocham pana. Po prostu chcę mieć pana przy sobie i dla siebie. Nazwał pan to kaprysem. Mniejsza o to. W każdym razie rozporządzam środkami, które umożliwiają mi realizację tego kaprysu.

— Myli się pani — zaprzeczył twardo. — Może pani mnie zmusić jedynie do... usunięcia się z areny.

— Ach, jakież to nierozsądne — zaśmiała się. — Zależy panu na uniknięciu skandalu, na osłonięciu opinii swojej obecnej żony, nieprawdaż? I cóż pan zyska przez samobójstwo? Nie, mój drogi. Niech pan nie będzie dzieckiem. Zna mnie pan przecież o tyle, że nie zawahałabym się do skandalu, wywołanego przez pańskie samobójstwo, dorzucić paru informacji, wyjaśniających podłoże tego kroku. Nie, przyjacielu. To nie jest żadne wyjście.

Na dole zapanowała cisza. Po chwili zaś odezwał się Jacek głosem jakby z lekka ochrypłym:

— Proszę się nie obawiać. Potrafiłbym pani w tym przeszkodzić.

W jego tonie zabrzmiała groźba, miss Normann jednak zawołała z zupełną swobodą:

— O, chce pan i mnie zabić? Cóż za romantyczne zdarzenie! Dwa trupy w pokoju hotelowym. Wschodząca gwiazda polskiej dyplomacji, jeden z najbardziej czołowych reprezentantów warszawskiego *beau monde*<sup>97</sup> zabija piękną cudzoziemkę!... Cóż za żer dla sensacji!

— Gdyby mnie nawet z twej strony miał spotkać napad — ciągnęła miss Normann — gdybym nawet straciła życie, wierz mi, nazajutrz wszystkie dzienniki wiedziałyby, co cię popchnęło do morderstwa. Tak, mój czcigodny mężu. Myślę, że zdołał mnie pan poznać o tyle, by wiedzieć, że umiem myśleć o swoich sprawach.

Jacek powiedział:

— I chce pani, bym do niej wrócił? Chce pani, by wrócił do niej człowiek, który gotów jest ją zabić?!

— Właśnie — potwierdziła. — To dodaje sytuacji tej pikanterii, której zawsze szukałam. Zresztą mogę przecież mieć nadzieję, mieć wiarę we własne siły, mieć po prostu przeświadczenie, że z czasem zdołam odzyskać pańską miłość.

— To jest absolutnie wykluczone — wybuchnął Jacek. — Już teraz nienawidzę pani!... Pogardzam panią!... Czy pani to rozumie?!

<sup>97</sup>*beau monde* (fr.) — wyższe sfery; wytworne towarzystwo. [przypis edytorski]

— Rozumiem — odpowiedziała chłodno. — Ale w niczym to nie zmienia mego postanowienia. Powtarzam swoje ultimatum: albo do jutra pan zdecyduje się natychmiast ze mną wyjechać i wszcząć kroki rozwodowe przeciwko obecnej pańskiej żonie, albo zmuszona będę oskarżyć pana o bigamię i nadać tej sprawie jak największy rozgłos.

Znowu zapanowało milczenie. Później nagły hałas odsuwanego czy przewracanego krzesła. Serce zamarło mi w piersi. W mojej wyobraźni rysował się już obraz tego, co się tam dzieje: oto rzucił się na nią i... Jednak zamiast krzyku przerażenia usłyszałam przytłumione przez dywan kroki. Po dłuższej pauzie zatrzymały się i odezwał się cichy, opanowany głos Jacka:

— Ponieważ nie mogę uwierzyć, by aż do tego stopnia zależało pani na mnie, proponuję pani okup.

— Okup?... Mam wrażenie, że jest pan nie dość bogaty, by zapłacić mi równowartość tej ceny, jaką przywiązuję do pana.

— Wszystko, co posiadam, po spieniężeniu równałoby się kwocie mniej więcej półtora miliona złotych.

— To bardzo niewiele jak na moje wymagania — zaśmiała się.

— Przypuszczam, że ponadto zdołałbym zmobilizować jeszcze kilkaset tysięcy. Gotów jestem zostać do końca życia nędzarzem.

— Nic by mi z tego nie przyszło. Gdybym nawet nie posiadała osobistego majątku, może mi pan wierzyć, że w każdej chwili mogłabym stać się bogata. Nie wszyscy mężczyźni tak boją się pożycia ze mną, jak pan. Dajmy jednak temu spokój. Skoro pan wszakże wspomniął o okupie, przyszła mi do głowy zupełnie inna myśl... Przepraszam pana na sekundę.

Usłyszałam jej kroki i dźwięk drzwi otwieranych, a następnie zamykanych.

— Widzi pan — powiedziała — ostrożność nigdy nie zawadzi. A to, o czym zamierzam mówić, nie może być przez nikogo słyszane. No, ale teraz pozwoli pan kieliszek koniaku? Świetna marka.

W jej tonie było jakby odprężenie. Usłyszałam brzęk kieliszków. W pierwszej chwili opanowała mnie obawa, że ta zbrodniarka chce Jacka odurzyć jakąś trucizną, toteż uspokoiłam się, gdy w słuchawce zabrzmiał jego głos:

— Bardzo dziękuję pani. Nie będę pił.

— Jak pan chce — zgodziła się prawie wesoło. — Sądziłam, że lepiej nam pójdzie rozmowa. Otóż widzi pan, są... istnieją pewne warunki... pod którymi zgodziłabym się uwolnić pana od mojej osoby. Niech pan mnie tylko wysłucha spokojnie.

— Z góry mówię pani, że zgodzę się na wszystkie warunki, które nie będą dotyczyły czci mojej żony ani mego honoru.

— Tak?... Tym lepiej. No widzi pan. Mam nadzieję, że dojdziemy do porozumienia.

— Niczego bardziej nie pragnę.

Zaległa cisza. Widocznie miss Normann zastanawiała się nad formą sprecyzowania swoich warunków. Odezwała się po dłuższej dopiero chwili:

— Pewnym moim znajomym zależy bardzo na zapoznaniu się z treścią niektórych dokumentów i pan mógłby mi to ułatwić.

— O jakich dokumentach pani mówi?

— Pan z racji swego stanowiska ma dostęp do tych właśnie papierów.

Zniżyła głos:

— Są bardzo dobrze strzeżone, a pan ma szczęście, że przy ich pomocy zupełnie niedużym wysiłkiem zdoła się pan uwolnić od mojej osoby i od wszystkich konsekwencji pańskiej bigamii. Ma pan szczęście, że właśnie na tych dokumentach tak bardzo komuś zależy. Za tę cenę odzyska pan spokój i rodzinne szczęście, przy czym nikt nie dowie się nigdy, że to pan ułatwił mi zapoznanie się z treścią owych umów.

— O jakich umowach pani mówi? — zapytał Jacek przestraszonym głosem.

— Niech pan mnie wysłucha do końca. W ciągu ostatnich kilku miesięcy między Polską a innymi państwami prowadzone były pertraktacje, w których wyniku zawarte zostały pewne porozumienia.

*Tu autorka pamiętnika wyszczególnia dokumenty, o które chodziło miss Normann. Ponieważ jednak dokumenty te, jako też ich treść, moim zdaniem, nie tylko wówczas, lecz i teraz stanowią tajemnicę państwową, uważałam za rzecz niemożliwą podawanie ich w druku. Skreślenie tego ustępu przeze mnie w niczym nie zmienia istoty faktu, że miss Normann żądała w zamian za swoje milczenie przedstawienia jej tajnych papierów dyplomatycznych, mniejsza o to, jakich. (Przypisek T. D. M.)*

— Teraz nareszcie zrozumiałem panią — rozległ się na dole chłodny głos Jacka. — Cała ta inscenizacja nawrotu uczuć była tylko próbą wyszantażowania ode mnie tajemnic państwowych. Pani jest szpiegiem.

— Podziwiam bystrość pańskiego umysłu — zauważyła z ironią. — Nie wiem tylko, dlaczego używa pan aż tak dobitnych określeń. Nie myli się pan. Pracuję w wywiadzie. I właśnie jest moim zadaniem dotarcie do dokumentów, o których panu mówiłam. Nie zabiorę ich panu. Potrzebne mi będą na jakieś pół godziny. Jak pan widzi i tak wiemy o ich istnieniu. I tak z dość dużą ścisłością orientujemy się w ich treści. Zależy nam jednak na ścisłości. O ile zdążyłam rozpatrzyć się w sytuacji podczas mego pobytu w Polsce, zdoła pan bez trudności zabrać, wypożyczyć te papiery na pół godziny, w którym to czasie zostaną one sfotografowane bez najmniejszych uszkodzeń. Zwróci je pan następnie w stanie nienaruszonym i nikt nawet nie domyśli się, że dostały się w nasze ręce dzięki panu.

Jacek milczał, a ona mówiła dalej:

— Zresztą oprócz pana do dokumentów tych ma dostęp jeszcze kilka osób. Gdyby nawet wyszło coś na jaw, nikt nie zdoła panu udowodnić, że to pan jest winowajcą. Odrobina sprytu wystarczy, by całą operację przeprowadzić bezboleśnie i bez obawy następstw. Ze swej strony obiecuję panu pełną dyskrecję. Natychmiast po dokonaniu zdjęć otrzyma pan moją pisemną zgodę na rozwód i oświadczenie, iż wziął pan ślub ze mną, nie zdając sobie z tego sprawy, gdyż był pan odurzony pewnymi narkotykami. Słowem, będzie pan zupełnie wolny.

Jacek milczał w dalszym ciągu.

— Ach, wiem doskonale, o czym pan teraz myśli. Zastanawia się pan nad tym, w jaki sposób oddać mnie w ręce waszego Drugiego Oddziału. Nie boję się tego. Ponieważ jednak w chwili zamroczenia umysłu, pod wpływem wzburzenia, może się pan zdobyć na tak nierozważny krok, chcę pana przed nim ustrzec. Nic by pan w ten sposób nie wskórał. Tak samo nie dałoby to rezultatów, jak wysyłanie uroczej małżonki do Krynicy w celu śledzenia mnie. Biedactwo, napracowała się wiele, by przeszukać moje rzeczy, i nic nie znalazła. Nie udało się jej nawet zdobyć mojej fotografii. Niepotrzebnie narażał ją pan na tę ryzykowną ekspedycję.

— Pani mówi nieprawdę — odezwał się Jacek. — Nigdy w życiu nie poniżałbym godności mojej żony do takich funkcji.

— Chętnie panu wierzę. Zrobiła to w takim razie z własnej inicjatywy. Zresztą jest to nieważne. Chciałam dać tylko panu dowód, że jestem dość ostrożna na to i dość doświadczona, by nie zostawiać jakichkolwiek kompromitujących śladów. Zapewne swoim oskarżeniem może pan spowodować to, że mnie aresztują i przez kilka dni, a nawet tygodni zatrzymają w więzieniu. A niczego mi udowodnić nie potrafią. I będą musieli mnie zwolnić na skutek interwencji mego poselstwa, które również nie jest poinformowane o roli, w jakiej tu przyjechałam. Proszę zastanowić się przy tym, że z wielką łatwością uwierzą mi wszyscy, gdy wyjawię motywy pańskiej denuncjacji. Rezultat będzie ten, że ja wyjadę wprawdzie bez dokumentów, o które mi chodziło, ale pan powędruje do więzienia nie tylko pod zarzutem bigamii, lecz i z piętnem podłego oszczercy, który dla uwolnienia się od swojej prawowitej małżonki oskarżył ją o szpiegostwo. Pańska obecna żona, a właściwie pańska kochanka, o której honor tak panu chodzi, też nie wyjdzie z tego zbyt czysto, zważywszy to, że bynajmniej nie będę robiła tajemnicy z jej myszkowań w moich rzeczach. Oboje będziecie wyglądali niezbyt pięknie. Para kochanków, udających mał-

żeństwo, knuje przy pomocy nędznych środków spisek przeciw porzuconej prawowitej żonie.

— Ach, jakże bardzo pani jest podła — ledwie dosłyszalnie wyszeptał Jacek.

— Mniejsza o to. Nie mamy czasu na zabawę w definicje. Chciałam panu tylko unocnić pańskie położenie. Zostawmy przy sobie to, co pan sądzi o mnie i co ja o panu. Dla naszych spraw nie jest to ważne. Zresztą, by pana pocieszyć, dodam, że kiedyś naprawdę byłam z panem szczęśliwa i że tej misji obecnie podjęłam się z największą przykrością. Podjęłam się zaś jej dlatego, że ma to być ostatnie moje zadanie w służbie wywiadowczej. Po uzyskaniu tych dokumentów zostanę zwolniona i będę mogła zacząć nareszcie prywatne, spokojne życie. Ponieważ jednak jako warunek mego zwolnienia postawiono mi właśnie te papiery, może pan być przekonany, że nie cofnę się przed niczym, by je od pana dostać. Oto wszystko. Jakaż jest pańska odpowiedź?

— Omyliła się pani — spokojnie odezwał się Jacek. — Zdaję sobie sprawę z tego, że moje położenie jest wręcz tragiczne. Wolę jednak ponieść wszystkie konsekwencje, niż stać się zdrajcą. Uprzedzam panią z góry, że postąpię tak, jak mi nakazuje mój honor i moje sumienie. Być może, nie zdołają pani udowodnić szpiegostwa, ale moim obowiązkiem jest złożyć odpowiednie doniesienie. Żegnam panią.

— Niech pan chwilę zaczeka — zatrzymała go. — Nie wymagam od pana natychmiastowej odpowiedzi. Chcę pana ustrzec przed szaleństwem. Musi pan mieć trochę czasu na rozważenie wszystkiego. Zwłaszcza na zastanowienie się nad faktem, że sprawa ta nie tylko dotyczy pana, lecz również pańskiej żony. Może się pan z nią naradzi.

— Czy sądzi pani, że moja żona namawiać mnie będzie do zdrady? Jeżeli tak pani myśli, równie grubo pani się myli, jak i wtedy, gdy zdawało się pani, że ja jestem zdolny do podobnej podłości. Uprzedzam panią, że wprost stąd jadę złożyć przeciw pani oskarżenie. Nie zdąży pani uciec.

Zaśmiała się głośno.

— Ależ nawet nie zamierzam próbować. Niech pan jednak będzie rozsądny. W obecnym stanie pańskich nerwów łatwo można powziąć decyzję, której się później żałuje. Będę z panem zupełnie szczerą. Wyczuwam doskonale, że przeżywa pan ciężko te chwile. Pomimo wrogości, którą pan ma dla mnie, moja sympatia dla pana nie zmniejszyła się wcale. Jest pan tym samym zacnym, dobrym chłopcem, którego tak kochałam. Z tego właśnie względu chciałam, chciałam bardzo w jakiś sposób ulżyć panu. Stać mnie na szczerść. Pan najlepiej wie, że się pana nie boję, że nie mam już powodu kłamać. Gramy w otwarte karty. Wprawdzie karty te nazywają się niezbyt pociągająco: z jednej strony szantaż i szpiegostwo, z drugiej bigamia i denuncjacja, ale nie wyklucza to przecie, że pozostały w nas i inne pobudki działania. Otóż ja nie chcę pańskiej krzywdy! Nie chcę pozostawić po sobie wspomnienia ohydneho płaza! Czy wierzy mi pan?...

Ta straszna kobieta, jak się obecnie przekonałam, była prawdziwą mistrzynią fałszu. Dość powiedzieć, że ja sama słuchając jej gotowa byłam dopatrzeć się w jej słowach szczerych, dobrych intencji. Ja!... I to nie widząc jej!... A cóż dopiero Jacek, na którego mogła oddziaływać nie tylko precyzyjnymi modulacjami głosu, lecz i całą kombinacją mimiiki i gestów, spojrzeń i uśmiechów! Ach, że też nie mogłam go ostrzec! A raczej, co za szczęście, że tego zrobić nie mogłam!...

Jacek zatrzymał się i powiedział:

— Chciałbym pani uwierzyć...

Brzmiało to dość niezdecydowanie, ale jej wystarczyło, by rozwinąć całą swą dyplomację. Zaczęła dowodzić, że sama ugina się pod narzuconym jej brzemieniem roboty szpiegowskiej, że przez zgodę na kompromis nie tylko uratowałby siebie, lecz i ją uwolniłby od bezwzględnych, brutalnych zwierchników, ludzi bez serca. Wreszcie tak wykręciła sprawę, że to ona właściwie oczekuje od Jacka ratunku, ona, nieszczęsna i prześladowana.

W rezultacie przekonała go, że nie zamierza wyjechać i że do jutra, do godziny dwunastej, zostawia mu czas do namysłu. Zobowiązała go również do naradzenia się ze mną. Widocznie w swojej zarozumiałości liczyła na moją strachliwość i sądziła, że jestem głupsza od niej... Tym lepiej! Przekona się, co to znaczy mieć ze mną do czynienia.

Chciałam natychmiast jechać do domu, gdy tylko usłyszałam, że na dole drzwi za Jackiem się zamknęły, lecz Fred mnie powstrzymał:

— Zaczekaj. Twego męża i później zastaniesz w domu, zresztą możesz do niego zatelefonować, by na ciebie czekał. Tutaj zaś, jestem tego pewien, usłyszymy rzeczy, które mogą nam bardzo się przydać.

— Czegóż więcej możemy się dowiedzieć!

— Ba! Czyż sądzisz, że ta pani działa na własną rękę?... Jestem przekonany, że zaraz będzie zdawała swemu zwierzchnictwu sprawozdanie z rozmowy z panem Renowickim. Gdyby bowiem...

Umilkł i podniósł wskazujący palec:

— Uwaga!

Za jego przykładem przyłożyłam słuchawkę do ucha. Miał rację: miss Normann rozmawiała z kimś przez telefon.

Teraz, gdy już wiedzieliśmy, że jest ona szpiegiem, nie daliśmy się wyprowadzić w pole. Mówiła wprawdzie o jakichś sprawach handlowych, o terminach płatności, o wekslach, o imporcie i tak dalej, ale dla nas było już jasne, że posługuje się umówioną nomenklaturą, w istocie zaś zdaje relację ze swych pertraktacji z Jackiem. Było to zupełnie wyraźne i Fred (co on ma za genialną głowę!) zaczął szybko notować wszystko, co mówiła. Gdy skończyła, zabraliśmy się do odcyfrowania całości. Zadanie mieliśmy o tyle ułatwione, że znaleźliśmy przedmiot jej rozmowy: sprawę Jacka.

Fred okazał się mistrzem orientacji, niejedna wszakże i moja uwaga bardzo się przydała. Po godzinie mieliśmy już gotowy obraz. Wynikało z niego, że miss Normann wierzyła w ustepliwość Jacka, a zwłaszcza liczyła na mój wpływ na niego. Dawała też do zrozumienia swemu rozmówcy (zapewne jakiemuś głównemu szpiegowi), że Jacek o nic jej nie podejrzewa.

Tego właśnie nie mogliśmy zrozumieć przez czas dłuższy. O cóż jeszcze mógłby ją podejrzewać? I tu Fred wpadł na bardzo prawdopodobną koncepcję. Jego zdaniem mogło to dotyczyć jedynie dokumentu stwierdzającego, iż kiedyś brali ślub. W każdym razie niektóre odezwania się tej kobiety zdawały się potwierdzać, że dokumentu tego nie posiada. A może nawet, że nie istnieje on w ogóle.

W jej telefonicznej rozmowie dwukrotnie został podkreślony postulat „sporządzenia dowodu wpłaty”. To mogło oznaczać, że miss Normann po oczekiwaniach przez nią otrzymaniu materiałów dyplomatycznych musi koniecznie wręczyć Jackowi akt ślubu. Fred posunął się w swych hipotezach nawet tak daleko, że zakwestionował w ogóle sprawę bigamii. Upierał się przy twierdzeniu, że ślub w ogóle nie miał miejsca lub też został sfingowany. Zacierał ręce i mówił:

— W każdym razie położenie twego męża bynajmniej nie jest groźne, dzięki temu oto aparacikowi, który tu zainstalowałem. Czy rozumiesz?... Twój mąż teraz ma świadka swojej rozmowy z miss Normann.

— No, tak — zauważyłam. — Ale przecież nie zechcesz się przyznać do tego, że podsłuchiwałeś.

— Dlaczego? Oczywiście przyznam się w razie potrzeby. Należy to do mego fachu. Jestem detektywem. Oczywiście będę musiał zeznać, że śledziłem miss Normann z twego polecenia.

— To bardzo przykre. Rzecz nabierze rozgłosu i w każdym bądź razie nie widzę, co byśmy z Jackiem mogli na tym zyskać.

— Bardzo wiele. Przede wszystkim ta kobieta ma wytrąconą broń z ręki. Dzięki temu, że słyszałem całą rozmowę, twój mąż z góry, składając doniesienie, będzie mógł od razu powiedzieć: ta pani groziła mi zmyśloną przez siebie bigamią, by na mnie wyszantażować dostarczenie jej tajnych dokumentów państwowych. A mój detektyw pan Fred Hobben był świadkiem całej rozmowy.

— I cóż z tego?

— Jak to co? Miss Normann zostanie natychmiast aresztowana, nie będzie mogła wypierać się tego, że uprawia szpiegowską robotę, i nikt jej nie da wiary, że cała ta historyjka o małżeństwie jest prawdziwa.

— Ba, ale przecież wyraźnie groziła Jackowi, że w razie aresztowania jej ktoś inny rozgłosi wiadomość o jego bigamii.

— Moja droga. Zaufaj mojemu doświadczeniu. Jestem przekonany, że to tylko jest zwykły i bardzo często używany przez przestępców sposób szantażowania, a raczej sposób



zapewnienia sobie bezpieczeństwa. W istocie bywa tak, że po aresztowaniu nic nikt nie ogłasza, z tej prostej przyczyny, że albo nie ma co ogłosić, albo boi się o własną skórę i woli pozostawić współnika własnemu losowi.

— Jednak strach mnie przejmuję, Fredzie, na myśl, co będzie, jeśli to nie były czcze pogrożki.

— A jakież jest inne wyjście? Chyba twój mąż nie zgodzi się spełnić jej żądań?

— Na pewno nie.

— Ani ty nie będziesz go do tego namawiała.

— Nigdy nie miałam tego zamiaru.

— Więc musimy działać. Będzie najrozsądniej, jeśli zaraz pojedziesz do domu i powiesz mężowi o tym, żeśmy słyszeli jego rozmowę z miss Normann.

Przestraszyłam się.

— Jak to, że my? Musiałabym wówczas powiedzieć wszystko.

Zaśmiała się.

— No, wszystkiego nie potrzebujesz mówić.

— Ale to, że od dawna wiedziałam o jego bigamii, że zwracałam się do waszego biura w Brukseli, że... spędzałam tu z tobą długie godziny sam na sam w pokoju hotelowym.

Rozłożył ręce.

— Trudno. Nie ma innego wyjścia. Nie potrzebujesz mu zresztą mówić, że czytałaś list adresowany do niego. Uwierzy ci na pewno, gdy mu powiesz, że dopiero po jego wyznaniach postanowiłaś działać na własną rękę i zwróciłaś się do naszego biura o pomoc.

— To prawda — przyznałam.

— Jeżeli zaś chodzi o to, że bywaliśmy z sobą bez świadków... Sama twierdziłaś, że mąż twój ma do ciebie nieograniczone zaufanie.

— Oczywiście, kochanie, ale wołałabym jakoś inaczej to ułożyć.

Fred potrzęsnał głową.

— Nie widzę innego sposobu.

Po krótkiej naradzie postanowiliśmy, że pojedę do domu, Fred zaś zostanie, by czuwać przy słuchawkach. Mieliśmy zresztą być w kontakcie telefonicznym, wzajemnie informując się o wszystkim. Ponieważ nie zastałam Jacka, który zostawił mi kartkę, bym na niego czekała, siadłam i zabrałam się do spisania zdarzeń, które mną tak głęboko wstrząsnęły. Jestem pełna niepokoju, czy tymczasem Jacek nie przedsięwziął jakichś nierozważnych posunięć.

W chwili gdy piszę te słowa, zegar bije piątą, a jego jeszcze nie ma.

Sobota, wieczorem

Gdybym umiała pisać dramaty, ta scena, która odbyła się między mną i Jackiem, wywarłaby w teatrze wręcz kolosalne wrażenie. Więc najpierw jego wejście. Wrócił zmieniony nie do poznania: błądy, z sińcami pod oczyma i z rozpaczą w spojrzeniu. Nawet w jego ubraniu zdawał się odzwierciedlać stan ostatecznego przygnębienia, w jakim się znajdował.

Nie przywitał mnie zwykłymi słowami, lecz usiadł ciężko na fotelu, opuścił głowę i przez dłuższą chwilę milczał, nerwowo gniotąc palce.

Czyż mógł przypuszczać, że właśnie teraz, gdy stracił wszelkie nadzieje, gdy zjawił się, by zakomunikować mi, że nie znajduje już żadnego ratunku ani dla siebie, ani dla naszego małżeństwa, właśnie u mnie, u swojej żony, znajdzie i pomoc, i ratunek, i radę!

Zaczął mówić głosem cichym, przerywanym, głuchym:

— Moja Hanko... Więc stało się... Kobieta, o której ci mówiłem, ujawniła wreszcie motywy swych żądań. Musisz być przygotowana na wszystko najgorsze... Postawiła mi tego rodzaju warunki, których przyjąć ani wypełnić nie mogę. Nie chcę mieć przed tobą tajemnic. Okazało się, że bynajmniej nie zależy jej na mnie. Fakt, który kiedyś związał mnie z nią, pragnie wyzyskać dla zmuszenia mnie do spełnienia czynu najpodlejszego... Zażądała, bym jej milczenie opłacił kradzieżą tajnych dokumentów państwowych. Ponieważ nie tylko nie mogę przez moment bodaj zastanawiać się nad tą haniebną propozycją, ale uważam za swój obowiązek natychmiast zawiadomić władzę o tym, że ta kobieta jest niebezpieczną agentką obcego wywiadu, trzeba, byś była przygotowana na wszystkie kon-

sekwencje. Jeżeli nie złożyłem dotychczas doniesienia, uczyniłem to dlatego, że chciałem uprzedzić ciebie.

Usta mu drżały, gdy to mówił. Przetarł dłonią czoło i dodał:

— Jeszcze dzisiaj ta... pani zostanie aresztowana. Nie mam wszakże przeciw niej żadnych dowodów. Zapewniała mnie, że od dawna zabezpieczyła się przed tą ewentualnością. I mam wrażenie, że mówiła prawdę. Moje doniesienie przedstawi władzom jako nieudolną próbę zemsty, jako nieuczciwy i naiwny sposób pozbycia się... prawowitej żony, domagającej się mego powrotu do niej. Jeżeli jej uwierzą, a muszą uwierzyć, nie mając żadnych dowodów jej winy, zostanie zwolniona, natomiast ja... znajdę się w więzieniu pod zarzutem bigamii oraz fałszywego oskarżenia.

Podniósł na mnie oczy.

— Znajdę się w więzieniu i będę skazany. Otóż, przewidując to wszystko, a raczej widząc dokładnie, że inaczej ta rzecz nie może być rozwiązana, znajdę dla siebie inne... wyjście. Nie o mnie jednak chodzi, lecz o ciebie... Skandal i kompromitacja nie dadzą się odsunąć. Trzeba jednak znaleźć sposób, który by chociażby do pewnego stopnia osłonił ciebie. Osobiście nie znajduję takiego sposobu. Może ogłosić już dzisiaj wśród znajomych, że ze mną zerwałaś... Może dobrze byłoby, gdybyś wyjechała na dłuższy czas za granicę... Nie wiem. Postąpisz najstuszej, gdy udasz się do swego ojca i opowiesz mu wszystko. Twój ojciec jest człowiekiem rozumnym. Sądzę, że da ci najlepszą radę.

— Czyż może mówił już z nim?... — zapytałam z niepokojem.

Przecząco potrząsnął głową.

— Nie. Nie mówiłem, chociaż tak należało zrobić. Zabrakło mi jednak odwagi. Nie proszę ani jego, ani ciebie o przebaczenie, gdyż wiem, że na nie nie zasłużyłem i że go nie otrzymam. Moje rachunki zresztą są skończone. Wielką cenę zapłacę za karygodny błąd mojej młodości. Ale zdaję sobie doskonale sprawę, że takie błędy muszą być najsurowiej karane. Dopiero dzisiaj zrozumiałem, dlaczego ta kobieta została moją kochanką, a następnie uwikłała mnie w małżeństwo. Już wtedy była szpiegiem i użyła mnie jako prostodusznego głupca, który ułatwił jej dostęp do ludzi z dyplomacji. Prawdopodobnie, wykorzystując sytuację, szperała również w tajnych papierach powierzonych mi do przewiezienia. Porzuciła mnie, gdy stałem się dla niej bezużyteczny, a teraz wróciła, gdy miała nadzieję wyszantażować ode mnie nowe tajemnice państwowe. Mniejsza zresztą o to... Powtarzam, że to moje rachunki i że ja je zapłacę... Chodzi o ciebie. Ta podła kobieta groziła mi bowiem, że i ciebie potrafi wciągnąć w tę brudną aferę. Oczywiście nie wierzę jej wcale. Istnieją jednak pozory, które mogą jej oskarżeniom nadać kształt prawdopodobieństwa. Wszystkiemu winien twój nieszczęsny wyjazd do Krynicy...

— Mój wyjazd?

— Tak. Poznałaś ją tam, nie wiedząc, że masz do czynienia z kobietą, która nas rozdziela. Ponieważ zaś w Krynicy, jak ona utrzymuje, ktoś rewidował jej pokój, ta kobieta twierdzi, że ty to zrobiłaś w zмовie ze mną. To nędzne oszczerstwo, ale by uniknąć potrzeby tłumaczenia się, najlepiej chyba zrobisz, wyjeżdżając na dłuższy czas za granicę i nie zostawiając tu adresu. Kobieta, o której mówię, jest miss Elisabeth Normann.

Skinęłam głową.

— Wiem o tym.

— Wiesz? — zdziwił się. — Domyśliłaś się?...

— O nie. Od początku uważałam tę sprawę za zbyt poważną, bym miała się opierać na domysłach. Wiem, wiem dokładnie, kim jest i kim była kobieta podająca za Elisabeth Normann.

— Nic nie rozumiem.

— To całkiem jasne. Czy mogłeś sądzić, że usłyszawszy twoje wyznanie, opuszczę ręce i zostawię rzeczy ich własnemu biegowi?... Nie, mój drogi. Postanowiłam działać, i to działać najenergiczniej. Natychmiast zwróciłam się do brukselskiego biura detektywów i dzięki temu obecnie wcale nie jesteśmy bezbronni.

— Jak to? Co ty mówisz? Zwróciłaś się do biura detektywów?

— Naturalnie — spojrzałam nań triumfująco. — I tylko dlatego możemy dzisiaj nie obawiać się tej kobiety.

— Dlaczego jednak nigdy nie wspomniałaś mi o tym?

— Wolałam działać na własną rękę. I, jak się okazało, postąpiłam słusznie. Zdaje ci się na przykład, że nie masz żadnego dowodu na to, że ona jest szpiegiem. Ale za to ja mam te dowody. Więcej niż dowody. Mam świadka, który słyszał na własne uszy, gdy przyznawała się do szpiegostwa. I gdy żądała od ciebie dostarczenia tajnych dokumentów. Ja zresztą wysłuchałam również tej rozmowy w całości.

Tu opowiedziałam Jackowi wszystko, z tą jedynie drobną zmianą, że nie wspomniałam o współpracy stryja Albina ani o tym, że z kimkolwiek rozmawiałam o sprawie. Trudno mi opisać zdziwienie i radość Jacka. Wypytywał o szczegóły i pełen był podziwu dla mojej przedsiębiorczości. Gdy skończyłam, zasmucił się jednak znowu.

— No, tak. To pod wieloma względami ułatwia mi sytuację. W każdym razie wystarczy do unieszkodliwienia jej jako szpiega. Nie zamknę jej jednak ust w sprawie bigamii. Potrzęsnęłam głową.

— Ja na tę rzecz patrzę bardziej optymistycznie. Zarówno detektyw, który ją śledził, jak i ja jesteśmy zdania, że ona nie posiada wcale świadectwa ślubu. Albo będzie posiadała świadectwo sfalszowane. Przecież powiedziała ci wyraźnie, że gotowa jest stwierdzić na piśmie fakt, że brałaś ślub odurzony narkotykiem. Sam mi wspomniałeś, że byłeś wówczas pijany. Czy ty jesteś pewny, że nie wmówiono w ciebie tego ślubu? Jeżeli ona już wówczas była szpiegiem, a wydaje mi się to rzeczą zupełnie pewną, prawdopodobnie miała współników, którzy cię otaczali i którzy wmówili w ciebie, że zostałeś jej mężem.

Jacek wzruszył ramionami.

— To jest absurd. Niestety, to jest absurd. Byłem wprawdzie pijany, nie na tyle jednak, by nie pamiętać zawarcia i podpisania aktu w urzędzie stanu cywilnego. Zresztą pamiętam również dokument stwierdzający, że jesteśmy małżeństwem. Na podstawie tego dokumentu otrzymaliśmy wspólną kabinę na okręcie i później meldowaliśmy się w Hiszpanii. Właściwie te formalności załatwiała właśnie ona. Nie, co do tego nie ma co się ludzić.

— Więc gdyby nawet tak było — powiedziałam — Można zawsze przyjść do niej i zaproponować układ: ona wyda świadectwo ślubu i zgodę na rozwód, w zamian za co będzie mogła swobodnie odjechać. Przecież bardziej jej będzie zależało na własnej wolności niż na dokuczaniu tobie i mnie.

— Zapewne — przyznał Jacek. — Nie wolno mi jednak tak postąpić.

— Dlaczego nie wolno?

— Dlatego, kochanie, że moim obowiązkiem jest unieszkodliwienie szpiega, działającego przeciw Polsce.

— Chyba oszalałeś?! Skoro wyjedzie, nie będzie mogła szkodzić Polsce.

— Do pewnego stopnia. Nie wiemy wszakże, czy już nie zdążyła zebrać tu jakichś ważnych wiadomości. Nie mam prawa dla ratowania siebie, a nawet dla ratowania twojej opinii biernie patrzeć na szkodę wyrządzaną państwu. Nie, kochanie. Co do tego, nie może być dyskusji.

Byłam trochę zła, ale wiedziałam, że nie ma po co z nim się spierać. W takich kwestiach był zawsze nieustępliwy i uparty jak kozioł. Zresztą może i miał rację. Należało tedy poszukać innego wyjścia. W tym celu zaproponowałam, by sprowadzić Freda, którego oczywiście wobec Jacka nie nazywałam inaczej jak detektywem. Jacek również uznał to za wskazane, chociaż skrzywił się i dodał:

— Ogromnie nie lubię przestawać z tego typu ludźmi. Mam nawet obawę, czy ten człowiek, wdarszy się w nasze tajemnice, nie wyzyska tego na własną korzyść i nie będzie próbował nas szantażować.

— Co do tego, nie ma obawy — uspokoiłam go. — W sprawach dotyczących zaufania do ludzi, możesz zawsze polegać na mojej intuicji. Ten pan, pomimo bardzo młodego wieku (to jeszcze prawie smarkacz), sprawia wrażenie najuczciwszego człowieka i wzoru dyskrecji. Na pewno zachowa wszystko w tajemnicy. Pochodzi zresztą z bardzo nobliwego środowiska. Czy pamiętasz zamek Hobben, któryśmy razem zwiedzali w Belgii?... Otóż zamek ten był kiedyś rodową własnością przodków tego detektywa. Umyślnie prosiłam brukselskie biuro, by przysłano tu człowieka najlepszej klasy. Miałam zresztą możliwość stwierdzić osobiście, że jest pod każdym względem *correct*. Sam się o tym przekonasz.

Zadzwoiłam do Freda i dowiedziałam się od niego, że miss Normann wyszła. Umówiła się telefonicznie z jakimś panem w kawiarni „Europejskiej”. Od razu domyśliłam

się, że tym panem nie może być nikt inny jak Toto. Przecież ze swymi szpiegowskimi wspólnikami nie spotykałaby się publicznie.

Fred mówił:

— Teraz w żaden sposób nie mogę wyjść z hotelu. Rzecz polega na tym, że ta pani oczekuje na dokumenty, które mają być jej przysłane o siódmej. Muszę stwierdzić, kto przyniesie te dokumenty, i ewentualnie postarać się, by się dostały do moich rąk. Udać mi się to może jedynie w tym wypadku, jeżeli miss Normann nie zdąży na czas wrócić do hotelu. Gdybyś mogła w jakiś sposób zatrzymać ją w kawiarni, byłoby to nader pożyteczne. Ponieważ ją znasz, a wydaje mi się, że tym panem, z którym ona się ma spotkać, jest również twój znajomy, mogłabyś tego dokonać. Natomiast o godzinie ósmej będę już wolny i jestem do dyspozycji twego męża.

Oczywiście zgodziłam się na wszystko. Od Jacka wzięłam zobowiązanie, że będzie w domu na mnie czekał i że żadnych nie poczyni kroków. Była punktualnie za piętnaście siódma, gdy wchodziłam do kawiarni „Europejskiej”. Zobaczyłam już ich z daleka. Siedzieli przy stoliku w kącie. Przed nimi stały wypróznione już filiżanki. Toto ścierpł na mój widok. Natomiast ta wydra zrobiła słodziutką minę i tak dobrze udawała radość z mojej obecności, że prostoduszny Toto aż się zdziwił. Swoje zjawienie się usprawiedliwiłam w sposób zupełnie naturalny. Powiedziałam, że umówiłam się tu z Halszką i z jej mężem na szóstą, ale zatrzymała mnie krawcowa. Ponieważ wiedziałam, że Halszka niemal codziennie bywa w tej kawiarni i tym razem nie omyliłam się. Toto potwierdził:

— Widocznie nie mogli czekać. Wyszli stąd przed jakimś kwadransem.

— Jakże żałuję. Tak jestem dziś zalatana po mieście. Od rana nie byłam w domu.

Powiedziałam to umyślnie dla miss Normann. I, by ją przekonać, że jeszcze nie widziałam się z Jackiem, dodałam:

— Nawet mąż dzwonił dwa razy do krawcowej, że ma do mnie jakiś pilny interes (ci mężczyźni zawsze mają jakieś pilne interesy) — uśmiechnęłam się do tej wydry — ale nie mogłam. Tak fatalnie zrobiła cyrkiel u sukni (bo to z ukosu), że musiałam dopilnować poprawki osobiście. Czy pani też ma tyle kłopotu ze swoimi strojami?

Rozmowa zaczęła się rozwijać na dobre i już byłam przekonana, że uda mi się ją zatrzymać, gdy niespodziewanie rzuciła okiem na zegarek i wstała:

— Bardzo przepraszam, ale mam coś pilnego i muszę wyjść.

— No, chyba nie zostawicie mnie państwo samej? — zwróciłam się do nich błagalnie.

— Niech pani jeszcze chwilkę zostanie. Zaraz skończę kawę i też wychodzę.

Skinęła głową.

— Dobrze. Z największą przyjemnością. Muszę jednak w takim razie zatelefonować. Zostawię państwa tylko na chwilę.

I ja, niemądra, uwierzyłam jej. Gdy się zorientowałam, było już za późno. Wróciła wprawdzie, lecz po piętnastu minutach. Wtedy uprzytomniłam sobie, że przez ten czas zdążyła być w „Bristolu”, Przecież to zaledwie kilka kroków. Biedny Fred. Nie tylko mu się nie udało, ale mógł zostać przez nią przyłapany, jeżeli nie zachował dostatecznej ostrożności i jeżeli był przekonany, że ja swoją misję wypełnię należycie. To wszystko zepsuło mi humor. Toto aż nadto dobitnie mógł to odczuć. Dwa razy od niechcenia wspomniałam o polowaniu na tygrysy, orzekłam, że ma wstrętny krawat, i ofiarowałam mu jeszcze kilka docinków. Był zupełnie struty. Cieszyłam się tylko na myśl, jak będę go wykpiwała, gdy ten przedmiot jego westchnień znajdzie się w więzieniu.

O ósmej pożegnałam się z nimi i wróciłam do domu. W przedpokoju spotkał mnie Jacek, oznajmiając, że „ten pan” oczekuje w salonie.

— Nie wychodziłem do niego, gdyż nie wiedziałem, jak z nim zacząć rozmowę — dodał.

Fred zachował się znakomicie. Był rzeczowy i oficjalny. O sprawie mówił tak, jakby nie dotyczyła bezpośrednio ani mnie, ani Jacka. Traktował wszystko wyłącznie zawodowo. Od razu zauważyłam, że Jacek uspokoił się i nabrał doń zaufania. Na pytania Jacka Fred odpowiadał krótko, lecz wyczerpująco. Do mnie zwracał się z tak chłodnym szacunkiem, że mi to nawet sprawiało swego rodzaju przykrość.

— Przypuszczałem, *madame*, że się pani nie uda zatrzymać miss Normann w kawiarni. Toteż zachowałem jak najwięcej ostrożności. Zdążyłem przeszukać pokój i w porę

uplasować się w hallu. W pokoju, oczywiście, nic nie znalazłem. Ta osoba jest dostatecznie sprytna. Natomiast byłem świadkiem wręczenia jej papierów, na które oczekiwała.

— Był pan świadkiem? — zapytałam. — Więc widział pan również tę osobę, która wręczyła jej papiery?

— Nie wręczała jej. Odbyło się to w ten sposób: miss Normann weszła do hallu, zapytała portiera, czy nie było do niej telefonu, i powiedziała, że zaczeka. Gdy usiadła przy stole i zaczęła przeglądać pisma, łamałem sobie głowę nad tym, kto z obecnych ma jej dostarczyć papiery. Wkrótce przekonałem się. Przy innym stole przeglądała ilustracje jakaś starsza dama w żałobie. W pewnym momencie spojrzała na zegarek i wyszła. Spóźniłem się o jeden moment. Wstałem, by zająć miejsce starszej damy. Nie mogłem jednak okazać pośpiechu, by się nie zdradzić. Dzięki temu miss Normann zdążyła zbliżyć się do stolika prędzej ode mnie i wziąć leżący tam egzemplarz „Illustration”. Zachowałem wszystkie pozory, zabierając jakiś inny tygodnik. Widocznie miss Normann nie podejrzewała mnie o uplanowane zamiary, gdyż zajęła znowu swoje miejsce. Obserwując ją spod oka, zauważyłem moment, gdy zsunęła z pisma do torebki białą kopertę. Zrobiła to zresztą bardzo zręcznie. Musi mieć mocne nerwy, gdyż po kilku dopiero minutach wstała, wydała jakieś dyspozycje portierowi i wyszła. Prawdopodobnie z powrotem do kawiarni.

— Tak — potwierdziłam. — Wróciła po piętnastominutowej nieobecności.

— A jak pan sądzi — zapytał Jacek — co zawierała owa koperta?

— Najprawdopodobniej falsyfikat świadectwa ślubu.

— Dlaczego pan sądzi, że falsyfikat?

— Dlatego, że nie wierzę w autentyczność małżeństwa, które ta pani usiłuje wmówić panu. Moim zdaniem cała rzecz polegała na mistyfikacji.

— Nie rozumiem pana.

— Zaraz to panu wyjaśnię. Otóż, o ile orientuję się w sprawie, ta dama poznała pana przed ośmiu laty i była wówczas w towarzystwie człowieka, którego przedstawiała jako swego ojca. Ponieważ jednak w innym czasie tenże człowiek mieszkał z nią w Biarritz i tam uchodził za jej męża, mamy prawo przypuszczać, że po prostu był również szpiegiem. Stąd zaś wynika, że i rzekoma miss Normann już wówczas zajmowała się szpiegostwem. Teraz, gdy pana poznałem, nie wątpię, że mogła żywić dla pana sympatię. Głównym jednak motywem jej działania były rozkazy wywiadu, w którym pracowała. Ponieważ zaś pan spełniał już wówczas pewne funkcje dyplomatyczne, zależało jej na tak bliskim kontakcie z panem, jak małżeństwo. Żaden szpieg jednak nie lubi zostawiać po sobie śladów. Toteż byłoby z jej strony wielką nieostrożnością zawierać małżeństwo w urzędzie stanu cywilnego. Po pierwsze, musiała przewidywać, że wcześniej czy później pan będzie się starał o unieważnienie tego małżeństwa. Że będzie pan jej poszukiwał ogłoszeniami itd., itd. Że może nawet opublikuje pan jej fotografię. Pan czy pańscy adwokaci.

— Zrobiłbym to, gdyby mi zostawiła chociaż jedną — wtrącił Jacek.

— Widzi pan — skinął głową Fred. — Po cóż tedy miała narażać się na takie niebezpieczeństwa, gdy było rzeczą znacznie prostszą zainscenizować wszystko i wmówić w pana, że zawarł pan formalne małżeństwo. Przeprowadziłem dzisiaj rozmowę telefoniczną z jednym z moich starszych kolegów, zajętych obecnie w Budapeszcie. I właśnie on podsunął mi tę myśl. Bardzo wierzę jego doświadczeniu. Już wiele razy przekonałem się, że świetnie zna się na tych sprawach. Sam zresztą kiedyś pracował w angielskim wywiadzie. Otóż on sądzi, że wykorzystując pańską nieznaną sobie stosunków amerykańskich i pański stan podchmielenia przewieziono pana po prostu do jakiegoś biura, pozostającego w kontakcie z szajką szpiegowską.

— Do jakiego biura? — zdziwiłam się.

— Do pierwszego lepszego. Mogło to być na przykład biuro importu maszynek do golenia czy kancelaria adwokata, na której drzwiach zawieszono na tę godzinę tabliczkę urzędu stanu cywilnego. Pan Renowicki, nie mając żadnego doświadczenia w tym względzie, a wiedząc, że sprawy te w Ameryce załatwia się niezwykle szybko i łatwo, bez trudu mógł uwierzyć, że współnik miss Normann, udzielający mu „ślubu”, jest urzędnikiem. I że świadectwo, które otrzymał, jest świadectwem najprawdziwszym. Czyż moje rozumowanie nie przemawia panu do przekonania?

Jacek zamyślił się.

— To wszystko jest zupełnie prawdopodobne.

— Nie tylko prawdopodobne, ale jestem przekonana, że tak było! — zawołałam i omal nie dodałam: „Fredzie, jesteś genialny!” Fred dalej rozwijał swoje koncepcje, uzasadniając pogląd, że miss Normann nie może posiadać autentycznego świadectwa ślubu. Mnie już nie potrzebował przekonywać. Jacek zaś powiedział:

— Gdyby istotnie było tak, jak pan mówi, sprawa przedstawiałaby się dla nas, dla mojej żony i dla mnie, zupełnie pomyślnie.

Od razu wstąpiła weń otucha i dodał:

— W takim razie nie mamy po co dłużej zwlekać. Natychmiast jadę do ministerstwa i składam raport.

— Zaczekaj jeszcze — zatrzymałam go. — Dlaczego z tym masz jechać do ministerstwa? Czy to jest konieczne?

— Oczywiście.

— Nie sądzę — zaoponowałam. — Ministerstwo o tym może nic nie wiedzieć. Po co wśród znajomych ta sprawa miałaby nabrać rozgłosu?! To trzeba załatwić w ten sposób, by wszystko przeszło jak najciszej i jak najdyskretniej. Wydaje mi się również, że sprawy szpiegowskie nie mają nic wspólnego z ministerstwem. O! Już mam!... Przecież tymi rzeczami zajmuje się pułkownik Korczyński. To jest bardzo dyskretny człowiek. Mam doń pełnię zaufania od czasu historii z żółtą kopertą.

Jacek zawahał się.

— Znam go zbyt mało.

— Ale ja go za to znam świetnie. Wcale nie uważam za konieczne, byś właśnie ty miał to załatwić. Ja sama doskonale dam sobie z tym radę.

— Ale po prostu nie wypada — upierał się. — Rzec dotyczy mnie i moich spraw służbowych... Nie mogę mieszać w to mojej żony.

— Mój drogi. Jesteś zabawny. Mówisz tak, jakbyś nie wiedział, jaki obrót przybrałaby ta sprawa, gdybym ja się w nią nie wmixowała. Dotychczas załatwiłam (sam to przyznasz) jak najlepiej. Pozwól, że doprowadzę rzecz do końca.

Nie chciał się godzić, lecz prawie zmusiłam go do tego. Zdecydował się wreszcie, gdy Fred mi przyszedł z pomocą, przyznając, że chcąc rzecz załatwić mniej oficjalnie, będzie lepiej, jeżeli ja się podejmę rozmowy z pułkownikiem Korczyńskim.

— Właśnie — zadecydowałam. — I pan van Hobben pojedzie ze mną, by móc od razu wystąpić jako świadek. Pozostawało jeszcze naradzić się nad kwestią postawienia sprawy rzekomej bigamii.

I tu przydało się bardzo doświadczenie Freda w tych rzeczach. Był zdania, by nie wspomnieć nawet o kwestii bigamii. Jego zdaniem wystarczyć powinno było w zupełności powiedzenie, że miss Normann usiłuje wyszantażować od Jacka tajne dokumenty, posługując się korespondencją sprzed lat ośmiu, gdy łączył ich bliższy stosunek.

Ja, znając pułkownika, byłam również pewna, że nie zainteresuje go bliżej ta kwestia. W razie zaś, jeżeli po aresztowaniu miss Normann spróbuje jednak wykonania swojej groźby, trzeba będzie kategorycznie wszystkiemu zaprzeczyć. Jeżeli nawet posiadane przez nią dowody bigamii miałyby cechy autentyczności lub wręcz były autentyczne, przez samo ich zakwestionowanie rzecz nie tylko by od razu nie wyszła na wierzch, lecz prawdopodobnie na zawsze pozostałaby nietknięta, tym bardziej że — jak zaznaczył Fred — procesy szpiegów obcej narodowości odbywają się zazwyczaj przy drzwiach zamkniętych. W tych warunkach, gdyby nawet do kół znajomych przedostały się jakieś mgliste wieści o oskarżeniach tej kobiety przeciw Jackowi, można by je zupełnie bezpiecznie traktować jako zmyślane bajki.

Po ustaleniu tych szczegółów zatelefonowałam do pułkownika. Zastałam go już w domu, lecz był tak uprzejmy, że zgodził się wrócić do biura i mnie przyjąć. Co prawda zakomunikowałam mu, że mam niezwykle ważne informacje o osobie wysoce podejrzanej, która lada moment może zbiec z Warszawy.

Oboje z Fredem wsiedliśmy do samochodu i pojechaliśmy. Za radą Freda zostawiłam go w aucie na dole z tym, że go wezwę, w razie jeżeli pułkownik tego zażąda.

W biurze już nie było prawie nikogo. Tylko w poczekalni siedział ów grubawy jegomość o nieprzyjemnym wyglądzie, którego po raz pierwszy widziałam w mleczarence

na Żoliborzu. Pułkownik Korczyński wyszedł na moje spotkanie, jak zawsze szarmancko przywitał się ze mną i zaprosił do swego gabinetu.

— Mam prawdziwe szczęście — zaczęłam — że los mi pozwolił poznać pana pułkownika, gdyż teraz nie tylko potrzebuję pańskiej pomocy, lecz mam również możliwość przysłużenia się sprawom, którymi pan kieruje.

Uśmiechnął się uprzejmie, mówiąc:

— Zawsze jestem do dyspozycji pięknych pań. O cóż chodzi tym razem?

— Widzi pan, mój mąż; gdy był jeszcze kawalerem, poznał za granicą pewną dziewczynę. Był jeszcze wówczas bardzo niedoświadczony i wplątał się w romans, który niekoniecznie dobrze wpłynąłby na jego opinię, gdyby ta historia teraz wyszła na jaw. Pan mnie rozumie?

Pułkownik skinął głową.

— Podobne rzeczy zdarzają się niejednemu młodzieńcowi.

— Właśnie. Tymczasem owa cudzoziemka musiała się skądś dowiedzieć, że Jacek, mój mąż, pracuje obecnie w służbie dyplomatycznej, że jest żonaty i że każda kompromitacja mogłaby zaszkodzić jego karierze oraz w sposób przykry zaważyć na jego pozycji towarzyskiej. Postanowiła to wyzyskać dla swoich wstrętnych celów.

— A jakież są jej cele?

— Ta kobieta jest szpiegiem. Przyjechała do Warszawy i oświadczyła memu mężowi, że narobi mu moc przykrości, jeżeli nie dostarczy jej do skopiowania bardzo ważnych i tajnych dokumentów państwowych. Oczywiście mój mąż kategorycznie odmówił i zapowiedział, że złoży na nią doniesienie. Ja uprosiłam go, by mi to powierzył, gdyż przy sposobności pragnęłam zobaczyć pana pułkownika, a już wiedziałam z góry, że mogę liczyć na pańską dyskrecję, za którą jestem ogromnie wdzięczna.

Na pytanie pułkownika wyliczyłam z notatki Freda, o jakie dokumenty chodziło, i zapytałam, czy w razie aresztowania tej kobiety jej brudne oszczerstwa, rzucane na Jacka, będą brane pod uwagę.

Od początku zastanowił mnie spokojny uśmiech, który nie schodził z twarzy pułkownika. Teraz sięgnął do szuflady i położył przede mną fotografię, pytając:

— Czy o tej kobiecie pani mówi?

Szeroko otworzyłam oczy: przede mną leżała podobizna miss Elisabeth Normann.

— Tak — zawołałam w najwyższym zdumieniu.

— Mieszka w hotelu „Bristol” pod nazwiskiem Elisabeth Normann. Czyż nie tak?

— Ależ pan pułkownik wie o niej!

— Nie myli się pani. Mamy ją na oku, odkąd przyjechała do Polski.

— Od Bożego Narodzenia?

Przecząco potrząsnął głową.

— O, nie. Bawi już tu od jesieni. Co prawda przedtem używała innego nazwiska i innej powierzchowności.

— Więc pan wiedział, że ona jest szpiegiem? Dlaczegoż pan jej nie aresztował?

Spojrzał na mnie z miną zupełnie rozbawioną.

— Widzi pani, czasami obcy szpieg może być bardzo pożyteczny. Na przykład dzięki tej pani zdołaliśmy zlikwidować kilku wysoce niebezpiecznych jej współników i przeciwników. Właściwie została ona do Polski przysłana właśnie po to, by paraliżować akcję tych ostatnich.

— Nic nie rozumiem...

— To są sprawy dla fachowców dość proste. Jedne państwa wysyłają szpiegów, a drugie swoich agentów, by przez śledzenie tamtych dowiedzieć się o zamiarach przeciwnika. Nie będę pani tym nudził. Wystarczy, jeżeli powiem, że ta urocza dama, której fotografia leży przed panią, mimo woli naprowadziła nas na ślad bardzo niebezpiecznego ptaszka, a naszego wspólnego znajomego, pana Vallo, który grasował tu pod nazwiskiem Roberta Tonnora. Poza tym jej zawdzięczamy to, żeśmy zwrócili uwagę na kilka innych osób. Ponieważ zaś z góry wiedzieliśmy o jej zamiarach i celach, w odpowiedni sposób preparowaliśmy wiadomości, o które zabiegała, i w ten sposób wprowadzaliśmy w błąd jej wywiad. Teraz rozumie pani, dlaczegośmy jej nie aresztowali?... Taki szpieg, jak ta pani, jak każdy znany nam szpieg, jest raczej dla nas wygodą. Wiem również o tym, że

głównym jej planem było uzyskanie dokumentów dyplomatycznych, które pani wymieniła. Początkowo nawet mieliśmy zamiar prosić małżonka pani o wręczenie jej pewnych fałszyfikatów. W obecnej jednak konfiguracji już to nam nie jest potrzebne.

Spojrzał na mnie spod oka i dodał:

— W każdym razie dziękuję pani i składam powinszowania. Jest pani dzielną niewiastą.

Odniosłam wrażenie, że wie znacznie więcej, niż mi powiedział. W jego uśmiechu było coś z przekory. Czyżby domyślał się, że to ja zajęłam się śledzeniem miss Normann?... Może nawet był poinformowany o przyjeździe Freda i o rzekomej bigamii Jacka. Korciło mnie ogromnie, ale już wołałam nie pytać, by nie znaleźć się w przykrej sytuacji. Żegnając się ze mną, pułkownik powiedział:

— Niech się pani niczym nie trapi i będzie odważna nadal. Ile zaś razy poweźmie pani podejrzenie, że ktoś jest szpiegiem, niech mnie pani zawsze o tym zawiadomi. W obecnych czasach kręci się tego mnóstwo i trudno jest wszystkich upilnować. Nie potrzebuję dodawać, że wizytę u mnie i wszystko, co pani powiedziałam, należy zachować w ścisłej tajemnicy. Może to pani powtórzyć tylko mężowi, z tym jednak, by nie ujawnił tego przed nikim. Jeżeli zaś chodzi o szantażową akcję tej pani, niech po prostu na to nie zwraca uwagi.

Podziękowałam mu bardzo uprzejmie, zapewniając, że najściślej zastosuję się do jego wskazówek. W powrotnej drodze pobieżnie opowiedziałam Fredowi, jak się przedstawia sytuacja. Jacek czekał na nas z niepokojem, którego nie umiał ukryć. Wysłuchawszy mnie jednak do końca, miał łzy w oczach. Jakże dobrze go zrozumiałam! Tyle długich tygodni niepokoj! Tyle gorzkich wyrzutów sumienia, tyle najbardziej ponurych perspektyw na przyszłość, oto wszystko zbliżało się do najpomyślniejszego zakończenia, o jakim mógł marzyć.

— Jesteś prawdziwym skarbem — powiedział. — Nie wiem, czy zasłużyłem sobie na taką żonę.

Było mi szczególnie przyjemne to, że wypowiedział te słowa przy Fredzie. Sama się wzruszyłam. Oczywiście mam pewne wady. Lubię czasami dokuczać osobom bliskim, jestem trochę próżna i trochę leniwa. Ale gdy zastanowię się nad tym, co poczułby Jacek, gdybym nie miała tej inteligencji, przedsiębiorczości i stanowczości, dochodzę do przekonania, że, być może, zmuszony byłby do popełnienia wielu najnierozważniejszych kroków. Kto wie, może nawet popełniłby samobójstwo.

Jednak prawdę powiedział któryś z filozofów greckich, że największym skarbem jest poczucie własnej wartości. Tak mi teraz dobrze i tak lekko. Nigdy jeszcze tak bardzo nie byłam zadowolona z siebie od czasu, gdy pretendent do tronu francuskiego hrabia Paryża na garden party u księcia Monaco nie odstępował mnie ani na chwilę i gdy zostałam z nim sfilmowana.

A najważniejsze w tym wszystkim było to, że odniosłam całkowity i wszechstronny triumf nad tą wstrętną kobietą. Mniejsza już o to, że nic nie uzyska, że Jacek wyraźnie w oczy jej powiedział, jak bardzo mnie kocha, że Toto też będzie musiał zupełnie odsunąć się od niej. Ale przecież to ona była sprawczynią nieszczęścia Roberta! Przecież to ona zawiniła w jego śmierci. Więc jednak pierwszy odruch intuicji mnie nie zmylił. Wtedy na schodach właśnie ją spotkałam. Żmija!

Wprawdzie pułkownik radził, by nie zwracać więcej na nią uwagi, nie mogłam się jednak na to zgodzić. Za żadne skarby! Zrozumiałam, że wręcz muszę na własne oczy ujrzeć jej upadek i poniżenie. Nie potrafiłabym się tego wyrzec. Oświadczyłam Jackowi:

— W każdym razie trzeba sprawdzić, jakiego rodzaju fałszywe dokumenty chciała ci dać ta kobieta.

Jacek zaproponował gwałtownie:

— O, nie, nie. Nie chcę jej więcej widzieć. Skoro jesteście przekonani, że dokumenty są fałszywe, a pułkownik Korczyński wyraźnie radził zlekceważyć jej groźby, nie ma takiej siły, która by mnie zmusiła do spotkania się jeszcze raz z tą kobietą. Odczuwam wręcz fizyczny wstręt na samą myśl o tym. Nie lubię ocierać się o podłóż. Nie. Lepiej wyjedźmy na wieś odpocząć po tych wszystkich okropnych przejściach.

Uspokoiliam go.

— Wcale nie chcę cię namawiać, byś się z nią zobaczył. Zrobię to ja sama.



— I na to się nie zgodzę — zaprotestował stanowczo. — Gotowa cię obrazić lub coś podobnego.

— Nie bój się. Nie tak łatwo pozwolę się obrazić. A zresztą będzie ze mną pan van Hobben.

Jacek miał, zdaje się, wielką ochotę wyrazić swe zastrzeżenia i co do tego punktu mojego programu, wobec tego jednak, że uznałam sprawę za zakończoną, powstrzymałam się od wszelkich dalszych uwag. Zatrzymałam Freda na kolacji. Ile on ma taktu i znajomości ludzi! W ciągu paru godzin potrafił zjednać sobie Jacka i wyrobić w nim najlepsze zdanie o detektywach w ogóle, a o sobie w szczególności. Obserwowałam jego sposoby. Wcale nie były takie skomplikowane. Po prostu polegały na tym, że wszystko, cokolwiek Jacek mówił, przyjmował jak rewelację, jak nowość, o której istnieniu nie miał przedtem pojęcia. Często z lekka bywał odmiennego zdania, lecz tylko po to, by natychmiast dać się przekonać. Po jego wyjściu Jacek rzekł:

— To czarujący chłopak. Odznacza się przy tym wybitną inteligencją. Gdy będzie trochę starszy, może liczyć na duże powodzenie u kobiet.

Przyznałam Jackowi rację.

Niedziela

Od rana pilnowałam, by Jacek nie podszedł do telefonu i, jak się okazało, miałam trafne przeczucia. Gdy tylko podniosłam słuchawkę, od razu poznałam jej głos i powiedziałam:

— Z pewnych względów pan Renowicki nie może podejść do aparatu. Ale czy to miss Normann? Właśnie poznałam pani głos. Mąż mówił ze mną o wszystkim i jestem przez niego upoważniona do sfinalizowania sprawy z panią. Czy odpowiada pani godzina jedenasta?

I tu po raz pierwszy ją złapałam: mówiłam po polsku i odpowiedziała mi najczystsza polszczyzną:

— Dobrze. Będę na panią czekała punktualnie o jedenastej.

Natychmiast zadzwoniłam do Freda i uradziliśmy, że jednak pójdę do miss Normann sama, on zaś zostanie na górze, by przysłuchiwać się naszej rozmowie. A w razie potrzeby zejdzie na dół. Należało liczyć się z tym, że miss Normann przy świadku nie zechce mówić o sprawie i będzie udawała, że o niczym nie wie. Fred dał mi jeszcze kilka cennych wskazówek, a gdy mu wspomniałam o tym, że rozmawiałam z miss Normann po polsku, ostrzegł mnie:

— Na miły Bóg, nie mów z nią nadal po polsku. Przecież ja nie znam tego języka.

To szczęście, że mnie uprzedził. Byłabym o tym na śmierć zapomniała. Przyznać muszę, że jednak byłam trochę zdenerwowana, gdy pukałam do drzwi tej niebezpiecznej kobiety. Bądź co bądź, chociaż trzymałam obecnie w ręku wszystkie atuty, musiałam liczyć się z tym, że mam do czynienia z doświadczonym i przebiegłym szpiegiem, który może mnie zaskoczyć czymś całkiem nowym, na co nie byłam przygotowana.

Przyjęła mnie z zupełną swobodą. Od razu zauważyłam, że miała wszystkie rzeczy spakowane. Widocznie zamierzała natychmiast wyjechać. Po paru zdawkowych zdaniach oświadczyłam:

— W zasadzie oboje z mężem zgadzamy się na pani warunki.

Spojrzała na mnie z maskowaną nieufnością.

— Byłam przekonana, że zdecydują się państwo zgodnie z rozsądkiem.

— Właśnie — potwierdziłam. — Przedtem jednak, zanim dostarczymy pani owych papierów, o które pani chodzi, muszę się przekonać, czy to, co nam pani w zamian daje, jest istotnie świadectwem ślubu. Czy pani może mi pokazać ten dokument?

Bez słowa wstała i rozłożyła przede mną, w ten jednak sposób, bym nie mogła go dosięgnąć ręką, papier, opatrzony pieczęciami. Przyjrzałam się mu uważnie i zaśmiałam się:

— To jest falsyfikat, proszę pani. Falsyfikat tym niezręczniejszy, że właśnie z tegoż urzędu stanu cywilnego mamy oficjalny list, stwierdzający, że w danym okresie nie było tam zawarte małżeństwo między żadnym Renowickim i żadną Elisabeth Normann. Jeżeli pani zechce zaczekać, zaraz zatelefonuję do domu i każę przynieść tu wszystkie li-

sty z różnych urzędów nowojorskich, by mogła pani się przekonać naocznie o naiwności i ryzykowności pani intrygi. To jest falsyfikat. Ordynarny falsyfikat!

Przeszyła mnie nienawistnym spojrzeniem, lecz opanowała się i wzruszyła ramionami.

— Pani wybaczy, ale to, co obecnie słyszę, jest pełnym nonsensem. Dokument jest prawdziwy. Gdyby zaś go nawet nie było, sam mąż pani nie ośmielił się zaprzeczyć, że wziął ze mną ślub przed ośmiu laty. Są zresztą świadkowie.

— Świadkowie? Takim świadkom nikt nie uwierzy. Ci świadkowie są pani współnikami i szpiegami. Cały ślub był zainscenizowaną komedią. Źle pani trafiła. Podejrzewała pani, że z polecenia męża śledziłam panią w Krynicy. Otóż rzeczywiście śledziłam. Mąż mój jednak nic o tym nie wiedział. Tak, droga pani. Robiłam to wszystko na własną rękę. I myli się pani sądząc, że nie zdobyłam pani fotografii. Myli się pani. Zdobyłam i rozsyłałam odbitki po całym świecie. Na tej podstawie udało mi się stwierdzić, kim pani jest i co pani robiła.

Tu wyliczyłam jej wiele nazwisk, jakimi się posługiwała, i wiele miejscowości, gdzie była w ciągu tych ośmiu lat. Na jej plus muszę przyznać, że chociaż to, co słyszała ode mnie, musiało ją napęlić przerażeniem, umiała zachować wszystkie pozory spokoju.

— Zdawało się pani, że ma pani w garści mojego męża i że uda się pani wymusić na nim, wyszantażować wszystko, co się pani podoba. Tymczasem okazało się, że jest wręcz przeciwnie. To ja trzymam panią w rękę i w każdej chwili mogę kazać aresztować panią. Wsadzić do więzienia, z którego wyjdzie pani po wielu, wielu latach jako zupełnie stara i brzydka kobieta.

Mówiłam to podniesionym głosem i pod moim wzrokiem reszta bladego uśmiechu znikła z jej twarzy.

— Niczego mi pani nie potrafi udowodnić — odezwała się półgłosem.

— O, tak się pani zdaje?... Więc niech pani wie, że każde słowo, wymówione tu przez panią, jest ściśle zanotowane. Niech pani spojrzy na ten żyrandol.

Zaśmiałam się, ona zaś spojrzała w górę i wyraźnie przybladła.

— Tak, droga pani. Byli świadkowie, którzy słyszeli rozmowę pani z moim mężem, którzy na moje pierwsze żądanie gotowi są potwierdzić przed władzami, że sama się pani przyznała do szpiegostwa. Że pozostawała pani w telefonicznym kontakcie ze swymi współnikami, dając im informacje i odbierając instrukcje. Mogłabym zniszczyć panią jednym kiwnięciem palca. Ale brzydę się wszelką zemstą. I dlatego mogę zgodzić się na pozostawienie pani w spokoju pod następującymi warunkami: po pierwsze, natychmiast pani wyjedzie z Polski i nigdy się już nie pokaże, po drugie, odda mi pani ten falsyfikat i podpisze oświadczenie, że nigdy nie była pani żoną mojego męża, rzekomy zaś ślub zainscenizowany został przez panią. Poza tym zobowiąże się pani z nikim, ale to absolutnie z nikim nie porozumiewać się przed odjazdem.

Przyglądała mi się nieufnie i po chwili wahania powiedziała:

— Skądże mogę wiedzieć, że pani groźby mają jakieś podstawy?

— O, bardzo łatwo pani się o tym przekona — skinęłam głową i odezwałam się nieco głośniejszym głosem: — Panie van Hobben, niech pan zostawi swego pomocnika na górze i niech pan tu do nas zejdzie.

Oczekiwałyśmy w milczeniu. Nie upłynęły trzy minuty, a Fred zapukał do drzwi. Ukłonił się jej zupełnie poprawnie i uśmiechnął się, chociaż powitała go wzrokiem pełnym nienawiści.

— Więc dobrze — wycodziła przez zaciśnięte zęby. — Przyjmuję pani warunki.

W niespełną pół godziny wszystko zostało załatwione. Ponieważ najbliższy pociąg odchodził przed pierwszą, zgodziła się, by do tego czasu towarzyszył jej Fred. Gdy już wnoszono walizki, spytała mnie:

— Czy może mi pani wyjaśnić, co powodowało panią, gdy zgodziła się pani zaniechać myśli o denuncjacji?

Wzruszyłam ramionami.

— To zupełnie proste. Po pierwsze, jako szpieg wykazała pani tyle nieudolności, że oboje z mężem uważamy, że nie potrafiłaby pani przynieść szkody naszemu krajowi. Po drugie, nie potrafię się mścić na kimś, kim tak bardzo gardzę, jak panią. Nie chciałabym, by miała pani powód do mniemania, że oddaję panią w ręce władz, gdyż już nie mam

innych sposobów zabezpieczenia sobie uczuć tych mężczyzn, których usiłowała pani, jakże bezskutecznie, uwieść. Nie boję się pani ani jako szpiega, ani jako szantażystki, ani jako rywalki. I niczemu innemu, jak tylko właśnie temu poczuciu mojej wyższości, zawdzięcza pani wolność.

Mój Boże. Ile wysiłków, ile nerwów, ile upokorzeń, nocy nieprzespanych, niepoko-  
jów i obaw złożyło się na to, bym wreszcie mogła rzucić tej kobiecie w twarz te słowa. Wielu rzeczy nauczyłam się w ciągu tych paru miesięcy, wiele przeżyłam, przecierpiałam i przemyślałam. Dojrzałam wewnętrznie, umocniłam się w swoim człowieczeństwie, lecz przecież każda kobieta mnie zrozumie, gdy wyznam szczerze, że kiedy w godzinę później Fred zatelefonował do mnie do domu, że miss Normann odjechała, nerwowe naprężenie, w którym trwałam tak długo, ustąpiło gwałtownie i stałam się znów tylko kobietą, która szlochając tuliła w ramionach kochanego męża, mego męża, o którego stoczyłam tak niebezpieczną i nareszcie zakończoną zwycięstwem walkę.

Piętek

Od czterech dni nie zaglądałam do pamiętnika. Od czterech dni siedzimy z Jackiem w Hołdowie. Jesteśmy sami. To jakby drugi nasz miodowy miesiąc. Niestety, nie potrwa długo. Jacek za parę dni musi wracać do Warszawy. Pocięsam się tylko tym, że jutro przyjedzie Toto, a w niedzielę Halszka, którą zaprosiłam na wakacje. Prawdę mówiąc zrobiłam to głównie dlatego, by nie pojechała na lato do Szkocji. Jej mąż jest tak skąpy, że gdy tylko usłyszał moje zaproszenie, oświadczył, że o Szkocji mowy nie ma.

Toto kupił nową wspaniałą maszynę i będzie mnie uczył szoferowania. W gruncie rzeczy to zupełnie miły chłopak. I przy tym taki śmieszny! Napisał mi, że we wrześniu wybiera się do Mandżurii na tygrysy, jeżeli do tego czasu nie wybuchnie wojna. Mężczyźni są niesłychanie dziecinni. Odpisałam mu, że jest to niepotrzebne, gdyż nigdy nikomu nie wspomnę o tych stemplach na tygrysiach skórkach.

W Hołdowie jest ślicznie. Posiedzę tu do końca lipca, a na cały sierpień pojedę do Spa lub Ostendy.

Życie jest piękne.

## EPILOG

Na tym się kończy pamiętnik p. Renowickiej. Oddając go do rąk Czytelnika polskiego pragnąłbym, jako „ojciec chrzestny” tego utworu, dodać kilka uwag ogólniejszej natury.

Byłbym naprawdę w kłopotcie, gdybym musiał odpowiedzieć na pytanie, czy uważam ten utwór za symptomatyczny dla psychiki i obyczajowości młodej warszawskiej damy naszych czasów. Nie umniejszając bynajmniej wysokich zalet pani Hanki, jej umysłu, charakteru, moralności i inteligencji, skłonny jestem raczej przypuszczać, że inne panie z tegoż środowiska pod każdym względem ją przewyższają. Wiem o tym od nich samych. Zapewniały mnie, a ja nie śmiałybym im nie wierzyć. W trakcie druku *Pamiętnika* w odcinku otrzymałem sporo listów, ostrzegających mnie przed osobą autorki, jako kobiety niegodnej zaufania. Niektóre z tych listów zawierały nawet brzydkie posądzenie pani Renowickiej o grzechy, których nie popełniła. Podawano nawet w wątpliwość szlachetność i bezinteresowność jej stosunku do niektórych panów, występujących w jej pamiętniku. Oczywiście nad tego rodzaju domyślnością muszę przejść do porządku dziennego. Zaznaczyć tylko muszę, że autorka, spisując swoje wspomnienia i oddając ją do druku, sama się przez to zdecydowała na poddanie się złym czy dobrym sądom o sobie.

Nie jestem jej adwokatem ani prokuratorem. To też proszę Czytelników o przyjęcie tego utworu takim, jakim jest, i o wydanie wyroku na podstawie własnej, niczym niesugerowanej opinii.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/dolega-mostowicz-pamietnik-pani-hanki>

Tekst opracowany na podstawie: Tadeusz Dołęga-Mostowicz, *Pamiętnik pani Hanki, Pi*, Warszawa 2014.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć, Aleksandra Sekuła, Magdalena Szudziak, Paulina Chormańska.

ISBN 978-83-288-5493-2

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.